KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 11/109 1956



• «La Culture» • Revue mensuelle •

Fr. FEITÖ : **" NIEZALEŻNA REPUBLIKA " WĘGIERSKICH PISARZY**

Zd. BRONCEL : **PERSPEKTYWY DIALOGU**

W. WEINTRAUB : **O ZAPRZEPASZCZANY DOROBEK KULTURALNY**

M. DE GHELDERODE : **HOP SIGNOR !**

SPIS RZECZY

ARCHIWUM POLITYCZNE

K R A J

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

KRONIKA KULTURALNA

KSIĄŻKI



DOKUMENTY

Zeszyt II

Przemówienie 1 Sekretarza KC PZPR
WŁADYSŁAWA GOMUŁKI
na VIII Plenum 21. X. 1956.

Komentarz J. Mieroszewskiego

INSTYTUT LITERACKI



PARYŻ 1956

Dramatyczne wydarzenia ostatnich miesięcy coraz bardziej dotykają spraw polskich. Wymaga to obiektywnego i rzeczowego informowania emigracji. Przy istniejącym kryzysie zaufania czytelnik polski nie zadawala się komentarzem, chce mieć materiały które by pozwoliły na wyrobienie sobie własnego zdania.

Licząc się z tą potrzebą „Kultura" wydała przed paru miesiącami pełny tekst referatu Chruszczowa. Do numeru listopadowego „Kultury" zaś dołączamy tekst mowy Władysława Gomułki.

Ponieważ w obecnej sytuacji może zajść potrzeba druku dalszych materiałów stwarzamy nową kolekcję wydawniczą pod nazwą „Dokumenty". *Niniejsza broszura jest drugim zeszytem* Dokumentów. *Zeszyty te będą dołączane do numerów „Kultury". Mamy nadzieję że tę inicjatywę nasi prenumeratorzy przyjmą z zadowoleniem.*

REDAKCJA „KULTURY"

„Kultura" wzywa swych czytelników do okazania pełnej solidarności emigracji z bohaterską walką narodu węgierskiego o wolność. Solidarność tę najlepiej możemy okazać biorąc udział w pomocy organizowanej dziś na całym świecie.

Współpracownicy Redakcji składają na ten cel 10.000 franków na ręce Francuskiego Czerwonego Krzyża w Paryżu.

Dylemat Władysława Gomułki

I

Sytuacja wytworzona przez powrót Władysława Gomułki do władzy ma trzy aspekty: 1. — Krajowy, 2. — Międzynarodowy, 3. — Emigracyjny.

Proponuję kolejne rozpatrzenie powyższych punktów.

Gomułka powiedział, że Polska ma prawo do niepodległości i suwerenności i że jej niepodległość musi być w pełni szanowana. Po dziesięciu latach okupacji, czy semi-okupacji sowieckiej problem niepodległości jest polskim zagadnieniem Nr 1. To jest zagadnienie ważniejsze niż wszystkie — niebotyczne niestety, trudności wewnętrzne. Wysuwając ten punkt na czoło swego programu, Gomułka zapewnił sobie poparcie całego narodu. Za komunizmem jest mniejszość — za niepodległością wszyscy. Przywódca polityczny, który wysuwa postulat niezależności i suwerenności bez względu na swoją legitymację partyjną — liczyć może na żywiołowe, masowe poparcie narodu.

Gomułka w swym przemówieniu oświadczył, że w socjaliźmie istnieje tylko jedna zasada niepodlegająca zmianom, a mianowicie likwidacja wyzysku człowieka przez człowieka. Jeżeli tylko ten jeden postulat jest niezmienialny — wszystko inne podlega przemianom i adaptacjom. Innymi słowy, droga do ewolucji jest otwarta. Wolno mniemać, że o wszystkim decydować będzie wola większości i doświadczenie a nie dogmat.

Jak to się stało — zapytuje Gomułka, że nasza partia w tak bliskiej stosunkowo przeszłości dopuściła do tylu błędów i wypaczeń?

Gdzie są — my zapytamy z kolei — gwarancje, że za rok czy za dwa lata nie trzeba będzie wysuwać identycznych zarzutów pod adresem Gomułki i jego polityki.

Innymi słowy, dochodzimy do punktu, który najtrafniej ujął Wiktor Woroszylski na łamach „Nowej Kultury" — polemizując z moim artykułem pt. „Dialog".

Woroszylski pisze:

„Mam natomiast ochotę postawić duży znak zapytania na marginesie tych fragmentów wypowiedzi p. Mieroszewskiego, w których zaleca on krajowi wprowadzenie dokładniej nie scharakteryzowanej wolności i demokracji. Któż nie pragnie wolności i demokracji! Sprawa komplikuje się tam, gdzie trzeba określić warunki, chroniące wolność przed tymi, którzy jej zagrażają. Demokratyczna republika w Niemczech po-Wersalskich udzieliła wolności również swoim grabarzom-faszystom. Myśmy wystawili wokół wolności zbrojne warty, aby nie dopuścić faszystów — i warty potraktowały wolność jako swojego więźnia, a broń skierowały przeciw nam. Jak wybrnąć z tego beznadziejnego dylematu? Oto gdzie zaczyna się problem."

Istotnie w tym miejscu zaczyna się problem. Nie jest rzeczą możliwą uchowanie wolności w ramach jedno-partyjnego systemu. „Demokracja" jednopartyjna nie jest i nie może być demokracją. Jakże bliskie doświadczenia wskazują, że system jednopartyjny wiedzie nieuchronnie ku dyktaturze jednostki. Powiem więcej — system jedno-partyjny funkcjonuje sprawnie tylko wówczas, jeżeli opiera się o autorytet wielkiego przywódcy. O kolektywnym kierownictwie mówi się dopiero wtedy gdy wybitnego przywódcy brak.

Gomułka wśród wielu prawd, które powiedział Polakom w swej znanej mowie słusznie zauważył, że ci, którzy stracili zaufanie mas nie mają prawa rządzić.

Rządzić można albo w oparciu o zaufanie mas narodu — albo w oparciu o obce czołgi. Własna droga do socjalizmu, niezależność i suwerenność państwowa nie są do pogodzenia z szukaniem oparcia o obce czołgi. Pozostaje więc jako jedyne źródło siły i jedyny tytuł rządzenia — zaufanie mas.

W chwili gdy piszę te słowa z Kraju napływają wiadomości o entuzjastycznych pochodach i masowych zebraniach. Wszyscy są za Gomułką. Nie oznacza to, że wszyscy są za komunizmem. Historyczny dylemat Władysława Gomułki polega na tym, że chcąc zatrzymać poparcie najszerszych mas polskich będzie musiał realizować program uniezależnienia się od Sowietów, mimo, iż tylko w oparciu o Sowiety możliwe jest w Kraju utrzymanie prymatu partii komunistycznej. To jest coś więcej niż dialektyczna sprzeczność.

Gdy wysoka fala opadnie Gomułka będzie musiał wybrać: albo komunizm i aktywne poparcie Sowietów — albo zaufanie szerokich mas, rzetelna niezależność i prawdziwa demokratyzacja. Jeżeli istotnie pragnie uniezależnić Polskę od Rosji *w ramach naszych geopolitycznych możliwości* — w takim wypadku należy przyjąć, że powziął już decyzję głęboko sięgających reform obecnego ustroju. Bo jako polityk o wieloletnim i bogatym doświadczeniu musi zdawać sobie sprawę, że o ile za socjalizmem —

ufajmy — są miliony, za komunizmem — małe tysiące. Nie można zgłaszać pretensji do reprezentowania szerokich mas, jeżeli przemawia się w imieniu ułamkowej mniejszości.

Losy gomułkowszczyzny w bardzo znacznym stopniu zależeć będą od politycznego wyrobienia Polaków w Kraju.

W pierwszym okresie społeczeństwo nie powinno domagać się zbyt radykalnych reform. Na początku, nacisk opinii społeczeństwa należy skupić na postulacie maksymalnego usamodzielnienia się od Rosji. Dopiero gdy usamodzielnienie stanie się okrzepłym faktem przyjdzie czas na wysunięcie szczegółowych postulatów zasadniczych reform.

Poznań — i wszystko to co stało się w ostatnich tygodniach w Polsce, łącznie z powrotem do władzy Gomułki — jest rezultatem bezpośredniego naporu mas narodu. Nie ulega wątpliwości, że reżym Gomułki pójdzie na dalsze ustępstwa i reformy o ile nacisk społeczeństwa będzie dostatecznie silny i dynamiczny. Siła komunistów w Polsce wywodzi się nie z cyfry ich zwolenników, która jest znikoma — lecz z politycznej bezpostaciowości pozostałej reszty. Realne osiągnięcie polskiego komunizmu nie polega na zjednaniu mas dla doktryny marksistowskiej, lecz na zachwianiu zaufania społeczeństwa do instytucji i urządzeń demokratycznych. Olbrzymia potencjalna opozycja nie ma żadnego programu. Ludzie powtarzają hasła: ,,Niepodległość'', ,,Wolność'' ale to wszystko ma emocjalny podźwięk rewolucyjny (,,śmierć tyranom !'') — i nie kryje w sobie żadnej programowo politycznej treści.

Na emigracji nie mamy również żadnego programu wielkiej reformy reform. Większość Polaków zagranicznych nie wierzy w zdemokratyzowanie titoistycznego komunizmu — wierzy natomiast w wyzwolenie siłą — co osobiście wydaje mi się jeszcze trudniejsze do uwierzenia... Nasi politycy przyjęli wygodną formułę, która stanowi odpust zupełny na bezmyślność : ,,po wyzwoleniu naród sam zadecyduje o ustroju...''

W rezultacie choć komuniści stanowią ułamkową mniejszość są jedynymi, którzy mają konkretny program.

Osobiście widzę w Polsce możliwość odrodzenia dwóch masowych ruchów politycznych : demokratycznego socjalizmu i autentycznego ruchu katolickiego. Młodzi robotnicy w Kraju praktycznie nic nie wiedzą o demokratycznym socjaliźmie, o ,,trade union'izmie'', o syndykaliźmie, o międzynarodowym ruchu związków zawodowych. Nie wiedzą nic bo wielkie agencje propagandowo oddziałowujące na Kraj poświęcają się niemal wyłącznie negatywnej krytyce komunizmu.

To są problemy do których przyjdzie nam niejednokrotnie powrócić. Na tym miejscu pragnę tylko podkreślić, że tak zwana liberalizacja nie wiedzie do demokracji. Wiedzie tylko do poszerzenia swobód w ramach systemu jedno-partyjnego. Na razie napór szerokich mas społeczeństwa idzie w kierunku liberalizacji a nie powrotu do prawdziwej demokracji. W czasie pochodów i demonstracji w Kraju domagano się usunięcia Rokossowskie-

go, uwolnienia kardynała Wyszyńskiego, ewakuacji Rosjan — nigdzie jednak nie padł głos : ,,my chcemy wolnych wyborów i demokratycznego sejmu !''.

Demokrację typu zachodniego określa się w Kraju mianem burżuazyjnej a przeciętny człowiek (nie komunista) kojarzy ten termin z kapitalizmem, wyzyskiem i wstecznictwem. Odbudowa demokracji w Kraju to jest proces obliczony na daleką metę.

II

Wyrazista sytuacja geopolityczna narzuca rozwiązania klasyczne, które powtarzają się w kolejnych okresach. Dla Rosji Polska jest przedpolem wrogiego Zachodu. Polityka Moskwy w stosunku do nas oscyluje pomiędzy dwoma schematami : Książe Konstanty (biały lub czerwony) wielkorządcą w Warszawie — albo zabór w porozumieniu z Niemcami.

Gdy usłyszałem w radio o usunięciu Rokossowskiego z polskiego Politbiura — nawykiem historycznej tradycji skojarzyłem tę wiadomość z Niemcami. Jeżeli zawiódł schemat Nr 1 — to kto wie czy Rosja nie zdecyduje się na schemat Nr 2.

Analogie historyczne — choć szczególniej Polakowi nie łatwo się jest z nich wymotać — rzadko kiedy stanowią źródło mądrej politycznej inspiracji.

Oczywiście Rosjanie mogliby dziś przyjąć punkt widzenia, że Polacy i Węgrzy są niepewni wobec czego należy zagrać kartę niemiecką. Nikt nie ma w ręce takich atutów w ewentualnej grze o Niemcy jak Moskwa. Ale czy Niemcy są pewni ?

We wszystkich relacjach i opisach Polaków, którzy w ostatnich latach odwiedzili Rosję — znajdujemy potwierdzenie fanatycznej nienawiści i zabobonnego lęku jaki żywią masy rosyjskie w stosunku do Niemców. Cała polityka sowiecka od 1945 roku po chwilę obecną świadczy wymownie, że cytowane wyżej relacje odpowiadają prawdzie. Jest mało prawdopodobne by pokolenie Rosjan, którzy przeżyli lata 1942-1945 — przyłożyło rękę do odbudowy potęgi Niemiec.

Polacy — jak dotąd — wykazali wielkie i chwalebne opanowanie w manifestowaniu swych uczuć antysowieckich. Ale nie mniej obserwatorzy sowieccy, którzy przyglądali się z bliska rewolucji Gomułki — musieli dojść do wniosku, że dziesięć lat propagandy przyjaźni polsko-sowieckiej nie dały dosłownie żadnego rezultatu.

Rosja nie zdecydowała się na użycie siły — przypuszczalnie z dwóch powodów : oceniono, że armia polska — a w każdym razie znakomita większość żołnierzy i niższych oficerów — stawiłaby czynny opór. Polska jest zbyt dużym krajem by powstanie, które wybuchłoby niewątpliwie w odpowiedzi na akcję sowiecką — można było zgnieść w kilka czy kilkanaście dni.

Oczywiście, że ceną za zgniecenie powstania, które mogłoby rozszerzyć się na całą ujarzmioną Europę — byłoby pogrzebanie polityki koegzystencji i niesłychane wzmożenie nastrojów

antysowieckich w całym świecie. Kompromitacja polityczna „aniołów pokoju" pp. Bułganina i Chruszczowa byłaby całkowita i druzgocąca.

Więc jakie jest wyjście z tej sytuacji rozpatrywanej z punktu widzenia Moskwy?

Osobiście sądzę, że Gomułka zdołał przekonać członków sowieckiego politbiura, że tak on jak i jego zwolennicy zdecydowani są prowadzić politykę przyjaźni w stosunku do Związku Sowieckiego. Gomułka ani nie może w obecnych warunkach prowadzić innej polityki, ani zapewne nie chciałby prowadzić innej polityki.

Ale dla marszałka Żukowa problem leży niewątpliwie gdzie indziej. Dla tych, którzy planują i ponoszą odpowiedzialność za bezpieczeństwo Związku Sowieckiego — pytanie brzmi: czy Polska „ludowa" jest sojusznikiem na którym można polegać? Odpowiedź na to pytanie musi wypaść negatywnie. Bez względu na deklarowaną politykę i podpisane pakty Rosja nie może uważać ani Polski ani Węgier za pewnego alianta.

Innymi słowy, stalinowska koncepcja łańcucha państw buforowych leży w gruzach. Okazuje się, że armie satelickie wychowane i szkolone w duchu przyjaźni dla Sowietów, dowodzone na wyższych szczeblach (do niedawna) przez sowieckich oficerów — z punktu widzenia Moskwy są niegodne zaufania.

Zbankrutowała nie tylko strategiczna koncepcja pasa państw buforowych, lecz, co ważniejsze, polityczna koncepcja „koncertu" państw satelickich.

W zrozumieniu stalinowskim państwa satelickie były kandydatami do przyszłego światowego Związku Sowieckiego. Stalinista stawiał solidarność z sowiecką „ojczyzną proletariatu" ponad uczucia (i interesy) narodowo-państwowe. Komunizmy narodowe kładą temu wszystkiemu kres. Solidarność zastępuje suwerenność i niezależność a stalinowski internacjonalizm własną, czyli narodowa, droga do socjalizmu.

To wszystko nie jest dylemat Tity lecz dylemat Władysława Gomułki. Rosja bowiem pogodziła się z odmiennym statutem Jugosławii. Do dnia 19 października br. — ufano w Moskwie, że sprawa Jugosławii nie przesądzi losu koncepcji państw satelickich. Pismo Chruszczowa do partii komunistycznych państw satelickich z napomnieniem by szły śladem Sowietów a nie Jugosławii — stanowiło najlepszy w tej mierze przykład. Moskiewskie politbiuro łudziło się, że specjalny statut Jugosławii powiedzie się ograniczyć do... Jugosławii. Dramatyczny nalot na Warszawę Chruszczowa, Mołotowa, Kaganowicza, Mikojana, Koniewa oraz tuzina generałów — był ostatnią próbą ratowania stalinowskiej koncepcji systemu satelickiego. Próba ta zawiodła. Władysław Gomułka dał w owym dniu przykład wielkiej mocy charakteru i nieprzeciętnej cywilnej odwagi.

Oświadczenie Chruszczowa złożone 26 października br. — a więc w chwili gdy Budapeszt i Węgry znajdowały się w ogniu powstania — że Rosja gotowa jest anulować tak zwany Pakt

Warszawski w zamian za likwidację baz NATO — jest dowodem, iż Rosja zdaje sobie sprawę z wątpliwej wartości tego paktu i zgłasza gotowość sprzedania go korzystnie.

,,Kultura'' wysuwa od trzech lat koncepcję pasa neutralnego i zdemilitaryzowanego, który by objął Europę wschodnią i środkową. Sowiety całość swej pozycji w Europie rozpatrują wyłącznie z punktu widzenia bezpieczeństwa. Można przyjąć niemal za pewne, że dziś Moskwa zgodziłaby się na likwidację paktu warszawskiego a więc na wycofanie wojsk i baz sowieckich z Europy wschodniej — w zamian za likwidację baz NATO. Za tę cenę zgodziłaby się również — sądzić wolno — na zneutralizowanie i zdemilitaryzowanie całego rejonu satelickiego i poddanie go kontroli międzynarodowej. Nie ulega bowiem wątpliwości, że pas neutralny wydatniej izolowałby Sowiety od Zachodu niż wschodnio-europejska satelicka beczka prochu. Można również przyjąć za pewne — że zneutralizowanie a w następstwie, uspokojenie, całego obszaru Europy środkowo-wschodniej — wzmogłoby niepomiernie bezpieczeństwo Europy zachodniej.

W obecnych warunkach i w obecnym układzie międzynarodowym to jest jedyna droga do zrealizowania — bez wojny i prowokowania Sowietów — dynamicznych dążeń niepodległościowych narodów środkowo-wschodnio-europejskich oraz zjednoczenia Niemiec.

Rokowania nad tym zagadnieniem winny być poprzedzone deklaracją mocarstw zachodnich w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Dziś nie ma już na Zachodzie poważniejszych polityków, którzy na ten temat żywiliby jakieś wątpliwości. Bez uciekania się do fałszywego optymizmu można uznać sprawę za przesądzoną na naszą korzyść. Niemniej, brak formalnej deklaracji mocarstw zachodnich gra bezpośrednio w ręce tych, którzy by chcieli widzieć Rosję jako jedyną gwarantkę granic (i nie tylko granic) Polski.

Pozycja Zachodu, z Ameryką włącznie, w Europie wschodniej jest zachwiana. Pragnienia wolności nie należy interpretować jako entuzjazmu dla Zachodu. Od pięciu lat Radio ,,Free Europe'' pod firmą amerykańską grzmi we wszystkich językach propagandowe przemówienia — ale gdy w Europie wschodniej nastąpił przewrót — gdy powstańcy w Budapeszcie wdarli się do poselstw brytyjskiego i amerykańskiego błagając o interwencję... minister Dulles uznał za stosowne zapewnić Moskwę, że wojska amerykańskie nie zostaną wysłane na Węgry, gdyby Rosja zdecydowała się na zbrojną interwencję.

Ludzie w wschodniej i środkowej Europie nie mają zaiste powodów do entuzjastycznej sympatii dla mocarstw Zachodu. Dziś nadarzałaby się sposobność odbudowy tego — w dużej mierze zdewaluowanego — kapitału zaufania, gdyby mocarstwa zachodnie w swoim własnym dobrze pojętym interesie — zaproponowały Rosji ostateczne uporządkowanie wielkiej kwestii wschodniej Europy.

III

Rozpatrzmy z kolei dylemat Władysława Gomułki z perspektywy emigracyjnej.

Celem emigracji politycznej jest przywrócenie Polsce niepodległości. Jeżeli jednak nie my emigranci — lecz Gomułka i jego rząd zrealizują ten postulat — co wtedy?

Państwo titoistyczne, czy narodowo-komunistyczne może być w pełni niepodległe i suwerenne. Jugosławia choć nie jest państwem demokratycznym jest niewątpliwie państwem suwerennym.

Gdyby Gomułce powiodło się — czego życzą mu wszyscy Polacy — doprowadzić do zwycięskiego finału dzieło uniezależnienia i pełnej suwerenności państwowej — wówczas rola emigracji politycznej ulegnie zasadniczej przemianie. Celem naszym nie będzie już niepodległość i suwerenność lecz odbudowa wolności i ustroju demokratycznego w nowej Polsce.

Jeżeli partia komunistyczna w Kraju będzie szła po linii niepodległościowej — przestanie być agenturą obcego mocarstwa, a komuniści z wrogów staną się naszymi przeciwnikami politycznymi. Nie należy przesądzać wypadków ale trzeba obiektywnie stwierdzić, że rozwój po tych liniach jest zarówno możliwy jak pożądany.

Przewrót Gomułki wywołał w politycznych kołach emigracyjnych chaos i dezorientację. Reakcjoniści nie tracą nadziei, że tak czy inaczej Gomułka upadnie i problem zostanie zlikwidowany. Wrócimy wówczas na punkt wyjściowy — to jest niepodległość poprzez (mityczne) ,,wyzwolenie'' z zewnątrz. Głosiciele tego ,,pobożnego życzenia'' sądzą że Gomułka jest takim samym komunistą jak wszyscy inni — a więc de facto takim samym agentem Moskwy.

Komunizm różnił się tym od wszystkich innych partii politycznych, że jego centralny ośrodek dyspozycyjny znajdował się w Moskwie. Ten fakt decydował o agenturalności tego ruchu. Z chwilą jednak, gdy jedynym ośrodkiem kierowniczym polskiego komunizmu będzie Warszawa — ruch ten straci swój agenturalny charakter i nabierze cech polskiego ruchu politycznego. Nasz stosunek do Gomułki musimy rozpatrywać na tej płaszczyźnie. Agentów obcego mocarstwa bez względu na ich ideologie i poglądy uważamy za wrogów. Natomiast ludzi, którzy stoją na gruncie niepodległości i niezależności państwa polskiego, bez względu na ich poglądy polityczne i ideologię, uważamy za dobrych Polaków. Z chwilą kiedy polscy komuniści odrzucą wszystkie powiązania agenturalne i staną bezkompromisowo na stanowisku niepodległościowym — różnice ideowe i polityczne między nimi a nami spadną do kategorii różnic wewnętrzno-polskich. Czy tak się stanie — czas pokaże.

Nim Gomułka zdążył usiąść na fotelu pierwszego sekretarza partii — pod jego adresem posypały się żądania, które rosną jak lawina.

Wystąpienia prasy emigracyjnej na ogół są w równej mierze demagogiczne jak i naiwne. Nie ulega wątpliwości, że gdyby Gomułka chciał spełnić jedną czwartą tego „koncertu życzeń" — spowodowałby sowiecką interwencję i ogólno-polskie powstanie na wzór węgierski. W Londynie odbyłoby się kilka akademii, posypałyby się „orędzia", jeszcze raz bylibyśmy „natchnieniem świata" i Sowiety po paru tygodniach zaprowadziłyby „porządek". Nasi emigracyjni reakcjoniści odetchnęliby z ulgą i wszystko wróciłoby do „status quo".

Emigracja nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego co dzieje się w Kraju. Nastroje anty-rosyjskie podsycane tragicznymi wypadkami na Węgrzech grożą wybuchem z godziny na godzinę. W obecnej sytuacji Gomułka ma przed sobą tylko jedno zadanie : przetrwać i nie dopuścić do sprowokowania Sowietów.

Nie ulega wątpliwości, że dni Chruszczowa są policzone. Należy liczyć się z poważnymi zmianami w kierowniczym aparacie Sowietów. Cała Europa wschodnia jest jak na wulkanie. Gomułka musi w tej chwili z jednej strony umacniać świeżo zdobytą niezależność vis-à-vis Rosji — zaś z drugiej strony unikać wszystkiego co doprowadzić by mogło do wybuchu i sowieckiej interwencji.

Powtórzę jeszcze raz : dylemat Władysława Gomułki sprowadza się do wyboru : albo w oparciu o Moskwę *przeciw niekomunistycznej* większości narodu — albo w pełnej niezależności od Rosji *w oparciu o większość nie-komunistyczną narodu.*

Osobiście wierzę, że Gomułka zdecyduje się na to drugie. Wybierając tę drogę jest oczywiste, że będzie musiał iść na bardzo dalekie ustępstwa i reformy. Wypuścił już na wolność kardynała Wyszyńskiego przywracając mu pełny prymasowski statut — będzie również zmuszony powołać nie-komunistów do polskiego rządu.

Ale w polityce właściwy krok musi być podjęty w właściwym czasie.

Zdajemy sobie sprawę, że objęcie władzy przez Gomułkę spowodowało w Polsce przewrót, który graniczy z chaosem. Zdajemy sobie również sprawę, że podjęcie koniecznych reform wymaga czasu i pewnej stabilizacji, niemniej uważamy, że Gomułka winien już dziś wydać oświadczenie w sprawie dalszych reform. Należałoby również zlikwidować propagandową aparaturę na emigrację. Nikt na obczyźnie nie da wiary niepodległościowym i patriotycznym zapewnieniom głoszonym przez tych samych politruków, którzy całymi latami wysługiwali się stalinowcom. Należy wreszcie dopuścić do Kraju periodyki i wydawnictwa emigracyjne. Byłby to dowód, że nowe kierownictwo zdecydowało się zlikwidować stan „zimnej wojny" pomiędzy emigracją a Krajem. Sprawa likwidacji na przykład ceł na paczki i gruntownej reformy P.K.O. może być też przygotowaniem do

wciągnięcia mas emigracji do odbudowy gospodarczej kraju. Staje się to możliwe i aktualne na tle oświadczeń Gomułki w sprawie reprywatyzacji rolnictwa i rzemiosła.

W sumie : Dajemy kredyt Władysławowi Gomułce. Ufamy że jego celem jest pełne uniezależnienie Polski od Rosji. Ufamy, że z udzielonego mu poparcia przez naród polski wyciągnie konsekwencję i chcąc się oprzeć na nie-komunistach da im głos i reprezentację. Ponieważ tak Polska jak cała Europa wschodnia znajduje się w krytycznej sytuacji przyjmujemy, że utrwalenie niezależności na zewnątrz, utrzymanie spokoju oraz podniesienie stopy życiowej ludności na wewnątrz stanowią w tej chwili kardynalny postulat.

Rezerwujemy sobie natomiast pełne prawo ostatecznej oceny Władysława Gomułki w świetle jego przyszłej polityki i dokonań.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kiedy przed 7 laty przemawiałem na listopadowym plenum KC PZPR wydawało mi się wówczas, że przemawiam do członków Komitetu Centralnego po raz ostatni.

Mimo że od tego czasu upłynęło tylko siedem lat, względnie osiem lat od plenum sierpniowego, na którym nastąpił raptowny zwrot w polityce partii, lata te stanowią cały zamknięty okres historyczny. Wierzę głęboko, że okres ten przeszedł w niepowrotną przeszłość.

Wiele zła było w tych latach. Spuścizna, jaką ten okres pozostawił po sobie partii, klasie robotniczej i narodowi jest w niektórych dziedzinach życia więcej niż zatrważająca.

Dwa i pół miesiąca temu, VII Plenum Komitetu Centralnego oceniło dodatnie i ujemne strony ubiegłego okresu, nakreśliło wytyczne działania na przyszłość. Mimo swych chęci nie mogłem wówczas być na nim obecny.

Wielu z Was mówiło na tym plenum i o mnie, rozważało możliwość i potrzebę mego powrotu do pracy partyjnej. Zostało to uzależnione od mego ustosunkowania się do podjętych na tym plenum uchwał. Uważam przeto za swój obowiązek powiedzieć Wam jaki jest mój pogląd na te uchwały, jak widzę dzisiejszą rzeczywistość i jak według mego zdania należy kształtować przyszłość.

Do uchwał VII plenum mam pewne zastrzeżenia. Dotyczą one oceny przeszłości oraz polityki partii w zakresie rolnictwa.

Poza tym uważam te uchwały za słuszne, traktuję je jako słuszny kierunek działania. Będą one wymagać w trakcie ich realizacji precyzowania i uzupełniania. Niektóre ważne dla dnia dzisiejszego problemy nie zostały w tych uchwałach ujęte. Jedne można rozwiązywać już dzisiaj, gdyż do tego dojrzały, z innymi trzeba zaczekać, aż dojrzeją w myślach i w warunkach. Za sprawę najważniejszą należy uważać nie to, że przyjęło się uchwały i że wyraża się na nie zgodę — lecz to, aby przyjęte uchwały zostały wprowadzone w życie.

Zastrzeżenia moje do uchwał VII plenum w zakresie oceny przeszłości obejmują sprawy gospodarcze i polityczne. Zastrzeżenia te dotyczą tak meritum oceny, jak i wynikłej z tej oceny odpowiedzialności ludzi za popełnione błędy i wypaczenia.

BILANS PLANU 6-LETNIEGO

Uchwały VII plenum mówią o osiągnięciach i błędach planu 6-letniego.

Jako najważniejszy rezultat sześciolatki, który zasłonić ma wszystko inne, uchwały przytaczają szerokie rozbudowanie w tym czasie mocy produkcyjnej naszego przemysłu, a zwłaszcza przemysłu ciężkiego.

Daleki jestem od pomniejszania jakiegokolwiek osiągnięcia naszego kraju. Nas wszystkich, podobnie jak cały naród, cieszy zwiększenie i pomnażanie produkcji naszego przemysłu. Nie mam podstaw do kwestionowania podanych wskaźników wzrostu produkcji przemysłowej. Przyjmuję za odpowiadające rzeczywistości. Są jednak pewne „ale", które zmuszają do rewizji oceny naszych osiągnięć gospodarczych w minionej sześciolatce.

Przypatrzmy się osiągnięciom sześciolatki w górnictwie węglowym.

W 1949 roku, a więc w ostatnim roku planu 3-letniego wydobycie węgla wyniosło ponad 74 miliony ton. W 1955 roku, a więc w ostatnim roku sześciolatki wydobyto 94,5 miliona ton węgla. Z cyfr wynika, że wydobycie wzrosło o przeszło 20 milionów ton, co rzeczywiście należałby uznać za poważne osiągnięcie, gdyby ten wzrost był zwiększeniem mocy produkcyjnej górnictwa.

Tymczasem, jak wynika z danych statystycznych górnicy przepracowali w 1955 roku 92.634 tysięcy godzin nadliczbowych, co stanowi 15.5 procent ogólnej ilości godzin przepracowanych w tym czasie. W przeliczeniu na węgiel wynosi to około 14.6 milionów ton węgla, który wydobyto poza normatywnym czasem pracy.

Spójrzmy dalej, jak kształtowała się w tym czasie wydajność pracy w górnictwie. W 1949 roku wydobycie węgla na roboczodniówkę całej załogi wynosiło 1.328 kg na 1 zatrudnionego. W 1955 roku spadło do 1.163 kg. to jest o 12,4 proc. Jeśli porównamy wydobycie przeliczone tylko na załogę zatrudnioną na dole, to spadek wydobycia w tym czasie wynosi 7,7 proc. na roboczodniówkę. *W stosunku zaś do roku 1938, który wprawdzie z różnych przyczyn nie może być miernikiem porównawczym, lecz ilustruje dzisiejszy stan kopalń węgla — wydobycie na roboczodniówkę całej załogi spadło w 1955 roku o 36 procent.*

Z przytoczonych danych wynika, że górnictwo węglowe nie ma nie tylko osiągnięć w planie sześcioletnim, lecz nawet zostało cofnięte wstecz w porównaniu z rokiem 1949.

Politykę gospodarczą w stosunku do górnictwa cechowała jakaś karygodna bezmyślność. Wprowadzono jako system pracę w niedzielę, co musiało rujnować zdrowie i siły górników, a zarazem trudniało utrzymywanie urządzeń kopalnianych w należytym stanie. *Systemem stało się zatrudnianie w części kopalń żołnierzy i więźniów.* Nie ustabilizowano załogi górniczej, która zmienia się co roku w olbrzymim odsetku.

Taka polityka musiała doprowadzić do zagrożenia planu wydobycia węgla, do takiego stanu, w jakim dzisiaj znajdują się kopalnie.

Weźmy przykład drugi. *Kosztem wielkich nakładów inwestycyjnych zbudowaliśmy fabrykę samochodów osobowych na Żeraniu. Powstał nowy zakład produkcyjny, który przy niewspółmiernie wysokich kosztach produkcji wypuszcza nikłe ilości samochodów starego typu,* pożerających dużo paliwa, takich, jakich chyba dzisiaj nikt już na świecie nie produkuje.

Czy zbudowanie takich zakładów pracy można nazwać osiągnięciem, zwiększeniem mocy produkcyjnej naszego przemysłu? Jakie korzyści osiąga z tego gospodarka narodowa?

Ogólnie oceniając, po ukończeniu planu sześcioletniego, który według założeń miał podnieść wysoko poziom życiowy klasy robotniczej i całego narodu znaleźliśmy się dzisiaj w pierwszym roku nowego planu 5-letniego w obliczu olbrzymich trudności gospodarczych, które z dnia na dzień ciągle narastają.

Na rozbudowę przemysłu zaciągnęliśmy poważne kredyty inwestycyjne, a kiedy nadeszły terminy spłat pierwszych rat znaleźliśmy się w położeniu niewypłacalnego bankruta. Trzeba było zwracać się do wierzycieli o moratorium. Kierownicy naszej gospodarki narodowej nie potrafili widocznie pojąć tego prostego faktu, że tak należy gospodarzyć kredytami, to znaczy tak je inwestować, aby w ustalonych terminach spłacać je wierzycielom, wytwo-

rzoną przy pomocy tych kredytów produkcją. *Tymczasem poważna część tych kredytów w postaci maszyn i urządzeń nie znalazła dotychczas zastosowania w produkcji i przez długie lata zastosowania takiego nie znajdzie*, a część w ogóle należy uważać za bezpowrotnie przepadłą. Po dziś dzień nadchodzą jeszcze zamówione maszyny, czy urządzenia na obiekty dawno wykreślone z planów gospodarczych.

Jakie są rezultaty planu 6-letniego, jakie jest nasze dzisiejsze położenie i jakie są możliwości startowania w przyszłość — dobitnie *świadczy ujemny bilans płatniczy w naszych obrotach zewnętrznych.*

Saldo tego bilansu w planie 5-letnim zamyka się poważnym deficytem, mimo udzielonego nam moratorium i odłożenia do następnej pięciolatki spłaty połowy należności, przypadającej na obecną 5-latkę. W tej sytuacji zawisł ciężki znak zapytania nad realnością dopiero co opracowanego planu pięcioletniego.

Znane jest nam niebezpieczeństwo braku pokrycia towarowego na rynku wewnętrznym w stosunku do ilości środków pieniężnych.

Czy o tym wszystkim mówią uchwały VII plenum? Nie mówią. Na pewno nie to jest najważniejsze, iż uchwały łagodzą ocenę przeszłości. Istotne jest to, że dokładna analiza gospodarcza jest nie zbędna do prawidłowego opracowania planów na przyszłość. Takich faktów jak podane uprzednio w żaden sposób nie da się przemilczeć. Trzeba bowiem jasno powiedzieć sobie, że za złą politykę gospodarczą musi płacić cały naród, a w pierwszym rzędzie musi zapłacić klasa robotnicza.

A Komitet Centralny partii nie zdobył się na to, aby przynajmniej wyciągnąć konsekwencje partyjne w stosunku do ludzi, którzy ponoszą odpowiedzialność za ten stan rzeczy.

UJEMNY BILANS POLITYKI ROLNEJ

W rolniczym dziale gospodarki narodowej, którego ujęcie na VII plenum budzi u mnie zastrzeżenia, znajdujemy również zjawiska, nad którymi każdy odpowiedzialny człowiek musi się głębiej zastanowić i wyciągnąć z tych zjawisk odpowiednie wnioski.

Począwszy od 1949 roku, to jest w ubiegłej 6-latce partia rozpoczęła akcję uspółdzielczenia produkcji rolnej. Powstało w tym okresie około 10 tysięcy spółdzielni produkcyjnych zrzeszających około 6 procent gospodarstw chłopskich. Warto dzisiaj, po sześcioletnim doświadczeniu przyjrzeć się bliżej temu, jakie są skutki gospodarcze polityki rolnej partii za okres ubiegły.

W naszych warunkach, podobnie jak w warunkach każdego kraju, który nie rozporządza nadmiarem ziemi, politykę rolną winno cechować uparte dążenie do intensyfikacji produkcji rolnej. Polska może wyżywić swoją ludność własnymi zasobami tylko przez podnoszenie plonów, przez zwiększanie produkcji rolnej z 1 ha ziemi. Z tym się każdy zgadza przynajmniej w słowach. W praktyce jednak stosuje się metody, które przynoszą inne rezultaty.

Spójrzmy, jaka jest wartość produktu globalnego obliczona w cenach niezmiennych z 1 ha ziemi we wszystkich sektorach naszej gospodarki rolnej to jest w gospodarce indywidualnej, spółdzielniach produkcyjnych i państwowych gospodarstwach rolnych, podległych Ministerstwu PGR.

Wszystkie przytoczone dane dotyczą 1955 roku. We władaniu gospodarstw indywidualnych znajdowało się 78,8 proc. użytków rolnych, spół-

dzielnie dzielące dochód posiadały 8,6 proc., a PGR-y — 12,6 proc. ogólnego areału użytków rolnych tych trzech typów gospodarstw. Wytworzony przez te gospodarstwa produkt globalny przyjęty za 100 dzieli się między innymi następująco: na gospodarstwa indywidualne przypada 83,9 proc., na spółdzielnie produkcyjne wraz z gospodarką przyzagrodową przypada 7,7 proc. i na PGR-y, łącznie z pomocniczymi gospodarstwami robotników rolnych 8,4 proc.

Przeliczając wartość produkcji globalnej na 1 ha użytków rolnych otrzymujemy następujący obraz: gospodarstwa indywidualne wyprodukowały za 621,1 zł., spółdzielnie za 517,3 zł., a PGR za 393,7 zł. w cenach niezmiennych. Różnica między gospodarstwami indywidualnymi, a spółdzielniami wynosi więc 16,7 proc., w stosunku zaś do PGR gospodarstwa indywidualne wyprodukowały więcej o 37,2 proc.

Jeżeli porównamy obciążenia gospodarstw indywidualnych i gospodarstw zrzeszonych w spółdzielniach produkcyjnych z tytułu dostaw obowiązkowych dla państwa i podatku gruntowego, wówczas stwierdzimy, że świadczenia te w przeliczeniu na jeden hektar są mniejsze ze spółdzielni niż z gospodarstw indywidualnych, zwłaszcza w podatku gruntowym. Różnica w tych obciążeniach na korzyść spółdzielni stanowi faktyczną dotację państwa na rzecz gospodarstw zrzeszonych.

Następną propozycję stanowią dopłaty do usług świadczonych spółdzielniom przez Państwowe Ośrodki Maszynowe. Dopłaty do usług POM wyniosły ogólnie w latach 1952-1955 około 1.700 milionów złotych. Trudno ustalić jaka część tej sumy przypada na dopłaty za usługi świadczone spółdzielniom, gdyż POMy pracowały także na rzecz innych instytucji. Ponadto spółdzielnie uiszczały część należności za usługi POM w zbożu, które państwo liczyło po cenach płaconych za obowiązkowe dostawy. Uwzględniając te okoliczności można przyjąć, na pewno bez szkody dla spółdzielni, że dopłaty państwa do usług POM, świadczonych spółdzielniom przekraczają za wymienione lata sumę 1 miliarda złotych. Dopłaty te będą dalej rosły, gdyż ceny płacone przez spółdzielnie za usługi POM zostały ostatnio obniżone.

Jest to więc następna forma dotacji skarbu państwa na rzecz spółdzielni produkcyjnych. Ale nie jest ona jeszcze ostatnia.

Jak można wnioskować ze zbiorówki sprawozdań rocznych spółdzielni produkcyjnych za rok 1955 przy ustalaniu dniówki obrachunkowej wychodzono z założenia, że niezbędne jest ustalenie pewnego minimum zarobku za dniówkę obrachunkową, niezależnie od wyników gospodarczych danej spółdzielni. Średnia wartość dniówki obrachunkowej we wszystkich spółdzielniach w kraju wynosi około 25 zł. przy przeliczeniu produktów przypadających na dniówkę obrachunkową według cen wolnorynkowych. Wahania między spółdzielniami w wysokości dniówki obrachunkowej są nieduże, zwłaszcza w części zapłaty uiszczanej w naturze.

Ponieważ nie wszystkie spółdzielnie mogły zapłacić przyjęte minimum za dniówkę obrachunkową, gdyż nie pozwalały na to wyniki ich produkcji, znaleziono stosunkowo proste rozwiązanie: — zawieszono terminy płatności lub części płatności z tytułu innych zobowiązań spółdzielni na rzecz państwa, przypadające na rok 1955. Płatności te przesunięto na następne lata. Środki, jakie winny być użyte na te płatności przeznaczono na dniówki obrachunkowe. W skali całego kraju suma ta wynosi ponad pół miliarda złotych. W ten sposób zwiększono sztucznie dochód spółdzielni produkcyjnych przeznaczony

do podziału, co umożliwiło podniesienie opłaty dniówki obrachunkowej o około 27 procent.

Niezależnie od tych form pomocy państwowej, spółdzielnie otrzymały od państwa wielkie sumy kredytowe. Długo i średnioterminowe zobowiązania spółdzielni na dzień 31 grudnia 1955 roku wynosiły ponad 1.600 milionów zł., a zobowiązania krótkoterminowe ponad 900 milionów złotych.

Można dodać jeszcze to, że spółdzielnie produkcyjne korzystały z uprzywilejowania również w nabywaniu nawozów sztucznych.

W roku gospodarczym 1954-1955 zużyto nawozów sztucznych w przeliczeniu na czysty składnik 58,6 kg na 1 ha ziemi ornej. W gospodarstwach indywidualnych przypadło w tym czasie tylko 28,1 kg na 1 ha.

Tak w krótkim zarysie przedstawia się gospodarczy obraz spółdzielni produkcyjnych. Smutny to obraz. Przy wielkich nakładach mniejsze wyniki produkcyjne i większe koszta produkcji. O politycznej stronie tego zagadnienia nie wspominam.

Z przytoczonych przyczyn wnoszę zastrzeżenia do uchwał VII plenum w części dotyczącej polityki rolnej partii wytkniętej na V plenum Komitetu Centralnego.

Patrząc na naszą rzeczywistość gospodarczą znajdujemy w niej i inne obrazy budzące głęboki niepokój.

Praktyka realizacji planu 6-letniego polegała na tym, że na określonych, wytypowanych odcinkach koncentrowano maksimum środków inwestycyjnych, bez uwzględniania potrzeb innych odcinków życia gospodarczego. A przecież gospodarka narodowa stanowi połączoną całość. Nie można zbytnio faworyzować jednych gałęzi kosztem drugich, gdyż utrata właściwych proporcji przynosi wielkie szkody całej gospodarce.

Niepokój szczególny musi budzić budownictwo mieszkaniowe na wsi. Jeśli w miastach i osiedlach, gdzie również sytuacja mieszkaniowa jest bardzo trudna, wkłada się wielki wysiłek w nowe budownictwo, remonty i konserwacje domów, to na wsi stan rzeczy jest wprost alarmujący.

W okresie sześciolatki zbudowano na wsi około 370 tysięcy izb z tego około 260 tysięcy izb w budownictwie indywidualnym za środki własne i około 110 tysięcy w budownictwie uspołecznionym. Budynków mieszkalnych na wsi mieliśmy w 1950 roku przeszło 2.690 tysięcy, a izb przeszło 7,5 miliona. Przy założeniu, że przy stanie budynków, w jakim znajdowały się one po wojnie, średnia użytkowania budynków wynosi 50 lat, *dla utrzymania ilości izb mieszkalnych, posiadanych w 1950 roku powinniśmy rokrocznie budować na wsi 150 tysięcy izb, czyli dla sześciolecia wynosi to 900 tysięcy izb. Tymczasem zbudowano tylko około 370 tysięcy, zatem należy przyjąć, że w okresie sześciolatki obróciło się w ruinę, lub znajduje się obecnie w stanie zrujnowanym około 600 tysięcy izb. Rzeczywisty stan może być nawet jeszcze gorszy,* gdyż w tym czasie remonty i konserwacja budynków nie mogły być należycie przeprowadzane wskutek braku materiałów budowlanych. Szczególnie na zachodnich i północnych ziemiach Polski ubytek izb szybko się zwiększa. Systematycznie z roku na rok narasta tam katastrofa mieszkaniowa.

Przy planowej gospodarce i rozumnym gospodarowaniu można czasowo ograniczać potrzeby gospodarcze w jednej dziedzinie życia i przerzucać zaoszczędzone w ten sposób środki na szybszy rozwój gospodarczy w drugiej dziedzinie życia. Planowanie winno być takie, aby po pewnym czasie szyb-

ko nadrobić luki powstałe na odcinku ograniczanym, co powinno być ułatwione wskutek zwiększonych zasobów i możliwości produkcyjnych powstałych na odcinku uprzednio uprzywilejowanym pod względem nakładów inwestycyjnych.

Nasza dotychczasowa praktyka planowania i gospodarowania doprowadziła do tego, że ani nie wypełniliśmy nakreślonych zadań na odcinku uprzywilejowanym w ustalonych terminach, zamroziliśmy i zmarnowaliśmy tam olbrzymie środki, ani też nie stworzyliśmy warunków na likwidowanie luk gospodarczych na odcinkach świadomie poprzednio ograniczanych. Tak na przykład uświadamiamy sobie potrzeby budownictwa mieszkaniowego, zdajemy sobie sprawę, że ani dnia dłużej nie powinniśmy ograniczać warunków na rozwój budownictwa na wsi, założyliśmy wzrost budownictwa w miastach, a jednocześnie stajemy wobec olbrzymich trudności zaspokojenia tych potrzeb, gdyż nie stworzyliśmy należytej bazy produkcyjnej materiałów budowlanych.

Gdzie krótko, tam się rwie. Jeśli chcemy dać, a musimy szybko dać wsi, to nie możemy tego zrobić bez uszczerbku przede wszystkim dla budownictwa przemysłowego. Cudów tutaj nikt nie zrobi.

Nielepiej przedstawia się również gospodarka komunalna i sanatoryjno-uzdrowiskowa. Nie mam dokładniejszego rozeznania tych gałęzi gospodarki narodowej. Urządzenia kanalizacyjne, wodociągowe, trakcja miejska, drogi, budynki — to wszystko co składa się na gospodarkę komunalną i sanatoryjno-uzdrowiskową musi zacząć coraz szerzej pękać wszędzie tam, gdzie się temu dość wcześnie nie zapobiegnie. A na to potrzebne są znowu środki i materiały.

Jeszcze raz pragnę podkreślić : daleki jestem od pomniejszania osiągnięć planu 6-letniego. Lecz ocena tych osiągnięć musi być oparta na stanie faktycznym to jest na osiągnięcia te winniśmy patrzeć z pozycji gospodarczej, z której wystartowaliśmy do planu 5-letniego. A startowi temu towarzyszą ponad miarę spiętrzone trudności.

Przed każdym z nas staje pytanie : — jak je rozwiązać, co robić i od czego zacząć, aby przezwyciężyć wszystkie trudności i maszerować naprzód po drodze coraz mniej wyboistej ? Wiele z dotychczasowej praktyki trzeba będzie zmienić, aby dopiąć tego celu.

NAUKI POZNANIA

Klucz do rozwiązania spiętrzonych trudności posiada w swoich rękach klasa robotnicza. Od jej postawy zależy wszystko. I dzień dzisiejszy i perspektywy na przyszłość. Postawa zaś klasy robotniczej zależy od polityki partii, wytyczanej przez jej kierownictwo. Od umiejętności kierowania państwem przez rząd i wszystkie naczelne organy państwa.

Klasa robotnicza dała ostatnio kierownictwu partii i rządowi bolesną nauczkę. Robotnicy Poznania chwytając za oręż strajku i wychodząc manifestacyjnie na ulice w czarny czwartek czerwcowy zawołali wielkim głosem: — Dosyć ! Tak dalej nie można ! Zawrócić z fałszywej drogi !

Klasa robotnicza nigdy nie chwytała się strajku, jako oręża walki o swoje prawa w sposób lekkomyślny. Tym bardziej teraz, w Polsce Ludowej, rządzonej w jej imieniu i w imieniu wszystkich ludzi pracy, nie zrobiła tego kroku lekkomyślnie. Najwidoczniej przebrała się miara. A miary nie można nigdy przebrać bezkarnie.

Robotnicy Poznania nie protestowali przeciwko Polsce Ludowej, przeciwko socjalizmowi, kiedy wyszli na ulice miasta. Protestowali oni przeciwko złu, jakie szeroko rozkrzewiło się w naszym ustroju społecznym i które ich również boleśnie dotknęło, przeciwko wypaczeniom podstawowym zasad socjalizmu, który jest ich ideą.

Klasa robotnicza związała z ideą socjalizmu wszystkie swoje nadzieje lepszego życia. Walczyła o socjalizm od kolebki swego świadomego bytu. A kiedy rozwój wydarzeń historycznych pozwolił przejąć ster władzy państwowej w Polsce przez jej przedstawicieli, klasa robotnicza oddała cały swój entuzjazm, wszystkie swoje siły dla realizacji idei socjalizmu.

Klasa robotnicza to nasza klasa, nasza niezłomna siła. Klasa robotnicza — to my. Bez niej, to znaczy bez zaufania klasy robotniczej każdy z nas nie mógłby faktycznie niczego więcej reprezentować poza własną osobą.

Wielką naiwnością polityczną była nieudolna próba przedstawienia bolesnej tragedii poznańskiej, jako dzieła agentów imperialistycznych i prowokatorów.

Agenci i prowokatorzy zawsze i wszędzie mogą być i działać. Ale nigdy i nigdzie nie mogą decydować o postawie klasy robotniczej. Gdyby agenci i prowokatorzy mogli natchnąć klasę robotniczą do działania, to wrogowie Polski Ludowej, wrogowie socjalizmu mieliby bardzo ułatwione zadania, mogliby łatwo osiągnąć swe cele. Rzecz w tym, że tak nie jest.

Był w Polsce czas, kiedy rzeczywiście siły wrogie socjalizmowi, często kierowane przez ośrodki zagraniczne wysługujące się nie polskim interesom, miały szeroko rozbudowaną podziemną sieć organizacyjną. Był czas, kiedy władza ludowa w Polsce była atakowana zbrojnie i kiedy broniła się zbrojnie. Kiedy ginęli setkami i tysiącami członkowie naszej partii, żołnierze i pracownicy państwowi. Był taki surowy czas, którego opary po dzień dzisiejszy nie znikły jeszcze całkowicie z uczuć i serc ludzkich. To było w pierwszych latach budowy Polski Ludowej. Ale w tych trudnych dla władzy ludowej czasach, żadna agentura i żadna organizacja podziemna, mimo dogodnych dla niej warunków, nie potrafiła i nie mogła dokonać wyłomu w szeregach klasy robotniczej, nie była zdolna do politycznego opanowania żadnego oddziału klasy robotniczej. Nie mogłaby bowiem klasa robotnicza być przodującą i najbardziej postępową częścią narodu, gdyby wsteczne siły potrafiły u niej znaleźć oparcie. Natchnieniem działania klasy robotniczej agenci, prowokatorzy i wstecznicy nigdy nie byli, nie są i nie będą.

Przyczyny tragedii poznańskiej i głębokiego niezadowolenia całej klasy robotniczej tkwią u nas, w kierownictwie partii, w rządzie. Materiał palny zbierał się całe lata. Sześcioletni plan gospodarczy reklamowany w przeszłości z wielkim rozmachem, jako nowy etap wysokiego wzrostu stopy życiowej zawiódł nadzieje szerokich mas pracujących. Żonglerka cyframi, która wykazała 27-procentową zwyżkę płac realnych w sześciolatce nie udała się. Rozdrażniła tylko bardziej ludzi. Trzeba było wycofać się z pozycji, zajętej przez kiepskich statystyków.

XX Zjazd KPZR stał się bodźcem do zwrotu w życiu politycznym kraju. Ożywczy, zdrowy prąd poruszył masy partyjne, klasę robotniczą, całe społeczeństwo. Ludzie zaczęli prostować plecy. Milczące, zniewolone umysły zaczęły otrząsać się z trującego czadu zakłamania, fałszu i dwulicowości. Drętwą mowę panoszącą się poprzednio na trybunach partyjnych i mówni-

cach publicznych oraz na łamach prasy zaczęło wypierać twórcze, żywe słowo. Niekiedy zabrzmiał i fałszywy ton. Lecz nie ten ton nadawał kierunek. Szeroką falą rozlała się krytyka przeszłości, krytyka gwałtów, wypaczeń i błędów, które nie ominęły żadnej dziedziny życia. Domagano się zewsząd przede wszystkim na zebraniach partyjnych i ogólnych w zakładach pracy, wyjaśnienia źródeł, z których wypływało zło, domagano się wyciągnięcia konsekwencji w stosunku do ludzi, ponoszących główną odpowiedzialność za wypaczenia w życiu gospodarczym i politycznym. Przede wszystkim ludzie pracy domagali się, aby przedstawiono im całą prawdę bez osłonek i niedomówień. Czekali na tę prawdę. Oczekiwali odpowiedzi na dziesiątki pytań, które postawili publicznie na zebraniach.

W zaistniałej po XX Zjeździe sytuacji, kiedy należało szybko i konsekwentnie działać, wyciągać wnioski z przeszłości, pójść z otwartą przyłbicą do mas, powiedzieć im całą prawdę o sytuacji gospodarczej, o przyczynach i źródłach wypaczeń w życiu politycznym — kierownictwo partii nie potrafiło szybko opracować linii konkretnego działania. Dowodem tego jest choćby kilkakrotne odraczanie terminu VII plenum.

Zarzucano mi kiedyś między innymi, że stanowisko, jakie zajmowałem w różnych sprawach wypływało jakoby z mojej niewiary w klasę robotniczą. To nieprawda. W rozum, rozsądek, ofiarność i rewolucyjną postawę klasy robotniczej nigdy nie straciłem wiary. W te walory klasy robotniczej wierzę i dzisiaj. *Jestem przekonany, że robotnicy poznańscy nie wystąpiliby do strajku, nie wyszliby demonstracyjnie na ulicę, nie znaleźliby się wśród nich i tacy, którzy chwycili za broń, nie polałaby się tam nasza, bratnia, robotnicza krew, gdyby partia to jest kierownictwo partii przyszło do nich z całą prawdą. Należało bez kunktatorstwa uznawać słuszne pretensje robotników, należało powiedzieć, co jest dzisiaj możliwe, a co niemożliwe do zrealizowania, należało powiedzieć prawdę w dniu wczorajszym i dzisiejszym. Przed prawdą uciec nie można.* Jeśli się ją skrywa, wypływa ona w groźnej postaci widma, które straszy, niepokoi, buntuje się i wścieka.

Kierownictwo partii ulękło się tego. Jedni obawiali się odpowiedzialności za skutki swej polityki, drudzy silniej czuli się związani z wygodnym fotelem, niż z klasą robotniczą, dzięki której ten fotel zajęli, inni wreszcie, i tych było najwięcej, obawiali się, czy klasa robotnicza potrafi zrozumieć najgłębszą istotę prawdy, której domaga się od swych przedstawicieli, czy pojmie właściwie, tak jak pojąć należy przyczyny i źródła błędów, wypaczeń i prowokacji, jakie miały miejsce. Zachwianie wiary w klasę robotniczą wystąpiło szeroko w centralnym i poza centralnym aparacie partyjnym.

MUSIMY POWIEDZIEĆ KLASIE ROBOTNICZEJ CAŁĄ PRAWDĘ

Rządzenie krajem wymaga, aby klasa robotnicza i masy pracujące darzyły kredytem zaufania swych przedstawicieli dzierżących ster władzy państwowej. Jest to moralna podstawa sprawowania władzy w imieniu mas pracujących. Kredyt zaufania może być bez przerwy przedłużany jedynie pod warunkiem wywiązywania się z zobowiązań zaciągniętych wobec kredytodawców. Utrata kredytu zaufania klasy robotniczej oznacza utratę moralnej podstawy sprawowania władzy.

Rządzić krajem można nawet w takich warunkach. Tylko rządy będą

wówczas złe. Muszą się bowiem opierać na biurokracji, na łamaniu praworządności, na przemocy. Istota dyktatury proletariatu, jako najszerszej demokracji dla klasy robotniczej i mas pracujących zostaje w takich warunkach pozbawiona swej treści.

Klasa robotnicza mogła określonym ludziom cofnąć swój kredyt zaufania. To jest normalne. Normalne też jest, gdy ludzie tacy schodzą ze swych stanowisk. Aby zmienić wszystkie złe cechy naszego życia, aby wyprowadzić naszą gospodarkę ze stanu w jakim się znalazła, nie wystarczy tylko zmienić tych czy innych ludzi. To jest nawet łatwe. Aby usunąć z naszego życia politycznego i gospodarczego wszystkie hamujące jego rozwój nawarstwienia narosłe przez lata, trzeba wiele zmienić w naszym systemie władzy ludowej, w systemie organizacyjnym naszego przemysłu, w metodach pracy aparatu państwowego i partyjnego. Trzeba, krótko mówiąc, wymienić wszystkie złe części z naszego modelu socjalizmu, zastąpić je lepszymi, udoskonalić ten model najlepszymi gotowymi wzorami i wnieść do niego własne doskonalsze konstrukcje. A to jest o wiele trudniejsze. Na to trzeba i czasu, i pracy, i odwagi idącej w parze z rozumem. Wytyczne tych zmian zawarte są częściowo w uchwałach VII plenum, częściowo dyskutujemy je dzisiaj i nieraz jeszcze dyskutować będziemy.

Co dzisiaj ogranicza nasze możliwości w tym zakresie? Przede wszystkim zniecierpliwienie klasy robotniczej, wypływające w głównej mierze z jej warunków bytowych. Te zaś związane są z naszą sytuacją gospodarczą, Z próżnego i Salomon nie naleje.

Wiele zakładów pracy nie pracuje normalnie i nie wykorzystuje w pełni swej zdolności wytwórczej. Przyczyna tkwi w trudnościach zaopatrzenia ich w dostatecznym stopniu w materiały i surowce. Te zaś musimy bądź importować, bądź rozbudować własną bazę zaopatrzeniową. To pierwsze jest ściśle związane z naszym eksportem, to drugie wymaga i czasu i środków. Tymczasem sprawa wygląda tak, że w wielu zakładach pracy nie wykorzystujemy w pełni ich zdolności produkcyjnych i siły roboczej zatrudnionych w nich robotników. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że stan załóg w niejednym zakładzie pracy przewyższa dzisiejsze jego potrzeby.

Wspomniałem już, że grozi nam brak pełnego pokrycia towarowego na rynku wewnętrznym, to jest sumie podwyżek zarobków nie przeciwstawiamy takiej samej masy towarów. I choćby zmienić cały rząd i całe kierownictwo partii, na rynku nic się nie zmieni na lepsze, a może się zmienić tylko na gorsze, jeżeli ta brakująca masa towarowa nie zostanie wyprodukowana. Są tylko dwie alternatywy dla zapobieżenia ruchowi cen: albo zwiększyć masę towarową do zdolności nabywczej społeczeństwa, albo zdolność nabywczą społeczeństwa przystosować do masy towarowej.

W tej sytuacji musimy powiedzieć klasie robotniczej twardą prawdę: — Nie stać nas teraz na żadne poważniejsze zwyżki płac, gdyż struna już została tak naciągnięta, że grozi jej pęknięcie. Każda dalsza podwyżka zarobków jest nierozerwalnie związana ze zwiększeniem produkcji i obniżką jej kosztów jednostkowych. Przyjemne to nie jest, ani dla nas, ani dla klasy robotniczej.

Kiedy będzie można wygospodarować dalsze środki na podniesienie stopy życiowej klasy robotniczej nie mógłbym w tej chwili nic konkretnego powiedzieć. Zależy to jednak przede wszystkim od dwóch czynników: po pierwsze — od usprawnienia zarządzania przemysłem i całą gospodarką narodową i po

drugie — od samych robotników to jest od zwiększenia wydajności pracy, od obniżenia kosztów produkcji.

PRZEMYSŁ I RZEMIOSŁO

Sprawa zmiany zarządzania przemysłem nosi charakter głęboko strukturalny. Chodzi tu właśnie o ulepszenie naszego modelu socjalizmu. Dyskutowane obecnie i przez robotników na zakładach pracy i przez różne organa partyjne i państwowe zagadnienie samorządu robotniczego sprowadza się głównie do tego, co mówiłem o produkcji i o stopie życiowej. Przestawić całą machinę gospodarczą na nowe tory bez dokładnego rozeznania sprawności działania nowego mechanizmu, który chcemy stworzyć jest rzeczą niebezpieczną. Każdy nowy mechanizm musi podlegać próbom, gdyż z reguły posiada różne usterki i braki. Żaden zakład pracy nie może wypuścić nowej maszyny bez zbudowania i wypróbowania prototypu tej maszyny. Należy z wielkim uznaniem powitać inicjatywę klasy robotniczej w sprawie usprawnienia zarządzania przemysłem, w sprawie ich udziału w zarządzaniu ich zakładem pracy. Dowodzi to wielkiej i słusznej wiary klasy robotniczej w socjalizm. Trzeba usilnie pracować kierowniczym organom gospodarczym, politycznym i państwowym, aby pomóc inicjatywie robotniczej, aby tam gdzie można, wyprowadzić pewne uogólnienia proponowanych form. Ale z praktyką na szerszą skalę trzeba się spieszyć powoli.

Do eksperymentowania w tym zakresie najlepsze warunki posiada cały przemysł surowcowy i te zakłady pracy, które zaczynają i kończą u siebie cały proces produkcji, względnie i te fabryki, które nie natrafiają na trudności zaopatrzeniowe przy kooperacji z innymi fabrykami. Z rozpoczęciem eksperymentów w tych zakładach nie należy zwlekać.

Zdaniem moim należy wszechstronnie zbadać i zdecydować czy na przykład w górnictwie węglowym można zastosować większe bodźce materialne ściśle związane ze zwiększeniem wydobycia węgla. W grubych zarysach forma tego zainteresowania mogłaby przedstawiać się na przykład następująco:

Każda kopalnia posiada swój okresowy plan wydobycia węgla opracowany z uwzględnieniem konkretnych warunków danej kopalni i oparty na obecnej wydajności pracy. Założenia planowe poszczególnych kopalń nie powinny być niższe od faktycznego wydobycia węgla w ostatnim roku, jeżeli nie zachodzą jakieś istotne zmiany w warunkach pracy. Plan taki administracje kopalń winny opracować przy współudziale przedstawicieli załogi robotniczej.

Mając taką podstawę wyjściową, to jest plan okresowy na przykład roczny, stworzyć dla robotników bodźce materialne wypływające z przekroczenia planu. Bodźce te polegałyby na tym, aby każda wydobyta ponad plan tona węgla została odpowiednio podzielona między robotnikami danej kopalni i państwem, jako administratorem kopalni.

Można by przeznaczyć dla załogi określony procent całej nadwyżki wydobytego ponad plan węgla, odpowiednio dzieląc tę część między poszczególne kategorie robotników kopalnianych. O tym, jaki powinien być podział ich części najlepiej mogą zdecydować sami robotnicy. Przeznaczona do podziału między załogę kopalni nadwyżka wydobytego ponad plan węgla byłaby przypisywana każdemu robotnikowi mającemu prawo do tego deputatu, czyli o formach skonsumowania go decydowałby każdy posiadacz depu-

tatu. Można na przykład założyć, że określona ilość robotników chciałaby sprzedać ten swój deputat za granicą i nabyć za to odpowiednie towary. W takim przypadku należałoby im to szybko załatwić i dostarczyć żądane towary po cenach nabycia bez cła, a tylko po doliczeniu koniecznych kosztów związanych z nabyciem, transportem i rozprowadzeniem tych towarów. Mogłaby się znaleźć część robotników, którzy chcieliby za ten deputat uzyskać materiały budowlane dla postawienia sobie domków. Taką inicjatywę można by tylko powitać i ustalić dogodne relacje zamienne węgla na materiały budowlane.

Sposób, w jaki każdy posiadacz deputatu użyłby go na swoje potrzeby byłby całkowicie od niego uzależniony. Z tym nie byłoby większych kłopotów. Cała sprawa sprowadza się do tego, czy są realne możliwości stworzenia takich materialnych bodźców. Można by zagwarantować górnikom, że system taki trwałby do końca pięciolatki.

Gdyby przy pomocy takiego systemu doprowadzić podniesienie wydajności pracy do poziomu z roku 1949 to przy przyznaniu robotnikom na deputat określonego procentu ponadplanowego wydobycia węgla, który by stwarzał na przykład średnio 15 ton węgla rocznie na głowę załogi górniczej, to licząc węgiel po cenie eksportowej stanowiłoby to około 300 dolarów, a więc sumę godną zainteresowania każdego robotnika.

Myślę, że przy rozważaniu różnych form bodźców materialnych, czyli sposobów podniesienia stopy życiowej przez zwiększenie produkcji, ta ogólnie zarysowana forma warta jest głębszego rozważenia przez górników, przez ich Związek Zawodowy i przez administracyjne kierownictwo kopalń. W każdym razie warto wypróbować funkcjonowanie takiego systemu w kilku kopalniach przez jakiś okres czasu. Jeśli zda egzamin wówczas rozciągnąć go szeroko w górnictwie.

Na przytoczonym przykładzie, który najlepiej pasuje dla górnictwa, ilustruję podstawową myśl, jaka musi tkwić w idei samorządu robotniczego i współdziałaniu w zarządzaniu zakładem pracy. Produkować więcej, taniej i lepiej — oto droga jaka prowadzi do podniesienia stopy życiowej klasy robotniczej i całego narodu. Na takim fundamencie musi być oparty samorząd robotniczy, w tym tkwi źródło wszelkiego rodzaju bodźców materialnych możliwych do zastosowania w obecnej sytuacji gospodarczej.

Z tych trzech elementów: więcej, taniej, lepiej — w konkretnych warunkach danego zakładu pracy może wystarczyć tylko jeden z nich, aby zwiększyć zarobki załogi. Ten jeden jest uniwersalny, obowiązywać musi powszechnie. Chodzi o zniżenie kosztów produkcji, czyli produkowanie taniej. Jeżeli nie ma na jakichś zakładach warunków, aby produkować więcej, lub też jakość produkcji jest dobra — to wszędzie bodaj jest możliwe produkować taniej. Obniżkę kosztów produkcji można osiągnąć na drodze oszczędności i pełnego wykorzystania surowca i materiałów, udoskonaleń technicznych, dobrej organizacji pracy, likwidacji przerostów osobowych, pełnego wykorzystania siły roboczej itd., itp.

Samorząd robotniczy, dążąc do obniżenia kosztów produkcji, nie może być obojętny na wszelkiego rodzaju przerosty osobowe. Jeśli jakąś pracę może wykonać jeden człowiek, a zatrudnionych przy niej jest dwóch ludzi, można to w pewnym sensie przyrównać do posadzenia dwu osób przy obiedzie, którym nasycić się może tylko jedna. Obowiązkiem administracji zakładu pracy i kierownictwa naczelnego przemysłu jest zapewnienie załodze

pełnego zaopatrzenia niezbędnego dla normalnego toku produkcji, czyli pełnego wykorzystania siły roboczej każdego zatrudnionego w ramach uruchomionej, lub istniejącej mocy przetwórczej zakładu pracy. Taki musi być kierunek główny, zasadniczy. Kiedy jednak na przeszkodzie temu stają gdzieś trudności nie do zwalczenia i taki stan rzeczy przeciąga się przez miesiące, a nawet lata całe, trzeba ustalić, jaką nadwyżką siły roboczej dysponuje dany zakład pracy, aby zbędnych w tym zakładzie ludzi zatrudnić według ich kwalifikacji ewentualnie w innym zakładzie pracy. Można też zatrudniać zbędną w głównym procesie produkcji siłę roboczą przy produkcji pomocniczej, ubocznej, która w sprzyjających warunkach da się zorganizować.

Oddzielny i jeszcze bardziej ostry problem — to likwidacja tak zwanych przerostów administracyjnych. Mówi się i pisze o tym od lat, a sprawa nie rusza ani na krok naprzód. Wątpię nawet czy wiemy, jak wielkie są te przerosty przy dzisiejszym systemie zarządzania przemysłem i całym życiem gospodarczym, oraz administracyjnym systemie aparatu państwowego.

Od rozwiązania problemu likwidacji przerostów administracyjnych w żaden sposób nie da się uciec. Im dłużej będziemy odwlekać, tym szybciej sytuacja gospodarcza może nas złapać za gardło i zmusi, do cięć natychmiastowych, które poprzednio mogły być rozłoożne w czasie. Trudno wówczas będzie przygotować ludzi do pracy w nowych zawodach.

Dążenia do oparcia naszego życia gospodarczego na lepszych niż dotychczas fundamentach, dążenia do tego, aby produkować więcej, taniej i lepiej nie można ograniczać do sprawy samorządu robotniczego. To jest tylko pewien fragment przebudowy, fragment organizacyjny i polityczny.

I samorządy robotnicze i administracja zakładów przy rozwiązywaniu problemu obniżenia kosztów produkcji muszą przede wszystkim wiedzieć, jakie są ich rzeczywiste koszta produkcji. Sprawa ta ma kapitalne znaczenie dla całego życia gospodarczego. Trudności w ustalaniu, a więc i w pewnym sensie w obniżaniu kosztów produkcji tkwią w cenach, które państwo ustala za wytwarzane przez podległe mu zakłady produkty i towary.

Sprawa ta jest bardzo złożona. To temat sam dla siebie. Jej istota sprowadza się do błędnego poglądu jakoby w warunkach produkcji socjalistycznej nie działało prawo wartości. Stąd też w obrotach towarowych zamykanych w ramach przedsiębiorstw państwowych ceny tych towarów ustalane są w sposób dowolny, nawet poniżej kosztów własnych.

Taka polityka gospodarcza jest fałszywa. Każdy produkt czy towar przedstawia sobą określoną ilość pracy społecznej wydatkowanej na jego wytworzenie. Im więcej mieści w sobie tej pracy, tym jest droższy. By móc wiedzieć ile się faktycznie wydatkowało, czy oszczędziło w procesie produkcji, trzeba wiedzieć ile faktycznie kosztuje każdy pojedyńczy element produkcji, jak surowiec, maszyna, energia elektryczna, siła robocza itp. składniki produkcyjne. Przy dowolnym ustalaniu cen tego dokładnie wiedzieć nie można. Oszczędzać należałoby przede wszystkim na tym, co jest najdroższe to jest na co zostałoby wydatkowane najwięcej społecznej siły roboczej. Oszczędność na tym, co kosztuje taniej, chociaż jest zawsze wskazana, nie może być duża.

Mówiąc krótko — istniejący dotychczas system cen w gospodarce państwowej należy zmienić i przystosować ceny do wartości. Zmiana ta usunie wiele anomalii w naszym życiu gospodarczym. Co jednak jest najważniejsze

— to pozwoli ona każdemu zakładowi pracy ustalić rzeczywiste koszty swojej produkcji.

W naszym socjalistycznym systemie gospodarczym każdy zakład produkcyjny powinien być oparty na faktycznym, a nie jak dotychczas w dużej mierze, na fikcyjnym rozrachunku gospodarczym. Nasza uspołeczniona gospodarka przy zachowaniu potrzeb centralnego planowania, winna uwzględniać potrzebę samodzielności przedsiębiorstw socjalistycznych. Nie może być tak, żeby wszystkie zakłady produkcyjne stanowiły niejako jedno przedsiębiorstwo w kraju, na czele którego stoi państwo i w dowolny sposób nim zarządza.

Zmiana cen w obrocie między państwowymi przedsiębiorstwami, czyli doprowadzenie do tego, aby w każdym przedsiębiorstwie można było ustalić faktyczne koszty jego produkcji, ulepszy nasz dotychczasowy model socjalizmu. Realizacja tego zadania jest skomplikowana z uwagi na ceny towarów konsumpcyjnych. Nie wolno tu dopuścić do zaburzeń, które zmieniałyby wskaźnik realnej wartości płac.

Występujący w ostrej formie niedostatek materiałów budowlanych może być częściowo rozwiązany na drodze produkcji prywatnej, bądź zespołowej w formie zrzeszeń chłopskich, bądź indywidualnej. Główną trudnością rozwinięcia inicjatywy prywatnej w dziedzinie produkcji materiałów budowlanych jest dostawa węgla, a również cementu. Ale nie jest to jedyna trudność. Wiemy, że istnieją również trudności natury administracyjnej. Usunięcie tych ostatnich, *stworzenie najbardziej sprzyjających warunków dla każdego, kto chce i może rozwijać produkcje materiałów budowlanych, takich przede wszystkim, jak cegła, dachówka i wapno winno znaleźć wyraz w polityce partii i rządu.*

Wytknięta przez VII plenum linia rozwoju rzemiosła znaleźć musi pokrycie w praktyce. I tutaj najtrudniejszą dla państwa kwestią jest zaopatrzenie materiałowe. Są jednak i inne przyczyny hamujące rozwój rzemiosła. Do nich należy w pierwszym rzędzie polityka podatkowa, czyli tak zwane domiary. Uważam, że przy utrzymywaniu systemu domiarów nigdy nie stworzymy warunków dla rozwoju rzemiosła. Domiarem zawsze można zrujnować każdy warsztat pracy. Należy ustalić rozsądny sposób opodatkowania, który pozwalałby rzemieślnikowi pracować bez obawy, to znaczy należy zlikwidować system domiarów, jako szkodliwy.

Trudna do rozwiązania jest sprawa lokali na warsztaty rzemieślnicze, lecz nie wszędzie. Na zachodnich i północnych terenach Polski można znaleźć podniszczone pomieszczenia, które po remoncie mogą być odpowiednie do założenia warsztatu. Koszty wyłożone przez rzemieślnika na remont takiego obiektu należałoby zaliczyć w całości na podatek, czyli zwolnić taki warsztat od podatku na odpowiedni okres. Decyzje w tych sprawach należy oddać w ręce Rad Narodowych. W ogóle na tych terenach należy stosować politykę szerokiego uprzywilejowania produkcyjnej inicjatywy prywatnej w mieście i na wsi.

POLITYKA ROLNA

Polityka rolna wymaga także pewnych korekt. Jeśli chodzi o spółdzielnie produkcyjne, to zasadniczo zdrowym spółdzielniom trzeba pomagać w formie zwrotnych kredytów inwestycyjnych, a znieść wszelkiego rodzaju dotacje państwowe. Spółdzielniom nie rokującym rozwoju i przynoszącym

tylko straty gospodarcze kredytów udzielać nie należy. Przed członkami takich spółdzielni należy raczej postawić do ich decyzji sprawę rozwiązania spółdzielni. W takim przypadku powstaje problem spłaty kredytów państwowych udzielonych w przeszłości spółdzielniom, czyli członkom spółdzielni. Jestem zdania, że tak, jak nie wolno lekkomyślnie udzielać kredytów, tak samo nie wolno darować pieniędzy państwowych wziętych w formie kredytów.

Dla spółdzielczości produkcyjnej na wsi widzę perspektywę rozwoju tylko pod następującymi warunkami :

1. Wstępowanie do spółdzielni produkcyjnych jest dobrowolne. Oznacza to, że wyklucza się nie tylko groźbę, czy przymus psychiczny, lecz także przymus w postaci ekonomicznej. Wymiar podatków i dostaw obowiązkowych może być również narzędziem przymusu.

2. Członkowie spółdzielni rządzą się sami. Spółdzielnia — to nic innego jak samorządne rolnicze przedsiębiorstwo produkcyjne. Zarząd wybiera się według niczym nie skrępowanej woli członków. Swoimi zasobami winna ona gospodarzyć również według uznania członków.

3. Spółdzielnie mają prawo nabywania za środki własne, lub w określonych warunkach, za kredyty państwowe wszystkich maszyn, jakie im są potrzebne do produkcji rolniczej, lub do pomocniczych zakładów pracy istniejących przy spółdzielniach.

POM-y należy oprzeć na zasadach pełnej opłacalności, jako warsztaty naprawcze. Mogą one posiadać określoną ilość dużych maszyn rolniczych, zarezerwowanych do pomocy spółdzielniom i gospodarstwom indywidualnym.

4. Państwo udziela spółdzielniom niezbędnej pomocy kredytowej na cele inwestycyjne, udziela im pierwszeństwa przy zawieraniu umów kontrakcyjnych na dostawy najbardziej opłacalnych surowców rolniczych, zapewnia im dostawę nawozów sztucznych w pierwszej kolejności i stosuje inne podobne formy pomocy.

Jeśli na skutek zniesienia różnych form dotacji rozwój spółdzielczości produkcyjnej zostanie być może zahamowany, to nic na tym nie stracimy ani gospodarczo, ani politycznie. Możemy tylko zyskać i aktualnie i w perspektywie. Przez zniesienie dotacji usuwa się niezdrowy, nieekonomiczny, nietrwały i grożący stale zawaleniem fundament, na którym oparto spółdzielczość produkcyjną. Zamiast rozpraszać siły i środki na budowanie nowych spółdzielni, opierających swój żywot na dotacjach państwowych należy je skoncentrować i użyć do podniesienia na wyższy poziom gospodarczy spółdzielni już zorganizowanych. Liczebny rozwój spółdzielczości powinien się odbywać przede wszystkim przez rozbudowę spółdzielni w tych gromadach, w których już został założone.

Jeśli dotychczasowe wyniki akcji uspółdzielczenia wsi są takie, jakie są, przyczyn tego nie należy szukać w samej idei spółdzielczości, która jest dobra, słuszna i sprawiedliwa, a która przez złą politykę, przez złe metody i przez ludzi pozbawionych zdrowej myśli gospodarczej została wypaczona.

Spółdzielczość produkcyjna na wsi będzie dobra wówczas, kiedy szeroko zostanie obudzone wśród chłopów głęboko ludzkie poczucie wspólnoty wszystkich pracujących. Najszerszym wyrazem tej wspólnoty, którą nazwać można solidarnością jest wspólna praca przy wspólnym warsztacie pracy, jakim dla chłopów jest ziemia. Wspólna praca uspołecznia człowieka najgłębiej, budzi w nim poczucie świadomości, że człowiek nie żyje tylko sam dla siebie,

lecz także dla drugich ludzi. Wskazanie moralne, że człowiek człowiekowi nie może być wilkiem wykształca się najgłębiej, nabiera najpiękniejszych rumieńców życia jedynie wśród ludzi dobrowolnie zrzeszonych przy wspólnym warsztacie pracy.

Jeżeli klasę robotniczą nazywamy przodującą, najbardziej postępową częścią narodu, to przecież nie dlatego, że ktoś sobie wymyślił takie sformułowanie, że to jest slogan propagandowy służący wąskopolitycznym celom partyjnym. Przodującą pozycję klasy robotniczej ustala między innymi jej wspólnota produkcyjna, która ukształtowała i dalej kształtuje robotnika jako jednostkę najbardziej uspołecznioną, a więc i najbardziej postępową.

Jeżeli uważamy, że spółdzielczość produkcyjna na wsi jest potrzebna, gdyż stanowi wyższą socjalistyczną formę produkcji, to nie dlatego, że ktoś sobie wymyślił takie doktrynalne, oderwane od życia zasady, lecz dlatego, że chcemy obudzić wśród chłopów pracujących poczucie głębokiej społecznej wspólnoty produkcyjnej, chcemy zlikwidować wszelkie formy wyzysku człowieka przez człowieka, chcemy aby ich ciężkiej i znojnej pracy ulżyła w miarę możliwości maszyna, chcemy, aby przy możliwie najmniejszym wysiłku pracy jednostki zrzeszonej w chłopskiej wspólnocie produkcyjnej, produkowała ona możliwie największy produkt globalny, aby podnieść możliwie najwyżej plony i zbiory z każdego hektara ziemi. Będzie się wówczas lepiej żyć i chłopom i robotnikom i całemu narodowi. Rola społeczna klasy chłopskiej ulegać będzie wówczas zmianie. Zrzeszeni w różne formy wspólnoty produkcyjnej pracujący chłopi staną się tak samo szermierzami postępu społecznego jak pracujący wspólnie w zakładach pracy robotnicy.

Ta wielka idea społeczna przebudowy stosunków produkcyjnych na wsi wymaga przy jej realizacji nie tylko pomocy państwowej. Wymaga ona również wielkiej pracy uświadamiającej i wyjaśniającej znaczenie spółdzielczości produkcyjnej. Do budowy spółdzielni produkcyjnych potrzebna jest twórcza, postępowa myśl, na którą żadna partia i żaden człowiek nie może posiadać monopolu. W dziedzinie podnoszenia spółdzielni produkcyjnych na wyższy poziom, w dziedzinie szukania i stosowania najlepszych form spółdzielczości jest szerokie pole do rywalizacji między naszą partią a Stronnictwem Ludowym, jak również między wszystkimi, którzy stoją na gruncie umacniania ustroju socjalistycznego, ustroju sprawiedliwości społecznej. Dlaczegóżby na przykład postępowy ruch katolicki nie mógł współzawodniczyć z nami i przy szukaniu form i przy ich realizacji w zakresie spółdzielczości produkcyjnej? *Uboga jest myśl, że socjalizm mogą budować tylko komuniści, tylko ludzie o materialistycznych poglądach społecznych.*

Droga do szerokiego uspółdzielczenia wsi polskiej będzie długa. Ilościowego planowania rozwoju spółdzielczości produkcyjnej nie można z góry ustalać, gdyż przy zasadzie dobrowolności wstępowania do spółdzielni równałoby się to planowaniu wzrostu świadomości ludzkiej. A ta planować się nie da. Świadomość szerokich mas kształtuje ich doświadczenie życiowe, kształtują fakty. W naszej dzisiejszej spółdzielczości niemało jest faktów, które odpychają masy chłopskie od spółdzielczości. Fakty takie muszą ulec likwidacji.

Praktyka lat poprzednich była taka, że bezmyślnie niszczono wszelkie formy pracy zespołowej stosowane od dawna przez chłopów, zabierając im przy tym maszyny, które były ich kolektywną własnością. Praktyka ta wychodziła z założenia, że socjalizm na wsi można budować tylko na

bazie biedy i upadku gospodarstw chłopskich. Dogmatyczne umysły nie były zdolnej pojąć, że w ustrojowych warunkach demokracji ludowej wszelkie formy spółdzielczości prowadzą do socjalizmu na wsi, że przez te formy wzrasta poczucie wspólnoty produkcyjnej, że podnoszą one i produkcję i stopę życiową ludności, *że socjalizm na wsi może się najbujniej rozwijać właśnie na bazie dobrobytu pracującego chłopstwa. Nie ma nic słuszniejszego jak rozwijanie takich form dobrowolnych zrzeszeń chłopskich.* Należy ułatwić ich powstawanie między innymi przez likwidację Gminnych Ośrodków Maszynowych i przekazanie znajdujących się tam maszyn zespołom chłopskim na warunkach pełnej, lecz dogodnej dla nich odpłatności.

Różnorodne formy wspólnoty produkcyjnej to nasza polska droga do socjalizmu na wsi. Formy te będą kształtować nasz model socjalizmu. Jego dotychczasowe cechy konstrukcyjne już zmieniamy, decydując się na zmianę zadań Państwowych Ośrodków Maszynowych i przez wskazanie spółdzielniom, że mogą one nabywać na własność wszystkie potrzebne do ich produkcji maszyny. Sprawa ta będzie tym szybciej realizowana, im więcej będzie wniosków spółdzielni, że pragną one takie maszyny nabyć.

To samo dotyczy GOM-ów. Zostaną one wtedy zlikwidowane, kiedy chłopi utworzą zespoły i zgłoszą chęć nabycia maszyn gomowskich.

Odzielną kartę klęski bezmyślnej polityki rolnej ubiegłego okresu stanowi gospodarcza ruina wielkiej ilości gospodarstw chłopskich, zaliczonych do kategorii gospodarstw kułackich. Z równą bezmyślnością mówi się jeszcze i dzisiaj, że dodatnim wynikiem stosowanej w przeszłości polityki rolnej jest kapitulacja tego zrujnowanego kułaka przed władzą ludową. Tego rodzaju kapitulację można było przecież osiągnąć w każdym czasie. Nie trzeba było na to wielu lat polityki tak zwanego ograniczania kułaka, która w rzeczywistości nie była polityką ograniczania wyzysku, lecz polityką niszczenia jego gospodarstwa. Przecież i dzisiaj za jednym zamachem można by zmuszać do takiej kapitulacji wszystkie pozostałe, nie zrujnowane bogate gospodarstwa chłopskie. *Nie ma nic łatwiejszego, jak osiągnięcie takiej kapitulacji, takiego taniego, a raczej drogiego zwycięstwa, jeśli uprzytomnimy sobie ile nas kosztuje import zboża.*

Zmieniona na lepszą polityka rolna zaczyna przynosić pierwsze rezultaty. Odczuwa je przede wszystkim wieś, której dochody wzrosły w roku bieżącym o kilka miliardów złotych. *W perspektywie widzieć należy dalszą, bardziej istotną zmianę polityki rolnej. Termin tej zmiany zależeć będzie od sytuacji gospodarczej. Mam na myśli zniesienie obowiązkowych dostaw, które nie mogą być systemem i właściwością gospodarczą naszego ustroju.* Dostawy obowiązkowe — to raczej zjawisko właściwe tylko okresowi wojny. Nie należy uważać, że ta forma świadczenia wsi na rzecz państwa jest jakąś niezmienną cechą budownictwa socjalizmu.

Perspektywa zniesienia dostaw obowiązkowych nie może nikogo zwalniać od aktualnych obowiązków wobec państwa. Dostawy obowiązkowe są formą podatku uiszczanego w naturze. A podatki trzeba płacić wszędzie na świecie, nie tylko w naszym kraju. Zanim ustali się zupełnie prawidłową skalę tych podatków, przede wszystkim przez właściwą klasyfikację ziemi każdego gospodarstwa, co się już robi, chociaż w tempie zbyt powolnym, trzeba zapłacić ten podatek w formie dostaw obowiązkowych według norm poprzednich, skorygowanych nieco na korzyść chłopów w niektórych miej-

scowościach. Sprawa ta została ostatnio w pewnym stopniu zaniedbana i przez chłopów i przez rady narodowe.

Rząd musi i będzie zwalczał każde nadużycie władzy, łamanie prawa, musi dbać i będzie dbał, aby żadnemu obywatelowi, żadnemu chłopu władza nie wyrządzała krzywdy, lecz tak samo musi wymagać od obywateli, aby wywiązywali się w pełni ze swych obowiązków wobec państwa. Dostawy obowiązkowe są jeszcze dzisiaj jedną z form podatku państwowego i ten podatek musi być w pełni zapłacony. To należy powiedzieć sobie, chłopom i radom narodowym jasno i wyraźnie.

Uważam, że *należy ponownie zrewidować na korzyść chłopów warunki przekazywania im odłogów do zagospodarowania, szczególnie na ziemiach zachodnich i północnych.* Na tych terenach należy zastosować dłuższy okres zwolnienia od podatków za przejęte do zagospodarowania odłogi oraz ustalić długotrwały okres użytkowania tej ziemi w formie bezpłatnej dzierżawy. Chodzi o to, aby każdy użytkownik był zainteresowany w jak najlepszej uprawie tej ziemi, a nie w krótkotrwałej eksploatacji.

Odnośnie państwowych gospodarstw rolnych widzę przede wszystkim konieczność gruntownego przekształcenia ich struktury organizacyjnej, oraz gruntownej zmiany w systemie wynagrodzeń robotników i pracowników rolnych. Administracja PGR-ów winna być maksymalnie uproszczona, całą uwagę i siły fachowe należy skoncentrować tam gdzie to jest najważniejsze, to jest w gospodarstwie, a wynagrodzenie za pracę uzależnić od wartości produkcji globalnej każdego gospodarstwa, po ustaleniu określonego punktu wyjściowego wartości produkcji.

W PGR-ach winna znaleźć w pełni zastosowanie idea samorządu robotniczego. Bardziej może, niż gdzie indziej występuje tu konieczność wysoko wykwalifikowanego kierownictwa, które stałoby na czele każdego gospodarstwa.

Możliwości podniesienia produkcji rolnej przez wszystkie trzy typy gospodarstw rolnych są u nas bardzo poważne. Warunkują je po pierwsze — słuszna i dalekodystansowa polityka rolna, po drugie — dostarczenie rolnictwu przez przemysł właściwych dla każdego typu gospodarstw maszyn rolniczych, a w pierwszym rzędzie nawozów sztucznych i po trzecie — podnoszenie kwalifikacji fachowych każdego rolnika. Na tym winniśmy koncentrować główną uwagę, jeżeli mamy dogonić takie kraje, jak Czechosłowacja, a zwłaszcza Niemcy na tym tak ważnym dla całej gospodarki narodowej odcinku, jaki jest rolnictwo.

NASZ STOSUNEK DO KPZR I ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

Przejdę teraz do innej grupy zagadnień, które w stopniu nie mniejszym niż sprawy gospodarcze głęboko nurtują całą naszą partię i całe społeczeństwo. Chodzi mi przede wszystkim o takie sprawy jak demokratyzacja naszego życia oraz rozwój międzypartyjnych i międzypaństwowych stosunków z naszym wielkim bratnim sąsiadem — z KPZR i ze Związkiem Radzieckim.

Jak to się stało, że partia nasza, która wysunęła i szczerze wysunęła na czoło swych dążeń hasło ludowładztwa, której celem jest realizacja najbardziej humanitarnej idei — idei socjalizmu, że ta nasza partia, stojąc na czele władzy ludowej w Polsce pozwoliła na zaistnienie tak wielu wypaczeń, jakie miały miejsce w niedawnej przeszłości? Pełnej odpowiedzi na to pyta-

nie będziemy jeszcze długo szukać. Zawiera ją w sobie zagadnienie dróg prowadzących do zbudowania socjalizmu, oraz kształtowania modelu socjalizmu.

Najpełniejsze określenie treści społecznej jaka tkwi w pojęciu socjalizmu zawiera sformułowanie, że socjalizm, to taki ustrój społeczny, który znosi wyzysk i ucisk człowieka przez człowieka. Oznacza to jednak nie więcej, jak stwierdzenie, że na przykład samolot to jest taka maszyna, która unosi się w powietrzu i lata.

Podobnie, jak budowę samolotu poprzedzało opracowanie jego konstrukcji, oparte na określonych przesłankach warunkujących możliwość oderwania się od ziemi maszyny, tak również budowę socjalizmu poprzedzić musiała naukowa teoria socjalizmu. Jej twórcami byli pierwsi klasycy marksizmu.

Swojej teorii nie uważali oni nigdy za coś zakończonego. Wręcz przeciwnie — twierdzili zawsze, że teoria musi być ciągle żywa, musi rozwijać się w oparciu o doświadczenie życia, musi być stale wzbogacana. Nawet najpełniej w danych warunkach i w określonym czasie opracowana — teoria socjalizmu nie może objąć wszystkich szczegółów bogatszego od niej życia.

To co w socjalizmie jest niezmienne sprowadza się do zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka. Drogi do osiągnięcia tego celu mogą być i są różne. Warunkują je różnorodne okoliczności czasu i miejsca. Różny też może być model socjalizmu. Może być taki, jaki został stworzony w Związku Radzieckim, można go kształtować tak, jak to widzimy w Jugosławii, a może też być jeszcze inny.

Tylko na drodze doświadczeń i osiągnięć różnych krajów budujących socjalizm może powstać najlepszy w danych warunkach model socjalizmu.

Związek Radziecki był pierwszym na świecie państwem, gdzie dokonała się rewolucja socjalistyczna. Lenin i partia bolszewicka po raz pierwszy w historii podjęli gigantyczne zadanie przekształcania teorii socjalizmu w materialną i społeczną rzeczywistość.

Wobec olbrzymich trudności, jakie towarzyszyły przebudowie zacofanego pod każdym względem ustroju Rosji carskiej w ustrój socjalistyczny, w okresie gdy partią kierował Stalin, normalne i w ramach partii przeprowadzane za życia Lenina ścieranie się poglądów w sprawach wysuwanych przez życie, zaczęto likwidować w sposób coraz bardziej bezwzględny. Miejsce, jakie zajmowała w partii dyskusja wewnątrzpartyjna, w miarę jej wypierania, zajmował kult jednostki. Wytyczanie rosyjskiej drogi socjalizmu przechodziło stopniowo z rąk Komitetu Centralnego w ręce coraz mniejszego grona ludzi,aż wreszcie stało się monopolem Stalina. Monopol ten objął również dziedzinę teorii naukowego socjalizmu.

Kult jednostki to określony system sprawowania władzy, to określona droga zdążania do socjalizmu, przy stosowaniu metod sprzecznych z socjalistycznym humanizmem, z socjalistycznym poczuciem wolności człowieka, z socjalistycznym poczuciem praworządności.

Po drugiej wojnie światowej Związek Radziecki przestał być jedynym krajem budującym socjalizm. Na arenie świata pojawiły się Chiny Ludowe i szereg państw demokracji ludowej, w ich liczbie i Polska, które wstąpiły na drogę budownictwa socjalizmu. Przed partiami robotniczymi tych krajów, a więc i przed naszą partią stanęły zagadnienia, które poprzednio w formie praktycznej nie istniały. Należą do nich takie sprawy, jak droga do socjalizmu w warunkach właściwych dla każdego kraju, co w pewnym stopniu rzutuje na kształtowanie się modelu socjalizmu, oraz sprawa wzajemnych

stosunków partyjnych i państwowych między partiami i rządami krajów obozu socjalizmu.

Wzajemne stosunki między partiami i państwami obozu socjalizmu nie znajdują i nie powinnny znajdować żadnych powodów do jakichkolwiek komplikacji. Na tym polega jedna z głównych cech socjalizmu. *Stosunki te winny się kształtować na zasadach międzynarodowej solidarności robotniczej, winny być oparte na wzajemnym zaufaniu i równości praw,* na udzielaniu sobie nawzajem pomocy, na wzajemnej przyjacielskiej krytyce, jeśli tka okaże się koniecznością, na rozumnym i wynikającym z ducha przyjaźni i z ducha socjalizmu rozwiązywaniu wszystkich spraw spornych. *W ramach takich stosunków każdy kraj winien posiadać pełną niezależność i samodzielność, a prowo każdego narodu do suwerennego rządzenia się w niepodległym kraju winno być w pełni i nawzajem szanowane. Tak być powinno i powiedziałbym — tak zaczyna być.*

W przeszłości, niestety, nie zawsze tak było w stosunku między nami, a naszym wielkim i przyjaznym sąsiadem — Związkiem Radzieckim.

Stalin, jako kierownik partii i Związku Radzieckiego formalnie uznawał wszystkie wyżej wyliczone zasady, jakie cechować winny stosunki między krajami obozu socjalizmu. I nie tylko uznawał, lecz sam je głosił. Faktycznie jednak zasady te nie mogły się zmieścić w ramach tego co składa się na kult jednostki.

O SYSTEMIE KULTU JEDNOSTKI

Kultu jednostki nie można sprowadzać tylko do osoby Stalina. Kult jednostki, to pewien system, który panował w Związku Radzieckim i który przeszczepiony został do wszystkich bodaj partii komunistycznych, jak też do szeregu krajów obozu socjalizmu, w ich liczbie i do Polski.

Istota tego systemu polegała na tym, że wytworzona została jednostkowa, hierarchiczna drabina kultów. Każdy taki kult obejmował określony obszar, na którym funkcjonował. W bloku państw socjalistycznych na szczycie tej hierarchicznej drabiny kultów stał Stalin. Przed nim chylili głowy wszyscy, którzy zajmowali niższe szczeble drabiny. Chylili głowy nie tylko inni przywódcy KPZR i kierownicy Związku Radzieckiego, lecz tak samo kierownicy partii komunistycznych i robotniczych krajów obozu socjalistycznego. Ci ostatni to jest *pierwsi sekretarze Komitetów Centralnych partii poszczególnych krajów zasiadali na drugim szczeblu drabiny kultu jednostki, oblekali się znowu we władcze szaty nieomylności i mądrości. Ich kult promieniował jednak tylko na obszarze ich krajów, gdzie stali na szczycie krajowej drabiny kultów. Ten kult można by nazwać tylko odbitym blaskiem, zapożyczonym światłem.* Świecił podobnie, jak świeci księżyc. Tym niemniej na obszarze swego działania był wszechwładny. I tak w każdym kraju ciągnęła się ta drabina kultów od góry do dołu.

Nosiciel kultu jednostki na wszystkim się znał, wszystko umiał, wszystko rozstrzygał, wszystkim kierował i o wszystkim decydował na obszarze swego działania. Był on najmądrzejszym człowiekiem, niezależnie od tego, jaką wiedzę, jakie zdolności i jakie zalety osobiste posiadał.

Pół biedy, jeśli w szaty kultu ubrano człowieka rozsądnego, skromnego. Taki człowiek zwykle czuł się źle w tym garniturze. Można powiedzieć, że się go wstydził i nie chciał go nosić, chociaż nie mógł go całkowicie zdjąć z siebie.

Nie mógł bowiem normalnie pracować żaden kierownik partyjnej organizacji, nawet wówczas, gdy pracował kolektywnie z całą instancją kierowniczą, gdyż przy takim systemie to jest w politycznym systemie kultu jednastki nie było do takiej pracy warunków.

Gorzej, a nawet całkiem źle układały się sprawy, kiedy zaszczyt władzy, a więc prawo do kultu zagarnął człowiek ograniczony, tępy wykonawca, czy zgniły karierowicz. Tacy grzebali socjalizm, bezmyślnie i zarazem precyzyjnie.

Przy systemie kultu jednostki partia, jako całość, mogła działać samodzielnie tylko w ramach podporządkowania się naczelnemu kultowi. Jeśli ktoś próbował te ramy przekroczyć, groziło mu wyklęcie przez jego współtowarzyszy. Jeśli sprawa dotyczyła całej partii wyklinały ją pozostaje partie komunistyczne.

Czyż takich warunkach wzajemne stosunki partyjne i państwowe partii i krajów demokracji ludowej z jednej strony, a KPZR i Związku Radzieckiego z drugiej strony mogły się układać na zasadach równości? Jasne, że nie. Przeszkadzał temu system kultu jednostki, system precyzyjnie zorganizowany i miażdżący każdą samodzielną myśl socjalistyczną.

System kultu jednostki kształtował mózgi ludzkie, kształtował sposób myślenia działaczy partyjnych i członków partii. Jedni wierzyli i byli przekonani, że jedynym bezbłędnym interpretatorem nauki marksistowskiej i jedynym człowiekiem, który ją prawidłowo rozwija i wzbogaca, wskazuje jedynie słuszną drogę do socjalizmu jest Stalin. Wszystko więc, co nie jest zgodne z jego myślami i wskazaniami musi być szkodliwe, musi pociągać za sobą odstępstwo od marksizmu-leninizmu, musi być herezją. Inni, mając nawet wątpliwości, byli znowu przeświadczeni, że każda próba publicznego wyrażenia swoich myśli nie tylko niczego nie zmieni, lecz sprowadzi na nich przykre konsekwencje. Jeszcze innym było wszystko obojętne poza drogą, która może ich zaprowadzić do wygodnego stołka, lub stołek taki zabezpieczyć.

Byłoby wielkim błędem i pomieszaniem pojęć, gdyby ktoś próbował robić znak równania między kultem jednostki, a autorytetem jednostki. Różnica między jednym i drugim pojęciem jest taka, że kult jednostki zniekształca i wypacza ideę socjalizmu, zniechęca do socjalizmu ludzi pracy, natomiast autorytet setek i tysięcy kierowników partii i władzy ludowej bardzo sprzyja rozwojowi budownictwa socjalizmu, jest wprost niezbędny do kierowania partią i państwem. Autorytetu nie można jednak ludziom nadać, przypiąć do piersi, jak medal lub odznaczenie. Trzeba go sobie zdobyć, wypracować, posługując się rozumem i skromnością. Partia nasza i władza ludowa w Polsce będzie tym silniejsza, im więcej będzie ludzi z autorytetem, a więc takich działaczy i aktywistów, którzy cieszą się zaufaniem klasy robotniczej i wszystkich ludzi pracy. Dlatego mówimy: — należy wszystkimi siłami zwalczać kult jednostki, czy jego pozostałości i wszystkimi siłami walczyć o zdobycie autorytetu.

Nie chciałbym szerzej powracać do smutnych kart przeszłości, w której panował u nas system kultu jednostki. System ten gwałcił zasady demokratyczne i praworządność. Przy tym systemie łamano charaktery i sumienia ludzkie, deptano ludzi, opluwano ich cześć. Oszczerstwo, kłamstwo i fałsze, a nawet prowokacje służyły za narzędzie sprawowania władzy.

Doszło i u nas do tragicznych faktów, że niewinnych ludzi posłano na

śmierć. Wielu innych więziono niewinnie nieraz przez długie lata, w tym również i komunistów. Wielu ludzi poddawano bestialskim torturom. Siano strach i demoralizację. Na glebie kultu jednostki wyrastały zjawiska, które naruszały, a nawet przekreślały najgłębszy sens władzy ludowej.

Z tym systemem skończyliśmy, względnie kończymy raz na zawsze. Należy wyrazić słowa wielkiego uznania dla XX Zjazdu KPZR, że tak walnie dopomógł nam do likwidowania tego systemu.

Chociaż system kultu jednostki zrodził się w Związku Radzieckim, nie oznacza, że za wszystko zło, jakie u nas miało miejsce można złożyć winę na Stalina, na KPZR, czy na Związek Radziecki. *My mieliśmy i naszą własną, rodzimą beriowszczyznę. Beriowszczyzna i wszelkie jej uogólnione odmiany personalne stanowiły część składową systemu kultu jednostki. Beriowszczyzna — to karta zapisana prowokacją, krwią, więzieniem i cierpieniem niewinnych ludzi.*

Są sprawy z zakresu działalności polskiej odmiany beriowszczyzny, które wymagają bardziej wnikliwego zbadania i wyświetlenia. Chodzi nie o to, aby przedstawiać do zapłaty własny rachunek krzywd. Taka myśl, jak w ogóle chęć osobistych porachunków są mi zupełnie obce. Za wielkie to były sprawy, aby je rozmieniać na drobną, osobistą monetę. Ale są sprawy, które z zasadniczych partyjnych względów wymagają wyświetlenia. Partia zawsze musi dbać o swoje imię, musi być czysta. A jeśli ktoś świadomie zbrukał i hańbił jej dobre imię, dla takiego nie może być miejsca w jej szeregach.

Formułuję konkretnie swoją myśl : *kierownictwo partii winno powołać Komisję, której zadaniem byłoby zbadanie, czy w sprawach ludzi obecnie rehabilitowanych, których aresztowano w przeszłości na polecenie lub za zgodą Biura Politycznego, względnie części Biura, nie zachodziły wypadki świadomej prowokacji, świadomego oskarżania ludzi o czyny, których się nie dopuścili, a które podlegają przepisom karnym naszego kodeksu karnego.*

Wyświetlenie tej sprawy jest konieczne i winna ją wyjaśnić Komisja, złożona z ludzi zupełnie bezstronnych. Rezultaty badań Komisji winny zamknąć ostatecznie partyjną, wewnętrzną kartę spraw związanych z działalnością polskiej odmiany beriowszczyzny.

DEMOKRATYZACJA JEDYNĄ DROGĄ DO SOCJALIZMU

Wszystko, co dzisiaj oceniamy, jako wypaczenia i zniekształcenia w naszym życiu w okresie ubiegłym, nie mogło nie wstrząsnąć do głębi całą partią, całą klasą robotniczą, całym narodem. Po kraju rozlały się różne prądy, lecz najpotężniejszą rzeką popłynęło hasło demokratyzacji naszego życia, żądania zlikwidowania systemu, który nazywamy kultem jednostki. Należy stwierdzić, że kierownictwo partii nie zawsze nadążało na czas, aby wraz z całą partią stanąć na czele tego zdrowego ruchu i pokierować nim. A jeżeli nie nadążało kierownictwo partii, to zrozumiałą jest rzeczą, że nie mogły nadążać i organizacje partyjne. Wytworzył się nawet pewien zamęt i dezorientacja niezmiernie szkodliwe dla samej sprawy demokratyzacji. Takiej sytuacji nie mogą nie wykorzystać wszyscy przeciwnicy socjalizmu, wszyscy wrogowie Polski Ludowej. Ożywienie działalności elementów nie mających nic wspólnego z dążeniami klasy robotniczej i narodu do zdemokratyzowania całego naszego życia, wywołało również pewne wahania

u niektórych towarzyszy w kierownictwie partyjnym i w terenie, odnośnie metod demokratyzacji i treści jaką powinna ona zawierać. Dlatego też trzeba stanowczo powiedzieć sobie, partii, klasie robotniczej i całemu narodowi: — *droga demokratyzacji jest jedyną drogą prowadzącą do zbudowania najlepszego w naszych warunkach modelu socjalizmu. Z tej drogi nie zejdziemy i będziemy się bronić wszystkimi siłami, aby nie dać się z niej zepchnąć. Ale też nie pozwolimy nikomu wykorzystywać procesu demokratyzacji przeciwko socjalizmowi.* Na czele procesu demokratyzacji staje nasza partia i tylko ona, działając w porozumieniu z innymi partiami Frontu Narodowego może pokierować tym procesem w takim kierunku, aby proces ten prowadził rzeczywiście do zdemokratyzowania stosunków we wszystkich dziedzinach naszego życia, do wzmocnienia podstaw naszego ustroju, a nie do ich osłabienia.

Partia i wszyscy ludzie, którzy widzieli zło istniejące w przeszłości i którzy szczerze pragną usunąć wszystkie pozostałości złej przeszłości w naszym dzisiejszym życiu, aby w ten sposób wzmocnić podstawy naszego ustroju, winni dać zdecydowany odpór wszelkim podszeptom i wszelkim głosom zmierzającym do osłabienia naszej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.

Jeśli było w przeszłości nie wszystko tak, jak naszym zdaniem być powinno między naszą partią, a KPZR i między Polską, a Związkiem Radzieckim — to dzisiaj należy to do bezpowrotnej przeszłości. Jeśli w tej czy innej dziedzinie naszego życia są sprawy, które wymagają jeszcze uregulowania — zrobić to należy po przyjacielsku i spokojnie. Takie postępowanie winno bowiem cechować stosunki między partiami i państwami obozu socjalizmu. A gdy ktoś myśli, że uda się w Polsce rozniecić nastroje antyradzieckie, to głęboko się myli. Nie pozwolimy wyrządzić szkody żywotnym interesom państwa polskiego i sprawie budowy socjalizmu w Polsce.

System kultu jednostki i wszystko złe, co z niego wynikało należy do bezpowrotnej przeszłości. *Stosunki polsko-radzieckie oparte na zasadach równości i samodzielności wytworzą w narodzie polskim tak głębokie uczucie przyjaźni do Związku Radzieckiego, że żadna próba zasiania nieufności do Związku Radzieckiego nie znajdzie gruntu w narodzie polskim.* Na straży takich stosunków stoi w pierwszym szeregu nasza partia, a wraz z nią cały naród.

PARTIA

Aby partia mogła sprężyście wypełniać swe zadania i stać na czele procesu demokratyzacji musi być przede wszystkim zwarta i jednolita, oraz musi w swych szeregach, w swoim życiu zastosować w pełni zasady demokratycznego centralizmu. Musi w praktyce swej pracy surowo przestrzegać tych zasad, jakie tkwią w tezie o leninowskich normach życia partyjnego. Zasady te były w przeszłości również głoszone, lecz jakże często praktyka miała z nim bardzo mało wspólnego. Na czoło tych zasad należałoby postawić sprawę wyboru władz partyjnych, jawności życia partyjnego, prawo do zachowania swych poglądów przy zasadzie, że uchwały większości obowiązują wszystkich członków partii.

Ta ostatnia zasada jest szczególnie ważna w dobie obecnej. W oparciu o nią realizować się musi jedność działania partii. Ciężki wóz zadań, jakie stoją przed partią w chwili obecnej może się toczyć pomyślnie naprzód

tylko wówczas, kiedy zaprzęgnięte do niego siły półtoramilionowej partii ciągnąć go będą w jednym kierunku. A kierunek ten wytknęło w głównych zarysach VII plenum, dzisiejsze zaś winno te zarysy wyraźniej sprecyzować.

W praktyce pracy naszej partii, w metodach jej działania przyjdzie nam wiele zmienić. Wysuwają się tu na czoło takie sprawy, jak wyraźne rozgraniczenie kompetencji aparatu partyjnego i aparatu państwowego, przy zachowaniu kierowniczej roli partii. Trzeba tak ustawić sprawy, aby każdy odpowiadał za swoje, za ten odcinek, na którym pracuje. Inaczej nikt nie odpowiada, a interesy partii i państwa tylko na tym cierpią. Zasada, że partia i jej partyjny aparat nie rządzi, a tylko kieruje, że rządzenie należy do państwa i jego aparatu — musi być wyrażona w konkretnej treści i w praktyce pracy, a nie tylko — jak to ma obecnie jeszcze szeroko miejsce — w słowach. Problem ten wymaga dokładnego opracowania, co powinno być jednym z najbliższych zadań kierownictwa partii.

W pracy partii utarła się szkodliwa praktyka wyciągania każdego aktywniejszego robotnika z jego zakładu pracy do pracy w aparacie partyjnym, lub państwowym. Praktyka taka wyrządziła wiele szkody. Rozdymano aparat partyjny, który przy istniejącym systemie pracy bądź biurokratyzował się, bądź też przybierał inne niezdrowe formy, a zakład pracy, ta najważniejsza komórka polityczna i produkcyjna był ogałacany z najlepszych członków partii.

Partia będzie najintensywniej żyć życiem klasy robotniczej, będzie mogła najlepiej kształtować jej świadomość wówczas, kiedy olbrzymia część świadomych i aktywnych działaczy znajdzie się razem ramię w ramię z robotnikami przy ich warsztatach pracy.

Należy również zabezpieczyć odpowiednią kontrolę instancji partyjnych nad pracą aparatu partyjnego, poczynając w pierwszym rzędzie od centralnego aparatu. Sprawami tymi zajmie się na pewno najbliższy Zjazd partyjny.

Usprawnienia wymaga również praca rządu. Biuro Polityczne podjęło już pierwsze uchwały w tym zakresie. Osobowy skład rządu należy sprowadzić do rzeczywistych potrzeb kraju, przez odpowiednią reorganizację jego pracy.

Wszystkie zamierzenia, jakie stawiamy przed sobą wymagają spokoju, rozwagi i czasu. Nawet przy zastosowaniu najlepszej koncepcji nowej organizacji naszego przemysłu i najlepszych form demokratyzacji naszego życia niczego nie da się zrobić z dziś na jutro.

Nie można nie widzieć, że w ostatnim czasie nastąpiła pewna dezorientacja i w organach władzy państwowej, powołanej do strzeżenia porządku publicznego. Wzmogły się różne chuligańskie wybryki, które często nie natrafiają na właściwą reakcję ze strony Milicji Obywatelskiej. Należy znowu powiedzieć jasno i otwarcie sobie i wszystkim, których to dotyczy: — władza ludowa będzie karać każdą nieprawość w swoim aparacie, lecz z takim samym zdecydowaniem będzie i musi zwalczać wszelkie naruszanie porządku publicznego i spokoju obywateli. Milicja Obywatelska winna zawsze spotkać się z szacunkiem i poparciem społeczeństwa, kiedy interweniuje w interesie porządku publicznego. Nie wolno tolerować żadnych form znieważania munduru stróża porządku publicznego przez różnych chuliganów, których za naruszenie prawa należy surowo karać.

ROLA SEJMU

Do wielu schorzeń ubiegłego okresu należało również i to, że *w praktyce życia państwowego Sejm nie spełniał swego konstytucyjnego zadania.* Obecnie stoimy w obliczu wyboru nowego Sejmu, który winien zająć w naszym życiu politycznym i państwowym to miejsce, które ustaliła dla niego konstytucja. *W programie zamierzeń demokratyzacyjnych podniesienie roli Sejmu do najwyższego organu władzy państwowej posiadać będzie największe bodaj znaczenie.*

Naczelnym zadaniem Sejmu jest sprawowanie najwyższej władzy ustawodawczej i kontrolnej. Trzeba stworzyć Sejmowi niezbędne warunki, aby to zadanie mógł wykonywać. Chodzi i o warunki polityczne, które stwarza ogólny proces demokratyzacji naszego życia, jak również i o warunki prawne gwarantujące Sejmowi jego konstytucyjne uprawnienia.

Powstaje pytanie : — co partia nasza chciałaby zagwarantować Sejmowi w normach prawnych ?

Uważam, że na plan pierwszy wysuwa się sprawa sesji sejmowych, które w dotychczasowej praktyce zwoływano zbyt rzadko. Szczególnie ważne w ustawodawczej pracy Sejmu jest ustalenie takiego trybu pracy komisji sejmowych, który pozwoli skoncentrować w ich rękach opracowanie aktów prawnych.

Z tego postulatu wynika, że część posłów winna pełnić swe obowiązki zawodowo, czyli winna zostać zwolniona na okres sprawowania swych funkcji poselskich od pracy zarobkowej.

Wydawanie dekretów przez Radę Państwa należy ograniczyć do spraw niecierpiących zwłoki i jednocześnie zagwarantować Sejmowi prawo uchylania względnie zmieniania tych dekretów.

Sejm winien kontrolować pracę rządu i organów państwowych w szerokim zakresie. Do tego niezbędne jest dokonanie pewnych zmian w konstytucji. Uważam, że kontrola przez Sejm organów wykonawczych władzy państwowej winna być przeprowadzana przez instytucję podległą bezpośrednio Sejmowi, a nie, jak dotychczas rządowi. Należy przywrócić Najwyższą Izbę Kontroli Państwowej, podlegającą Sejmowi.

Uważam również, że *Sejm winien mieć prawo kontroli naszych umów handlowych zawartych z innymi państwami.* W gruncie rzeczy w umowach tych nie ma nic takiego, co z uwagi na interes państwa powinno być kontrolowane przez szczupłe grono ludzi. *Informowanie społeczeństwa przez rząd i przez Sejm o naszych umowach handlowych automatycznie przetnie różne brednie o naszym handlu zagranicznym.*

Sejm również powinien posiadać prawo zatwierdzania wszystkich zawieranych przez rząd i ratyfikowanych przez Radę Państwa układów z drugimi krajami.

Sejm powołany jest również do oceny pracy rządu i w jego kompetencjach leży wyciąganie wniosków w stosunku do ludzi nie wywiązujących się należycie ze swych obowiązków.

Tak w głównych zarysach widziałbym Sejm w jego roli ustawodawczej i kontrolera pracy państwowej. Rozumnie ustawione uprawnienia Sejmu i nawet rozszerzenie tych uprawnień poza granice zakreślone konstytucją, przy rozumnym określeniu zadań partii w stosunku do aparatu państwowego, nie

stwarzają kolizji między Sejmem, a tą treścią polityczną, która mieści się w tezie o kierowniczej roli partii.

Wybory zostaną przeprowadzone w oparciu o nową ordynację wyborczą, która pozwala ludziom wybierać, a nie tylko głosować. Jest to zmiana bardzo ważna. Zgrupowane we Froncie Narodowym partie i organizacje społeczne występują z jednym wspólnym programem wyborczym. Ale każdy program realizują nie tylko partie, lecz i ludzie występujący z ramienia tych partii. Ten kandydat, który cieszyć się będzie największym zaufaniem zostanie wybrany. Kto nie posiada szerokiego zaufania wyborców, rzecz jasna do przyszłego Sejmu nie wejdzie.

Ważne jest nie tylko to, jakie uprawnienia posiadać będzie Sejm. O roli, jaką on odegra w życiu państwa i narodu, procesie demokratyzacji naszego życia decydować będą w stopniu nie mniejszym ludzie,. którzy w nim zasiądą. Naszej partii możemy polecić, aby na kandydatów wysuwała najlepszych towarzyszy, ludzi najbardziej związanych z klasą robotniczą i całym narodem.

Naszym sojusznikom z Frontu Narodowego możemy tylko zalecić, aby wysuwając swoich kandydatów na posłów typowali ludzi, którzy nie w ustach, lecz w swym sercu i w głowie nosić będą wspólnie wypracowany program wyborczy.

Z tym, co plenum dzisiejsze przyjmie i uchwali pójdziemy, towarzysze, do partii, do klasy robotniczej, do narodu z podniesionym czołem, gdyż pójdziemy z prawdą. A prawda przedstawiona narodowi bez ogródek da nam siłę, przywróci władzy ludowej i naszej partii pełny kredyt zaufania mas pracujących. Ten kredyt jest niezbędny do realizacji naszych zamierzeń.

Postulując zasadę wolności krytyki we wszystkich formach, a więc również krytyki w prasie mamy prawo żądać, aby każda krytyka była twórcza i sprawiedliwa, aby pomagała przezwyciężać trudności obecnego okresu, a nie przyczyniała się do ich piętrzenia, czy nawet niekiedy demagogicznie ujmowała zjawiska i rzeczy.

Od naszej młodzieży, szczególnie od młodzieży wyższych uczelni mamy prawo żądać, aby cechującą ją żarliwość w szukaniu dróg do ulepszania naszej dzisiejszej rzeczywistości zamykała w ramach uchwał, jakie podejmie dzisiejsze plenum. Młodzieży zawsze można wiele wybaczać, Życie nie wybacza jednak nikomu, a więc i młodzieży kroków nierozważnych.

Możemy tylko cieszyć się z żarliwości naszych młodych towarzyszy. Oni bowiem zajmą po nas posterunki partyjne i państwowe. Mamy jednak pełne prawo żądać od nich, aby swój zapał i żarliwość sprzęgli z rozumem partii. Młodzieży naszej partia winna wyraźnie powiedzieć: — w wielkim i doniosłym procesie demokratyzacji maszerujcie w czołówce, lecz spoglądajcie stale na wasze i całej Polski Ludowej dowództwo — na partię klasy robotniczej, na Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą.

Dodatek do Nru 11/109 „Kultury" (Listopad-Novembre 1956).

Directeur-Gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Impr. Richard, 24, rue Stephenson, Paris (18e)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad–Novembre 1956



INSTYTUT LITERACKI

W OSTATNIEJ CHWILI

Sensacyjne wydarzenia w kraju nastąpiły w chwili gd bieżący numer „Kultury" był już na maszynach. Omówimy j więc dopiero w numerze grudniowym. Będziemy zresztą mie wtedy więcej elementów dla ocen i wniosków. Chcemy tym czasem podkreślić ich historyczną doniosłość nie tylko dla Polsk ale dla całej wschodniej Europy.

Powstająca nowa sytuacja w kraju stawia przed nami — emigracją — nowe zadania i nowe obowiązki.



NA NAGROBEK DLA JANA OLECHOWSKIEGO

Aleksander Kwiatkowski, Washington „jako skromny wyraz uczuć dla wielkiego poety i b. kolegi-karpatczyka"	1.750 f
Halszka Poniatowska i Kazimierz Vincenz, Zuerich-Solothurn (Szwajcaria)	500 "
K. Sowiński, Monachium (Niemcy)	3.500 "
Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn	2.000 "



DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Bolesław Taborski, Richmond, Surrey (Anglia)	3.000 f
F. Turynowa, Urbana, Ill. (USA), ponownie	1.750 "
Irena Witwicka, Montreal (Kanada)	3.800 "
Eugene Perkowski, Bridgeport, Conn. (USA)	400 "
B.A. Kaczorowski, Yukon Territory (Kanada)	1.100 "
Dr. J. Pawlikowski, Montreal (Kanada)	1.100 "
J. Sołtysiński, Rezende, Estado de Rio (Brazylia)	3.100 "

DZIĘKUJEM

Imprimé en France

"Niezależna Republika" węgierskich pisarzy

Więcej się mówi, ostatnio, o ,,węgierskich pisarzach'', o ich oświadczeniach, artykułach, proklamacjach, niż o samej literaturze węgierskiej, która jest mało znana zagranicą. Prawdziwa przyczyna tej nieobecności Węgier na światowym rynku literackim jest prosta : Węgrzy, podobnie jak Polacy, przodują w piśmiennictwie najtrudniej przetłumaczalnym — w poezji. Temperament węgierski jest liryczny, muzykalny, teatralny, bynajmniej nie obiektywny. Wydał Liszta, Bartoka, wizjonerskich malarzy (jak zadziwiający Csontovary), wulkanicznych poetów jak Petöfi, Ady czy Attila Jozsef. Ale słowo tych poetów nie rozbrzmiało w świecie żadnym echem. Jeden z nich, Desider Kosztolonyi mawiał smutnie ,,każde dziecko węgierskie jest dzieckiem niemym''.

Podobnie, to co stanowi o wartości węgierskich powieściopisarzy, to rzadko konstrukcja, czy głębia psychologiczna : będzie to raczej ton, słowna muzyka, impresjonistyczna gra barw u Juliusza Krudy, biblijna i barokowa wybuchowość Milana Fusta (jego wspaniała ,,Opowieść o mojej żonie'' ukaże się wreszcie niebawem w tłumaczeniu francuskim), męski, jeśli nie wprost brutalny folklor Zygmunta Moricza itd. W tłumaczeniu, dzieła te przestają być do siebie podobne. Zaledwie się je rozpoznaje. Jest w nich wszystko — prócz oddechu. I nie jest to wina tłumaczy: wielu z nich dokonało cudów. To same utwory rozpadają się w ręku tłumacza. Ta słabość pochodzi w znacznej mierze z niestałości i niedokładności samego języka węgierskiego. Właściwie nie istnieje węgierska proza literacka. Każdy pisarz, który chce pisać prozą musi ją odtwarzać na własny rachunek i zwykle ogrom tego zadania już go wyczerpuje. Ten chaos gwar ludowych, mniej lub więcej bękarckich wyrażeń, najróżniejszych dialektów, jakim jest język węgierski, wymaga twórcy, ,,poety'', założyciela nowego języka : stąd mamy geniuszy, ale nie mamy tradycji.

Otóż wydaje mi się (i mam nadzieję że moja interpretacja n będzie uznana za zbyt marksistowską), że to niewykończenie w gierskiej prozy, jej charakter ,,surowcowy'' odzwierciadla sam strukturę społeczeństwa w którym — z przyczyn nad którym nie możemy się tu zatrzymać — klasa średnia zasadniczo ,,pr zaiczna'', organizacyjna, jeśli nie wytwórcza, nie miała czas uformować się i nadać społeczeństwu swój styl. Stąd mam wulgarność (usianą tu i ówdzie skarbami folkloru, z który można obficie czerpać) i poetycką arystokrację, a pośrodku pus kę, którą społeczne przewroty ostatnich dwudziestu lat jeszc uwydatniły.

Nieobecność kulturalnej klasy średniej — może tworzy s ona obecnie — wraz z jej normalnymi zdobyczami w dziedzin politycznych obyczajów, demokracji itd. — tłumaczy równi inne oblicze węgierskiej literatury: jej charakter polityczn Wszędzie tam gdzie polityczny instynkt narodu jest hamowan przez sztywną organizację ucisku, dążenia narodowe wyraża się — z braku parlamentarzystów, mężów stanu, publicystów — ustami filozofów (Niemcy XIX wieku), lub poetów (Polska c Węgry XIX i nawet XX wieku). Iskrę rewolucji 1948 roku w krzesał poeta — Petöfi, który wydrukował, wbrew cenzurz poemat-pobudkę, wzywający Węgrów do buntu. Znaczna częs wierszy Ady'ego czy Attili — to wezwanie do czynu, artyku wstępne, wiecowe przemówienia, ubrane w poetycką formę. I t w świetną poetycką formę. Stąd nic dziwnego że ,,destaliniz cja'' wydała już na Węgrzech obfity plon poetycki, w który wiersze śpiewają i krzyczą, to czego proza nie ośmieliłaby się z szeptać. Tak jak w rapsodii Liszta, tkwi w nich cała sum ludzkich dążeń i namiętności. Jesteśmy świadkami rewolucji. słownej. Potoki łez i krwi płyną... wierszami. Surowe Słow niczym trybunały rewolucyjne skazują tyranów. Cały nar świadczy o swym dążeniu do życia w godności łącząc się z po tami by zgotować wspaniały pogrzeb (widowisko patetycz i majestatyczne zarazem, podobne do tego które sprawiła sob Francja Ludwika Filipa oddając hołd prochom Napoleona) — ideowemu i gorącemu komuniście, niewinnie skazanemu syno ludu. W męczeństwie Rajka, zmuszonego do zbeszczeszczen się aby ratować honor Partii (którego nie uratował), zwolenni i przeciwnicy odnajdują się we łzach. Jest w obecnej literatur węgierskiej — a zwłaszcza w jej poetyckim kwiecie — dziw mieszanina krzyków rozpaczy, szlochów, samooskarżeń i nadzie która mnie głęboko wzrusza. Chciałbym przynieść jej echo Pol kom zasłuchanym w swój własny bunt.

WYZWOLENIE PISARZY — ZNAK ROZKŁADU TOTALIZMU

Siedemnastego września 1956 pisarze węgierscy — oko dwustu powieściopisarzy, poetów i krytyków — zebrali się zjeździe którego celem było określenie nowego programu i

związku i wybór nowego zarządu. Zjazd odbył się w atmosferze patetycznego oporu, którego echa doszły nawet na zachód. Istotnie, pomijając całkowicie zalecenia, sformułowane zresztą, z dużym taktem i szacunkiem przez przedstawiciela Partii Juliusza Kallaja — dawnego „titowca" zrehabilitowanego ostatnio i mianowanego dyrektorem departamentu spraw kulturalnych w komitecie centralnym — pisarze zażądali niemal jednogłośnie całkowitej *autonomii* ich związku wobec rządu i partii. I, wprowadzając tę autonomię natychmiast w życie, wybrali nowy zarząd, wykluczając z niego wszystkich bez wyjątku stalinowców i rakoszistów; wszystkich tych, którzy w okresie terroru (1949-1952) wykazali się szpiclowskim powołaniem w denuncjacjach swoich mniej (lub wcale nie) ortodoksyjnych kolegów. Wykluczono więc Aladara Tamasa, narzuconego przez partię, nigdy nie wybranego sekretarza generalnego związku pisarzy, który zachowywał się jak stalinowski kacyk, pertraktując z pisarzami za pośrednictwem swego sekretarza i nie racząc ich nawet dopuszczać przed swoje oblicze; Aleksandra Gergely, który przez lata wyładowywał wszystkie swoje kompleksy pisarskiej miernoty, atakując każdego pisarza podejrzanego o oryginalność lub o uczciwość intelektualną; Józefa Darvę, powieściopisarza — ministra propagandy, odpowiedzialnego za cenzurę — i innych. Wykluczono nawet z zarządu Belę Illesa, sowieckiego pułkownika, postać oryginalną i nie pozbawioną talentu, który, spośród dawnych emigrantów moskiewskich związanych z tyranem Rakosim, okazał stosunkowo najwięcej tolerancji. Wzamian za to weszli masowo do zarządu, obok niezależnych i odważnych komunistów (Laszlo Benjamin, Tibor Dery, Juliusz Hay, Lajos Konya), anarchiści, socjaliści i niezależni lewicowcy (Paweł Ignotus, najlepszy węgierski krytyk i esseista; wielki poeta i powieściopisarz proletariacki Ludwik Kassak; E. Kolozsvari-Grandpierre, potomek hugenotów, który obserwuje zawiłą rzeczywistość węgierską z uśmiechem sceptycyzmu); narodowi ludowcy, których rasistowska ideologia, zabarwiona marksizmem i obracająca się wokół kultu chłopa przypomina rosyjskich Es-Erów z końca ubiegłego wieku; Luliusz Illyes, który, mimo politycznych zawieruch, buduje dzieło poetyckie ważne i różnorodne; nierówny autodydakta Peter Veres, pisarz w długich butach, przekornie flirtujący z intelektualistami — i nawet Lorinc Szabo, najgenialniejszy bodaj poeta współczesnych Węgier, którego kołtuński antysemityzm i dekadencki podziw dla brutalnej siły zawiodły w roku 1938 na stronę nazistów — i nawet Laszlo Nemeth, węgierski Drieu La Rochelle, płodny i niechlujny, nacjonalista, kosmopolita, spenglerianin, a zarazem wnikliwy kronikarz węgierskiej klasy średniej z której pochodzi.

Dając tak długą listę nieznanych czytelnikowi polskiemu nazwisk chciałem wykazać różnorodność nowego dyrektoriatu węgierskich pisarzy, w którym wszystkie intelektualne i duchowe rodziny mają dziś swych przedstawicieli, prócz jednej — stalinowskich inkwizytorów. Jest to rodzaj rządu koalicyjnego, opar-

tego o ,,defensywne przymierze'' o którym mówił na zjeźdż Juliusz Hay i które zostało zawarte ,,między pisarzami węgi skimi, bez względu na ich różnice polityczne czy filozoficzn w celu zapewnienia sobie wzajemnie wolności słowa, prawa mówienia prawdy''. Chodzi tu — ciągnął Hay — o ,,świę unię'', zapewniającą ,,równość praw wszystkim kierunkom lit rackim'' i ,,zrodzoną z przekonania że w walce o prawd wszyscy pisarze są solidarni. Doświadczenie wykazało nam że ż den z tych kierunków nie mógłby walczyć o swoje prawa b solidarnej pomocy innych''.

Ale przymierze zwrócone jest zawsze *przeciw* komuś. Prz mierze węgierskich pisarzy zwrócone jest oczywiście przeci Partii, lub, dokładniej — monopolowi ideologicznemu i kultura nemu, sprawowanemu przez sekretariat komitetu centralneg Już przed samym zjazdem, pisarze węgierscy, z najstarszymi b jownikami komunistycznymi na czele (trzeba ten element po kreślić : to komuniści byli w tym wypadku inspiratorami) odrz cili autorytet partii nie tylko w dziedzinie literackiej, ale tak w dziedzinie organizacyjnej. W praktyce usunęli cenzurę i prz forsowali tezę według której literatura jest sprawą zbyt powa ną na to by ją powierzać biurokratom.

Fakt paradoksalny, i nie oparty co prawda na dłuższym d świadczeniu : związek pisarzy węgierskich stanowi obecnie pa stwo w państwie, którego działalność, nie tylko literacka, a również ideologiczna i polityczna wymyka się spod kontroli pa tii. Pisarze — których publiczność stale rośnie (,,Gazeta Lit racka'' jest najpoczytniejszym dziennikiem w kraju, a ,,Luda Matyi'', węgierskie ,,Szpilki'' — również w forpoczcie destal nizacji, ukazuje się w 410.000 egzemplarzy — cyfra imponując dla kraju o 10 milionach mieszkańców) stali się ową ,,drug partią'', do której komuniści nie chcą dopuścić. Mimo że prze wódcy komunistyczni tego ruchu uważają się szczerze za ,,au tentycznych'' komunistów, za ,,leninowskie'' skrzydło partii – sam Związek jest w istocie czymś w rodzaju frontu narodoweg w miniaturze, odzwierciadlającym o wiele wierniej ,,kraj rzeczy wisty'' — te nowe Węgry robotnicze, inteligenckie i chłopski bez kapitalistów, bez wielkich właścicieli ziemskch, w który jednak ton nadaje właśne inteligencja — niż jakiekolwiek fikcy ne masowe organizacje powoływane do życia przez Partię (Ob rońcy Pokoju, Patriotyczny Front Ludowy itd.). Po upadku st linizmu powstała na Węgrzech polityczna pustka, komunistyc ne kadry nie potrafiły nawiązać kontaktu z ludnością która ignoruje, ale skądinąd ludność sama nie ma innych możliwoś wyrażenia swych aspiracji — niż te które proponuje im parti W tych warunkach pisarze samorzutnie stali się wyrazem n rodu, korzystając z tej wolności krytyki którą im przyznan w imię doktryn XX Kongresu P.K. Z.S.S.R.

Pisarze węgierscy mówią teraz z rządami Węgier jak rów z równymi. ,,Szapad Nep'', organ Centralnego Komitetu ro im wymówki ? Odrzucą je z pogardą, ufni w poparcie całeg

narodu. A zarząd Partii jest jakby zahipnotyzowany tą nieoczekiwaną opozycją. Tym bardziej że pisarze mają w dziennikarzach zaufanych sprzymierzeńców, których większość (w łonie samej redakcji „Szabad Nep") podziela ich poglądy i *odmawia atakowania ich.*

Jest to nowy fakt społeczny, sam w sobie zasługujący na analizę. Można by analizować to wytworzenie się „Państwa" w państwie jako fenomen rozkładu (czy kryzysu młodzieńczego) systemu totalnego. Zapewne, tendencja do „autonomii" artystycznej czy intelektualnej zawsze istniała w świecie komunistycznym. Ale na Węgrzech po raz pierwszy tendencja ta ugruntowała się w formie zorganizowanej, mając do dyspozycji potężne środki propagandy (prasę, radio, klub Petöfi). Być może — unikajmy przesadnego optymizmu — że ten kryzys totalizmu zostanie przezwyciężony i że za kilka miesięcy czy lat wszystko powróci do normy : zarysowuje się obecnie w krajach Europy Wschodniej komunistyczny wariant „oświeconego absolutyzmu", z którym zbuntowane sumienia mogłyby od biedy (i pod naciskiem siły) pójść na ugodę. Ale nie mogę się powstrzymać od nadziei, że nawet w takim wypadku przykład pisarzy węgierskich i polskich zachowa wartość historyczną, jako zapowiedź nieuniknionej ewolucji, jako etap w poszukiwaniu form organizacji społecznej bardziej odpowiednich od stalinowskiego więzienia czy od jego bardziej oświeconych wariantów dla tych nowych społeczeństw Europy wschodniej, chaotycznych, rozproszkowanych, które wynikły ze zniszczenia feodalizmu i kapitalizmu i które obecnie gorączkowo szukają jakiejś formy świadomości. Partia komunistyczna mogłaby tu odegrać mimowoli rolę akuszera jakiegoś nowego typu społeczeństwa korporatywnego i federatywnego w którym wielkie zawody zorganizowane by były w ciała zbiorowe — państwa które by mogło wreszcie zawrzeć z ludnością nowy „kontrakt społeczny" i które by było bodaj podobniejsze do utopii Proudhon'a, niż do przewidywań (zresztą celowo nieokreślonych) naukowego marksizmu.

HISTORIA BUNTU PISARZY

Bunt pisarzy węgierskich zaczyna się właściwie w czerwcu 1953, kiedy, pod przewództwem Imre Nagy partia komunistyczna węgierska wkroczyła — ze zbytnim pośpiechem — na drogę „destalinizacji". 4 lipca 1953 Imre Nagy przedstawiał przed parlamentem bilans polityczny i gospodarczy pięciu lat terroru ze spokojną i zaciekłą precyzją. Oświadczał — to co wszyscy wiedzieli, ale czego nikt się dotąd nie ośmielił powiedzieć głośno — że partia jest całkowicie odcięta od ludności, skompromitowana nawet w oczach klasy robotniczej, nie mówiąc już o chłopach i inteligencji, że jedyna polityka, dzięki której można by uniknąć powstań robotniczych (jak w Berlinie) — to polityka reform, koniec terroru policyjnego, rehabilitacja niewinnych, podniesienie poziomu życia poprzez ograniczenie inwestycji przemysłowych,

koniec propagandy pomyślanej jako ciągłość łgarstw i system-tyczne fałszowanie rzeczywistości.

Na nikim to samooskarżenie partii nie zrobiło większeg wrażenia jak na pisarzach komunistycznych czy komunizującyc. W latach 1949-1952 pisarze ci przeszli przez specjalną tresu narzuconą im przez władze intelektualne partii, mającą na ce wprowadzenie norm „żdanowizmu" — w istocie swej niemoż wych do zrealizowania — do twórczości artystycznej. Większo z nich przeszła przez zachodnią formację marksistowską : kom niści z przekonania, ich temperament artystyczny był osobist anarchizujący, ich umysłowość analityczna i krytyczna. Żądan od nich rzeczy niemożliwych chcąc przekształcić ich w Arag nów i Fedinów, chcąc im narzucić technikę polegającą na prze stawianiu najordynarniejszych łgarstw jako najniewinniejszyc prawd, na uznaniu najpotworniejszych absurdów za normaln bieg rzeczy, na oskarżaniu o zbrodnie ludzi o których wiedzie że są niewinni i na obronie niewątpliwych zbrodni.

Tresura ta zaczęła się w chwili sprawy Rajka. Nazajutr po podłym wyroku, podczas gdy zachodnia opinia poruszon była zbrodnią, pisarz-urzędnik z komitetu centralnego, Tama Nagy rzucał w „Szabad Nep" apel do pisarzy, apel mając charakter rozkazu : „Węgierscy pisarze, oskarżajmy przed lu dem tego awanturnika (Rajka), zanim literatura zachodnia z swoim „humanistycznym" zrozumieniem nie zrobi z niego boha tera... Pokażmy tego potwora w takich barwach, by odwrócił się od niego ze wstrętem nawet przyszłe pokolenia".

Dla wielu poetów i pisarzy, którzy pamiętali procesy mos kiewskie, równało się to z samobójstwem moralnym (*). Jakż zazdrościli oni tym komunistom których nic nie kosztował stwierdzenie, że Rajk — komunistyczny Saint-Just — był zdraj cą. Reakcjoniści triumfowali, oportuniści prześcigali się w pod łości. Tymczasem komuniści szczerzy i ideowi dokonali cudu Uwierzyli — gdyż „Partia nie może się mylić". To były ostatni słowa przed naszym ostatecznym rozstaniem w czerwcu 1949 — ze względu właśnie na sprawę Rajka — mego drogiego przyja ciela, poety Andrzeja Havasa, który był wówczas sekretarzer poselstwa w Paryżu. Odwołany do Węgier po zaaresztowani Rajka, został on natychmiast wrzucony do więzienia i zakatc wany na śmierć. Dowiaduję się teraz że połamano mu wszyst kie zęby. Syn generała Farkasa, Włodzimierz, przodujący sady sta policji, szczał mu w usta (była to — twierdzi się na Wę grzech — ‚specjalność ideologiczna" tego stalinowca). A gd Havas, który nie mógł zrozumieć czego się od niego chce który nie mógł uwierzyć by jego właśni towarzysze mogli g tak potwornie katować, wreszcie zwariował, bito go nadal a

(*) Opowiadano mi że mój przyjaciel Andrzej Nemeth, jeden z na subtelniejszych i najinteligentniejszych spośród tych ludzi, autor świetn książki o Kafce, słuchał radiowych sprawozdań z procesu Rajka ze sten gramem procesu Bucharina w ręku.

do śmierci. Pisarze węgierscy gotują teraz Havasowi narodowy pogrzeb. To ten Havas właśnie mówił mi uparcie, gdy wykazywałem mu punkt po punkcie niezbitą absurdalność zarzutów przeciw Rajkowi : „Partia nie może się mylić. Nic się nie liczy wobec wierności Partii..." Uwierzyli i inni pisarze komuniści — uwierzyli, w sensie samobiczowania. Przystępowali do stalinowskiego misterium, tak jak się wstępuje w oczyszczającą kąpiel, pozostawiając w tyle brudne łachy „burżuazyjnego poczucia winy". Pancerz wiary, tej wiary „quia absurdum", stawał się wówczas oznaką tych pisarzy, różnica pomiędzy nimi, a „tłumem" innych, których oskarżali oni o różne odchylenia — nacjonalistyczne i kosmopolityczne, formalistyczne i naturalistyczne, subiektywne i obiektywne. Poddali się oni całkowicie duchowemu przewództwu Rewaja, głównego Strażnika Praw „sztuki" marksizmu-leninizmu-stalinizmu. Przestano wówczas pisać dla czytelników : pisano dla „Akademia Utca" — siedziby Rewaja. Aby przypodobać się Partii. „Ad maiorem gloriam"... Kłamano... Kłamano nieraz z pewną dozą absurdalnego bohaterstwa...

Aż wreszcie nadszedł dzień w którym okazało się że wszystkie te poświęcenia, cały ten opaczny heroizm z jakim pisarze zniszczyli swe własne sumienia, były nie tylko niepotrzebne, ale nawet szkodliwe. „Oddalibyście większe usługi samej Partii odrzucając kłamstwo, mówiąc prawdę, nie odwracając się od ludu..." — tak im zaczęto mówić w samych kołach partyjnych. Można sobie wyobrazić wściekłość, potworne rozczarowanie, jakie wywołały te słowa pełne zdrowego rozsądku. Oto nagle okryto ich śmiesznością, oto stają się gorzej niż łgarzami — głupcami, którzy uwierzyli w patetyczną misję kapłanów Najwyższej Prawdy, tkwiącej na piedestale złożonym z milionów kłamstw!

Pierwsi odzyskali zmysły mali i zręczni oportuniści o łatwym piórze (nie będę ich wymieniał). Rozpoczęli oni „wyścig do prawdy". Partia żąda krytyki ? Proszę bardzo ! Inni oportuniści, ostrożniejsi, przestrzegali przed nietrwałością „odwilży'. Zerkali w stronę Z.S.S.R., gdzie właśnie zganiono Erenburga za śmiałość...

Tym niemniej „odwilż" przybierała na sile. Zachęceni przez Imre Nagy, pisarze „szli w teren", informowali się o istotnej sytuacji,, zdawali z niej sprawę w wierszach, reportażach, nowelach. Inni wyciągali z szuflady dzieła napisane w okresie terroru.

Formowały się klany. „Stalinowcy", z Sandorem Gergely na czele, protegowani przez Rakosiego, odnaleźli, po krótkim okresie dezorientacji, pewność siebie. Silniejsza jednak była grupa komunistów „reformistów", podtrzymywanych przez „ludowców" itd. Zarząd Partii kilkakrotnie interweniuje w tych kłótniach, doradzając „złoty środek" równie oddalony od „sekciarzy" (tak się nazywa teraz zapamiętałych stalinistów), jak od „drobnomieszczańskiego prawego odchylenia". Z jednej strony Partia gotowa była przyznać pisarzom prawo do „większej wolności", z drugiej strony żądała od nich „bardziej wyostrzonego

poczucia odpowiedzialności". Pisarze byli zatem upoważnieni do pisania z większą niż poprzednio swobodą, pod warunkiem że nie podważali prestiżu Partii, i ukazywali ją w perspektywie „naprawionych błędów".

Ale jak zastosować taki program w praktyce? Jak pokazać na przykład, w pieśni miłosnej, czy w szlochu, niezwyciężony postęp Partii w świetlaną przyszłość? „Nie zastępuje się walki klas miłością" pisał w roku 1952 Rewaj. Zapewne. Ale stąd, jeśli ma się ochotę do płaczu, podejrzenie o pesymizm i burżuazyjną dekadencję jest bliskie. Dla cenzorów z partii, każde osobiste wzruszenie wydaje się podejrzanym odchyleniem. Zresztą czy sama zasada liberalnej cenzury nie jest absurdalna?

Kontratak stalinowskiej biurokracji przybrał znacznie na sile wraz z konsolidacją pozycji Rakosiego, na skutek bezpośredniej interwencji Chruszczowa. Z chwilą usunięcia Imre Nagyego z rządów a potem i z szeregów partii za rzekome odchylenia pisarze reformiści stracili swe główne polityczne oparcie. Partia odzyskała dawną bezczelność i rościła sobie na nowo „bezwzględne prawo do pełnej kontroli nad życiem kulturalnym".

Tym razem jednak ostrzeżenia i groźby trafiają w pustkę. Przyczyna jest prosta : pisarze zrozumieli że „nowa linia" zapoczątkowana przez Chruszczowa nakazuje wprawdzie walkę z odchyleniami, ale zabrania Rakosiemu uciekania się wobec komunistów „opornych" do środków *administracyjnych i policyjnych*. W tej to chwili (maj 1955) Juliusz Hay, Tibor Dery i młody powieściopisarz Tomasz Aczel, laureat nagrody Stalina, zaczynają kierować walką z „intelektualną biurokracją", to znaczy opierają się kontroli życia kulturalnego przez partię. Ich walka przybiera charakter bardziej zacięty we wrześniu 1955, kiedy dochodzą do wiadomości publicznej pierwsze wyniki ankiety prowadzonej w sprawie Rajka, ankiety, którą Partia starała się zresztą sabotować. Dla wielu pisarzy, odkrycie prawdy to znaczy strasznego faktu że *wszystko było kłamstwem* w procesie z roku 1949, jest wielkim wstrząsem. „Uświadamialiśmy sobie nagle że służyliśmy zbrodniczym koncepcjom politycznym, że byliśmy narzędziami oszczerstwa i kłamstwa", pisał Otto Major. „Zapewne, oszukano nas, ale to nie zmniejsza naszej osobistej odpowiedzialności. Niektórzy z nas przeszli wówczas przez załamania nerwowe. Inni nie mogli znaleźć ulgi nawet we łzach, nawet w nerwowym szoku. Męczyli się paroksyzmami złości, wpadali w najczarniejszą rozpacz... Z tego to kryzysu zrodziła się jedność moralna naszych pisarzy, na zasadzie solennego zobowiązania aby już nigdy nie kłamać, aby już nigdy nie służyć celom nieludzkim. Aby mówić prawdę"... („Iroldami Ujsag", 29. 9. 1956).

Ale jaką prawdę? Same słowo ma dla dialektycznych biurokratów dźwięk podejrzany. Prawda jest dla nich zbyt często jednoznaczna z kłamstwem które służy ich interesom (przynajmniej pozornie). I biurokraci zaczynają represje. Poeta proletariacki Beniamin, który ośmiela się krytykować Rakosiego w s

tyrycznym wierszu zostaje najsurowiej prześladowany, usuwa się ze stanowisk ludzi którzy ośmielają się go bronić, zawiesza się czasopisma które wdają się nieostrożnie w dyskusję. Jednocześnie cenzura wstrzymuje druk kilku książek i zdejmuje ze sceny nie tylko sztukę Haya, ale również klasyczny dramat narodowy Madacha o upadku rewolucji 1848 roku.

Ale ta fala represji, którą montuje Rakosi, powoduje tym razem prawdziwy bunt. Na zebraniu zarządu Związku Pisarzy (10. 11. 1955) wybucha skandal. Sześciu członków zarządu i trzech członków sekretariatu (wszyscy komuniści) odmawiają kooperacji ze stalinistą Tamasem i zgłaszają dymisję. Jeden z nich, Tibor Dery, pisze jednocześnie memorandum do Komitetu Centralnego, podpisane przez większość kolegów. Protestuje on tam przeciw „pogwałceniu autonomii Związku" i przeciw wtrącaniu się władz do życia literackiego i kulturalnego. Memorandum wyraża jednocześnie solidarność z dziennikarzami z redakcji „Szabad Nep", wyrzuconymi na skutek ich dążeń do reform, i wypowiada się za „całkowitym zerwaniem z metodami antydemokratycznymi, obowiązującymi obecnie, które paraliżują życie kulturalne i niszczą autorytet i wpływ partii".

Tymczasem przychodzi XX Kongres i obalenie, częściowo publiczne, częściowo tajne, kultu „Big Brothera", terroru i autokracji. Całe Węgry — z pisarzami na czele — interpretują rezolucje kongresu jako potępienie Rakosiego, usprawiedliwienie Imre Nagy i zachętę — z najwyższych źródeł — do uzdrowienia życia publicznego poprzez realistyczną ocenę rzeczywistości, do demokratyzacji.

Od tej chwili walka pisarzy przeciw cenzurze przekształca się w szerszą walkę przeciw dyktaturze: „Partia musi się wytłumaczyć przed narodem"... Kiedy Rakosi próbuje zadusić destalinizację w zarodku, pisarze reagują bardzo ostro. Rakosi rehabilituje Rajka po raz pierwszy mimochodem, między dwoma zdaniami o sytuacji gospodarczej, zrzucając całą odpowiedzialność za proces z 1949 roku na węgierskiego pod-Berię, Gabor Petera. Pisarz Sandor Lukacsy wstaje wtedy na zebraniu Związku i krzyczy: „to oświadczenie jest godne Judasza!" Kilku stalinistów protestuje. Zamieszanie i zgiełk wzrasta do tego stopnia, że przedstawiciel centralnego komitetu Bela Szalai, który przewodniczy zebraniu, każe ewakuować salę.

W trzy dni później, pisarze zbierają się ponownie. Przedstawiciel komitetu centralnego, Horvath, zawiadamia o wykluczeniu z Partii Lukacsa za obrazę Rakosiego. Pisarze gwałtownie protestują, wśród nich prezes związku Peter Veres. Horvath w imieniu Partii proponuje wybór na stanowisko sekretarza Związku Csabaja, mało znanego pisarza. Propozycja ta jest odrzucona stoma głosami przeciw trzem. A Tomasz Aczel — jedyny Węgier laureat nagrody Stalina — wyraża „całkowitą nieufność inteligencji węgierskiej do Rakosiego" — i żąda jego dymisji.

Zaczynają się zebrania w Klubie Petöfi, w których uczest-

niczą pisarze opozycyjni. Artykuły w ,,Gazecie Literackiej' prz bierają wciąż na sile. 5 maja Juliusz Hay pisze że staliniz ,,zatruł całą naszą literaturę''... ,,Nadszedł czas powrotu prawdy, do prawdy uniwersalnej, bezwarunkowej, głębokiej, ... W sukurs Hayowi przychodzi największy żyjący filozof mar sistowski, Georg Lukacs, protestując przeciw ,,dogmatyzmow stalinowskiemu.

Ale co fascynuje kraj, i co stanowi o prestiżu opozycyjny pisarzy, to nietyle treść ich wypowiedzi, co ich odwaga wob władz. Dery i jego przyjaciele są rzeczywiście pierwszymi lud mi którzy na Węgrzech po długich latach zachowywali się t jakby się niczego nie bali — którzy mówili *jak wolni ludzi* A przecież Rakosi był jeszcze u władzy, z nietkniętym policyjny aparatem, kierowanym przez kata Farkasa. ,,Obiektywne w runki'' strachu istniały nadal. A jednak Dery i jego przyjacie ignorowali je celowo. Pisarze mówili głośno to co wszyscy w dzieli od dawna. Ale przez to samo rzeczywistość przestała b niema. Posłannictwo pisarzy przenikało do coraz szerszych kr gów społeczeństwa. Zebrania w klubie Petöfi stawały się cor bardziej burzliwe. 27 czerwca wzięło udział w zebraniu klub przeszło 2.000 osób. Zebranie przerodziło się niemal w bun Przedstawiciele komitetu centralnego musieli uciekać przed gro nym tłumem. Ulica budapeszteńska pełna była wzburzonych lud przez całą noc.

Rakosi dokonał wówczas ostatniej próby utrzymania s u władzy. Zwołał zebranie Komitetu Centralnego i przeforsow na jego członkach wniosek nagany przeciw ,,agitatorom''. De i Tardos, uznani za ,,odpowiedzialnych'' zostali wyklucze z Partii. Innych ukarano dyscyplinarnie. Rakosi wysłał równi agitatorów do wszystkich węgierskich fabryk. Mieli oni za z danie przedstawienie robotnikom opozycyjnych pisarzy i intelel tualistów jako reakcjonistów, jako ,,agentów burżuazji, dąż cych do przywrócenia kapitalizmu''. Nie po raz pierwszy star się Rakosi wyzyskać w ten sposób tradycyjną niechęć prolet riatu do inteligencji, przedstawiając się jako ,,obrońca robotn ków''. Ale tym razem manewr nie wyszedł. Echa żądań pisarz doszły nawet do fabryk. Robotnicy zażądali aby im przedst wiono tekst przemówień Deryego i Tardosa... W ten sposób n potrafił Rakosi przygotować odpowiedniego terenu do ostatni policyjnej represji którą zamierzał zastosować. Tym bardziej ż Kreml radził mu umiarkowanie (wizyta Mikojana i Susłowa). 1 września Rakosi zmuszony jest do dymisji i rząd partii obe mują staliniści którzy go zdradzili (Gero), wraz z słabszym ,,zrehabilitowanymi titowcami''.

Powracamy teraz do Zjazdu pisarzy. Istotnie, pisarze od rzucili rady Kallaja, dyrektora spraw kulturalnych w nowym zarządzie partii, który polecał im ,,zająć się pisaniem dobryc książek''. Sekretarz Związku odpowiedział mu w imieniu pisarz że interwencja w sprawach politycznych jest, zwłaszcza w obec nej chwili, nie tylko prawem, ale obowiązkiem pisarzy...

W przeddzień zjazdu, 8 września 1956, Juliusz Hay ogłosił w „Iroldami Ujsag' credo pisarzy, żądających pełnej wolności w literaturze :

„Tak, żądamy całkowitej wolności literatury. Wolności najzupełniejszej, najbardziej nieograniczonej, jaką można sobie wyobrazić wśród ludzi żyjących w cywilizowanym społeczeństwie. To znaczy, że nie chcemy aby było zabronione pisarzowi cokolwiek co nie jest prawami państwa zabronione wszystkim obywatelom. Oczywiście, pisarz, tak jak każdy obywatel, nie może być upoważniony do nawoływania do zbrodni, do pożaru, do kradzieży, do obalenia republiki, do prześladowań rasowych. ...Ale musi on mieć prawo (tak jak i każdy obywatel) do mówienia prawdy bez żadnego ograniczenia; do krytykowania kogokolwiek i czegokolwiek mu się podoba. Pisarz musi mieć prawo do melancholii i smutku; do zakochania; do myśli o śmierci; do wiary w Boga Wszechmogącego; do niewiary w Boga; do wyrażania wątpliwości co do statystyk oficjalnych; do niemarksistowskiego myślenia; do marksistowskiego myślenia, nawet jeśli ta myśl daje wyniki niezgodne z oficjalnym punktem widzenia; do widzenia ruin domów których nikt nie naprawia, do kochania Zakładów Stalina, lub do ich niekochania; do obrony ludzkości nawet w wypadkach, w których mniej wrażliwe sumienia nie widzą nic nieludzkiego; do oryginalnego i własnego stylu..."

Komunista Hay i wszyscy komunistyczni pisarze węgierscy którzy biorą udział w tej dyskusji żądają wolności nie tylko dla siebie, ale również i dla niemarksistów : „dla spirytualistów, katolików, anarchistów, indywidualistów, formalistów, pesymistów, dekadentów, nacjonalistów..." Zapytani o przyczyny tak szerokiego liberalizmu, odpowiadają oni : „Pomagając biurokratom z partii nałożyć kaganiec na pisarzy niemarksistowskich, gotowaliśmy sobie naszą własną niewolę". I dalej : „Poddając się duchowemu przewództwu sekretariatu partii, daliśmy się zawieźć na drogę kłamstwa... ale drogo zapłaciliśmy za to kłamstwo, widząc jak obniża się poziom naszych dzieł i jak daleko oddalamy się od samych zasad marksizmu-leninizmu".

To właśnie żądanie moralnego oczyszczenia socjalizmu tkwi u sedna obecnego buntu literackiego na Węgrzech. Chodzi o demifistyfikację, o odkłamanie życia publicznego. I to siła tego wymagania moralnego sprawia że „destalinizacja" nie jest manewrem taktycznym, mającym na celu zyskanie na czasie (czym miała być początkowo w oczach wielu „aparatczyków"), ale płodnym kryzysem ideologicznym, pierwszym symptomem tej wielkiej Reformy socjalizmu, którą uważałem za nieuniknioną od roku 1949. „Kłamstwo, fikcja, mit, są przeciwieństwem zasad moralnych i warunków życiowych socjalizmu. Prawda jest tle-

nem bez którego nie może on żyć...", pisałem wówczas w „E prit" we wnioskach mego studium o procesie Rajka.

Moralny bunt lewicowych pisarzy węgierskich — podobni jak równie ważne i charakterystyczne dążenie polskich pisar i intelektualistów do wolności — wydaje się usprawiedliwiać optymistyczne przewidywanie, dokonane w chwili gdy socjaliz wschodni wydawał się wpadać coraz głębiej w przepaść nielud kiego terroru fizycznego i intelektualnego. Tragiczni pogrobo cy, ocaleli z ruin tylu fałszów, tylu bezużytecznych poświęce lewicowi intelektualiści krajów Europy środkowo-wschodni znajdują się obecnie przed olbrzymim zadaniem: przemyślen na nowo socjalizmu, w świetle jego zdobyczy i jego klęs uwzględniając straszliwe szkody dokonane przez stalinizm, p dobnie jak i postęp techniczny i naukowy ostatnich dziesiątkó lat; przywrócenia socjalizmowi szczodrych i humanistycznych z sad moralnych, które staliniści zlikwidowali doszczętnie.

François FEJTÖ

(Tłumaczył K.A. JELEŃSKI.)

Perspektywy dialogu

I

Jakie są perspektywy przejścia dialogu między emigracją a Krajem z wymiany myśli w listach i prywatnych rozmowach do publicznej dyskusji w druku? Utrzymanie i rozwinięcie pierwszych nieśmiałych prób, jakie się dziś pojawiają, zależy od trzeźwego stanowiska obu stron i wyswobodzenia się z więzi frazesów. Na emigracji trzeba zrozumieć i docenić jak ważne jest bezpośrednie dotarcie do krajowego czytelnika. Wśród publicystów i pisarzy krajowych konieczne zaś jest zdanie sobie sprawy z jak daleko idącymi zastrzeżeniami ocenia się zakres uzyskanej przez nich swobody krytyki, jeżeli równocześnie z dyskusją o wolności poczta wyłapuje z przesyłek czasopisma emigracyjne i książki zagraniczne. Po obu stronach te dwie charakterystyczne obawy, obawa przed konfrontacją emigracyjnego słowa z krajową rzeczywistością i reakcją krajowego czytelnika, oraz obawa przed usłyszeniem zarzutów, wypowiadanych bez jakiejkolwiek reżyserii, wstępnych pouczeń, bez jakiegokolwiek ubezpieczenia, są wskazówkami ukrytej wewnętrznej słabości.

Kto bowiem na emigracji zasadniczo odrzuca możliwość drukowania w kraju, często ulega niepokojom, że ten kontakt może okazać się na dłuższą metę bardzo trudnym egzaminem dla literatury powstającej poza krajem. Znamienne że najgłośniej protestują ci, co mają najmniej do powiedzenia, podczas kiedy pisarze o żywym dorobku, nie ustający w pracy literackiej, spokojnie rozważają nową sytuację szukając dla niej najwłaściwszych rozwiązań. W kraju znów wszelkie krępowanie kontaktu z Zachodem jest robotą ludzi o skompromitowanej w oczach społeczeństwa karcie moralnej i politycznej; ci zagradzają drogę paryskim i londyńskim periodykom w języku polskim aby „rewolucja w rewolucji" miała dostatecznie płytkie dno: pogłębienie może grozić utonięciem.

Ostatnie fakty i reakcje obu środowisk powinny zarysow linię wyjściową powstającej dzisiaj „sytuacji dialogu". Do fa tów, przed paru laty zgoła nie przewidywanych, należą zap wiedzi ukazania się w Polsce książek Kossak-Szczuckiej, Kun wiczowej, Gombrowicza, Parnickiego, Wańkowicza. Jeżeli nie zahamuje dalszego rozwoju „sytuacji dialogu", trzeba spodziewać rozszerzenia tej listy, choćby dlatego że nie się dokonać wznowień najważniejszych pozycji literatury okre 1918-1939 bez zwrócenia się do autorów od wielu lat przebyw jących na emigracji. Pisarze, którzy zgodzili się na przedru będą mieli prawo oczekiwać że również i dalsze ich ksią pojawiają się w wydaniu krajowym i wydaniu emigracyjny tym bardziej że pominięcie jakiegoś tomu przez wydawnict państwowe w kraju od razu zwróciłoby uwagę czytelnik i świata literackiego. Oto jedna perspektywa, perspektywa w sadzie pomyślna, ale uzależniona od wielu warunków nieodzo nych dla takiego obrotu sprawy.

II

O warunkach tych wiele się mówi, ale nie stworzono jeszcze w kraju, gdzie, jak dotąd, skromna tylko część śro wiska literackiego zaczyna domagać się zaprowadzenia w t zakresie jakiegoś ludzkiego porządku na miejsce dotychcza wych absurdów. Za to z naszej strony w sprawie drukowa w kraju nagromadzono masę dziwacznych argumentów i wp wadzono tyle względów, które wzajemnie się wyłączają.

Najgorszą drogą jest zastępowanie wyczerpującej dysku przez tradycyjny środek emigracyjny na wszelkie trudnoś przez demonstrację, przez gromkie uchwały, zakazy i naka W chwili gdy bieżący zeszyt „Kultury" dojdzie do rąk czyt ników, niewątpliwie wystąpi z różnymi oświadczeniami zja Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, zwołany na począ listopada. Przygotowanie tekstu uchwał powierzono specjal komisji, powołanej przez zarząd Związku i złożonej z ludzi, prezentujących wyłącznie jeden punkt widzenia. Bez względu to, jak odniesie się do tych projektów londyńskie zebranie sarzy, sam pomysł tworzenia komisji, o dowolnie dobran składzie, działającej poza zasięgiem walnego zebrania, nie świ czy dobrze o stosunkach w miejscowym środowisku literack

Najciaśniejszym stanowiskiem jest powoływanie się na u wałę tegoż Związku Pisarzy, powziętą w 1947 roku i twierd nie że załatwiła ona sprawę raz na zawsze aż do bliżej określonego zjawiska, o którym się mówi jako o „odzyska przez Polskę niepodległości". Uchwała ta przeciwstawiła wszelkim próbom udzielania zgody na druk utworów w kra Bilans wystąpienia był niefortunny i skutki przestrzegają pr nieprzemyślanym powtarzaniem podobnych akcji. Dyskretnie przypomina się dzisiaj, jak nikła liczba członków podpisała apel i ile wywołał on głosów protestu na emigracji,

źle został przyjęty w kraju. Ówczesna demonstracja stanowiła błąd psychologiczny wobec literatury krajowej, w stosunku do przyszłości oparła się na naiwnych przewidywaniach politycznych, w stosunku do położenia z 1947 roku była przeoczeniem możliwości, jakie jeszcze przez krótki czas miały istnieć. W dwa lata później przyszedł zjazd szczeciński, zamykanie pism literackich powstałych po wojnie i likwidowanie wszelkich niepaństwowych zakładów wydawniczych. Wtedy okazało się, że przepuszczono ostatnią — na długo — sposobność bezpośredniego kontaktu kulturalnego z krajem. Jest w tym lekcja aby w naszych warunkach programy maksymalne nie doprowadzały do lekceważenia ograniczonych, ale praktycznych możliwości. Całe życie można czekać na królestwo niebieskie, lecz nie można w pracy kulturalnej, społecznej, politycznej całego życia przeczekiwać. Odczuwa to bardzo ostro akurat nie najstarsze, lecz najmłodsze pokolenia emigracyjne, mając ciągle przed oczyma sytuację starszych od nich ludzi pióra.

Powoływanie się, przy dzisiejszym tempie wydarzeń, na decyzję sprzed dziewięciu laty, jest szkodliwym passeizmem.

Pomysły zresztą jakichkolwiek demonstracyjnych uchwał w tych sprawach budzą obawy, że w Związku Pisarzy istnieją tendencje przekroczenia naturalnego zakresu zadań stowarzyszenia zawodowego. Byłyby to niezdrowe i nieuzasadnione ambicje, grożące odsłonięciem zbliżania się i tej emigracyjnej organizacji do świata fikcji, w jaką ześlizgnęły się już formy naszego życia politycznego. Oto bowiem krótka lista autorów nie należących do Związku : Z. Kossak-Szczucka, M. Kuncewiczowa, A. Bobkowski, J. Czapski, W. Gombrowicz, Zb. Grabowski, Cz. Miłosz, M. Pankowski, J. Pietrkiewicz, J. Mackiewicz i T. Parnicki nie utrzymują ze Związkiem kontaktu, St. Balińskiego od bardzo dawna nie widać na posiedzeniach literackich, nie bierze też udziału w wieczorach Związku. Oddział amerykański jest martwą fikcją, w praktyce ustała też współpraca między Związkiem a pisarzami którzy wyjechali z Londynu do Monachium; grupy polskich autorów w Ameryce Poł. czy Australii istnieją zupełnie odrębnie. Tak więc Związek, mający siedzibę w Londynie, od dość dawna jest tylko miejscowym — potrzebnym zresztą i lubianym — klubem literackim, byłoby jednak przesadą gdyby chciał przemawiać w imieniu literatury emigracyjnej.

Wymienieni wyżej pisarze stanowią — chyba łatwo się z tym zgodzimy — wcale niezły dobór nazwisk ze współczesnej literatury polskiej. Jakie może być praktyczne znaczenie uchwał, wykraczających poza wewnętrzne sprawy organizacyjne, gdy zapadają one bez udziału czołowych przedstawicieli piśmiennictwa; jeżeli o piśmiennictwie chce decydować tak zwana ,,większość'' powstająca z pobłażliwego objęcia tytułem pisarza i członka Związku ludzi bez jednego poematu, bez jednej powieści, bez jednego większego studium krytycznego.

Póki pora trzeba umieć wyciągnąć wnioski z losów niedoszłego Kongresu Kultury. Popierał go liczny zespół literackich

i naukowych organizacji o pięknych nazwach. Mimo to Kong
się nie odbył, ponieważ okazało się, że ci, którzy na nim miel
naprawdę coś do powiedzenia, albo znajdują się poza orga
zacją, albo też są odsuwani od czynnej roli przez komitety, wy
nione z tych stowarzyszeń. Podobnie dzieje się ze z góry pr
gotowanymi rezolucjami w sprawach wymagających troskli
analizy : zamierzony Kongres, ,,kongres w przedpłacie'', nie
szedł do skutku kiedy zorientowano się, że, pomimo prób zam
nienia go w sejm kultury polskiej na emigracji o gwarantowa
jednomyślności, zatwierdzający dekrety komitetu organizacyj
go, mógł zamienć isię w forum dyskusyjne.

III

Co innego demonstracje, co innego rzeczowe dyskutowa
niełatwego zagadnienia. Co innego kontrolowanie działalno
literackiej według biurokratycznych wzorów, a co innego dob
wolne porozumienie i próba wspólnego określenia stanowis
z zastrzeżeniem ,,rebus sic stantibus''.

Temat zgody na przedruki w kraju omawiają przede wszy
kim, poza wyrażonym już stanowiskiem zespołu ,,Kultury
felietony Pandory, ogłaszane w londyńskich ,,Wiadomościach
,,Orzeł Biały'', ,,Życie'' i pismo grupy polskich studentów i
solwentów ,,Merkuriusz'.

Wydaje się, że dla oczyszczenia tematu trzeba z nie
przede wszystkim wyłączyć pewne pojęcia mityczne. Przece
się mianowicie czysto osobistą pozycję pisarza na emigrac
przypisując jego decyzjom niezwykły wpływ na decyzje inny
Popularność nazwiska wiąże się na emigracji o wiele bardz
z publicystyką niż z literaturą w ściślejszym pojęciu tego słow
Powrót Mackiewicza nikogo za sobą nie pociągnął. Nie ro
miem też dlaczego ogłoszenie w kraju rzeczy napisanych na e
gracji miałoby emigrację rozłamać lub zgoła zniszczyć, g
będą na przykład zachowane warunki sprecyzowane przez ,,K
turę''. Równie mityczna jest perspektywa ,,kupienia'' pisa
emigracyjnych, bo tak trzeba nazwać po imieniu insynuacje w
suwane w niektórych polemikach. Nie łatwo pojąć, jak równ
cześnie potrafi się przywiązywać tyle wagi do istnienia literatu
emigracyjnej, nadawać jej tak sztandarową rolę, a zaraz
twierdzić że byle pokazano 400 funtów angielskich pisarze b
pochopnie zmieniać poglądy i odkrywać demokrację tam, gd
jej dotychczas nie widzieli. Jest coś obrzydliwego w przypu
czeniu że pieniądze w ogóle mogą lekko przekreślać pamięć l
spędzonych z konieczności, a nie z upodobania, w gory
i tęsknocie odcięcia od najbliższej ziemi i najbliższych ludzi. Z
pełną legendą są dla mnie owe niezwykłe honoraria, o jak
wspomina Pandora, które ,,byłyby ponętne nawet dla znan
pisarzy angielskich czy francuskich''.

W Polsce przeciętne honorarium za obszerną powieść wyn

około 40-45.000 złotych, co równa się wynagrodzeniu 4.000 zł. miesięcznie, czyli mniej więcej pensji reżysera dobrego teatru. Utrzymanie się na tym zgoła zresztą niezawrotnym poziomie materialnym wymagałoby pisania co roku jednej powieści. Rzecz rzadka i niełatwa. W angielskich warunkach życia 400 funtów, przy podobnym założeniu prawie taśmowej produkcji powieściowej ,,co rok — prorok'', zapewnia dochód miesięczny równy płacy średniej stenotypistki. Człowiek, utrzymujący rodzinę, nie będzie poważnie brał pod uwagę takiej sumy jako całkowitego możliwego dochodu. Doprawdy, trzeba powiedzieć pod adresem insynuacji — nie byłoby się na co łakomić. Każdy przy tym zdaje sobie sprawę, że w razie przyjęcia honorarium w dewizach, autor emigracyjny utraciłby skromne dorywcze zarobki literackie.

Oczywiście zawsze pozostaje mu jakakolwiek praca zawodowa i uzupełnianie jej dochodów honorarium z kraju. W tym jednak wypadku autor nie zmienia swej sytuacji, nie usuwa swej podstawowej trudności : obciążenia inną pracą poza pisarstwem. Co najwyżej podnosi wysokość dodatkowego zarobku z racji honorariów. Doprawdy, jeżeli już ma się mierzyć sprawę drukowania w kraju i wrażliwość sumienia pisarza w pieniądzach, a nie w lepszych kategoriach, gra nie warta świeczki. Pobocznie trzeba zanotować, że wskutek zacietrzewienia, jakie otacza to zagadnienie, mogą się znaleźć instytucje cofające swą pomoc pisarzowi nawet i w razie jego bezinteresownej zgody na przedruk w kraju.

IV

Zasadnicze zarzuty przeciw jakimkolwiek formom zgody na druk w kraju można tak uporządkować :

1) ,,Odwilż'' jest odprężeniem jakie nastąpiło na komendę i w ślad za zmianami politycznymi na Kremlu. ,,Odwilż'' w Polsce jest więc tylko echem ,,odwilży'' w Rosji i może się skończyć wraz ze zmianą koniunktury międzynarodowej i powrotem do metod ,,zimnej wojny''. Korzystanie z ,,odwilży'' jest zatem pośrednim współdziałaniem z celami polityki sowieckiej.

2) Akcję drukowania i przedrukowywania utworów emigracyjnych prowadzi się za zgodą rządu. Tym samym jest to akcja planowo perfidna, jest to ,,operacja dywersyjna''.

3) ,,Jeżeli takim skutecznym narzędziem w walce o demokrację w Polsce ma być książka emigracyjna, to dlaczego właśnie komuniści wysilają się, aby książkę pozyskać'' (Pandora).

4) Teza iż pisarz emigracyjny, drukując w kraju, skompromituje politykę zachodnią. Według J. Łobodowskiego (,,Orzeł Biały'') idzie w tym zabiegu politycznym ,,o dowiedzenie pisarzom krajowym, że jeżeli pisarze emigracyjni po jedenastu latach zdecydowali się drukować w kraju, widać doszli oni do przekonania, że od Zachodu niczego nie można się spodziewać''.

5) Teza Pandory z ,,Wiadomości'', iż ,,pisarzom, korzysta-

jącym z przywileju dopuszczenia ich książek do kraju grozi uz- leżnienie od administracji warszawskiej''.

Zjawisko ,,odwilży'' w stosunku do metod reakcyjnych mo- liwe jest tam, gdzie zdecyduje się na to czynnik rządzący i gd społeczeństwo ma dość siły i odwagi, aby tę ,,odwilż'' p chwycić, opanować, w całej pełni wykorzystywać i rozszerz Traktowanie ,,odwilży'' jako automatycznego wykonywania ,,z zwoleń'' jest nieporozumieniem. By się o tym przekonać, starc porównać sytuację w Polsce i sytuację w Czechosłowacji. O R munii i Bułgarii, w kontekście polsko-węgierskim, niemal n warto wspominać.

Absurdem jest oczekiwać aby w świecie kierowanym prz Związek Sowiecki w jakiś inny sposób dochodziło do ,,odwilży w odmiennych bowiem okolicznościach musiałby to być ruch r wolucyjny, nie zaś zjawisko stopniowego poddawania krytyce c raz szerszej sfery dotychczasowego komunistycznego dogma i komunistycznej praktyki. Nie wiele jest sensu w oczekiwan na przewrót, który stłumią tanki i samoloty, jeżeli ,,odwilż'' n ustannie posuwa sprawy naprzód, nie wywołując kataklizmu ja dla Polski skończyłby się nową katastrofą.

Nawet przyjmując, że ,,odwilż'' jest wyłącznie manewre politycznym a nie skutkiem głębokich przyczyn, trzeba równ cześnie pamiętać, iż nie ma manewru nie wymykającego się pewnym czasie z rąk jego inicjatorów. Że tak właśnie się dzie świadczą o tym nie tylko zajścia poznańskie, ale cały przebi procesów w Poznaniu. To znów jest wymowną ilustracją o charakterze i skutkach ,,odwilży'' nie decyduje tylko na przy ład udzielenie swobody słowa obrońcom na sali sądowej, le i odwaga skorzystania z tego niebezpiecznego przywileju, nastr sali, nastrój obrony, a w końcu i napór rzeczywistości na nastr je kompletu sądzącego. Bierny stosunek do ,,odwilży' pozost wia ewentualny manewr całkowicie w rękach drugiej stron czynna polityka, korzystanie z realnych sposobności wpływa charakter manewru — czyni go sprawą dwustronną.

Rzecz jasna że ,,odwilż'' polska zależy od układu międz narodowego, każda następna polska sytuacja również będzie niego zależna. Tylko polityka instytucji emigracyjnych może c bywać się na księżycu.

Drugie główne zastrzeżenie opiera się na równie nierealn stosunku do realnego zjawiska, jak pierwszy zarzut. Dopóki P ską włada rząd, będący ciągłością władz wyłonionych przez r rzuconą krajowi obcą postać rewolucji, dopóty akcje zagranicz muszą odbywać się za jego zgodą. Inaczej może dziać się w łącznie przy całkowitym upadku obecnego ustroju, tutaj więc gadnienie sprowadza się do biernego wyczekiwania na kon rewolucję albo też do oddziaływania, w miarę możności, przekształcanie się rewolucji w bardziej strawne formy. Wyb między bezczynnością a aktywnością nie powinien być trudny.

Obawy, że wskutek tego nastąpi ,,rozłożenie emigracji'', że będzie to skuteczna ,,operacja dywersyjna'', wynikają chyba z braku wiary w szczerość i siłę demokratycznych przekonań pisarzy emigracyjnych. A należą do tych samych argumentów, co pospieszne wynajdywanie ofiar rzekomego przekupstwa. Albo emigracja jest społeczeństwem o ideologii demokratycznej i humanistycznej i wówczas nie zatraci rozróżnienia między całkowitym a częściowym spełnieniem słusznych postulatów, albo też nie posiada trzonu ideowego i wówczas nic nie pomogą ani ostrzegawcze artykuły ani gromkie uchwały. Pisanie o ,,operacji *dywersyjnej''* wyrasta z poczucia własnej słabości, z poczucia jak nikłe oparcie pisarz posiada w swym własnym, emigracyjnym społeczeństwie. Gdybyśmy mieli poważny dom wydawniczy, własny Fundusz Kultury Polskiej, ,,dywersja'' nie wywoływałaby obaw. Mówić o ,,dywersji', to przyznawać się do lęku, że pewnego dnia pisarz odwróci się w końcu plecami do społeczeństwa, które w stosunku do niego dawno to już zrobiło. Ale robienie strachu o wielkich oczach nic nie pomoże, trzeba zmienić zasadniczą sytuację literatury emigracyjnej bez poddawania się panice iż pisarze ulegną rzekomym ,,wielkim honorariom'', zanim taka zmiana zacznie przynosić owoce.

Uwaga Pandory, że to właśnie komuniści wysilają się aby pozyskać książkę emigracyjną, prowadzi do błędnego koła. Przy obecnych rządach wszystkie instytucje mają piętno oficjalne, co niektórych doprowadza do widzenia w każdym ,,agenta reżymu''. Takim ,,agentem reżymu'' jest w końcu pierwszy lepszy tramwajarz, a już tym bardziej każdy wyjeżdżający zagranicę za urzędowo przydzielone dewizy, gdyż innych możliwości wyjazdu nie ma. Można zatem albo cieszyć się z odnowienia kontaktów społeczeństwa polskiego z Zachodem, albo też martwić się zalewem ,,agentów'' na Zachodzie. Książka emigracyjna albo jest książką dobrą i pożądaną, albo złą i niepotrzebną. Jeżeli pierwsze jest słuszne, nie posiada decydującego znaczenia sprawa, kto ją sprowadza : kupując książkę nie pytamy księgarza o świadectwo moralności.

W sytuacji istniejącej obecnie w kraju jest publiczną tajemnicą istnienie wewnątrz partii kilku odrębnych grup i ścieranie się wpływów socjalistycznych z grupą stalinowskiej ortodoksji, wpływów młodszego pokolenia, zainteresowanego eksperymentem Tity i szukającego dla niego odrębnych polskich form, z pokoleniem tych, co posłuszeństwem ocalili się z rozbijanej przez Stalina KPP. Nie wszyscy życzą sobie w równym stopniu wprowadzenia na rynek krajowy twórczości emigracyjnej, a z pewnością różni ludzie wiążą z tym różne nadzieje. Rzeczy byłyby zbyt proste gdyby obecną rewizję stosunku do emigracji i do pisarstwa emigracyjnego uważać wyłącznie za manewr dywersyjny. Gdy jedni chcą podać rękę, aby przeciągnąć człowieka przez pewną moralną linię graniczną, inni chcą ją podać by mocno uścisnąć dłoń drugiego Polaka.

Niesmaczne nonsensy, wypisywane stale przez pisemk
,,Kraj'', naiwne jego wulgaryzacje, nie powinny być jedyną le
turą; od pewnego czasu w ,,Nowej Kulturze'' można wyczyt
między wierszami i już nawet między słowami, że obie literatur
emigracyjna i krajowa, w odmienny sposób padły ofiarami wi
kiej katastrofy kulturalnej i politycznej. Stanowisko Pando
prowadzi do konsekwentnego odmówienia wszelkich form druk
w kraju, dopóki nie nastąpi radykalna zmiana ustroju. Ta kra
cowa postawa może równać się: *a*) odkładaniu bezpośrednieg
przemawiania pisarza do czytelnika krajowego poza granice ż
cia obecnego starszego i średniego pokolenia; *b*) odrzuceniu k
rzystania z dokonywujących się tymczasem stopniowych zmia
ustrojowych, z uchylenia drzwi, które chcielibyśmy widzieć sz
roko otwarte.

Maksymalne programy gubią skromniejsze, które nie wył
czają powrotu do uzasadnionych zwiększonych wymagań. Nie m
powodu rezygnowania z druku poezji czy pięknej powieści hist
rycznej, dlatego że ,,Czytelnik'' będzie wydawać jedynie ta
zwane ,,bezpieczne'' pozycje. Oczekiwanie od ,,Czytelnika'' p
pularyzowania książki Herlinga-Grudzińskiego o Rosji, to bra
trzeźwego sądu, aczkolwiek nie jest zupełnym nieprawdopodo
bieństwem, że kiedyś książka ta może być uznana za pożyteczn
dokument, informujący o zbrodniach epoki stalinowskiej. Rzec
w tym, aby czytelnicy w kraju zdawali sobie sprawę, że to c
otrzymują, lub otrzymają w najbliższej przyszłości, nie jes
całością literatury emigracyjnej. Dopiero w tego rodzaju p
myłce tkwi prawdziwe niebezpipeczeństwo deformacji.

Lecz tu znów przeświadczenie o absolutnej realności takieg
niebezpieczeństwa musi się opierać na przekonaniu o niezwykł
naiwności ludzi w kraju. Przesłanka jest fałszywa, społeczeństw
krajowe nie jest naiwne. Ani nie będzie skłonne sądzić iż ,,Czy
telnik'' publikuje całość literatury emigracyjnej, ani że książk
wydana za numerem pozwolenia cenzury jest wszystkim, co m
mu do powiedzenia pisarz pracujący w bardzo odmiennych wa
runkach. Poza drukiem istnieją przecież radiowe środki infor
macji, środowisko zaś literackie i tak jest dostatecznie dobrz
poinformowane o losie, trudach i wynikach trudów swoich ko
legów emigracyjnych. Nie ma więc zasadniczego powodu porzu
cania części w imię otrzymania całości. Zwłaszcza że każdy war
tościowy utwór literacki emigranta, ogłoszony w kraju, będzi
dowodnie wykazywać jak fałszywe były twierdzenia o rozkładzi
i zmarnowaniu literatury na emigracji, o ogólnym ,,zmywani
talerzy''.

Łobodowski niepotrzebnie martwi się, że drukowanie w kra
ju skompromituje w oczach społeczeństwa politykę zachodnią
oby nie przeżywała ona większych kompromitacji! W chwyci
Łobodowskiego odkrywa się jeden więcej przykład rozumowani
nie liczącego się z naszymi interesami w imię utrzymania fikc
dogodnych dla innych. Jeżeli polityka Zachodu jest świadoma

celowa, silna, stale uwzględnia rolę narodów środkowo-europejskich, przedruki krajowe mogą być w sensie politycznym tłumaczone jedynie jako wyraz ustępstw miejscowego systemu i jako dokumenty dostatecznej opieki, jaką Zachód otoczył intelektualistów emigracyjnych, pozwalając im na spokojną pracę literacką. Jeżeli zaś polityka Zachodu nic nie potrafi przynieść Polsce czy Czechom, nie uratuje jej opinii odmowa druku do kraju. Takim samym — według rozumowania Łobodowskiego okazaniem ,,przekonania'', że od Zachodu niczego nie można się spodziewać, jest zabranie głosu przez pisarzy krajowych, milczących lub zmuszonych do milczenia od wielu lat. Ukazanie pierwszego po wojnie tomu opowiadań Dąbrowskiej, i to dopiero w 1955 roku, o wiele bardziej ktoś mógł sobie tłumaczyć w taki właśnie sposób, aniżeli ewentualne pojawienie się zbiorowego tomu poezji młodych poetów emigracyjnych, poprzedzonego informacją że na ogół kończyli oni studia za angielskie stypendia państwowe. Gdyby zaś od polityki Zachodu naprawdę nie można niczego się spodziewać, czemużby Łobodowski chciał ten fakt osłaniać? Miejmy nadzieję, że nie doszło do tej ostateczności, gdyby jednak bankructwo polityki zachodniej wobec Europy Środkowej było faktem, interes narodowy kazałby go wyraźnie stwierdzić.

V

,,Kultura'', przyjmując w zasadzie możliwość druku w kraju, największy nacisk położyła na zachowanie przez pisarzy niezależności materialnej od ogłaszania swych prac w Polsce. Nie sposób nie zgodzić się z tymi wszystkimi, którzy uważają to za najtrudniejsze do przeprowadzenia, za najbardziej złożoną praktyczną stronę sprawy.

Osobiście nie ulegam legendzie złotego deszczu jaki miałby rzekomo spaść na autorów emigracyjnych. Honoraria, obecnie proponowane, nie zapewniłyby im na dłuższą metę minimum utrzymania, a przy następnych wydaniach oferty byłyby zapewne skromniejsze. O wiele istotniejszym względem jest prawdopodobieństwo stworzenia w taki sposób kategorii uprzywilejowanej politycznie w stosunku do pisarzy w kraju, gdyż przebywającej na koszt społeczeństwa poza trudnościami życia krajowego, a przecież w pewien sposób w nim uczestniczących.

Wydaje się jednak, że proponowane odgraniczenia od zależności materialnej mogą okazać się dosyć zawodne. Wypłata honorarium w złotych nie stanowi kamienia obrazy, gdyż wynikające stąd zmniejszenie wydatków pisarza na emigracji na paczki dla bliskich mu osób nie zajęłoby jeszcze decydującego miejsca w jego budżecie. Oczywiście sprawa byłaby postawiona ściślej i jaśniej, gdyby pojęcie honorarium w ogóle usunąć, albo z góry zasadniczo przeznaczyć je na ogólnopolskie cele kulturalne.

Sedno rzeczy w tym, że przy transakcji handlowej, jaką zawsze będzie sprzedaż książki, nie da się uniknąć powstania

tej czy innej sytuacji pieniężnej. Najczęściej słyszy się głosy, jedyną właściwą formą byłoby dopuszczenie przez władze sprzedaży w kraju książki emigracyjnej (to jest wydrukowa poza krajem), choćby nawet to zezwolenie nie obejmow wszystkich pozycji, skoro całkowite otwarcie ,,zapory przec myśleniu'' nie jest dziś jeszcze prawdopodobne.

Zwolennicy takiego rozwiązania nie dostrzegają, że po pier sze, księgarnie emigracyjne nie posiadają już wielu pozycji kich domagałby się czytelnik w kraju, po drugie — że nakła emigracyjne nie pokryłyby zapotrzebowania. Doskonale — z woła ,,Orbis'' — drukujemy 50.000 naszej powieści, przyn mniej pokryjemy koszta z rozpoczętego wydawnictwa pożyte nej encyklopedii! Powstaje wówczas ścisły związek rachub w dawniczych na poważny nakład z zamówieniem nadchodzący z kraju, i z kolei wydawnictwo gotowe jest rozejrzeć się za p zycjami szczególnie nadającymi się do zwiększonych nakładó Odpływ dewiz z Polski jest oczywiście nieporównanie więks niż przy wypłaceniu honorarium autorowi i przerzuceniu do kr ju całej technicznej strony wydania książki. Debit prowadzi operacji handlowej, operacja handlowa stwarza związki pienię ne. I nie należy się łudzić, iż kiedykolwiek da się ich unikną o ile książka dla kraju nie będzie podarkiem autora i poda kiem ze strony wydawcy. Wtedy dopiero można się skutecz zabezpieczyć przed *wszelkim* wpływem strony finansowej.

Prywatny wydawca nie potrafi, rzecz jasna, pokryć kos tów takiego przedsięwzięcia; emigracja, wskutek chaosu org nizacyjnego, nie posiada środków na najpilniejsze cele. Trzel sobie wyraźnie powiedzieć, że przede wszystkim uporowi prze wojennych stronnictw politycznych zawdzięczamy stawanie s z dnia na dzień emigracją zarobkową, o masie zobojętniałej d codziennego działania politycznego. To więc odpada.

Zresztą postulat zakupywania zagranicą przez czynniki kr jowe olbrzymich nakładów książek wydawanych zagranicą je tak nierealny, nie liczący się z normalnym mechanizmem życi że wprost nie ma celu go wysuwać. Wygląda on bardziej na ch postawienia niemożliwego warunku, niż na chęć znalezienia z łatwienia sprawy. Krajowy kolportaż wydawnictw emigracy nych może dotyczyć tylko prasy, tylko periodyków, z tej prost przyczyny, że numer czasopisma jest pracą zbiorową i musi b całkowicie zredagowany i przygotowany do sprzedaży w sied bie wydawnictwa. Tutaj konieczność redakcyjna i techniczna n rzuca formę rozpowszechnienia. Sprowadzanie zaś książki któr tekst łatwo powtórzyć w krajowej drukarni, byłoby zwyczajn złym interesem. Gdyby było dobrym, gdyby było przyjętą pra tyką handlową, na całym świecie wydawcy sami przygotow waliby przekłady i rzucali je na obcy rynek, zamiast odstępow prawo wydania tłumaczenia miejscowym firmom księgarskim.

O mrzonce masowego zakupywania książki emigracyjn przez kolporterów krajowych (choćby nawet były to księgarn czy wydawnictwa pół-prywatne) trzeba zapomnieć. Powtarzan

w kółko argumentu, że przecież sprowadza się do kraju pewną ilość książek francuskich i angielskich, nie ma sensu : ilu ludzi przeczyta ,,La chute'' Camusa, a ilu będzie chciało przeczytać Gombrowicza czy Parnickiego ? Gdy samochody Forda zyskują w jakimś kraju masowy zbyt, import rzeczowy zastępuje udzielenie licencji na miejscową wytwórczość danego typu. To samo odnosi się do książki. I nie warto lamentować nad działaniem zwykłego mechanizmu handlowego, skoro dopiero hurtowy zakup książki u emigracyjnego wydawcy mógłby prowadzić do powstania zależności pieniężnej od odpowiednio reżyserowanych zamówień, nadchodzących z kraju.

Czymś zupełnie innym jest domaganie się by rozsupłano i zwinięto tę sieć, która wyłapuje druki zagraniczne (łącznie z polskimi) z przesyłek pocztowych. To już nie kwestia handlowa, to rzecz cenzury, uparte utrzymywanie niesławnej kurtyny, brak zaufania do własnej ideologii, słabość osłaniająca się przed podsycaniem samodzielnego myślenia.

Pewna ilość egzemplarzy przemyka się przez oka sieci. Jeżeli jednak kilkaset egzemplarzy ,,Kultury'' czy książki emigracyjnej dotrze do adresatów, to poza zawsze możliwymi przypadkami, jest w tym metoda selekcji, jest wprowadzanie podziału na prawomyślnych i pewnych, oraz prawomyślnych ale i niepewnych, dla których lepiej by jak najmniej zapoznawali się z odmiennym zdaniem w jakiejkolwiek sprawie. Paradoksalny doprawdy wynik : otrzymywanie egzemplarza paryskiej ,,Kultury'' jako legitymacja lojalności partyjnej — w Warszawie ! Powinna się ta farsa co rychlej skończyć i książka zagraniczna i emigracyjna posyłana rodzinie czy przyjaciołom w podarunku, powinna swobodnie docierać do kraju. Byłby to wskaźnik istotnej swobody krytyki. Dziś bowiem krytyka ma ciągle jeszcze wyraźne granice i publicyści nieraz muszą się uciekać do pisma obrazkowego, zastępując fotografiami fabryk i obrazów usuwane przez cenzurę artykuły wstępne.

Samo bowiem istnienie świadomości, i to także nawet wśród autorów związanych z partią, że na emigracji są poważne i rzetelne ośrodki intelektualne i artystyczne, nie ulega wątpliwości. Gdy dawniej emigrację uważano w czambuł za obóz reakcji społecznej, teraz uderzają, zwłaszcza na tle niemądrych artykulików ,,Kraju'', uwagi Brandysa i Woroszylskiego, gdzie po raz pierwszy w krajowych pismach literackich zaznacza się odmienny stosunek do pisarzy emigracyjnych. Jest to szukanie platformy do dyskusji. Dyskusja byłaby pożądana : mogłaby się zacząć od spraw literackich i wzajemnego recenzowania książek, wydawanych po obu stronach nieszczęsnego przedziału, a na razie recenzowanych tylko w prasie emigracyjnej, od polemik na tematy artystyczne.

Ale znów podstawowym warunkiem umożliwienia tej rozmowy, warunkiem stworzenia ,,perspektyw dialogu'' jest obustronnie swobodny dostęp do materiału dyskusyjnego. Ten dostęp istnieje po naszej stronie. Kazimierz Brandys w artykule o Kon-

gresie PEN-Clubu, jaki odbywał się latem w Londynie, podkre-
jak dobrze środowisko literackie na emigracji poinformowane je
o tym co się dzieje w kraju, a zwłaszcza w literaturze krajow
Brandys notuje u nas trudności w wyczuciu atmosfery życia kr
jowego, myślę jednak że jest z tym o wiele lepiej niż aut
,,Obrony Grenady'' mógł to uchwycić podczas przelotnych spo
kań i krótkiego pobytu w Londynie. Z pewnością pewne intu
cyjne wejście w problematykę krajową dokonywa się w mia
coraz częstszych przyjazdów gości z kraju, przyjmowanych
chętnie, życzliwie i bez uprzedzeń. Spoglądają oni na nas
półki z książkami, gdzie wzrok ich trafia na własne tomy, patr
na nasze biurka zarzucone ,,Nową Kulturą'', ,,Przeglądem Ku
turalnym'', ,,Życiem Literackim'', ,,Teatrem'', ze zdumienie
oglądają oprawne komplety ,,Twórczości''. I łatwo zgadnąć
myślą, porównując to ze stanem *własnej* informacji o nas.

W ,,Nowej Kulturze'' z 7. 10. rb. Wiktor Woroszyls
pisze o lekturze wrześniowego numeru ,,Kultury'' paryskiej. Ch
rakteryzuje jej zespół :

> ,,Nie ufają oni rządom komunistycznym w Polsce, boją
> wpływów sowieckich, wątpią w możność zasadniczego zdemokratyz
> wania naszego modelu politycznego. Czy jednak te fragmenty ich p
> stawy mogą decydować o postępowym lub wstecznym obliczu wymi
> nionych pisarzy ? Takie mniemanie, do niedawna rozpowszechnion
> jest niczym więcej, jak jedną z obiegowych symplifikacji stalinowsk
> socjologii''.

Najistotniejszą uwagą w tym ustępie jest odrzucenie jak
,,stalinowskich'' dotychczasowych kryteriów ,,postępowości'' st
sowanych w krajowej prasie literackiej. Byłoby pożądane ab
wyłonienie się w kraju nowego kryterium było wynikiem dy
kusji, odbywającej się z udziałem emigracji. Woroszylski — wy
czuwa się to wyraźnie z jego artykułu — pragnąłby tę dyskus
rozpocząć nawiązując do wrześniowej ,,Kultury''. Obawia s
jednak, że pisałby o ,,żelaznym wilku'', gdyż ,,Kultura'' w Po
sce jest jak gdyby drukiem prywatnym. Toteż kończy w te
sposób :

> ,,Ale na razie na tym prywatnym znaku zapytania muszę p
> przestać. Nie śmiem wszczynać szerszej dyskusji z publicystami ,,Ku
> tury'', jak długo ich interesujące czasopismo jest czytywane w kra
> zaledwie przez paruset ludzi, przeważnie literatów i dziennikarzy''.

Nie należy odgradzać się od tych ludzi milczeniem. Nie sp
sób żądać dopuszczenia do obiegu krajowego naszych czasopis
i równocześnie sprzeciwiać się w kraju drukowaniu książek em
gracyjnych.

Na tle tych wszystkich uwag, stanowisko zajęte przez zesp
,,Kultury'', wyłączające przyjmowanie honorariów dewizowyc
aprobujące przedruki, wygląda na doraźnie najbezpieczniejs
rozwiązanie.

Polemika z tym poglądem podkreśla, że wydawnictwa państwowe w Polsce interesują się jedynie książkami ,,bezpiecznymi''. Pandora, jako przykład wymieniła ,,Transatlantyk'' Gombrowicza. Nie ma ścisłej i uchwytnej granicy między książką ,,bezpieczną'' i ,,niebezpieczną'' dla systemu, który do niedawna brak jednomyślności traktował jako zbrodnię przeciw państwu, a i dziś jeszcze ma podobne tendencje w swej partii rządzącej. Z ,,Transatlantykiem'' zaś — nieporozumienie. Książki Gombrowicza należą właśnie do kategorii ,,najniebezpieczniejszych'' przez to, że nicują fałszywe postawy myślowe i zaszczepiają czytelnika przed przyjmowaniem frazesu. Gombrowicz to nauczyciel *niejednomyślności*. Skutek jego książek w kraju może być trwalszy i szerszy niż na przykład dopuszczenie broszury o Katyniu, którego prawdę, choć publicznie nie stwierdzoną i tak wszyscy w kraju znają. Nie daleko szukając, Ochaba zagabują ludzie na zebraniach robotniczych, pytając : ,,No, powiedzcie towarzyszu, tak między nami, jak to naprawdę było z tym Katyniem?''

W granicach tych pozycji, dla których można uzyskać publikację w kraju, emigracja może zrobić wiele dobrego i pożytecznego. Istotnie, nikt się na tym tutaj nie dorobi, jak na przykład na Bergu. A przy sprawie Bergu nie było tylu wahań i tylu kontuszowych min co przy perspektywie druku...

Granice przedruku będą zmienne. Przy trwaniu i postępach ,,odwilży'' będą się one rozszerzać, gdyż zjawisko tego typu nie może być statyczne. Razem z tym mogą się rozszerzać ramy kontaktu z krajem poprzez przedrukowywaną literaturę emigracyjną. Jeżeli nie wszystko powie treść książki, wiele może powiedzieć jej forma. Studia informacyjno-krytyczne o literaturze zachodnio-europejskiej i amerykańskiej, antologie przekładów — są pozycjami możliwymi, a szczególnie pożądanymi. I nie chcę już więcej powtarzać zapewnień, że na przykład z ogłoszenia studium o Camusie kraj nie wyciągnie wniosku, że nigdy u nas nie ukazała się ,,Sprawa Józefa Mosta'', czy pamiętnik Marty Rudzkiej z wywiezienia w głąb sowieckiej Azji.

VI

Stanowisko zespołu ,,Kultury'' rozwiązuje sprawę tylko doraźnie, gdyż na dalszą metę każe ono pisarzowi emigracyjnemu zapłacić za wszystko pracą i biedą, pracą niedostateczną dla literatury lub marnującą siły w innym zawodzie. Jest to bowiem apel do autorów emigracji, aby pracowali za darmo, czyli innymi słowy, aby pracowali tylko na marginesie innych zajęć. Łatwiej to przyjąć, jeśli idzie o rzeczy już napisane i już tutaj wydane, choć projekt równa się swoistemu emigracyjnemu upaństwowieniu własności pisarza na rzecz dotarcia tej literatury do kraju. Dobrze, cel jest istotnie ważki. Lecz co dalej ? W jakich warunkach w przyszłości ma pracować pisarz emigracyjny, aby dać krajowi rzeczy istotnie wartościowe i aby współzawodniczyć

z autorem krajowym. Jasne przecież, że z chwilą gdy literat
spoza kraju okazałaby się w kraju nudna i bezbarwna, nast
koniec całej zabawy, likwidacja ostatniej emigracyjnej legen

Dotychczas pisarstwo emigracyjne posiadało nad kraj przewagę wolności słowa, choć w kraju literatura mogła przec stawić temu atut związania z terenem i autentyczność. J autentyczność często bywała wątpliwa, w zmieniających się runkach łatwo może się stać czynnikiem decydującym. Opow dania Straszewicza korzystały z atutu, niedostępnego dla pisa krajowego — aż do pojawienia się opowiadań Hłaski.

Równie szybko, przy utrzymaniu licznych i częstych wyj dów z kraju na Zachód, może zachwiać się pewien nasz mo pol informacyjny na kulturę zachodnio-europejską. Łatwo twierdzi to przypuszczenie systematyczna lektura ostatnich zes tów ,,Twórczości', ,,Przeglądu Kulturalnego'', ,,Życia Liter kiego''.

Jeżeli wolno zaryzykować twierdzenie, że emigracja mi swych wszelkich błędów, zdobyła pozycję literacką, oparcie na dłuższy czas na propozycji ,,Kultury'' może się okazać g podarką szlachetną, odważną, ale rabunkową. Związek Pisa winien zainteresować się przede wszystkim tym, jak ułatwić wstawanie materiału do przyszłych przedruków, zamiast zab gać o pozory strażnika sumienia. Druk w kraju, to syg wzmożonej pracy dla pisarza polskiego na Zachodzie. Jeżeli e gracja nie skorzysta z tej niespodziewanie otwartej sposobno zrobienia czegoś naprawdę konkretnego (obok paczek), w m ślach pisarzy będą się budzić niewesołe refleksje. I w nich tk istotne niebezpieczeństwo, a nie w rzekomym uzależnieniu au rów od ,,Czytelnika'' w rzekomej i ubliżającej łatwości ,,kup nia ich'', jaką lekkomyślnie głoszą ludzie, z jednej strony da cej literaturze emigracyjnej lekcję moralności, z drugiej gardzą jej wartościami, ilekroć wychodzi ona myślą poza rok 1939.

Oto w sumie ,,perspektywy dialogu'' — od naszej stron Nie wolno ich zlekceważyć i zmarnować. Odbywający się w kra w początkach listopada Zjazd Związku Zawodowego L teratów w Polsce pozwoli ocenić tę samą perspe tywę z drugiej strony i powrócić do tego tematu w świetle w powiedzi pisarzy w kraju. Pod warunkiem, że do wiadomo publicznej będzie podany pełny przebieg obrad Zjazdu i że og niczona grupa nie będzie wytwarzać pozorów iż występ w imieniu wszystkich. Słowem, jeżeli nie zastosuje się taki metod jak na przykład londyńskie zwołanie konferencji prasow na 23 października dla zapoznania ,,ze stanowiskiem pisar w sprawie drukowania w kraju''. Bądźmy ściśli i nie stwarzaj pozorów : ,,członków Związku Pisarzy w Londynie'' ale nie og łu pisarstwa emigracyjnego, w którym londyński Związek je tylko miejscowym klubem. I także nie wszystkich obejmujący

Zdzisław BRONCEL

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

DIALOG O GRANICY POLSKO-NIEMIECKIEJ

FRYDERYK : Witaj, Bolesławie ! Drogi nasze krzyżują się wciąż, bo od kilku dni spotykam cię niemal każdego dnia w różnych towarzystwach. Nie bez pewnej zabawy słuchałem jak na różne sposoby uchylałeś się od rozmowy, ilekroć próbowano z tobą dyskutować sprawę granicy niemiecko-polskiej.

BOLESŁAW : Jak się masz, Fryderyku ! Mam nadzieję, że ty przynajmniej nie będziesz poruszał ze mną tego tematu.

FRYDERYK : Mylisz się, mój drogi. Teraz właśnie, kiedy spotkaliśmy się przypadkiem w Hofgartenie, gdzie nas nikt nie słyszy, spodziewam się, że mi wyjawisz myśli, które tak starannie ukrywasz. Pamiętamy ten ogród z czasów Wittelsbachów, spotykaliśmy się w nim, kiedy był tylko błotnistym placem otoczonym ruinami, widzieliśmy w nim kilka rozdziałów zmiennej historii i mówiliśmy tu już o sprawach, które wydawały się bardziej drażliwe. Nie raz różniliśmy się w zdaniach, ale nie pamiętam, abyśmy z tego powodu unikali siebie lub zbywali milczeniem. Miałem więc wrażenie, że próbując mówić z tobą o granicy nie popełniam zbyt wielkiej niedyskrecji. Zresztą, jeżeli chcesz, możemy zmienić temat rozmowy.

BOLESŁAW : Ponieważ powołujesz się na naszą przyjaźń, nie mogę uchylić się od rozmowy. Pozwól jednak, że zacznę ją też od zadania ci pytania : dlaczego mianowicie, gdy Niemcy spotykają się z Polakami, rozmowa zbacza tak często na temat wspólnej granicy ? Nic na pozór nie świadczy o tym, aby temat ten posiadał jakąkolwiek aktualność. Wojska sowieckie stoją wciąż w Dreźnie, w Wejmarze, w Erfurcie, i nic na razie nie zapowiada ich prędkiego odejścia. Minie więc być może wiele czasu zanim oba narody będą się mogły powitać przy słupach granicznych i zanim przyjdzie między nimi do swobodnej wy-

miany zdań na ten czy jakikolwiek inny temat. Zresztą obec granice naszych krajów wytyczone zostały bez pytania o zda ludności przez wielkie mocarstwa, które i na przyszłość zastr gają sobie prawo ustalania granic i linii demarkacyjnych dzie cych ich strefy wpływów. Czy w tych okolicznościach dysku o granicy nie toczyłaby się dokoła przedmiotu urojonego, zł odległego od rzeczywistości?

FRYDERYK: Zgadzam się z tobą, że jest to w tej chw dla obu stron *cura posterior,* zagadnienie mniej pilne. Nie sąc jednak wcale, aby było to zagadnienie czysto akademickie, r mowa na temat, jak powiadasz, urojony. Jak bowiem przys do obecnego podziału Europy na strefy wpływów? Ludy eu pejskie — w pierwszym zaś rzędzie Niemcy — okazywały co mniejszą zdolność do pokojowego współżycia i wywołały dw wojny powszechne, dając tym możność mocarstwom pozaeurop skim do ingerencji w sprawy naszego kontynentu i — wobec je słabości — podzielenia go między sobą na strefy wpływów. N wy stan rzeczy nie jest na pewno zadawalający, zwłaszcza c ludów Europy Środkowo-Wschodniej. Odzyskanie utraco przez nie wolności natrafia na liczne przeszkody. Jedną z nic być może istotniejszą niż by się mogło wydawać, jest zrodzo z doświadczeń niedawnej przeszłości podejrzenie, że przywróc nie im wolności mogłoby w krótkim czasie przyprowadzić nowych konfliktów zbrojnych, nowych zniszczeń wojennych, n wych ingerencji mocarstw pozaeuropejskich i w ostatecznym w niku do stanu obecnego. Przesunięcie granic Polski jest na bardziej uderzającym i najbardziej być może drażniącym fakte obecnego porządku rzeczy. Przeprowadzenie dowodu, że nas narody szczerze życzą sobie pokojowego współżycia, i że wo ich w tym kierunku jest silniejsza od wszystkich faktów dok nanych byłoby argumentem podpierającym w sposób istotny i wspólne dążenie do wolności.

BOLESŁAW: Nie przeczę, nie przeczę. Nie widzę jedna dobrze, jak dowód taki mógłbyś przeprowadzić. O zdolności l dów do pokojowego współżycia można w sposób pewny sądz tylko *ex eventu.* Dlatego wnioski wyciągane z niedawnej prz szłości będą miały zawsze większą siłę przekonywującą c wszystkiego co — zwłaszcza ty i ja — moglibyśmy sobie powi dzieć. Doświadczenie uczy, że słowa groźnych dyktatorów - na przykład Hitlera lub Stalina — przyjmowane są przez po tyków i dyplomatów z zadziwiającą łatwowiernością, gdy zapev nienia słabszych budzą powszechny sceptycyzm.

FRYDERYK: Rzecz jest trudna, bardzo trudna nawet, a dlaczego mielibyśmy z niej rezygnować? Kiedy przed dziesięc laty patrzyliśmy razem na ruiny tego miasta, myśleliśmy oba że odbudowa jego będzie wymagała pracy kilku pokoleń, a je nak... Lecz spójrzmy na naszą rozmowę od strony bardzi praktycznej. Jest dla mnie jasne, że w tej chwili ani na Zach

dzie, ani na Wschodzie nie ma nikogo kto by szczerze dążył do zmiany *status quo*. Dzieląca Europę linia demarkacyjna, na której nacisk wojskowy i polityczny jest w tej chwili z obu stron jednakowo silny, stwarza złudzenie równowagi dającej optymistom podstawę do marzenia o trwałej koegzystencji. Jedynym państwem dążącym systematycznie do zmiany tego stanu rzeczy są Niemcy. Jako emigrant stojący na stanowisku niepodległościowym nie masz więc dziś innego sprzymierzeńca. Czy chcemy czy nie chcemy, bieg wypadków zrobił z nas mimowolnych aliantów. Pierwszym wnioskiem, jaki ta sytuacja nastręcza jest, że powinniśmy starać się w myśli przynajmniej uporządkować nasze wzajemne stosunki, wyjaśnić sobie naturę i rozmiar spraw, które nas łączą i dzielą. Twoja taktyka milczenia nie pomaga temu zadaniu.

BOLESŁAW : Słucham cię z największą uwagą i nie bez pewnego podziwu. W słowach twych widzę polot fantazji, która ożeniona z systematycznością stanowi istotę geniusza niemieckiego. Perspektywa zostania twoim aliantem ma w sobie pewien urok; jest w niej coś z *gefährlich leben*. W istocie bowiem nie ma dla Polski niebezpieczniejszego alianta jak Niemcy, gotowe w każdej chwili stać się aliantem Rosji za cenę nowego podziału Polski. Czy znakomita większość twych rodaków nie uważałaby powrotu do 1913 za pewnego rodzaju *happy end* historii współczesnej ?

FRYDERYK : Zapewne. Zjawisko to nie jest wszakże trwałym faktem, lecz jedynie zmiennym przejawem *wishful thinking*. Na dłuższą metę inne koncepcje przyszłości mają taką samą szansę pociągnięcia za sobą marzycieli i zyskania dla siebie większości opinii.

BOLESŁAW : Widzę, że w dzisiejszej rozmowie tobie przypadła piękniejsza rola optymisty. Wróćmy jednak do tematu, od którego odbiegliśmy. Jak w czasach kongresu wiedeńskiego, wszyscy niemal są dziś zgodni w tym, że trwałą granicą jest linia, na której nacisk wojskowy i polityczny jest z obu stron jednakowy. Żaden z partnerów nie może jej własnymi siłami przesunąć, i to jest podstawą jej domniemanej trwałości. W koncepcji tej granica jest funkcją wywieranego nań z obu stron nacisku. Tak właśnie wyobrażali sobie granicę niemiecko-polską wszyscy statyści niemieccy XX wieku. Nie zawsze jednak granica taka jest trwała, zwłaszcza gdy chodzi o kraje różnej wielkości i siły. Nie cofając się daleko wstecz, za naszej pamięci mieliśmy kolejno pięć różnych granic. Była więc zrazu granica Królestwa Kongresowego, która utrzymała się niemal sto lat. Po klęsce wojennej Rosji nacisk niemiecki zwiększył się i 5 lipca 1918 Ludendorff wysunął jako propozycję niemiecką okrojenie dawnego Królestwa Kongresowego i włączenie do Rzeszy polskich powiatów pogranicznych. Klęska Niemiec przeszkodziła wykonaniu tego projektu. W 1919 zwyciężyła na krótki czas

myśl podziału Europy środkowo-wschodniej na obszary języko etnograficzne. W wyniku tej nowej koncepcji powstała gran 1919-1939. Republika Weimarska nie uznawała jej jednak, rzucając koncepcję etnograficzną granic. W 1939 Führer pow cił do poprawionego przez siebie projektu Ludendorffa, a miarę zwycięstw włączył całą Generalną Gubernię do *Lebe raumu* niemieckiego. Napór zwycięskiej armii sowieckiej pr niósł wreszcie granicę na Odrę i Nyssę. Z tych doświadczeń lacy wynieśli przekonanie, o którym być może niechętnie mów że wobec nierówności sił żadna granica — ani obecna, ani na zaprojektowana przez Ludendorffa — nie da się na dłuższą m utrzymać inaczej jak przy pomocy nacisku na nią bagnet rosyjskich. Widzisz więc, kochany Fryderyku, że miałem pew rację unikając tej rozmowy. Pojęta bowiem jako funkcja nacis politycznego granica nie jest żadnym tematem rozmowy. W starczy stwierdzić z manometrem w ręku, że ciśnienie po jej stronach jest jednakowe, aby uznać ją za doskonałą.

FRYDERYK: Domyślam się z twych słów, że oczekuj teraz ode mnie apologii granic etnograficznych. Pozwól mi j nak być z kolei sceptykiem. Doświadczenia międzywojenne są być może jednoznaczne, nie przemawiają jednak wyraźnie taką koncepcją. Zwycięskie mocarstwa wzięły ją w 1919 za p stawę nowego porządku w Europie środkowo-wschodniej, ale zdradziły potem żadnej ochoty do bronienia tego porządku. J się to stało? *Le principe de nationalité* wysuwano wprawdzie p różnych okazjach i przedtem, ale dopiero okres międzywojen pozwolił ocenić jego przydatność jako zasady porządkowej tej części naszego kontynentu. Eksperyment nie okazał się pr konywujący. Przede wszystkim okazało się, że Europy środkow wschodniej, z jej szachownicą języków, wyznań i tradycji, można żadną miarą podzielić na terytoria o jednolitej ludnoś W każdym kraju znalazła się większość pretendująca do wyłą nego wykonywania władzy i mniejszości traktowane jako ob watele drugiej klasy. Monarchowie odstępowali sobie niegd całe prowincje bez większych skutków dla ich mieszkańców. ostatni musieli parę razy do roku wznosić krótką modlitwę nowego suwerena, ale ich życie prywatne nie ulegało stąd wię szym zmianom. W naszych czasach przesunięcie granicy st się dla mieszkańców sprawą o nieobliczalnych następstwach. tego zależy dziś, w jakim języku będą się uczyły ich dzieci, c będzie im przysługiwało prawo pracy na równi z innymi obyw telami, czy będą zamożni czy ubodzy i wiele innych istotny warunków egzystencji. Od kiedy zdanie większości stało się razem prawem i prawdą, nietolerancja wobec mniejszości, zn dując w tej koncepcji nowe oparcie, podniosła się do godno instytucji państwowej, od której poszkodowani nie mają się kogo odwołać. Przez kilkanaście lat nad całą Europą wschodr wznosił się nieustanny lament mniejszości narodowych. Słuch jący ze strony tego chóru skarg i złorzeczeń musieli sobie zac

wać pytanie : czy ten niedoskonały porządek odpowiada intencjom, w jakich został wprowadzony, i czy warto go bronić? Przypuszczam, że dopóki te doświadczenia nie znikną z pamięci żyjących, koncepcja etnograficzna granic nie odzyska łatwo swej popularności z 1919.

BOLESŁAW : Upraszczasz być może zbytnio tę sprawę, Fryderyku, w twych słowach jest jednak wiele słuszności. Przyznaj teraz, że dzisiejsza rozmowa nie zaprowadziła nas daleko. Mówimy już całą godzinę i nie potrafiliśmy nawet dojść do istotnej różnicy zdań.

FRYDERYK : Zbyt wiele mówiliśmy o przeszłości, która przywiodła nas na to bezdroże. Aby zeń znaleźć wyjście, musielibyśmy zwrócić myśli nasze ku przyszłości, mówić o granicach, które nie dzielą lecz łączą.

BOLESŁAW : Spróbujemy tej metody przy następnym spotkaniu.

FRYDERYK : Zatem do następnego spotkania. Bądź zdrów, Bolesławie !

BOLESŁAW : Bądź zdrów, Fryderyku !

IDEA JAGIELLOŃSKA

Tragedia polska Laeuena (*) nastręcza czytelnikowi tyle refleksji, że trzeba by w miarę czytania prowadzić ich dziennik, aby móc je z gruba przynajmniej uporządkować. Po paru miesiącach dopiero oswoiłem się z jej treścią i przypuszczam, że podobne doświadczenia musieli zrobić i inni polscy czytelnicy. Tym też tłumaczę sobie dlaczego nie omawiano jej dotąd w prasie emigracyjnej.

Tytuł luźno tylko przystaje do treści książki traktującej o historii Polski jagiellońskiej i pozostałych po niej tradycjach. Na obszerny tam składa się siedem rozdziałów zatytułowanych : Idea jagiellońska, wspólnota szlachecka, ,,przedmurze'', rozkład państwa, mesjanizm, nowa Polska i koniec idei jagiellońskiej. Na przykładzie Polski — jak zaznacza przedmowa — autor podejmuje krytykę państwa nowożytnego i próbuje oświetlić zagadnienie wolności.

Harald Laeuen zna dobrze literaturę polską, zarówno ogólną jak dotyczącą jego przedmiotu. Nie powołuje się wprawdzie nigdzie na Aleksandra Rembowskiego, który w rozważaniach historycznych byłby mu najbliższy myślą, ale Rembowskiego

(*) Harald Laeuen. *Polnische Tragoedie.* 1955. Steingrueben Verl., Stuttgart. Str. 359 i mapa.

znano mało i w Polsce. Znajomość literatury uzupełnia włas znajomością kraju i ludzi. Z aspektem tragicznym losu tej czę Europy łączą go zapewne przeżycia osobiste, jak wnosić moż z dedykacji poświęcającej książkę pamięci rodziców, którzy „zg nęli w katastrofie ich pomorskiej ojczyzny". Książka jego n powstała jedynie z zainteresowań badacza przeszłości; stąd szeroki oddech i wielostronność perspektyw.

Harald Laeuen nie jest historykiem rozważającym dok menty i usiłującym odtworzyć z nich obraz przeszłości i poję minionych stuleci. Jego książkę zaliczyłbym raczej do działu t zwanej filozofii historii. Posługując się bogatym materiałem, pr pomocy niezliczonych porównań i zbliżeń, autor ustawia zna fakty w nowym porządku, rewidując po drodze sądy histo ków polskich i niemieckich. W najlepszym stylu niemieckie essayu, książka jego łączy metodyczność z wyobraźnią. Czyt nika polskiego zastanowi być może wysokie pojęcie auto o uprawnieniach myśli.



Moi rówieśnicy, ilekroć przychodzili do wniosku, że naszych kresach dzieje się źle, zaczynali mówić o idei jagi lońskiej. Była to magiczna formuła pozwalająca pokonać wszy kie trudności wynikające z obecności na obszarze Rzplitej t Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Formuły magiczne działa jednak, jak wiadomo, tylko wówczas, gdy wymawiane są dokła nie, bez przeinaczenia jednego słowa, bez opuszczenia jedn litery. Nikt zaś nie pamiętał dobrze jej tekstu, ani nie zdaw sobie nawet sprawy z jego rozciągłości. Niektórzy przeczuw niejasno, że powrót do idei jagiellońskiej należałoby zacząć przyjęcia do herbu najbliższego kierownika ukraińskiej torho lub litewskiego nauczyciela, nic jednak nie przygotowywało i do tak niezwykłych posunięć. Ktokolwiek się nad tym dłu zastanawiał, wiedział, że idea jagiellońska znikła z obiegu, nie ma jej ani w pamięci ani w obyczajach żyjących.

Dziś, kiedy powrót Polski do granic i zagadnień piasto skich odebrał tym wspomnieniom wszelką na pozór aktualno idea jagiellońska, wyzwolona z doraźnych użyteczności, opłuka z klęsk, tragicznie piękna wraca do nas w postaci niemieck książki. Jak powrót jej zostanie przyjęty? Czy żywi odżegnyw się będą od niej jak od upiora, źródła zgryzoty i żalu? Czy t nie poznana przez nikogo, błądzić będzie przez parę lat jak du po półkach księgarskich, zanim zniknie na zawsze wśród rek zytów przeszłości?



Harald Laeuen bada ideę jagiellońską w jej najróżnor niejszych aspektach, przy czym trzonem jego rozważań po

staje przeciwstawność systemu polskiego i współczesnych systenów politycznych zachodnich, zaczynając od zakonu krzyżowego.

,,Ten kolonialny twór racjonalistycznej sztuki rządzenia — isze Laeuen — przeciwstawia się jaskrawo istotnym rysom ludów wschodnich. Członkowie rycersko-religijnej wspólnoty rezygnują z wolności osobistej i przywilejów urodzenia, poddając się urowej dyscyplinie zakonu; łączy ich wspólna służba wysokienu ideałowi, dla którego zdobywają władzę i gromadzą bogacwa. Ludy słowiańskie i bałtyckie natomiast żyją w związkach lemiennych; ich wspólnota duchowa nie znajduje wyrazu v instytucjach, lecz w bliskości stosunku człowieka do człowieka, kreślającego stopień wolności i zależności wzajemnej''.

Autor podkreśla wschodnio-europejską oryginalność wspólnoty jagiellońskiej, obejmującej obszar zamieszkały przez Polaków, Litwinów, Rusinów, Białorusinów, Wielkorusów, Niemców, Tatarów, Ormian, Wołochów, Żydów i Cyganów. ,,Bez ozszerzenia się na obszary wschodnie, Polska uległaby zapewne ermanizacji w tym samym stopniu co Czechy i nie wytworzyaby swej osobliwej formy państwa, której wartość polega na ożności współżycia w niej różnych narodowości''. Brak głębzych różnic kulturalnych ułatwia jego zdaniem wzajemne zblienie się Polaków i ich sąsiadów wschodnich. ,,Ze strony polkiej brak jakichkolwiek prób zmiany instytucji i stosunków stniejących na obszarach wschodnich, w przeciwieństwie do tezo co widzimy na terenach kolonizacji niemieckiej na wschód od aby''. Temu stanowi rzeczy odpowiadają tezy, których broni a koncylium w Konstanzy przeciw zakonowi krzyżowemu rektor niwersytetu krakowskiego Paweł Włodkowicz, wywodząc z różorodności kreacji boskiej prawo wszystkich ludów do wolności.

Ograniczenie władzy królewskiej i wzrost prerogatyw szlachy w czasach Jagiellonów są dla autora ściśle związane z ekspansją terytorialną Rzplitej. ,,Niektórzy historycy polscy nie zczędzą Kazimierzowi Jagiellończykowi wyrzutów za jego ustępstwa na rzecz stanów. Prerogatywy szlachty są wszakże v najściślejszym związku z wzrostem terytorialnym Rzplitej agiellońskiej. Bez nich nie byłoby związku jaszczurczego ani wiązku miast pruskich, opowiadających się po stronie polskiej rzeciw Zakonowi. Zwycięstwo nad niemieckim zakonem krzyowym było jednocześnie zwycięstwem nad absolutyzmem państwa. Ostateczne pokonanie zakonu, zapoczątkowane pod Grunvaldem, udaje się dopiero Kazimierzowi''.

Znaczna część wywodów autora poświęcona jest przyciągaącej sile wolności wynikłej z ograniczenia władzy centralnej. ,Stare rody ruskie, nawet po przejściu na katolicyzm, pozostają vierne obyczajom i tradycjom wschodnim. Ich polskość dotyczy aczej formy niż treści, lecz ta luźna forma posiada w sobie taemniczą siłę''. Solidarność i spoistość wewnętrzna warstwy szlaheckiej sprawia, iż interesy regionalne nie zagrażają całości Rzplitej. ,,Historycy wierzący ślepo w dobroczynność silnej wła-

dzy — pisze Laeuen — nie zwracają dostatecznej uwagi na okoliczności... Mówi się często o ,,anarchii'' jako rysie char terystycznym historii polskiej; często jest to wszystko co przec ny Europejczyk wie o dawnej Rzplitej. Rozumiejący w kate riach siły powinniby jednak zadać sobie pytanie, w jaki spo rozległe państwo jagiellońskie mogło w ogóle powstać. Być że zadowoliłoby ich wyjaśnienie, że, stworzone przez ,,potężn władców'', państwo to rozpadło się pod wpływem anarchii. maczenie takie chybia w tym wypadku celu, bo państwo jag lońskie osiągnęło mniej więcej granice swego rozwoju ter rialnego już przed powstaniem państw narodowych na Zac dzie. Gdy dla Zachodu nadszedł czas odkryć i podbojów, bu wa państwa jagiellońskiego była już zakończona. Historia m polskiej nie zna teorii prawnych i praktyk kolonialnych opart na niższości innych ludów, podobnych do tych, jakich bro niegdyś neoscholastycy hiszpańscy. W Polsce brakło do t przesłanek. Dawna Rzplita wciągnęła w swą orbitę wiele kraj lecz nie stworzyła w nich żadnego systemu wyzysku. Jej e pansja terytorialna posuwała się równolegle do rozwoju swo szlacheckich''. I w innym miejscu pisze: ,,Prawo polskie sze ło się zwycięsko na Wschodzie, broniąc tam przez długi c jagiellońskiego stanu posiadania skuteczniej niż wojsko''.

Laeuen zwraca wreszcie uwagę na to, że nawet w czas najgłębszego upadku Rzplitej sława jej wolności utrzymuje wciąż w krajach sąsiednich. W 1732 na przykład szlachta l landzka postanowiła zwrócić się do sejmu polskiego propon przyłączenie Kurlandii do Rzplitej. Jedynie groźby carycy p szkodziły wykonaniu tego projektu. ,,Lecz nie tylko szlachtę l jów sąsiedzkich, co byłoby zrozumiałe, pociągają polskie stos ki. Opłakanemu zaniedbaniu spraw publicznych towarzyszyć siała opieszałość w nadzorowaniu pracy pańszczyźnianej. N wola chłopa polskiego wydawała się łagodna w porównaniu z nymi krajami. Najlepszym tego dowodem jest zjawisko stał ucieczek chłopów z krajów sąsiednich do republiki szlacheck W majątkach polskich, o ile nie kwaterowały w nich wojska przyjacielskie, nie było wyzysku podatkowego, poboru rekr i rekwizycji wojskowych. Całymi wsiami chłopi uciekali p granicę, zachęceni opowiadaniami o swobodniejszym życiu w I sce. Huzarzy Fryderyka Wielkiego, nie zważając na neutraln Rzplitej, robili wypady na jej terytorium w celu przymuso repatriacji tysięcy chłopów zbiegłych z monarchii pruskiej. E tradycje uchodźców z Rosji były przez kilkadziesiąt lat sta przedmiotem pertraktacji między obu rządami. Nie chodziło o drobiazgi, bo w połowie XVIII wieku, według szacunk współczesnych, w Polsce miało się znajdować koło mili uchodźców, co na owe czasy było liczbą ogromną... Bezs Rzplita posiadała wciąż jeszcze zalety, jakich brakło monarch wojskowym''.

◆

Przytoczyłem tu kilka próbek dróg, jakimi chodzi myśl Laeuena. Widać z nich, że książka jego jest apologią dawnej Rzplitej. Autor widzi w niej jeden z najważnicjszych wzorów organizacji wolności i współżycia, odmienny od wzorów zachodnich opartych na sile władzy wykonawczej i — gdy chodzi o stosunki międzynarodowe — na równowadze sił. Idee zrodzone z rewolucji francuskiej nie zastąpiły jego zdaniem zgubionego w okresie rozbiorów Polski wzoru jagiellońskiego. W rozbiorach tych Laeuen widzi zadatek późniejszych klęsk i rebarbaryzacji Europy.

Wolność szlachecka wytworzyła pewien typ umysłowości i obyczajów, który przetrwał upadek Rzplitej. Część swej książki autor poświęca śladom pojęć i obyczajów jagiellońskich u Polaków w czasach porozbiorowych. W ostatnich wreszcie rozdziałach omawia zmierzch pojęć i skali wartości jagiellońskich u historyków i statystów polskich przyjmujących stopniowo — zarówno w ocenie przeszłości jak teraźniejszości — kryteria niemieckie.



Celem niniejszej notatki jest tylko zwrócenie uwagi na książkę Laeuena tym, którzy jej dotąd nie znają. Oswojenie się z nią, jak pisałem, wymaga dłuższego czasu. Na razie nikt zapewne bez zbytnich uproszczeń nie potrafi oddać tumultu refleksji, jaki książka ta wywołuje u czytelnika polskiego. Sam zresztą fakt zgłoszenia się Niemców do spadku duchowego po Rzplitej jagiellońskiej otwiera perspektywy, których w tej chwili nie podobna ocenić.

Paweł HOSTOWIEC

Próba porozumienia

Przykład pierwszy

Francuska trupa aktorska pod nazwą Théâtre du Sud, o słuzująca Prowansję, postanowiła uczcić dwudziestolecie śmie wielkiego hiszpańskiego poety Frederico Garcia Lorca. Poniew poeta ten posługiwał się często motywami wziętymi z cyga skiego folkloru, zapadło postanowienie, żeby jego wiersze nieść tym których kochał, to jest cyganom. W sierpniu 1956 ku aktorzy przyjechali do miasteczka Les Saintes Maries-de- Mer, na pustynnych piaskach nad Morzem Śródziemnym, n większego skupiska cyganów we Francji, z programem recyta i muzyki. Przedstawienie urządzili pod otwartym niebem. Głó nym elementem dekoracji była noc i wielki księżyc. Publiczno stawiła się tłumnie. Na muzykę gitary zareagowała cmokani zachwytu. Pieśni ,,flamenco'' doprowadziły ją do uniesienia g niczącego z szałem. Natomiast wiersze, między innymi słyn cykl ,,Romançero gitano'', przyjmowała początkowo obojętn następnie z milczącą wrogością, wreszcie zaczęła gwizdać, rycz obrzucać wykonawców wyzwiskami i wieczór skończył się k bieniem, szamotaniem, wielką gombrowiczowską kupą. Było chyba błędem wyciągać stąd wniosek, że cyganom obce są p trzeby estetyczne. Po prostu ta poezja przychodziła do nich z pełnie im nieznanego kulturalnego kręgu, pomiędzy nimi i au rem, który przecie ich pieśń i poezję rozumiał, wznosił się m Spontaniczność z jaką wyrażali swoje uczucia, zupełnie nie tro cząc się o ,,wypada'' albo ,,nie wypada'', zasługuje właści na sympatię, podobnie jak beztroska moskiewskich żulików, k rzy z galerii doradzają czarnemu Otello, kiedy włazi za kota żeby dusić Desdemonę, co powinien robić z kobietą.

Przykład drugi

Jako młody student zdołałem (bo bilety były drogie) wś gnąć się przed wojną w Paryżu na wieczór Pawła Valéry. Tw

jego łączyła w sobie cechy ,,vieux Français'', tak jak się go sobie wyobraża, i cechy smutnej, inteligentnej małpki. Czytał jeden ze swoich esseyów które następnie stanęły na półkach każdej szanującej się biblioteki obok tomów Corneille'a i Racine'a. Na sali przeważały futra i szyje z perłami. Co pewien czas jakieś błyskotliwe sformułowanie powodowało wśród publiczności szmerek ,,wostorgu'' (rosyjskie słowo lepiej tutaj pasuje). Oczywiście czekano na to sformułowanie, już z góry wiedziano, że zbliża się moment, kiedy będzie się uprawnionym do złożenia dowodu własnej wrażliwości intelektualnej (warto byłoby przeprowadzić socjologiczną analizę zjawiska pointe'y). Następnie odbyły się recytacje wierszy Pawła Valéry, jak zwykle u francuskich aktorów z retorycznym zaśpiewem, i znów przymykanie oczu, poruszenie, oklaski.

Lekcja jaka układała się w moim umyśle była dość cyniczna. Valéry potrzebował pieniędzy, miał jako atut wielkie nazwisko które wypełniało sale i pozwalało zebranym na wzruszenia *zagwarantowane,* bez obawy popełnienia towarzyskiego faux pas. Korzystał z tego, jak się obcina kupony od kapitału zebranego ciężką pracą. Przyjmował podział: z jednej strony jego biurko, jego samotnia, jego laboratorium i dwóch-trzech przyjaciół, z drugiej pewna kulturalna społeczność poddana dziwnym prądom, przypływom i odpływom mody, snobizmu, nie oceniająca myśli, obrazu, dźwięku dla nich samych, ale dlatego, że to Valéry. U początku sławy było kilku ludzi którzy naprawdę ocenili jego wartość, u drugiego końca jakiś student, który bierze książkę, mówiąc sobie: ,,trzeba to przeczytać, to Valéry'', i odnajduje w niej coś sobie istotnie bliskiego, cennego, co wpływa na jego życie. Pośrodku mglista magma, książki pośpiesznie rozcinane na godzinę przed przyjęciem, żeby wykazać, że jest się ,,à la page'' i mieć temat do towarzyskiej rozmowy. I w jakim sensie istnienie tej magmy, w gruncie rzeczy obojętnej, kształtuje twórczość, jak ją uboży, kaleczy, wzmacnia, to wielkie pytanie.

Przykład trzeci

W Warszawie pod okupacją niemiecką odbywało się wiele wieczorów recytacji i występów autorskich. Ich mechanizm psychologiczny nigdy nie był badany. Zainteresowania kulturalne były bardzo żywe i zdarzało się widzieć w tramwaju chłopca w robotniczym kombinezonie czytającego Platona. Najbardziej chyba jednak jest ważny sposób reagowania słuchaczy kiedy znaleźli się razem, a więc wrażliwość zbiorowa. Była to wrażliwość na akcenty aktualno-patriotyczne, tak, że oczekiwano na frazę, na obraz zaczerpnięty z ponurej rzeczywistości dobrze znanej, ale która, ponieważ ujęta w słowach, zostawała niejako wywyższona, podniesiona do potęgi. Inaczej mówiąc, takie zebrania miały w sobie coś z obrzędu utwierdzania się w istnieniu.

Teoria, że poeta musi być przede wszystkim wyraziciele porywów zbiorowości byłaby słuszna, gdyby nie podgryzało j niejasne zwątpienie, poczucie fałszu. Gdyż świadomość pisząc go może być znacznie bardziej skomplikowana niż „nurt" m mentu ale ulega on terrorowi świętej sprawy, redukując skomplikowanie którego się wstydzi. Albo też jego próby się nięcia po dystans, po perspektywę nie będą w temperatur obrzędu w ogóle zauważone i nawet ironia zostanie przyjęta jak oczekiwany patos. W takich warunkach nie ma na przykła miejsca na świadomość, że cały ten klimat oznaczał powrót, pc wpływem okoliczności, do dość fantastycznego nacjonalizm i mesjanizmu z ubiegłego wieku. Warto przypomnieć jeden z wi czorów autorskich Janusza Minkiewicza. Ponieważ ten poe satyryczny miał obsesję gorszenia i pokazywania języka (co ost tecznie jest wysiłkiem zdobycia wolności od nacisku otoczenia czytał wiersze wyjątkowo cyniczne, o mniej sławnej stronie ż cia miasta, jak mi się zdaje głównie o ciuchach, szmalcownikac stosunku do Żydów itd., czym doprowadził prawie do skandal bo nie dał żadnej okazji do wysokich a choćby lirycznyc wzruszeń.

Przykład czwarty

Ostatnią imprezą w jakiej brałem udział w Polsce był pora nek autorski w Teatrze Narodowym. Był to okres jak największe go już „mrozu". Sala pełna, twarze bardzo młode, głównie ZMP Na podium za stołem siedziało nas coś dwunastu, poetów i prc zaików. Każdy kolejno podchodził do pulpitu, czytał jeden wiers albo kawałek prozy i publiczność reagowała w sposób zdumie wający swoją matematyczną precyzją : czuło się jej uwagę skon centrowaną na dojrzewaniu chwili, kiedy rozlegnie się zdani zawierające polityczny wniosek albo slogan. Wtedy huczał brawem, niezawodnie, jak na znak niewidzialnej pałeczki. Brc niewski był oczywiście bez pudła. Ważyk czytał wiersz o Coca cola, z którego wynikało, że napój ten jest czymś w rodzaj alkoholu, kokainy i morfiny (we mnie, amatorze Coca-cola, ut wór ten nie wywoływał czemuś niechęci do autora, bo wykazy wał pewną czystość roboty na zimno, zgodnej z celem). Ni było mi jednak do humoru. Miałem w sobie straszną nienawiś człowieka poniżonego w tym, co jest dla niego najcenniejsze biorącego udział w zbiorowym *sacrificium intellectus,* czyli ogłu pianiu się na raz, dwa, trzy. I być może jednym z głównyc powodów tego poniżenia była dziecinna łatwość z jaką ma newruje się podobną salą. Wszystkie efekty są z góry obliczone sztuka sprowadza się do psychotechniki. Obliczyłem i za jedyni stosowny uznałem swój przekład wiersza Vachel Lindsay'a „Szy mon Legree". Lindsay napisał go jakieś pięćdziesiąt lat temu tematem jest śmierć jednej z postaci „Chaty wuja Toma" nikczemnego właściciela niewolników (idzie do piekła, siedz

am z diabłem, nudzą się i grają w kości). Psychotechniczna zaeta pierwsza : Legree to Amerykanin, Amerykanie męczą Muzynów. Psychotechniczna zaleta druga : idzie do piekła, stąd vniosek, że wszyscy kapitaliści pójdą do piekła. Psychotechniczia zaleta trzecia : ludowa rubaszność opisu. Obliczenie moje było rafne. Wielkie brawa. Powstaje tu kwestia zmiany utworu na akiej sali w coś *zupełnie innego,* niż był w chwili napisania, omijając oczywiście te, które powstały z zamiarem, na zimno choć i tu rzecz nie jest prosta, bo prawie nie ma ody zupełnie ,na zimno'). Broniewski mógł swoje proletariackie wiersze isać przed wojną krwią i łzami, tutaj traciły wartość, bo znikł ierwotny opór który je powołał do życia. Vachel Lindsay (i jego łumacz) miał pewne doznanie humanitarno-estetyczne polegające ia identyfikacji z naiwnym spojrzeniem na świat murzyńskiego ieśniarza (wiersz naśladuje murzyński folklor). Tutaj nabierał harakteru zwykłej agitki, liczyła się jego ,,treść'', zresztą inazej pojęta.

Zamiast wniosku

Wymienione przykłady wskazują, że poezja albo nie trafia o zbiorowego odbiorcy, albo trafia dzięki ,,wehikułom'' (snoizm, uniesienia narodowe, indoktrynacja) mało mających wspólego z jej istotą. Jest tu sprzeczność, którą należy uznać, bo ,wehikuły'' są czymś bardzo starym i do nich należy na przyład więź religijna (cała poezja sakralna) czy miejsce teatru epoce Szekspira, to samo, jakie zajmuje dzisiaj awanturniczy lm (z tym, że widzowie elżbietańskiego teatru mieli znacznie yższą kulturę myśli i słowa niż dzisiejsi widzowie filmu). Nie hodzi więc o wydzielenie jakiejś nieuchwytnej esencji w poezji, o ta nie może istnieć bez przestrzeni społecznej. Wystarczy twierdzić, że ,,wehikuły'' bywają lepsze i gorsze a poza tym, e w rozwoju historycznym ulegają zmianie. Dzisiaj na ogół nie ıbi się poezji, zapewne dlatego, że odczuwa się ją jako coś ziecinnego, zanadto związanego z takimi obrzędami zbioroymi, których mechanizm został *zobaczony,* a więc skuteczność go maleje. Potrzeba autentycznej łączności z ludźmi podgryza istytucję snobizmu, zresztą dość jeszcze krzepką. W uniesienia arodowe i doktrynalne wkrada się element względności. Cały ryzys w ocenie na przykład polskiej poezji XX wieku polega ıkby na wzruszeniu ramion : cóż po dźwięcznych czy obrazoych liryzmach, cóż po mistrzostwie języka, jeżeli wiedza o świee tam zawarta jest za mało ostra na nasz gust, jeżeli *prywatnie* ważamy siebie za świadomość wyższą od poety i umiemy spojeć na jego dzieło jako na obiekt historyczny, zdeterminowany rzez mody i prądy momentu. Czyli że powstaje jakaś niejasna otrzeba dźwignięcia się na wyższy szczebel, być może potrzeba dnalezienia nowego ,,wehikułu'' i kto wie, czy nie będzie nim

intelektualna i dość trudna penetracja świata. Może to brzmi
wile, ale postaram się o ilustracje.

Z tym wszystkim nadal uznajemy słuszność zdań, jakie
pisał o poezji Shelley. ,,Jej lekkie jarzmo jednoczy wszyst
niezgodne z sobą rzeczy''. ,,Jej tajemnicza alchemia zami
w złoto trujące wody które płyną ze śmierci w życie''. ,,Zdz
zasłonę codzienności ze świata i obnaża nagą, śpiącą piękn
ducha jego form''. ,,Pokonuje przekleństwo, ciążące na nas, p
danych przypadkowi wrażeń''. ,,Stwarza nową istotę wewn
naszej istoty. Czyni nas mieszkańcami świata w porówna
z którym nasz codzienny świat jest chaosem''. ,,Buduje na n
wszechświat unicestwiony w naszych umysłach przez powtar
ność i przyzwyczajenie''.

Dygresja

Język angielski jest par excellence językiem poezji i zna
mość jego jest potrzebna dla poety. W tej ocenie zawiera
różnica pokoleń. Pewne pokolenie literackie łączyło z Anglo
sami polityczne nadzieje, po to żeby się rozczarować i na
niekiedy ze złości nigdy nie nauczyć się angielskiego. Wi
ludzi z mego pokolenia za rzecz bardziej zgodną z realistyc
oceną sytuacji uważało naukę języka rosyjskiego. Do angiel
czyzny w latach wojny popchnęły ich raczej zainteresowania
wodowe. Zastrzyk rosyjski miał w ciągu kilku ostatnich dziesi
ków lat szkodliwy wpływ na polską poezję, bo wzmacniał
dziewiętnastowieczne przywiązania a odcinał od Renesansu i B
roku a także od XX wieku. Jedyny ferment nowatorski, tak
nieczny dla wymiany pomysłów i idej pomiędzy krajami, pr
nikał z Francji. Jestem jak najdalszy od myśli, że tyle poe
polskiej, ile zagranicznych wpływów. Żadna jednak literatu
nie rozwija się w izolacji a nauka takich a nie innych język
obcych w danym okresie (system szkolnictwa) wywiera, zwła
cza na poezję, wpływ mniej więcej uchwytny. ,,Pan Tadeus
powstał w kręgu łaciny (którą Mickiewicz znał tak dobrz
również w kręgu przekładów Dmochowskiego, a podobno j
nym z bodźców był Goethe z jego ,,Hermanem i Dorotea
Więdnięcie kultury klasycznej w szkołach zostawiło ostatnie p
kolenia z francuskim względnie niemieckim i rosyjskim ja
instrumentami kontaktu. Francuski charakter literackich po
mik w Polsce nie ulega chyba wątpliwości. Jednakże na ostat
dziesiątki lat przypada stopniowy rozkład francuskiego sty
symptomy tego są liczne i trudno się nad nimi tutaj zatrzym
wać. Dość powiedzieć, że osłabia to pozycję francuskiej ksią
zagranicą, jako trudno na ogół przetłumaczalnej, ze względu
szczególną ,,préciosité'' języka.

Sceną prawdziwych borykań się poety z problematyką wsp
czesną stały się kraje o najbardziej zaawansowanej cywiliza

technicznej, a więc kraje anglosaskie. Całkowicie można tutaj uznać marksistowską krytykę, która widzi w poezji tych krajów objawy dekadencji, jeżeli przez dekadencję będziemy rozumieli brak takiej łączności z odbiorcą, jaką miał Szekspir z publicznością teatru „Globe". Trzeba jednak równocześnie zauważyć, że inna poezja niż w tym sensie „dekadencka" nigdzie dzisiaj nie istnieje. Rosjanie użyli doktrynalno-narodowego „wehikułu" ale zapłacili wysoką cenę, niszcząc swoją poezję i cofając ją do poziomu najwyżej scenek rodzajowych w gatunku malarstwa Millet'a. Prawie wszystko w ich orbicie nosi to samo piętno i trudno tu coś prorokować, opierając się na fakcie, że przenikliwsi poeci w „demokracjach ludowych" doskonale ten impas rozumieją. Poza tym nasi koledzy w Polsce popełniliby błąd, gdyby wrzucali całą poezję krajów kapitalistycznych do jednego worka dekadencji, wyłączając tylko autorów mających dobrą polityczną notę, bo wielu takich autorów tkwi głęboko w rozkładowych procesach ich rodzinnej mowy, natomiast wielu autorów ze złą polityczną notą pracuje nad wzmocnieniem siły ekspresji.

Jako miłośnik Francji mogę ubolewać, obserwując jak wyższa cywilizacja techniczna na przykład Ameryki dostarcza ostrzejszych bodźców poecie, jak go prowokuje, choć równocześnie, wskutek swojej anty-intelektualnej i anty-filozoficznej struktury, izoluje i nie uznaje. Nieraz wyrzucam sobie, że nie zajmuję się dostatecznie poezją francuską, w dziedzinie której jest mnóstwo do zrobienia, bo w najlepszych swoich osiągnięciach XX wieku jest czytelnikowi polskiemu prawie nieznana. Teraz jednak szukam przede wszystkim starć poety ze współczesnością, jego wysiłków, żeby odnaleźć nowy „wehikuł" a więc żeby połączyć się z odbiorcą we wspólnej samowiedzy, we wspólnym badaniu zmienionej sytuacji człowieka. Taka jest obrona moich zainteresowań dla poezji w języku angielskim.

Wiersz o wierszu

Amerykański poeta Wallace Stevens, rówieśnik Leopolda Staffa, przez całe prawie swoje życie był znany tylko małym grupkom fanatyków „awangardy", co wskazuje na miejsce literatury w jego kraju, tak odmienne od miejsca jakie literatura zajmuje w Polsce, i nie tylko po drugiej wojnie światowej. Jego dzieło nie znajdzie uznania u zwolenników tezy, że poezja jest rodzajem nieokreślonego tchnienia, że jest wieczna, że właściwie nie podlega zmianom. Być może zwolenników takiej tezy jest już dzisiaj niewielu, ale trwa mocno zakorzenione przekonanie, że istnieją pewne jednorodne wskaźniki piękna, a co im nie odpowiada, ma się tak jak muzyka nowoczesna do Mozarta. Nie znam daty powstania wiersza Stevensa „O nowoczesnej poezji". Jest to utwór przeraźliwie suchy, powściągliwy, intelektualny, ale zasługuje na uwagę, choćby dlatego, że w ze-

stawieniu z nim niektóre bitwy literackie w Polsce nabiera wyrazu (zwłaszcza przedwojenna awangarda krakowska). By one ograniczone raczej do zagadnień formy. Tutaj chodzi o p bę inną, o zbadanie na czym może polegać więź między po i publicznością. Byk izolacji artysty jest tu wzięty za rogi.

O NOWOCZESNEJ POEZJI

Poemat umysłu, sam akt znajdowania
Ile wystarczy. Nie zawsze tak szukał.
Gotowa była scena, powtarzał

Rolę ze skryptu.
Aż zmienił się teatr
W rzecz inną. Przeszłość stała się pamiątką.

Chcąc żyć, nauczyć się ma nowej mowy.
Musi napotkać mężczyzn tej epoki,
Kobiety tej epoki. Pomyśleć o wojnie.
Znaleźć ile wystarczy. Wybudować
Na nowo scenę i być na tej scenie.
Jak niestrudzony aktor musi zwolna,
Z rozwagą, sączyć słowa które w uchu,
W czułym uchu umysłu, mówią ściśle
To, czego pragnie ucho. Na ich dźwięk
Niewidzialna publiczność słucha już nie sztuki
Lecz samej siebie, teraz wyrażonej
Wzruszeniem jakby dwojga ludzi, jakby dwojgiem
Wzruszeń złączonych w jedno. Aktor jest
Metafizykiem bez świateł, targa struny
Dźwięki wywodząc, którym bywa dana
Gwałtowna trafność, aż obejmie umysł.
Nie może zejść poniżej, nie ma chęci
Sięgać poza nią.

Ma być znajdowaniem
Zadowolenia. Może być o chłopcu
Który się ślizga, kobiecie jak tańczy, kobiecie
Czeszącej włosy. Poemat, akt umysłu.

Cóż to znaczy ,,znajdować ile wystarczy''? Znaczy to, według Stevensa wiersz jest rodzajem redukcji : ile słów w starczy żeby istniał? I ani słowa więcej. Gdyby to było tyl żądanie ,,ekonomii środków'', sprawa byłaby dość stara. A dawniej ,,gotowa była scena, powtarzał rolę ze skryptu Śmiem twierdzić, że ,,skrypt'' to właśnie obrządek zbiorow pewna konwencja uczuć : temat był poecie podsunięty, pisał niejako na jego marginesie. Można tu podać jako przykład o

Sarbiewskiego o bitwie pod Lepanto czy tematy rozdzielane okólnikiem (Stalin, kolektywizacja) w niedawnych czasach. Ale gdzie przebiega granica pomiędzy konwencją która niszczy i konwencją która wspiera? Czy nowoczesna sztuka w ujęciu Stevensa też nie zakłada że istnieje atmosfera społeczna, niewidzialna jak powietrze? To myślenie poety na własną odpowiedzialność („budowanie sceny") w nadziei, że uzyska łączność z czytelnikiem który też myśli na własną odpowiedzialność, nasuwa mnóstwo pytań. Narzućmy sobie ramy i nie twórzmy całej socjologii sztuki.

Wycieczka w erotykę

Jeden z głównych tematów poezji, miłość, zawiera, w swoim rozwoju historycznym, właściwie całą obyczajowość z jej zmianami mody, stroju, uczesania, sposobu zalotów. Wyrażają się tutaj liczne tabu, które w ciągu wielu stuleci ograniczały wiersz miłosny do sfery uczuć. Strona zmysłowa zaznaczana była przy pomocy aluzji albo przez stworzenie odpowiedniej aury. Utrzymywał się podział na twór pornograficzny (np. liczne fraszki staropolskie) i utwór nadający się do czytania damom. Próby przełamywania tego podziału są stosunkowo rzadkie. Spotyka się je w teatrze elżbietańskim i u angielskich „poetów metafizycznych", przede wszystkim u Johna Donne, który spirytualizował ciało i materializował duszę; dlatego prawdopodobnie na jego wielkość (bo jest to jeden z największych poetów człowieka jako całości psycho-fizycznej) tak wrażliwi w kilkaset lat później okazali się jego literaccy spadkobiercy. Można chyba bez wielkiego ryzyka błędu zauważyć, że okresy w których obowiązywało tabu albo wręcz zakaz nie odznaczały się szczególną subtelnością stosunków pomiędzy mężczyznami i kobietami, a nawet niekiedy było wręcz przeciwnie. Literatura tutaj mija się z życiem i podlega innym, bardziej złożonym prawom. Purytanizm rosyjski ery stalinowskiej nie świadczył o zniknięciu w tym kraju uproszczonego poglądu na kobietę (czy mężczyznę) jako na rodzaj maszynki, nie świadczył o zmniejszeniu się dzikości. Rozpasana erotycznie literatura krajów zachodnich nie zwiększyła liczby miłośników seksualnego sportu i tak lubianego dostatecznie. Należy skończyć z przekonaniem, że wiersz czy powieść wywierają wpływ pedagogiczny, dostrzegalny na pierwszy rzut oka. Wywierają wpływ, ale najczęściej zupełnie inny, niż się współczesnym wydaje. Tak więc choćby funkcja jaką spełniają dokładne opisy miłości *in actu* w literaturach Zachodu nie nadaje się do pośpiesznych uogólnień.

Dwudziesty wiek przyniósł odkrycie płci. I okazało się, że ten temat jest jednym z najtrudniejszych, że ile razy jakiś autor nie urywa sceny, jak to robiono dawniej, w chwili pocałunku, zmuszony jest przez same wymogi techniki pisarskiej do użycia

symbolów. Grozi mu trywialność albo patos, śmieszność, sen mentalizm i nawet tak wytrawni technicy pisarskiego rzemio jak Hemingway nie zawsze wychodzili z tej próby obronną ręk Pierwszą reakcją na dotychczasowe tabu było brutalizowani sprowadzało się akt seksualny do czynności higienicznej, by mycie zębów. Takie ujęcie byłoby możliwe, gdyby w człowie wyłączał się w pewnych okolicznościach aparat jego duchow historycznego istnienia i zostawała tylko czynność fizjologiczn Jest jednak zupełnie inaczej i aparat nie wyłącza się nig powrót do niewinności zwierzęcia nie jest możliwy. Stąd zas nicza trudność, kiedy chce się uchwycić ten dziwny aliaż fizjo gii, uczuć i intelektu.

Jest to bardzo dobra dziedzina dla kogoś, kto szuka od wiedzi na pytanie jak powstaje pobłażliwa pogarda dla poe u współczesnych czytelników. Utwór, mający za przedmiot ucz cia miłosne, poczynając od społecznych uniesień traktorzys i traktorzystki, a kończąc na subtelnych doznaniach barwy, m zyki, krajobrazu, pozostaje niejako na powierzchni, *my wie więcej*. Sama substancja, zarazem pantagruelicznie sprośna i n wzniośléj patetyczna nie jest nazwana. Ale poemat nie mo być poniżej świadomości ,,mężczyzn tej epoki i kobiet tej ep ki'' pod karą, że zostanie przez nich *sklasyfikowany* a więc razu straci skuteczność. To wyjaśnia np. komizm wierszy jak zaczęły się pojawiać w Polsce około roku 1954, w momen kiedy gruchnęła tam wieść, że ,,o miłości pisać wolno''. Nie leżnie od ich stylu, sam sposób odczuwania był z czasów Kono nickiej (osoby, w swojej praktyce erotycznej znacznie śmielsz niż w twórczości). Oczywiście spostrzeżono szybko, że trze jakiegoś miąższu, że zepsuł tu wiele purytański zakaz. Wpr wadzając ciało nie rozwiązuje się jednak problemu, bo ten w szedł w połowie naszego stulecia z kręgu impresji fizjologiczn emocjonalnych, wzbogacił się o nowe wymiary.

Tutaj wykazać można użyteczność poetów dla który wiersz jest ,,aktem umysłu''. Pozbawieni ,,skryptu'', zmusze ,,budować na nowo scenę'', nie mogą oprzeć się na niczym pró własnych doświadczeń. Jedynym ich sposobem jest obrysować doświadczenia możliwie dokładnie, co inaczej nazywa się ,,b współczesnym'' czy ,,być nowoczesnym'' — a myliłby się, kt by te epitety chciał sprowadzić tylko do formy.

Żeby zilustrować to, co powiedziałem, posłużę się wiersze amerykańskiego poety który nazywa się Theodore Roethke, ur dził się w roku 1908 i ma już w republice poetyckiej sweg kraju pozycję całkiem wybitną. Jak łatwo spostrzec, jego stro stanowią opis miłości ,,in actu'' z wprowadzeniem elemen ironii a nawet satyry. Ten element był oczywiście starannie om jany w ,,liryce miłosnej'', co nie znaczy, że nie wchodzi w skła erotycznego aliażu — czemu chętnie dawały wyraz utwory r baszne i pornograficzne.

PARTNER

Między takim zwierzęcym i ludzkim upałem
Nie bardzo wiem co myśleć. Czym jest pożądanie?
Czy to znaczy, że kogoś uzupełnić chciałem?
Mokrą słomę zapalić byłoby nic dla niej.
Czy sługą jaśniepańskiej zostałem ekstazy,
Czy łyżką, grzechoczącą w środku pustej wazy?

Splątanymi nogami graliśmy do taktu.
Umarli, żyjąc, dali nam lekcję czułości.
Kto wziąć w uścisk potrafi formę swego fatum?
Światło za światłem zmienny urządzało pościg.
Usta jej i tak dalej. Wiodła rzecz zaczętą.
I szpik we mnie pulsował, dziko, tak jak tętno.

Koniu mój. Mówić chciałbym: żyjemy wyrwani
Z naszej zewnętrznej skóry. Kto chichocze we mnie?
Widzę teraz gonitwy czapel nad stawami.
Znam taniec, w którym słoniom jest bardzo przyjemnie.
Niech żywi się zgromadzą! Gdzie sekret słodyczy?
Zrób to, czego niezdarny partner sobie życzy.

Rozprzęga się, drga wszystko. Na powrót nie pora.
Ta radość skacze chartem. Co mnie to obchodzi?
Oddałem pocałunki, zbudziłem upiora.
Jakaż muzyka lepka uszy nam uwodzi!
Ciało i dusza wiedzą, jak pobłażać sobie
W mrocznym świecie, gdzie drogę zgubili bogowie.

Niemożność wyłączenia intelektu (,,Kto chichocze we mnie?'' ,,Co mnie to obchodzi?''), równoczesność współgrania różnych sfer — kto wie, czy nie jest to zasadnicza cecha ,,nowego ujęcia''.

Zespół baletowy

Jeżeli nie upraszcza się za nadto ile razy mówi się o tak zwanych liniach rozwojowych (a na pewno się upraszcza i lepiej być tego świadomym), ruchy awangardowe w poezji naszego stulecia starały się rozluźnić sztywny tok zdania i metrum, po to, żeby chwytać w sieć więcej wrażeń. Ściągało to na poezję liczne zarzuty. Czytelnik albo nic nie rozumiał, albo czuł się w jakiś sposób obrażony, że nic tu właściwie nie ma do zrozumienia: tyle hałasu o nic. Ten zarzut braku treści intelektualnej był w dużym stopniu słuszny. Jednakże poczynając od lat trzydziestych poezja coraz bardziej się intelektualizuje i coraz rzadziej można jej przypisywać tylko zalety bańki mydlanej. Nie znaczy to, że ,,treść'' jest zawsze łatwo dostrzegalna. Często

ten ładunek jest ukryty i sam obraz, na przykład kobiety cze
cej włosy, jest wynikiem długich przemyśleń. Obraz suge
uczuciowo takie przemyślenia. Ale, jeżeli w poezji francus
rozwija się szczególnie ta metoda, w poezji anglosaskiej wy
puje też metoda inna, bezpośredniego dyskursu, z użyciem
wet mnóstwa słów których trzeba szukać w słowniku filo
chociażby cała prawie twórczość W.H. Auden'a). Tutaj po
dem do skarg czytelnika staje się raczej skrót myślowy (ko
stający z eksperymentów formy) niż ,,niewyrażalność''.

Wszystko to jest całkowicie poza zasięgiem cyganów z
Saintes-Maries-de-la-Mer. Gorzko to stwierdzać, bo ludzie
powinni być oddzieleni od ludzi taką przegrodą. Ci cyganie
stosownie do wyrażenia Heraklita ,,nawet śpiąc pracują nad
waniem się świata''. Jeżeli jednak ,,poemat, akt umysłu''
im niedostępny, to nie bardziej, jak przekonali się francu
aktorzy, są im dostępne uczuciowe wiersze Fryderyka Ga
Lorca. Być może ich synowie czy wnukowie, dzięki znan
zjawisku przeskakiwania etapów, będą z łatwością czytać
co wydaje się dziś trudne studentom uniwersytetu? W każd
razie obecnie mamy nadal do czynienia z małą republiką ar
tów, z dziwną międzynarodówką, odciętą od niewtajemni
nych niemal tak, jak międzynarodówka znawców esperanta.
ona dziwna, bo jej członkowie są na pewno zrośnięci z życ
swoich krajów i narodów, a równocześnie nie ma zupełnej p
ności czy poeta z San Francisco i poeta z Warszawy nie
pod pewnymi względami bliżsi sobie nawzajem niż swoim ws
obywatelom.

Międzynarodówka ma nawet swoje statuty. Cech stat
dopatruję się w wierszu amerykańskiego poety W.S. Merw
(ur. 1927) jaki znalazłem w miesięczniku ,,Poetry'' z marca
(Chicago. Redaktorem po Karlu Shapiro jest teraz Henry
go). Tłumaczę ten wiersz na polski również po to, żeby po
zać jak silne są dzisiaj skłonności do mówienia bezpośred
o różnych problemach czyli do odbudowania struktury logic
w wierszu (niczym innym, niż objawem tej samej tendencji
,,Poemat dla dorosłych'' Adama Ważyka). Tłumacząc, odc
wam pokusę, żeby zastosować biały (bo u Merwina nie ma
mów) trzynastozgłoskowiec (7+6), jednak przezwyciężam tę
kusę, bo wydaje mi się, że szorstkość, przełamana od czasu
czasu regularność metrum, lepiej odpowiada intencjom auto
Uprzedzam przy tym, że ten statut artysty (trochę liczyć
potomność ale nie za bardzo) wymaga uwagi, że wcale nie
łatwiejszy, mimo swojej nagości, niż poezja wyszukan
związków słownych.

CORPS DE BALLET

Co do nas, to musimy wlec naszą nadzieję
Przez dni migren, wykrętów i straconych szans

Które zapadły w głąb lat i nie wrócą.
Ufając, że nawiedzi nas dziwny dajmonion
Niezasłużenie jak łaska, po rozpaczliwym climacterium.
Papa Haydn, na przykład, odkrył swoją wenę
Już po czterdziestce, wtedy zaczął Conrad,
Tycjan pod pięćdziesiątkę miał, kiedy się uczył
Swego rzemiosła, tak mówił przynajmniej.
Jak często chwałę biorą starcy, nie młodzieńcy.
Jak często spada laur na siwe, łyse głowy.

Nie żeby sława — nieraz bez znaczenia —
Albo nawet uznanie czyjeś, pamiętane,
Były tak ważne w naszych przedsięwzięciach.
Choć nawet inspiracja daje za wygraną
Na gruncie zbyt jałowym. Jest tak, albo wrasta
W gniewne pomruki nerwów, dusi się, zamiera,
Bez oznak, że ją ludzie potrafią ocenić.
Na czym swój wigor sprawdzi? Brak nawet sprzeciwu.
Ale jest i pociecha, sentymentalny balsam
Którym ból łagodzimy ukradkiem: potomność
Mądrzejsza niż te czasy, dosyć nam udzieli
Hałaśliwych oklasków, przykrych nam za życia.

Któż może ganić za to? Choć z tym, jak z każdą wiarą:
Da się z niej zrobić nędzny i piękny użytek.
Pozwala nam dryfować, jak długo dajemy
Sobie samym to prawo, żyć splotem nadziei
Niejednej używając wymówki a wiedząc
Że ta wkrótce rozłoży, zniszczy nam tkaninę.
A naprawdę jest tak, że czas to nic innego
Niż talent powierzony nam, żeby próbować
Własną materię stworzyć, i on jest nam miarą,
I przyozdabia nas, on, świadek i wyrok.

Spójrzmy na siebie jak na tych tancerzy.
Tłem ich skoków jest nasza własna niecierpliwość.
Napięcie jej obrócić chcą w naszą przyjemność.
Długo uczą się zwinnych ruchów, które rządzą
Naszym oczekiwaniem. Czysta doskonałość
Powstrzymuje nam oddech i siedzimy cicho
Przed głupią historyjką. Bo to my, widzowie,
Jesteśmy ich przyszłością. Nie będą mieć innej.
I choć znużeni, niosąc nam rozrywkę,
Taką łatwość udają, żeby nas przekonać
Że jesteśmy łaskawi i wspaniałomyślni,
Nowej łagodnej siły pełni, śliczni w ruchach.

A jednak tylko paru zostanie w pamięci
Kiedy odejdą i skończy się sztuka.
Paru zaledwie, z taką dużą władzą,
Że ciągle jeszcze krążą, ostro nakreśleni,

Jak gdyby nadal na nich kierowano światło.
A co z innymi, których już zatarty
Obraz jak ślady w piasku, gaśnie, gaśnie,
Z tymi, co niby sen czy przebudzenie
Oddzielają się od nas, śniegami topnieją,
Pracując tak jak inni choć z mniejszą pociechą,
Tracąc nieraz nadzieję z kurczącą się szansą?
Cóż, przez swój nałóg czy miłość do niego
Cieszą nas dalej. Ich prawda przed nami
Raz była, muzyka niemych poświęceń,
Która brzmi monotonnie dla zamkniętych uszu.
I o niej pamiętając, znów widzieć możemy
Znaczenie ich poruszeń, cały wdzięk ich trudu.

Na zakończenie

Czytając wiersz Merwina, w którym republika artystów porównana do baletowego zespołu, ma się następującą reflek świadomość, że jesteśmy istotami historycznymi, że nasze dz nie, zamknięte w skromnym odcinku czasu, powoduje sk choćby odmówiony był nam wiecznotrwały wawrzyn — nie już tylko własnością poetów czerpiących natchnienia z ma zmu. Jeżeli wyobrazimy sobie podobny ,,statut'' artystów sany w okresie Młodej Polski czy nawet Skamandra, na p nie znaleźlibyśmy tam wydobytej roli zespołu. Znaleźliby prawdopodobnie westchnienia nad mijającym czasem i pr zwrócone do Muzy, która po prostu albo raczy udzielić wie chwały, albo nie raczy: wszystko albo nic. Zaciekłość, z młodsze pokolenia literackie w Polsce, poczynając gdzieś od 1930 prowadziły programowe dyskusje, spotykała się częst drwiną. Sięgając do sedna, odkryje się w tej zaciekłości wzięcia udziału w dziele zbiorowym, naturalnie z nad (,,Któż może ganić za to?'') że nam przypadnie lwia c Czy ta troska o zbiorowe dzieło jest czymś nowym? Ko ternie artystów zawsze rządziły się zasadą rywalizacji: żeby bić lepiej niż kolega. Jak się zdaje Malraux uważa tę ry zację (naśladowanie mistrza plus bunt przeciwko niemu jeden z głównych motorów historii sztuki. Ale nie, nowe samo zdanie sobie sprawy *z czasu jako gruntu twórczości* że w poezji np. osiąga się nie tylko harmonię, dar indywidu Muzy, ale i samowiedzę, jako sumę drobnych, nieraz prze łych, wysiłków. I być może publiczność, nie formułując jasno, też żąda, żeby wiersz niejako osiągał granicę już zd i starał się ją przekroczyć.

Jak łatwo się domyśleć, rozprawki takie jak ta i tłum nia z poezji obcej powstają z zaciekłości, z poczucia, że t użyć różnych środków, żeby przyczyniać się do przemia w danym wypadku do przemian poezji w języku polskim.

Czesław MIŁOSZ

Michel Ghelderode

Gdyby w wieku dwudziestym chciał ktoś nakreślić mapę świata sztuki, musiałby wbić ostrze cyrkla w punkt, gdzie leży Paryż. Tu bowiem, a nie gdzie indziej, jakby na siedmiomilowej estradzie, odbywa się prezentacja twórców, tutaj heroldzi redakcji ogłaszają urbi et orbi imiona świeżo kanonizowanych mistrzów słowa, czy koloru — przybyłych z brodatych miasteczek Białorusi, z czarnego Senegalu, z zagubionego w puszczach Chili. Owo państwo sztuki wieku dwudziestego nie ma drugiej stolicy, toteż Bruksela, Rzym i Londyn, to też Warszawa, Sztokholm i Nowy York są prowincjonalnymi agencjami, dokąd z dużym opóźnieniem docierają świeżo zatwierdzone paryskie wzory na doskonałość i manifesty, przekreślające wszystko co było dotychczas w sztuce, w imię tego co powinno nadejść.

Chociaż podchodzę do tego z uśmiechem, pisząc niniejsze słowa w jednym z kulturalnych przedmieść Paryża, jakim jest Bruksela, niemniej zdaję sobie sprawę, że ani uśmiech, ani kpina, ani tym bardziej zżymanie się na niesprawiedliwość podobnego układu w niczym nie wpłyną na sam fakt. Jest tak, a nie inaczej.

Cóż z tego, że malarze i poeci prowincjonalnych narodów stąpają w chwale i w blasku u siebie, na własnym podwórku? Słowo ich zasłuży ewentualnie na wypisy szkolne, czy na order, nie dotrze jednak do antologii światowych, ani do muzeów, będących antologiami rysunku i barwy. I lada podkasana, śpiewająca dziewczynka z Pigalle ma więcej od nich widoków na przetrwanie w zawodnej pamięci tych, którzy pochylać się będą nad sztuką naszego czasu.

Większość twórców przybywających do nowoczesnej Florencji ogarnięta jest natychmiast wszechwładnym obrzędem sprawowanym przez mieszczańską kołtunerię i jej usłużnych wydawców. W zamian za sprzedaną książkę, czy obraz, artysta płaci haracz najcenniejszą monetą, na jaką go stać, płaci samotnością. I musi mieć tęgi charakter, aby potrafił odrzucić

łatwą i pustą część aury paryskiej, biorąc natomiast w si rzeczy bezcenne i jedyne na świecie: rytm wspaniałego mi i naerotyzowane — jak mówi Henry Miller — powietrze Par Targowisko jest cudowną karmą dla oczu i wyobraźni arty Trzeba jednak, aby przyjrzawszy się pstrokaciźnie i ciżbie, n powrócić do samotnego warsztatu. Utwory wielkie nie pows bowiem — wbrew temu co zwykło się mówić — na tekturk pod piwo, lecz w ciszy czterech ścian.

Samotnikowi zostaje wówczas darowany piękny grzech motności, a czytelnik otrzymuje książki napisane w mił i trwodze, a nie po to, aby zdążyć na termin jednej ze nagród Paryża, świadczących raczej o zaradności wydawc aniżeli o istotnych osiągnięciach ich pupilów. Tak zwany „ roki ogół" jest stadem, któremu gdy nadchodzi jesień, wyd cy rzucają dziesiątki nowych tomów. Dzięki ich zabiegom, ganizowanym na zasadzie krzykliwej reklamy, popularność s się miarą talentu. Skandalik zastępuje nowość.

Istnieją na szczęście artyści, którzy potrafią opierać się wym urokom Paryża. Ci wybrali cząstkę niewątpliwie le ale i trudniejszą. Trzeba im bowiem nieraz lat, aby dzieło czynane w samotności dotarło, poprzez Paryż, do światow czytelnika. Czasami zdarzy się, że dzieło takie olśni swą or nalnością. Jesteśmy wówczas świadkami rzeczy niecodzien Paryż udaje się do artysty i zaprasza go do kręgu wybran



Nowoczesny Plutarch, spisując wspaniałe żywoty bohate i twórców, nie mógłby pominąć wielkiego, samotnego dra turga, którego samo nazwisko brzmi jak barokowy instrum Michel'a de Ghelderode. Flamand, urodzony w Brabancji, 3 kwietnia 1898, ma dziś poza sobą czterdzieści lat niezale twórczości literackiej. Składają się na nią fragmenty prozy p tyckiej, opowiadania i dramaty — wszystko napisane przed d gą wojną światową.

Kim jest Michel de Ghelderode? Skąd czerpie siły do s twórczości? Jak wygląda świat, w imię którego walczy, usz szy z hałaśliwej codzienności? Oto niektóre spośród pytań, które spróbuję odpowiedzieć w niniejszym szkicu. Sądzę bowi że czas już,aby polski czytelnik zapoznał się, choćby fragn tarycznie, z twórczością jednego z pierwszych dramaturgów tru nowoczesnego.

Tym razem zresztą opóźnienie nasze nie będzie zbyt wiel ponieważ Paryż wyprzedził nas zaledwie o dziesięć lat. cząwszy od roku 1947-go, kiedy to zespół Katarzyny Toth stawił *Hop Signora,* teatr Michel'a de Ghelderode z wyda nia „prowincjonalnego" staje się sprawą kulturalnego Par Dalsze sztuki (*Mademoiselle Jaïre, Fastes d'Enfer*) zyskują a rowi nowych przyjaciół i nowych przeciwników.

Czyżby z tego wynikało że teatr Michel'a de Ghelderode stał się teatrem popularnym? Na szczęście, nic podobnego. Tylko pewien odłam społeczeństwa, a przede wszystkim młodzież, przyjmuje entuzjastycznie sytuacje i postaci tego teatru. Reszta zaś, będąca ogromną większością, odrzuca teatr brabanckiego dramaturga, teatr obnażający okrutnie i prawdziwie. Mieszczuch bowiem odpycha prawdę o sobie, o nas, prawdę, którą poeta zgęścił i ujednostkowił w swoich sztukach.

Najlepiej zilustruje to krótki dialog, jaki wywiązał się pomiędzy autorem i dwoma wysłannikami Francuskiego Radia i Telewizji (1):

ONI: ...,,Czy uważa Pan iż teatr Pański potrafi być pocieszeniem?''

M. DE GHELDERODE: ,,Celem teatru — a mego w szczególności — nie jest pocieszanie, ani też zasmucanie. Teatr jest stwierdzeniem...''

ONI: ,,Teatr Pański jest stwierdzeniem; człowiek jest przedmiotem owego stwierdzenia. Człowiek ten nie jest piękny.''

M. DE GHELDERODE: ,,A czy ja jestem piękny? A Panowie? Ludzie nie są piękni, a jeśli są takimi to nie często. Dobrze że brzydota ich jest taka, jaka jest, a nie większa. Pomimo to wierzę w *Człowieka* i wydaje mi się, że można to odczuć w tym co piszę. Nie zwątpiłem w człowieka. Przykuwa moją uwagę i wiem że zdolny jest do wszystkiego — jak również i do czegoś krańcowo przeciwnego.''

Co razi mieszczucha? Czyżby de Ghelderode był dzisiaj jedynym pisarzem, który dotknął tabu świętej, mieszczańskiej pruderii? Bynajmniej. Rzecz cała w tym, że uczynił to w sposób nie uzgodniony z owym światkiem i jego nadwornymi krytykami. Rzecz w tym, że pokazując nasze ciała i dusze, obnażone do dna, patrzy nam przy tym prosto w oczy. Mieszczuchy wolałyby, żeby chichotał i mrugał przy tym porozumiewawczo. Wtedy wystarczyłoby zawołać go do sitwy i sprawa byłaby ubita.

W jednej ze sztuk Michel'a de Ghelderode spotykamy rzeźbiarza zdobiącego katedry, któremu zarzucają że ,,jest pokazywaczem piekieł''. Zamiast bowiem rzeźbić muskularnych Chrystusów, według renesansowej mody, ów artysta kuje w kamieniu diabły i inne zmory otchłani, po gotycku straszne i pokręcone.

Dzisiejszy świętoszek zarzuca Michel'owi de Ghelderode, że człowiek widziany przez niego ,,nie jest piękny''. Jest to eufemizm, przykrywający poważniejsze pretensje i zarzuty. ,,Nie piękny'' trzeba zastąpić przez ,,prawdziwy''. Toteż nie odbiegniemy od prawdy pisząc iż sala prawobrzeżnego teatru ,,Marigny'' zaatakowała wielkiego Flamanda głównie za to że jest ,,ukazywaczem *prawdziwego* człowieka''.

---

(1) Michel de Ghelderode, *Les Entretiens d'Ostende,* recueillis par Roger Iglésis et Alain Trutat, ,,L'Arche'' Paris, 1956, str. 195.

Z dzieł nie żyjących już dzisiaj wielkich twórców mieszczu wykroił sobie cząstki wygodne. „Używając" tego teatru od l potrafił sprowadzić do towarzyskiej rozrywki to, co było re gijnym wstrząsem. Słodką i szaloną mądrość *Don Kiszota,* i l rzący śmiech Rabelais'go mieszczański światek sprowadził roli anegdoty przy obficie zastawionym stole.

Michel de Ghelderode nie idzie na ustępstwa. Z samotn ści swej mówi od czterdziestu lat tym samym, prawym głose Mówi tak jak mu się podoba — ponieważ jest artystą. I n licząc się z tzw. opinią społeczeństwa, purpurą kardynałów, c przysłowiowymi cnotami tzw. ludu, dochował wierności sw wizji.

O ile miłośnik wysokiej sztuki pisarskiej de Ghelderode zbierając po księgarniach i księgarenkach jego teksty, natra na trudności — o tyle samą twórczość, jej historyczno-artysty ną aurę przyjdzie mu określić bez trudu. Można by ją, po pros nazwać jednym słowem, co brzmi jak inkantacja: Flandria.

Ale w tym miejscu, zwracając się do polskiego czytelnik trzeba otworzyć nawias. Bo Flandria dzisiejsza, to nie tyl kolebka wspaniałych malarzy, to nie tylko smętna, w mart wodę wpatrzona Brugia, czy nastroszona średniowiecznym k mieniem Gandawa. Flandria to również nieprzerwany i mir wojen wciąż żywy pewien typ życia i patrzenia na świat.

Dzisiejsi Flamandzi to jeszcze lud, autentyczny lud, ta jakim go widzieli Breughele. Ludzie są tu mocni, zdrowi i jak na złość płaskiej, nudnej równinie, którą zamieszkują, wese Pewne strony ich życia społecznego zachowały się w stanie n skażonym, mamy na myśli obrzędy gminne i obyczaje. Można rzec, że lud ten i jego życie jest po dziś dzień najwspanials ilustracją baroku, pojętego jako godzenie krańcowo różny emocji i klimatów.

Kto chociaż raz w życiu był w Brugii, ten musiał zauważ rzecz nie istniejącą gdzie indziej: monstrualnie czarne, p metrowe płachty klepsydr pokrywające mury kościołów. Ma wrażenie, że ludzie umierają tu częściej i ostateczniej. Gruba trzy palce czerń otaczająca klepsydrę i krzyż odbity nie ołowie ale grubym klockiem — są afiszem samej Śmierci i napomn niem dla żywych, a nie powiadomieniem o czyimś konkretny zgonie.

Kto choć raz uczestniczył we flamandzkim kiermaszu, dział cech łuczników świętujący dzień Patrona, kto — stojąc jak oni — zagryzał krwawą kiszkę ociekającą kipiącym tłu czem, kto widział ich procesje, gdzie nabite dziewuchy, krocza przed chwilą w przebraniu Matki Boskiej, czy też Archani Gabriela, teraz — korzystając z przerwy i niepomne skrzy i błękitnych szat — wcinają fryty, popijając je piwem — l widział dzisiejszych Flamandów, temu łatwo przyjdzie pojąć breughelowsku flamandzkie Wczoraj, z którego czerpie s i szeroką swobodę brabancki dramaturg.

Polaka, syna narodu, który warto by poddać gruntownej
sychoanalizie razi tu nieomal wszystko. Bo proszę sobie wy-
brazić rzeczy następujące. Ludzie tutejsi, chociaż wierzący i bo-
obojni, nie uznają autorytetów. Od kilkuset lat, po obezwład-
ieniu książąt, żyją szczęśliwie, nie znając słów hymnu państwo-
ego (istniejącego od lat stu), natomiast doskonale znają słowa
,zastępcze'', na tę samą melodię, dzięki którym poznajemy
zieje pewnej dziewczyny, i dowiadujemy się jak została k.....

Proszę sobie wyobrazić w naszych, polskich warunkach le-
endy ludowe np. o królu Jagielle, który by zamiast bić Krzy-
aków i słuchać słowików spędzał czas z opojami i typami spod
iemnej gwiazdy, i którego by matka urodziła ... w wygódce,
yśląc że to zwykłe bóle żołądkowe. Podania ludowe, zamiast
ajmować się tzw. czynami bohaterskimi, mówią nieomal wy-
cznie o życiu zmysłowym i fizjologicznym dobrego syna ziemi
andryjskiej, cesarza Karola Piątego.

Aby natrafić na podobny ton u nas, w Polsce, musimy się
fnąć aż do czasów mistrza Jana z Czarnolasu. Pod tym wzglę-
em fraszki Kochanowskiego są ,,flamandzkie''. Jest w nich
iejsce na zielony dzban, jest i dla spraw łoża. A wszystko na-
vane słowem konkretnym, bez fałszu i pruderii, przez szczęśli-
ego poetę, dla którego świat boży obejmował nie tylko lilie,
anów szlachciców i słońce na niebie, ale i pijaniców, kozła
ołykającego węgorza, nie mówiąc już o młodym a zaradnym
isaku, co potrafił posiąść kobietę w najtrudniejszych, jakie so-
ę można wyobrazić warunkach.

Ale Flandria to nie tylko arkadyjskie życie ludu rybaków,
łopów i kupców. To nie tylko tłusty Jordaens, nie tylko ty-
zień dzielony na modlitwę i ,,grzechy główne''. Obok malow-
czości życia i przepychu naród flamandzki odziedziczył po
oich przodkach straszną pamięć o Inkwizycji. Małe, kamien-
grody, z dala widoczne na równinnej ziemi, do których dzi-
aj zagląda turysta, zaznały hiszpańskiego terroru religijnego.
Vszystko, co młode i dumne, co nie chciało płaszczyć się krzy-
m przed namiestnikami dalekiego króla i jego prokuratorami,
zło na stos i na tortury. Po dziś dzień w zamkach Flandrii
lądać można sale powolnego, ,,artystycznego'' męczenia lu-
i przez ludzi, w imię Boga, który jest Miłością.

Ze zbiorowej pamięci walk ciemiężonych Flamandów z na-
źdźcą narodziła się legenda o Sowizdrzale, której wspaniałą
tystyczną wersję stworzył Charles de Coster (2). Michel de
helderode, pisząc o swym rodowodzie duchowym i artystycz-
m, na pierwszym miejscu wymienia Breughela (3), a tuż obok
ego Charles'a de Coster'a (4). Idąc w ślady autora opowieści

(2) W Kraju ukazał się przekład dzieła wielkiego pisarza belgijskiego.
zekładu dokonał Julian Rogoziński. *Przygody Dyla Sowizdrzała*, P.I.W.,
55.

(3) *Les Entretiens d'Ostende*, str. 128.

(4) Tamże, str. 35 i 37.

epickiej o Sowizdrzale, Michel de Ghelderode sięgnął po cenniejszą tradycję swego narodu.

Okupacji hiszpańskiej nie można wyrazić jednym słow Inkwizycja. Obecność namiestnika, jego dworu i wojsk, przy łym terrorze i rządach twardej ręki, wprowadzała w życie łeczne Flandrii nowe zwyczaje, nowe formy obrzędów i w wisk. Nienawidzono arcybarokowych Hiszpanów, ale równoc nie naśladowano ich strój i postawę. Byli egzotycznymi ryce mi pośrodku ludu kupców i rybaków.

Dziś, przyglądając się spotkaniu obu form bycia, flama kiej i hiszpańskiej, widzimy, jak bardzo północnym Flaman przypadły do gustu niektóre cechy iberyjskich przybyszów. my przede wszystkim na myśli zamiłowanie do Śmierci, to rzyszące nieoddzielnie zamiłowaniu do zabaw i uczt. U jedn i drugich ta sama obsesja religijna wtargnęła do życia. Lu wali się w żałobie i makabrze, z takim — chciałoby się rzec rozmachem i z takim przepychem, z jakim zażywali rad dzbana, stołu, czy łoża.

Być może iż ponure lata Inkwizycji przyczyniły się wa do pogłębienia owego obcowania ze Śmiercią, pozostawia w narodzie potrzebę stałego współżycia z mrocznymi emble tami Wielkiej Niewiadomej.

W ogromnym teatrze Michel'a de Ghelderode, jak r nież w jego opowiadaniach, Śmierć jest jednym z pr gonistów. Wysłannicy Śmierci odwiedzają poetę (*L'odeur sapin*), raz pachnąc morzem, inny raz stęchłą ziemią gr (*Mademoiselle Jaïre*). De Ghelderode wciąga ich w dialog, w ważniejszy dialog próbując od nich wydobyć chociażby prze cie owego istnienia, czy nieistnienia po tamtej stronie życia.



Pośród bogactw przeszłości, z których, śladem swych w kich poprzedników czerpał Michel de Ghelderode, rodzici Flandria posiada rzecz cenną, instrument sztuki prymityw i nieomal umarłej, marionetki. Od lat chłopięcych przyszły maturg garnie się do ludu, żyjącego w zaułkach bruksels Tam, w kwaśnych uliczkach, w knajpach „Pod tłustą pluskw czy innym „Zielonym Aniołem", poznaje ludzi tkwiących jes napoły w dawnej Brabancji. U nich szuka ostatnich gestów, dących słabnącymi znakami wielkiej, ludowej wyobraźni — k zamiera dziś bezpowrotnie, niszczona przez ogłupiający f histeryczny footbal, czy piwiarnie, ogłuszone wrzaskiem me nicznych foxtrotów.

Tam, w piwnicy u podnóża Pałacu Sprawiedliwości, pi poznaje teatr kukiełek. Po trzydziestu latach, pisząc o tym, z hołd drewnianemu ludkowi marionetek, wyrzezanych i odzia spracowanymi dłońmi plebejskich artystów. Tam doznaje tralnego wstrząsu. Tam widzi łzy ludzi i słyszy okrzyki na

dzające bohatera. Wspominając ów czas, nazwie „lekcję marionetek lekcją wprowadzającą w teatr" (5).

Nie są to zresztą jedyne poszukiwania budzącego się w młodzieńcu instynktu pisarza. Z równą namiętnością odkrywa cyrk, jarmarki pełne sztukmistrzów, lunaparki, music-hall'e, nie mówiąc o pochodach cechów, procesjach i pogrzebach. Wystarczy przeczytać którąkolwiek spośród kronik (6), aby ujrzeć źródło, ową liturgię ludu Flandrii, z której wzięły początek gesty poetyckie pokazywacza rzeczy nadprzyrodzonych i ludzi, takimi jakimi są naprawdę.

Po tym wszystkim, niech nam będzie wolno powrócić do użytego na początku słowa-klucza i powtórzyć magiczny wyraz: Flandria.

Z takiej ziemi, z takiego dzieciństwa, z takiej — po tuwimowsku zagubionej w pergaminach i rekwizytach lat minionych młodości, wyrósł wielki poeta b a r o k o w y, Michel de Ghelderode. I tutaj nasuwa się natychmiast porównanie ze Słowackim. Aż wzrusza dosłowne niemal podobieństwo wypowiedzi obu poetów. Oto co najbardziej uderzyło wyobraźnię dziecięcą Słowackiego (7):

... „lubiłem wystawę — księży processye... rezurekcje odbywające się przy ogniu wystrzałów ... zwłaszcza gdy w księżycową noc widziałem księży wychodzących z krzyżem srebrnym, na plac licealnego kościoła z pochodniami, z celebrantem, nad którym niesiono namiot złoty i jedwabny, drogiemi perłami wyszywany... Gdy to wszystko przy blasku miesiąca, przy biciu dzwonów północnych, przy błyskawicowych ogniach moździerzy... szło i śpiewało po placu... duch mój niby wylatywał ze mnie..."

A oto bratnie wyznanie, o sto lat późniejsze, poety flamandzkiego :

... "Jako dziecko głęboko przeżywałem wszystkie manifestacje publiczne — pochody, procesje, jarmarki, strajki i zamieszki — podobnie jak i widowiska na wolnym powietrzu, pogrzeby, wjazdy królów do miast, uroczystości liturgiczne, karnawały i bale maskowe..." (8)

Gdzie indziej powie Słowacki o swej wyobraźni, nie wiedząc że daje definicję plastycznej, wizualnej strony baroku:

... „Imaginacja moja młoda jak motyl, wabiona była połyskiem, słońcem, *kształtami*, kiedym je pisał. Teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym dziecięciem jeszcze będąc, wzrostu sobie przymnożył. Pokazałem się

(5) *Les Entretiens d'Ostende*, str. 103.

(6) Michel de Ghelderode, *La Flandre est un songe*, éd. Durendal, Bruxelles, 1953.

(7) Cytuję za Klaudiuszem Backvisem, *Słowacki et l'héritage baroque*, str. 31. (J. Słowacki, *Dzieła*, pod red. M. Kridla i L. Piwińskiego, t. XIX, str. 86.)

(8) *Les Entretiens d'Ostende*, cyt. 59

więc po raz pierwszy jako artysta, ludziom, którzy bynajmniej o artystost nie myśleli... ważną i okropną tragedyą rzeczywistą zajęci..." (9)

A Michel de Ghelderode, podkreślając zależności swej sz ki od malarstwa, powie: ... „Tak było. Wpierw bowiem odk łem świat form, a dopiero potem świat idej" (10). I nieco lej: ... „Taki jest początek moich sztuk, powstałych najczęśc z podniet wizualnych..." (11).

Rzecz jasna, że podobieństwa nie ograniczają się jedynie zacytowanych powyżej wypowiedzi obu twórców, lecz sięg głębiej, do samego miąższu tworzywa, do frazy słownej i koturnowego brzmienia, zorganizowanego kolorowo i alarm jącego naraz wszystkie zmysły.

U obu poetów zauważamy jako sprawę naczelną poszu wanie sztuki; rozbudowę podniet wizualnych w nowe, nie istn jące wczoraj utwory wyobraźni. Dla obu praca w słowie, bły czącym i liturgicznie uroczystym, jest pierwszą troską, jest sadą ich poetyki. Słowacki — jak to odkrywczo stwierdził Kla diusz Backvis — wiedziony instynktem pisarskim, wrócił w wi XVII-ty i tam, w sztucznie stworzonej przeszłości, brał warsztat historię, lub po prostu historie szlacheckie i nie wcz niej rozstawał się z nimi, aż otrzymały szatę niezwykłą, aż n brały słownej, formalnej inności, aż stały się sztuką.

Nie inaczej postępuje Michel de Ghelderode. Dramaty s ustawia i rozgrywa na wielkiej scenie, w *Dawności,* której z pomniana i dogorywająca fala dziś jeszcze uderza o dłoń poet pochylonego nad Flandrią.

Tam rzucone konflikty i losy nabierają od razu owej dzi nej, gelderodowskiej poezji i — jak młody alkohol nala w beczkę po starowinie — spowijają się w szlachectwo.

Dobrze się stało, że Michel de Ghelderode urodził się — j to sam wyznaje — w „nie swoim stuleciu". Dzięki temu mó bowiem wrócić marzeniem artysty w swój czas, w wielki wi Odrodzenia i stamtąd do nas mówić.

Autentyczność postawy barokowej, tego uroczystego ges poety, możemy również sprawdzić w codziennym życiu brabar kiego dramaturga. Pod tym względem miłośnik jego sztuki d znaje radosnego zdziwienia. Wielki samotnik, żyjący z da od nowoczesnych dni i miesięcy, gości w swym pokoju okruc Flandrii, idącej w zapomnienie. Żyje otulony wspaniałym alm nachem przeszłości. Idąc dziedzińcami jego dramatów, gdzie krok spoczywają ułomki kolumn i posągi, trafiamy nieomyln do pokoju, gdzie pośród tarcz kamiennych zegarów, mase modeli okrętów, nagich manekinów, naprzeciw konia, co pr

(9) Również za Kl. Backvisem, z cytowanego już esseju, str. 31 Słowacki, *Dzieła,* pod red. M. Kridla i L. Piwińskiego, t. XVII, str. 70. Podkreślenie moje, M.P.

(10) *Les Entretiens d'Ostende,* str. 59.

(11) Tamże, str. 62.

wałował tu z którejś karuzeli dzieciństwa — siedzi człowiek sa-
notny. Ni podziw, ni oburzenie ludzi oglądających jego teatr, ie potrafiły wytrącić go z domu, który jest mu ostatnim schro-ieniem w latach, kiedy buldozery obracają w gruz dzielnicę po zielnicy, za nic sobie mając renesansowe brwi okien, za nic cie-iste podwórza i ogrody. Czas betonu. Taka samotność nie jest cieczką, ale obroną. Obroną godzin mądrych przez zamyślenie ciszę, a narażonych na szwank.

W jednym z opowiadań (13) człowiek samotny, stojąc przed magłą figurą Marii Panny w jednym z flamandzkich kościołów, ozostawionej tu niegdyś przez hiszpańskich najeźdźców, doznaje udu. „Dona Maria", najwidoczniej litując się nad kimś, kto rzychodzi do Niej i milczy, zwraca się do niego szeptem :

„— Jesteś jedynym, który nigdy dotychczas o nic mię nie prosił. Po-iedz prędko, czego pragniesz, a otrzymasz..."

A na to człowiek samotny odpowiada :

„— Niczego nie pragnę, Doña Maria, ... ale skoro Jesteś tak miło-ema, proszę Cię, zachowaj mię w samotności..."

W tym samym opowiadaniu, de Ghelderode, pisząc o czło-ieku samotnym, pyta : „Przed kim ucieka, kogo szuka?" — odpowiada : „W rzeczy samej szuka Boga" (14).

Nieznany to Bóg i mieszkający we wszystkich religiach i po-a nimi. Owo Coś, przerażające jednych, a napawające otuchą rugich. Owo Coś, w stronę czego płyną bolesne i białe modły idzi świętych i krwawe psalmy kapłanów Inkwizycji. Owa 'ustka, którą drwiną obrzuca ateista, ów Ład, dzięki któremu morze w brzegach stoi..."

Ponad łby głupich, mieszczańskich recenzentów, szarpiących oły renesansowego płaszcza poety za to że dotknął piórem czar-ych murów Kościoła i jego niegodnych kapłanów, ponad zaśli-iony chór pochlebców, chwalących w autorze *Barabasza* i *Pie-ielnych Godów*, twórcę „nawskroś chrześcijańskiego" — wzno-się samotny człowiek, pisarz wolny i uczący wolności.



Zanim przystąpimy do omówienia jednego z najbogatszych ramatów Michel'a de Ghelderode, *Hop Signora,* zaznaczmy iż dnym z naczelnych motywów w jego twórczości jest Miłość. ierwszą rzeczą, o której należy pamiętać, przystępując do ana-zy, jest symboliczność postaci i sytuacji, objętych żarem i ko-rem krwi. Symboli nie można tłumaczyć dla wszystkich. Każ-y musi otwierać je sam, kluczem indywidualnej wrażliwości,

(13) Michel de Ghelderode, *Sortilèges,* éd. définitive, Maréchal, Liège, 47. Cytat pochodzi z „Nuestra Señora de la Soledad", str. 140.
(14) Tamże, str. 137.

w obecności własnych, jedynych skojarzeń. Kobiety i mężcz w dramatach de Ghelderode'a to świat, któremu trzeba by święcić osobny essej, nie mając przy tym bynajmniej pewnc że odkryta przez nas formuła daje wykładnię słuszną i wy nia zagadkę. Każdy, autentyczny artysta na pewno czerpie soki nie tylko ze słońca, ale i z otchłani duszy i ciała — jednak i dokopywać się czarnych źródeł, używając do tego m nej, freudowskiej łopaty, nie leży w naszych intencjach.



Hop Signor, którego spolszczony tekst (15) przedstawia dziś polskiemu czytelnikowi, jest utworem reprezentującym c ba najlepiej wszystkie wielkie dane dramatyczne flamandzki twórcy, o których mówiliśmy poprzednio. Jednoaktowy dra pełen jest symboli. Sam autor nazywa *Hop Signora* „dramat niemocy" (16) i tym samym słowem określa *wszystkie* os dramatu. Niechaj Czytelnik zobaczy ile w tym prawdy. Mał rzata jest „bezsilną", słabą? Różan „słaby"? Czy dlatego „słabi", że nie potrafią urzeczywistnić pewnego typu życia, też dla tego właśnie są mocni? A Juréal, wstrząsająca kukieł o ludzkich namiętnościach...

Dramat oparty jest na dwu historycznych faktach. Pie szym z nich jest wzmianka w aktach sądowych w Antwer mówiąca o procesie i spaleniu na stosie pięknej kurtyzany, M gorzaty Harstein, w roku 1555-ym, zasądzonej za zabójstwo j nego ze swych kochanków. Drugim elementem obiektywny wykorzystanym przez autora jest ludowy zwyczaj, miejsco tradycja miasta Malines, polegająca na podrzucaniu płachtą r łej kukiełki przez rozbawiony tłum; kukiełki przezywanej *H Signorke* (Signorke, zdrobniale Signor, coś jak nasz panek, niątko, paniczyk), od okrzyków wznoszonych przez tłum: H Signorke!

Prastary ten zwyczaj publicznego poniżania, karania (ws mina o nim Cervantes, maluje go również Goya) zachował w jednym z miast dzisiejszej Belgii, *nic już nie znacząc.* B mieszkańców miasta, bawi turystów. Tylko historycy, ty poeci, w wytartym znaku próbują doszukać się fragmentów gubionej przeszłości. Dodajmy na koniec, że oba karły, Ch i Murga, spełniają w dramacie rolę chóru antycznego. Są razicielami opinii publicznej, syntezą tłumu.

A resztę, niech w sobie usłyszy czytelnik, jutrzejszy w któregoś z polskich teatrów.

Marian PANKOWSKI

Bruksela, 25 września 1956.

(15) Michel de Ghelderode, *Théâtre,* I t. Gallimard, Paris, 1 wyd. dziewiąte.

(16) *Les Entretiens d'Ostende,* str. 187.

MICHEL DE GHELDERODE

HOP SIGNOR!

Dramat w jednym akcie

(Autoryzowany przekład
MARIANA PANKOWSKIEGO)

INSTYTUT  LITERACKI

PARYŻ 1956

O s o b y

Małgorzata Harstein

Juréal, *zwany* Signor'em

Adorno

Helgar

Przewielebny Pilar

Różan

Chruń

Murga

Prokurator królewski

Tłum

We Flandrii, dawnymi czasy.

M i e j s c e

Ogród zapuszczony. Pośród krzewów i zielsk wybujałych widać rzeźby kamienne, figury świętych, płaskorzeźby, głowice, kolumny i zegary słoneczne. Wszystko to upodabnia ogród do opuszczonej budowy, bądź też do jakiegoś starego i zapomnianego cmentarza.

W głębi podwójny rząd schodów, obramowanych resztkami balustrady, prowadzi na kryty ganek, oświetlony przez szerokie, witrażowe okno, wychodzące na rynek. W tej, jakby galeryjce, zbudowanej na modłę klasztorną, widać również gdzieniegdzie stojące rzeźby. Minąwszy kilka stopni, można dojść tędy do głównej części gmachu, dokąd wiedzie dwoje niewidocznych drzwi — jedne po lewej stronie, drugie po prawej.

Od prawej strony zbliżają się dwa karły. Idą na szczudłach, jeden za drugim, i na dwa głosy pogwizdują melodię starego marsza. Niedość że garbate i brodate, jeszcze wzmogły swą brzydotę: Chruń paraduje w hełmie przybranym w pióra i w płaszczu rycerskim, żółto-błękitnym; Murga po prostu przebrał się za kobietę i we włosy jak szopa zatknął wypchanego puhacza. U pasa zwisają im nadmuchane, wieprzowe pęcherze. Ledwie że kusztykają, podobne do grubych żuków, naraz Chruń nieruchomieje, skrzecząc: „Ćwir-ćwir!". Murga zapytuje: „Kwak?" A Chruń wskazuje na krzewy, gdzie między kamiennymi figurami leży przyczajony chudy mnich, szary i kanciasty jak kamienie. Długo jeszcze będzie tak leżeć, przywarty nadzwyczajnym wysiłkiem woli i nie dostrzeżony przez nikogo. Ale przed czujnością karła nic się nie uchowa.

MURGA: — Nigdy nie braknie oka, ni ucha...
CHRUŃ: — Ni wysłannika Inkwizycji tam, gdzie by nawet diabeł nie poszedł...
MURGA: — Pod łóżkiem, w kominie, w piwnicy...
CHRUŃ: — Na strychu, w ścianie, na szafie...
MURGA: — Są płynni, bezkostni; po kreciemu podziemni, lub latający nad dachami...
CHRUŃ: — Są dookoła i przed tobą, są z tyłu i nad tobą, pod spodem, wszędzie i nigdzie. Są w tobie, są we mnie... uparci...

MURGA: — Jak wesz w twoich włosach...
CHRUŃ: — Jak parch na twej skórze Znajdziesz ich klęcząc
jakby się modlili...
MURGA: — Ekstaza węża! Kogo szpiegują?
CHRUŃ: — Świętego Jerzego, świętego Jacka...
MURGA: — Módlcie się za nami...
CHRUŃ: — Świętego Rumolda, świętego Michała, świętego Guma
MURGA: — I tego co nie ma ręki, i tego co niesie swą głowę śc
Szpiegują proroków, męczenników, szpiegują Raj i Boga Ojca...
CHRUŃ: — I Syna i Ducha Świętego, nie zapominając o Matce
kiej. (*Czyni znak krzyża, Murga naśladuje go.*) Ach, jakże świetnie sz
gują. A jeśli nie mają nic do pilnowania, sami na siebie w lustrze cza
MURGA: — Zdarza im się że szpiegują szpiega, jak to czyni
klecha. Czyżby chciał się dowiedzieć co chowasz w swym garbie świąt
nym?
CHRUŃ: — Ależ on ciebie szpieguje. Chce się dowiedzieć co k
twa suknia.

Strojąc groźne miny, następują na siebie; jeszcze chwila a zderzą

MURGA: — Od twego wzroku mleko się warzy!
CHRUŃ: — Od twego oddechu padają muchy!

Ale zamiast się bić, padają sobie w objęcia, i kołysząc się jak kac
śpiewają falsetem:

CHRUŃ: — Jestem sobie jaje.
MURGA: — A ja twoja łupa.
CHRUŃ: — Jestem sobie kikut.
MURGA: — A ja kula do kikuta.
CHRUŃ: — Jestem sobie nić.
MURGA: — Mogę ci za igłę być.

Kłaniają się sobie, stukają się czołami.

CHRUŃ: — Pokój! Kim jesteśmy dzisiaj, kiedy miasto w przepy
tonie i zabawach? Karły wielgachne! Urosły nam nogi, wynosząc nas
wysokość człowieka! Czyżeśmy kiedykolwiek byli nikłego wzrostu?
MURGA: — Pięknyś, mój Chruniu!
CHRUŃ: — I ty, Murgo moja, pożądania bardziej godna, niżeli
bieta! Pobierzemy się o północy.
MURGA: — Zanim północ wybije, nasza dwójka świat zadziwi. I
śnie nasza popularność.
CHRUŃ: — Nie tylko w mieście będziemy sławni, zobaczysz,
regoś dnia Regentka wyśle nas do Hiszpanii, gdzie zostaniemy błazn
przy dworze.
MURGA: — Na to jeszcze trochę poczekamy. Ale po co przyszli
do Mistrza Juréala?
CHRUŃ: — A właśnie. Mistrzu Juréalu, czy nie rodzi Pan we
jakiegoś posągu? Ustami, czy przez kiszki? Znam takiego mnicha, co och
ten posąg!
MURGA: — Ponieważ lubi to co z pozoru szlachetne, uraczmy
turniejem. Ale najpierw rzućmy sobie wyzwanie. (*Wymachuje jed*
z pęcherzy i woła:) Czy utrzymuje Pan że moje nogi są z tego sam
drzewa co i Pańskie?
CHRUŃ, *drąc się przeraźliwie:* — Oj, przytrę ja rogów hołyszowi
jak ten puhacz złorzeczy! Precz mi z drogi, bo jak nie, to kropnę tą
kryształową!

Pęcherze idą w ruch, z jednej i z drugiej strony. Słychać skomlenia popiskiwania karłów. W końcu biorą się za bary, przy czym szczudła ich kostiumy zaplątują się. Zaalarmowany hałasem przybiega Mistrz Juréal. ›st to mały, zwinny człowieczek, robiący wrażenie ułomnego. Jest zgar-ony i jakby przetrącony, a jego zbyt ciężka głowa, poryta zmarszczkami — e w zamian za to rozjaśniona wspaniałymi źrenicami — wygląda na źle adzoną w ramionach. Chuchro to odziane jest razem ze swym garbem czarną szatę z rurkowanego aksamitu, obrębioną popielicami, według prze-rzałej już mody burgundzkiej. W ręku ma miecz. Ujrzawszy karły, zbiega nim po schodach, w momencie, gdy straciwszy równowagę, padają i leżą k długie, zaplątane w swoich szczudłach, płacząc z wściekłości. Na mniec udaje im się powstać, tym razem jednak na własne nogi.

JUREAL: — Bardzoście się potłukli? Nie płaczcie, moi mali. Dziś ermasz. Napijecie się słodkiego wina. Ja funduję. Murga, zobacz jak ty yglądasz! Dziś pora na śmiech.

CHRUŃ: — Dzięki, Wasza Wysokość!

MURGA: — Widzi Wasza Wysokość, jak człowiek chce być zbyt ielki, to na dupę spada. To jego zachcianka.

Zamierza się na Chrunia szczudłem.

CHRUŃ: — Nieprawda, jej!

Krzyżują szczudła, jak do pojedynku.

JUREAL, *staje między nimi i rozdziela je:* — Brzydko się bawicie! 'asze krotochwile, szkraby, zawsze tak się kończą. A przecież garniecie do zabawy. Pomimo waszego wieku, nic tylko psoty wam w głowie. d czasu, kiedy byliście dziećmi, trzymają się was figle i lekkomyślność, ›ciaż z wyglądu...

Zacina się.

CHRUŃ: — Jesteśmy starymi dziećmi, prawda?

JUREAL: — Tak. Piszecie po murach, śpiewacie pod oknami i nie jecie przejść spokojnie żadnemu z mieszczan. Wszystko to zaprowadzi as pod pręgierz, gdyż nie zawsze pojmujecie sens tego, do czego was mawiają. Pomimo to lubię was bardzo. Mówią że jesteście złośliwi? Ta ma natura, która was upośledziła, dała wam myśl bystrą i nazbyt barwną. 'iem o tym i rozumiem was ponieważ jestem do was podobny. Bawiliście ę? Śmiejcie się jak ja. Trzeba, byśmy się śmiali więcej niż ktokolwiek ny, gdyż widok nasz jest przygnębiający. Gdyby nie moje stanowisko, zyłączyłbym się chętnie na trzeciego do waszych zabaw. Poza tym muszę szcze przetrzeć stal mego miecza, który mam w darze od przyjaciela. Co wspaniały brzeszczot, nieprawdaż?

Dobywa miecza i pobłyskuje nim.

CHRUŃ, *szeptem:* — Kupił go u handlarza starzyzną!...

MURGA: — Za długi dla Waszej Wysokości. Będzie skakać po ıku, czyniąc więcej zgiełku, aniżeli bateria rondelków uwiązanych u psiego ona.

JUREAL: — Kpijcie sobie ze mnie!

CHRUŃ: — Nikt nie kpi z Waszej Wysokości. Przeciwnie, całe miasto podziwia. Jakżeż tu nie podziwiać, gdy po tygodniu spędzonym na rusz-waniach katedry, pracowiciej i zwinniej niż pająk, Wasza Wysokość po-fi jeszcze, każdej niedzieli i w każde święto, wysztafirować się i olśnie-ać od świtu do nocy?

JUREAL: — Gdybym chciał mógłbym nic innego nie robić, tylko prze-adzać się w słońcu. Bylibyście zazdrośni? O co, szkraby? O strojnisia,

w którego pozwala mi się przedzierzgnąć mój dobrobyt, czy o pająka j witego? Dlaczego nie nauczycie się rzemiosła? Wspinalibyście się ze po wieżach, które odnawiam. Zostańcie raczej tym, czym jesteście — rzami co stroją miny. Zawdzięczam wam już tyle pomysłów! Chodźc mną, a utrwalę was w glinie. Przybierzecie pozy straszne, albo błaze

MURGA: — Czarownica lecąca na sabat...

Dosiadł szczudła i ujeżdża je w koło.

CHRUŃ: — Zakonnica wioząca swego diabła...

Wskakuje na plecy Murdze, który nie przestaje biegać w koło.

JUREAL, *śmiejąc się do rozpuku:* — Unieśmiertelnię Was! Porta tedry, jak długi i szeroki, wypełnię waszymi gestami!

CHRUŃ: — Tak uwiecznieni będziemy tym okropniejsi.

MURGA: — Gdyby jednak Wasza Wysokość szukała innych m proszę przyjąć do wiadomości, że cały szczep karłów fryzyjskich zjech jarmark. Rozbiły tam swoją budę. Plotą, stroją miny, tańczą, i wizują — coś nadzwyczajnego! Są słuchy, że Regentka każe je za do pałacu.

CHRUŃ: — Podają również ostatnie nowiny z miasta; wygadar aż uszy pękają, a śmiałość ich wprawia w osłupienie! Odstawiają tam rzecz, że ludzie tupią nogami, co, Murga?

MURGA: — Satyra na żonę, co mężowi rogi przyprawiła. W Wysokość zechce posłuchać? Ja będę za megierę.

CHRUŃ: — A ja za rogacza. A Mistrz, niech stanie tam, na ryjce, aby z góry patrzeć na te łóżkowe amory.

JUREAL, *przerywa im, podchodzi kilka kroków, po czym pod na prawo:* — To ktoś do mnie, zmykajcie!

Karły zbierają szczudła i uciekają na lewo. Z prawej strony wch Helgar i Adorno, dwaj młodzi i wytworni panicze, jeden piękniejsz drugiego.

ADORNO: — Przychodzimy za wcześnie!

HELGAR: — A przecież karły zapewniały mię, że to ranny pta taki co żadnej mszy nie opuści.

ADORNO: — Schlebiajmy próżności wyskrobka!... (*Idą ogrodem dziwiając rzeźby.*) Jakże dobrze wie to straszydło czym przerażać kobiety!

HELGAR: — Zobaczył nas. Można by go wziąć za chrabąs co się ubrał na niedzielę.

JUREAL, *kłania się:* — Witam Waszmościów! Niebo nazby łaskawe! Jakaż to wspaniałomyślność skierowała Wasze kroki ku niegodnej siedzibie?

HELGAR: — Nic tylko przyjaźń kieruje nami, Mistrzu Juréalu.

ADORNO: — Przyciąga nas Pańska sława. Jesteśmy cudzoziem stąd też interesuje nas wszystko. We Florencji, rzemieślnikowi o Pań zasługach nie zbywałoby na zaszczytach i zamówieniach. Rzeźbiłby rydwany triumfalne.

HELGAR: — W Londynie rzeźbiłby Pan dzioby królewskich tów. Dlatego też nie możemy pojąć lekceważenia, z jakim odnosi si Pana Regentka, tym bardziej że tak chętnie przebywa w towarzystwie tów i architektów. Czyżby Pan nie wiedział jak schlebiać jej upo niom?

ADORNO: — Niedawno, bo wczoraj, usiłowaliśmy... Dla niej Pan kimś, kto majstruje diabły.

JUREAL: — Nie, nie jestem godzien takiej łaskawości i takich pochwał. Ach, Wielmożni, cóż to za szczęście być przez Waszmościów wyróżnionym!
HELGAR: — Jest to zrozumiałe; pochodzimy bowiem z krajów oświeconych, gdzie uczeni i artyści górują nad wojownikami i dworzanami.
ADORNO: — Jaki piękny kord, Juréalu!
JUREAL: — Czy dobrze cyzelowany?
HELGAR: — Odstąpię Waszmości któryś z moich, zahartowanych przewspaniale. Czy Waszmość stale nosi kord?
JUREAL: — Wprawiam się. Proszę spojrzeć!

Przypasuje broń u prawego boku.

HELGAR: — Kord nosi się przy lewym boku. Jak inaczej mógłby go Waszmość dobywać z pochwy?
JUREAL: — Waszmościowie zechcą zrozumieć moje zmieszanie, spowodowane Ich przyjściem!
HELGAR: — Zaraz Waszmościa pouczymy.
JUREAL: — Ileż dobroci okazują mi Waszmościowie! Mnie, u którego trzeba by wszystko poprawić i którego urodzenie jest tak poślednie.
ADORNO: — Gdyby urodzenie Waszmościa było niskie, czyż byłaby do pomyślenia nasza pogawędka w jego domu.
JUREAL: — Chcę przez to powiedzieć, że urodziłem się boleśnie, poniekąd niedokończony. Za to dusza, tego jestem pewien, urodziła się wysoko i okupuje mierność swej powłoki. Zresztą, czyż obecność Waszmościów, mężczyzn młodych i o kształtach tak harmonijnych, nie jest dla mnie jakby rehabilitacją? (*Śmieje się gorzko.*) A ponieważ, Waszmościowie, żądni jesteście poznawania, dowiedzcie się — co Was zresztą ubawi — że dotknięty jestem niezwykłą chorobą, której żadna pielgrzymka nie jest w stanie uleczyć. Zsycham się! Z każdym rokiem szkielet mój maleje! Komiczne, nieprawdaż?
ADORNO, *do Helgara:* — Jego pokora graniczy z upodleniem!
JUREAL: — Czas ryje we mnie bruzdy. Staję się porowaty, wykruszam się. (*Przestaje się śmiać.*) Pleśń mię porasta. Jeszcze trochę a Waszmościowie zobaczycie, jak pieczarki zaczną mi róść na głowie. (*Milczy przez chwilę.*) Moim też chuderlactwem i osobliwym wyglądem tłumaczę sobie pogardę, jaką daje mi odczuć Regentka, uważając mnie niechybnie za nieokrzesanego kamieniołupa.
HELGAR: — Niech Waszmość przepędzi tę myśl. Regentka wypytywała się o zdrowie Waszmościa i rozmawiała ze mną o piękności żony jego, bowiem mówiono jej o tym. Zresztą, nie mam pojęcia skąd ten chłód u istoty tak uduchowionej, która wszystko pojmuje i wszystkiemu przychylna.
ADORNO: — Zdaje mi się, że wiem o co chodzi. Sztuka Pańska, Juréalu, jest świadectwem czasu, który minął bezpowrotnie. Trzeba by postępować tak, aby się podobać, a Waszmość wprost przeciwnie. Oczy dzisiejszych artystów zwracają się w stronę starożytności. Dzieła ich nie wyrażają, jak dawniej, nadziei lub zwątpienia trapiącego chrześcijanina, lecz radość życia, radość odkrywania pierwszych przyczyn i praw odwiecznych tego świata. Poniechaj Waszmość zdrętwiały na śmierć kamień co czernieje, i przyjeżdżaj do Włoch, aby nauczyć się jak dobywać płomień i śpiew z marmuru!
HELGAR: — Rzeźb nam Waszmość młodego Bakchusa, albo pęk roześmianych aniołków!
JUREAL: — Trafiacie w sedno, Waszmościowie! Niestety, wszystko co wyjdzie spod mej ręki jest szorstkie i wykrzywione, jak w konwulsji! Toteż marmur mój, jak i kamienie, pokryłyby się grymasem. Pojmuję ja

dobrze owo nowe oblicze Piękna, widzę je... ale nie umiem go wyr Jestem pogrobowcem — tak, to prawda! — przeżytkiem, jak te kat niegdyś białe, a dziś poczerniałe i ciemne, i które pójdą na rozbi skoro tylko zaczną się chylić do upadku.

ADORNO: — Czyż nie był Waszmość zajęty rzeźbieniem Wenu

JUREAL: — To tylko Ewa!

HELGAR: — Zasępiliśmy Waćpana, poczciwy Juréalu. Nie Waćpan precz przepędzi te chmury.

ADORNO: — Dosyć tego mówienia po próżnicy. Tym bardzie przyszliśmy zaprosić Waćpana na przechadzkę. Czy zaszczyci nas Wa swą osobą?

JUREAL: — Chętnie, o ile Waszmościowie nie wstydzą się mej by. Ach, jakże Wy umiecie rozwiać moje czarne myśli!

ADORNO: — Jak tylko skończy się procesja, nasz orszak patr szowski wyruszy na miasto i przejdzie pod krużgankiem, na którym łask ukaże się Regentka. Waćpan będzie kroczyć pomiędzy nami, i kiedy kłonimy się Jej Książęcej Mości, Waćpan uczyni tak samo. Być moż wówczas Regentka zechce zainteresować się osobą, która nam towarz

JUREAL: — Aż nie śmiem w to uwierzyć.

HELGAR: — Niech Waćpan przezwycięży swe zadowolenie. Ob ność jest oznaką szlachectwa z urodzenia.

ADORNO: — O szlachectwie z urodzenia świadczy również p szczególna postawa, jako też dobór szat. Chyba nie zostanie Waćpan w do niczego niepodobnym ubiorze, pamiętającym — mogę się założyć — c niego z książąt Burgundii?

JUREAL: — Cóż też Waćpan sobie wyobraża? Kazałem sobie s ubranie na wzór stroju Waszmościów.

HELGAR: — W porządku. Punktualnie w południe, na esplana Zanim jednak Waćpana pożegnamy, będziemyż mogli pokłonić się małżonce?

ADORNO: — Najcudowniejszej pomiędzy rzeźbami...

JUREAL: — Zaraz! (*Woła.*) Małgorzato! Zejdź-no! Jaśnie P wie przyszli.

ADORNO: — A gdybyśmy tymczasem popróbowali korda? Jur niech Waćpan spojrzy jak trzeba stanąć w pozycji.

Adorno i Helgar dobywają kordów i stają w pozycji.

JUREAL: — Widzę. Ach, jakże ona się guzdrze! Waszmości pozwolą, że pójdę jej powiedzieć, aby się pośpieszyła?

Wchodzi po schodach, następnie galeryjką dochodzi do drzwi po wej stronie i puka.

HELGAR: — Jak nim nie gardzić! Gdyby wiedział że jest p miotem kpin całego miasta, gdzie wszyscy, na pośmiewisko, nazywaj Signorem!

ADORNO: — Gdyby wiedział, że Regentka chce bym go prz wadził pod jej krużganek jedynie po to, aby zobaczyć jego krygow się i umizgi. A oto i wyskrobek.

JUREAL: — Mruknęła mi coś w odpowiedzi, co nie jest w zwy rzeźb, lecz kobiet. Jestem gotów, Jaśni Panowie.

ADORNO: — W pozycji do walki, Juréalu.

Juréal przyjmuje pozycję, z kordem w ręku.

HELGAR, *z miną arbitra:* — Schować łokieć, wypiąć pierś.

W tym momencie wybuch rzęsistego, dźwięcznego śmiechu. Małgorzata Harstein ukazuje się na galeryjce. Juréal i obaj szlachcice podrywają się jakby smagnięci tym śmiechem.

MAŁGORZATA: — Co za nieostrożność, Wielmożni Panowie! Dajcież mu raczej kawał listwy! Chcecie, aby się pokaleczył? Wspaniale młodzi, czyż nie mielibyście innych rozrywek?

ADORNO, *kłaniając się:* — Chcieliśmy jedynie uczynić zadość Jego pragnieniu.

MAŁGORZATA, *zstępując ku nim po schodkach:* — Ileż w tym szczodrości, i do tego jak ulokowanej. Czyż w ten sposób chcecie mi Waszmościowie złożyć swe uszanowanie, że doprowadzacie do szaleństwa tego tak już maniaka? A Waćpan, łamago, ma nadzieję stać się bardziej męskim, imitując ludzi przywykłych do spraw miecza?

Wyrywa kord zawstydzonemu Juréalowi i rzuca go na ziemię.

HELGAR, *kłaniając się:* — Niechaj go Waćpani nie krzywdzi, bo gotowiśmy sobie pomyśleć, że współczucie, które zakwita w sercach kobiet należy do legend.

ADORNO: — Proszę nań spojrzeć, nie wie co się z nim dzieje.

JUREAL: — Małgorzato, nasi szczęśliwie urodzeni goście zaszczycili mnie i Waćpanią swą obecnością. Niech Jaśnie Panowie wybaczą jej ten wybuch.

Nie może się powstrzymać od łez i płacze.

MAŁGORZATA: — Co, przelewa się rynna? Czy to tak trzeba się zachowywać w obecności Panów Szlachciców? Idźże Waćpan obetrzeć sobie nos, i nie pokazuj się zanim nie ubierzesz się jak człowiek.

Popycha Juréala w stronę schodów. Rzeźbiarz wbiega na pięterko i znika po lewej stronie. Małgorzata i Panowie dają upust powstrzymywanemu śmiechowi.

HELGAR: — Jest Waćpani nieczuła dla naszego druha.

MAŁGORZATA: — Cóż to szkodzi Waszmościom, jeżeli dla Was jestem czuła? Naprawdę, cieszę się bardzo, że mogę tutaj gościć Waszmościów. Prędko! Niech zakwitają na Waszych ustach kwieciste komplementy, które macie dla mnie.

ADORNO: — Owszem, pragnąłbym tego bardzo, ale widok Waćpani wzbudza we mnie dziwny szacunek. Komplementy moje tracą swój zapach i coś zniewala mię by traktować Waćpanią tak, jak nigdy dotychczas nie traktowałem kobiety.

MAŁGORZATA: — Często przechodzicie pod mym oknem. Jestem Waszmościom za to wdzięczna. Toteż przesatńcie mówić mi o mężu moim jako o waszym druhu, aby tym upozorować swe wizyty. Macie go w pogardzie tak jak i ja, tak jak należy mieć w pogardzie wszelką brzydotę.

HELGAR: — Kobieto, której nie podobna nie ulec. Jakżeż więc będzie mogła Waćpani mieć nas w poważaniu, Pani, dla której niczem są bogactwa i dostojeństwa — a która ceni u ludzi jedynie ich urok i doskonałość?

MAŁGORZATA: — Robicie, Waszmościowie, jak widzę, wszystko, abym głośno uznała że nie zbywa Wam na piękności, tak jednemu jak i drugiemu? Jesteście piękni, na pewno, i nawet nie wiem który z Was góruje!

HELGAR: — Waćpani jest świadkiem naszego zmieszania.

ADORNO: — Chyba że w ten sposób chciała nas Waćpani zwieść?

MAŁGORZATA: — Jestem szczera, i to bardziej niż przystoi. Dziękuję zatem Waszmościom za odwiedziny; grzeczność za grzeczność.

Przychodźcie często. Mąż mój postrada głowę z radości, a Waszmość sprawi to przyjemność — tak jak i mnie.

ADORNO: — Nie inaczej postępowano ongiś, w czasach rycerski. Jeżeli takie jest życzenie Waćpani, możność podziwiania jej wprawia w zachwyt. To wiele, ale...

HELGAR: — Byłoby to wszystko, czego mamy prawo oczekiwać?

MAŁGORZATA: — Rozumiem Was, urodziwi Panowie. Jeśli tak składnie przemawia, to znak że mniej chodzi mu o słowa, a wi o czyny. Jednakże trąciliście się łokciami, który więc z Waćpanów ośw cza się pierwszy?

HELGAR: — Piękna Małgorzato, proszę darować memu przyja lowi; kocha Waćpanią!

ADORNO: — To ty żyć mi nie dajesz, mówiąc w kółko o swej miętności, jaką żywisz dla Waćpani!

HELGAR: — Dla twojej...

ADORNO — Dla twojej...

MAŁGORZATA, *śmiejąc się:* — Dla Waszej, skoro złudzenia Waszym wspólnym udziałem. A przecież takim szlachcicom jak W mościowie chyba nie brak miłostek?

HELGAR: — Mieliśmy ich tyle, że dziś pociągają nas jedynie łości nieprzystępne.

ADORNO: — Nawet miłości bez cienia nadziei.

MAŁGORZATA: — Nic a nic nie pojmuję z tej mowy, ani czytać potrafię cokolwiek z twarzy Waćpanów, tak wyrazistych w chwili. Czy jestem naprawdę naiwna, czy tylko udaję? Po prostu obca jest zupełnie owa miłość, o której Waszmościowie tak ciekawie rozpraw ją. Dojdziecie jednak w końcu do przekonania, że o miłości nie wiem

HELGAR. — Niech Waćpani rozkaże, aby Ją nauczyć!

MAŁGORZATA: — Na Wasze nieszczęście, Waszmościowie, nie we mnie za grosz ciekawości. Nie posiadając wady owej, mam prawo wątpiewać o mej płci. Nikt dotychczas, a zwłaszcza ten komu przypadł obowiązek, nie nauczył mię owej miłości, która — jak mówią — jest akt Czyżby istniały we mnie miejsca martwe?

ADORNO: — Potrafimy przywrócić im życie. Jeśli Waćpani pragnie.

MAŁGORZATA: — Jeśli kiedyś tego zapragnę, dam znać W mościom. Tylko czy się domyślicie?

HELGAR, *do swego towarzysza:* — Zagadka, nie kobieta!

ADORNO: — I co za subtelność w mówieniu o tym, o czym jak twierdzi — nic nie wie. Czy przyjdzie nam podziwiać jej umysł równi z jej ciałem?

MAŁGORZATA: — Wzrusza mię zakłopotanie Waćpanów, wi cież jednak że nie należę do rzędu tych, które pragną podtrzymywać mień w sobie, lub w kimś innym, albo opóźniają grzech, aby go p zażyć tym lepiej.

ADORNO: — Małgorzato, odeszliśmy daleko od oklepanej gadan I nie wiedziałbym co Waćpani odpowiedzieć, gdybym się odważył odpowiedź...

MAŁGORZATA: — O, bynajmniej nie oczekuję odpowiedzi. A no, cóż uczyniłam, że Waćpan taki wzburzony? I Waćpan też, Helg Pobledliście obaj. Gdzie ja już Waćpanów widziałem, z tym samym razem twarzy?... We śnie. Tak często przechodziliście pod mym ok że pewnego razu wstąpiliście w mój sen. (*Śmieje się.*) Och! Między nic nie było. (*Ciszej.*) Była noc i burza. Waszmościowie nie byliście dwójkę, jak się Was, moi drodzy, zwykło widywać. Był jeden z

/aszmość, Helgarze. Nieomal naga, dysząc, szłam drogą, wśród ciepłego ɜszczu. Nagle, w blasku pioruna, Waszmość wyskakuje z fosy... z twarzą k teraz... odziany w wilczą skórę...

HELGAR: — Ukaż mię, Waćpani, za owe złoczyństwa, co zaszły brew mej woli.

MAŁGORZATA: — Za cóż karać? Waszmość powalił mnie jedynie ı ziemię. Nie broniłam się. Ogarnęła mię trwoga, która jednak potem wyɜła mi się gwałtownym szczęściem. Ponieważ obudziłam się zbyt wcześnie, lrowa i cała. Podczas takiej nocy, za sprawą snu, omal że nie odkryłam nsu owej miłości, której kobiety, w snach swych, przypisują urok i omtenie.

ADORNO: — Zazdroszczę ci, Helgarze! Od dziś będę z tobą nawet koszmarach kobiet.

MAŁGORZATA: — Zapewniam Waszmościów, że to się już nie owtórzy. Zazwyczaj sypiam dobrze.

HELGAR: — Usłyszawszy opowieść Waćpani, czuję jak trapią mię yrzuty sumienia; jakbym popełnił zły uczynek.

ADORNO, *śmiejąc się:* — Co najwyżej żałujesz, że nie było ci daem dokończyć gestu napastnika!... Trzeba ci było ryzykować że ofiara va zbudzi się, gdy ją zbyt brutalnie zwalisz na ziemię?

MAŁGORZATA: — Co do żalu — ofiara podziela go na równi napastnikiem, gdyż gwałt ów byłby jej objawił to, czego jej nie nauczą k najbardziej perwersyjne rozmowy. (*Helgar i Adorno, podnieceni przyrwają się coraz bliżej do Małgorzaty, która uwalnia się z ich objęć.*) ie! Mówiąc o tych sprawach, już nigdy nie posunę się tak daleko! Co omyślicie o mnie, jeżeli w nocy Waszmościów odejdzie sen?

HELGAR, *siląc się na śmiech:* — Odtąd zawsze ujrzę się biegnącym czasie burzy.

ADORNO: — A będziesz wierzyć żeś zmieniony w wilka?

MAŁGORZATA: — Niech Waszmościowie pamiętają o celu swej izyty! (*Z lewej strony ukazuje się wysztafirowany Juréal. Jakby onieśmieony, zatrzymuje się na szczycie schodów i obciąga swój ubiór.*) Jestem pełı zachwytu, że oglądały mię błyszczące źrenice Waszmościów, podobne enicom młodych a głodnych zwierząt patrzących na nową zdobycz. W miści, jak czytałam, rzeczą najważniejszą jest aby odczuwać głód, a nie y być nasyconym. Pozostańcie nadal chudymi i łaknącymi, takimi Was bię. I zawsze niech widzę Wasze zęby.

HELGAR: — Niech Waćpani nie wywołuje wilka z lasu, powabna lałgorzato. Bo jeżeli ugryziemy?

MAŁGORZATA: — Pohamujcie się, Waszmościowie! Oto mój pan władca, ubrany ni-przyszył-ni-przyłatał, i jakby osłupiały na widok swej ny, do której zalecają się dwaj szlachcice. Niech się zdziwi jeszcze barziej, zgoda? Daję Waszmościom dłoń moją do pocałowania, obydwu naraz.

Podaje im rękę, Helgar i Adorno pochylają się jednocześnie.

HELGAR: — Po tej nieoczekiwanej łaskawości, na cóż jeszcze będzie nam wolno czekać, w nadziei że...

MAŁGORZATA: — Na co się Waszmościom żywnie spodoba. Nazieja nikim nie wzgardzi. (*W stronę domu, do Juréala.*) Niechno Waćpan odejdzie. Nasi dobrodzieje już odchodzą.

JUREAL, *zbliża się:* — Znoście mój widok, Waszmościowie. A oto ój ubiór.

ADORNO: — Dobrze Waćpan dobrał.

HELGAR: — Miło patrzeć na szaty Waćpana, upodobniające go do

nas niemal całkowicie. Proszę dotrzymać słowa i stawić się na spotk
nasz stary druhu!

JUREAL, *kłaniając się:* — Do nóg upadam!

Adorno i Helgar kłaniają się najpierw Małgorzacie, następnie Juréc i wychodzą.

MAŁGORZATA, *po chwili milczenia:* — Waćpan, jak widzę, piał? Proszę, niech się mąż mój zbliży, niech się obróci... W tym Waćpan wygląda tak zalotnie, że poproszę rajców miejskich, aby go w tuszowej wieży za dzwonnika zamknęli. Całe miasto będzie zadzierać gł aby go zobaczyć!

JUREAL: — Oszczędź mię Waćpani!

MAŁGORZATA: — Syczy i chowa głowę niczym żółw rozw czony chowa swoją pod szylkret. Co Waćpana, tak nagle, doprowadził wściekłości? Czy to że był przedmiotem kpin przed gośćmi? Sam mi W pan daje ku temu sposobność. (*Milczy.*) A może razi Waćpana moja ufałość z jego przyjaciółmi?

JUREAL: — Czy robiłem Waćpani z tego powodu wyrzuty?

MAŁGORZATA: — Innym razem brał mi Waćpan za złe, że b zbyt powściągliwa. Cokolwiek bym więc zrobiła...

JUREAL: — Czy robiłem Waćpani z tego powodu wyrzuty?

MAŁGORZATA: — Czy w ogóle odważyłby się Waćpan zarz mi cokolwiek?

JUREAL: — Rzeczywiście, nic. (*Idzie ku niej.*) Daruje Waćp (*Małgorzata wstępuje na schody.*) Małgorzato!

Małgorzata przystaje.

MAŁGORZATA: — Czego Waćpan żąda ode mnie?

JUREAL: — Pragnę Waćpanią prosić, aby mi towarzyszyła w c przechadzki. Należy do zwyczaju, że w czasie kiermaszu małżonkowie kazują się razem.

MAŁGORZATA: — Po to, aby usłyszeć krocie wulgarnych p cinków, rzucanych w stronę dziwacznej pary, jaką jesteśmy. Niech Wa idzie. We mnie budzi odrazę ten motłoch, szyderczy i prostacki.

JUREAL: — Ten poczciwy, ochoczy i drogi ludek?

MAŁGORZATA: — Ta czerń, co się płaszczy przed tyranam książęcym tronie, ale nie posiada się ze szczęścia, kiedy jej pozwolą pijackim głosem i tłuc dzbany na kiermaszu; wtenczas czuje się w i dzielna!

JUREAL: — Krocząc sam jeden, tylko potwierdzę naszą małże niedolę.

MAŁGORZATA: — Czyż mózg Waćpana tak dalece skamie Czyż ma Waćpan uszy swoich posągów, że nie słyszy wymysłów, ja jego poczciwy ludek obrzuca go po drodze?

JUREAL: — Nigdy nic nie słyszałem. A cóż takiego mówią, c bym nie słyszał?

MAŁGORZATA: — To, o czym wszem i wszystkim wiadomo rzeźbiarzowi tylko w ramieniu dostaje męskości, a i to tylko po to, ciosać kamienie nagrobne... (*Śmieje się.*)

MAŁGORZATA: — Toteż nie trzeba okazywać zdumienia na w rosłych szlachciców, odwiedzających często dom rzeźbiarza pod poz przyjaźni...

JUREAL: — Kłamstwa! Nikt tak nie mówi i nikt tak nie myśl

MAŁGORZATA: — Pokazują na migi, szepcą o tym i śpiew A czego nie śpiewają, gwiżdżą. To mianowicie, że mąż byłby w skr

wej przewrotnie zadowolony, widząc swą żonę w ręku szlachciców i, że prócz tego, liczy na względy w zamian za jej łóżkową powolność.

JUREAL: — Waćpani nie zamilknie?!

MAŁGORZATA: — Co, Waćpan się buntuje, zamiast być raczej rzygnębionym tym, o czym mu donoszę? Albo, niech Waćpan — podobnie ak ja — lekceważy ludzką obmowę. Nie wierzę w zamysły, które Waćanu przypisują, znając jednak zawiłości duszy, ukrytej w jego ciele, nie zynię Waćpanu wyrzutów z powodu jego małoduszności. Nie mniej, szczęcie Waćpana, że nie mam miłosnych zachcianek — w przeciwnym bowiem azie postępowałabym zgodnie z obmową, aby Waćpan nauczył się cenić onor...

JUREAL: — Czy zdradziłaby mię Waćpani?

MAŁGORZATA: — Tak! Jeżeli taki byłby mój kaprys, albo jeśli iałabym na to ochotę. Zresztą, czyż wiąże mię z Waćpanem chociażby ajdrobniejsze uczucie? I czy nie mam prawa do męskiej pieszczoty?

JUREAL: — Zemściłbym się!

MAŁGORZATA: — Waćpan? (*Frenetycznie.*) Nareszcie stał się boaterem! Sądzi że jest zdradzany, i to podwójnie! I nie pojmuje, że będąc dradzanym przez swych przyjaciół, osiąga przez to coś w rodzaju szlachecwa, szlachectwa jakiego pragnie! Mścić się, kiedy powinien by mię pohwalić. Nie, jeszcze wpada w gniew! (*Biegnie ku schodom.*) Byłby szlachicem! (*Skręca na prawo, w stronę swego pokoju.*) Jaśnie Panem, nobilitowanym za sprawą podbrzusza!

Znika. I słychać jak nacicha jej drwiący śmiech. Juréal nareszcie daje ście swemu gniewowi: skacze w miejscu i tupie nogami. Wymawia słowa iezrozumiałe, kąsa swe ręce zwinięte w pięść, i wygląda jakby się dusił. Następnie, jakby mu gniew przydał skrzydeł, w skokach przebiega schody biegnie galeryjką na prawo, do drzwi, próbuje je otworzyć i powraca, nie rzestając powtarzać: „Niedobra!... niedobra...". Chwyta fragment rzeźby, nosi go nad głowę, chcąc nim wywalić drzwi, ale zaczyna chwiać się pod iężarem i zrzuca głaz w ogród. Kamień omal że nie miażdży Przewielebego Pilara, ukrytego przez cały czas pośród posągów i krzewów. Mnich rzyczy z przerażenia i wyskakuje ze swej kryjówki. Chce uciekać, widzi e go odkryto, poznaje Juréala, który stoi jak wryty, przygnębiony swym iefortunnym uczynkiem.

JUREAL, *schodzi śpiesznie w stronę mnicha:* — Proszę mi darować, ie wiedziałem że ojciec był tutaj.

PILAR: — Byłem tu. Tylko co wszedłem, w chwili gdy wybuchła asza sprzeczka. Nie mogąc się wycofać, stanąłem dyskretnie na uboczu. Volałem żeby mię żona Waszmości nie spostrzegła. Wiem, że nie cierpi mie, tak jak i nie cierpi Waszmościa, biedny Juréalu!... Niech się Waszość nie martwi. Boli? Człowiek cierpiący nigdy nie jest śmieszny. Słyszaem wszystko. Niedobra? Jeszcze gorzej. (*Ujmuje ręce Juréala.*) Cierp, mój ynu, cierp całym sobą.

JUREAL: — Cierpię, codzień i każdej godziny. Cierpię z powołania niewątpliwie cierpiałbym, gdyby mi brakło cierpienia. Taki już los. Dlazego jednak tym razem zbuntowałem się? Przebrała miarę.

PILAR: — Opętana i uparta w swej złości. Juréalu, Waszmość wie, k go kocham.

JUREAL: — Ojciec jest jedynym, który mnie nie odtrąca. Wszyscy ini mnie nienawidzą.

PILAR: — Waszmość jest na tym świecie jedynym człowiekiem, któ mi się zwierza, mnie, mnichowi omijanemu przez wszystkich, mnie Pilaowi, spowiednikowi skazańców... (*Żarliwie.*) Czy wiemy co nas łączy?

JUREAL: — Pewnie to, że potrafimy znosić ból. Każdy swoją c
Nie ważny jest powód. Byleśmy tylko czuli nasze serce odzierane ze sk
bo bez tego każdy z nas byłby człowiekiem bez czucia i bez życia. Nil

PILAR: — Waszmość, jak sam to powiedział, cierpi z powoła
Wszystko, czego by Waszmość nie dotknął, nabiera wyrazu cierpie
I właśnie dlatego, sztuka Waszmości nie podoba się! Jego anioły i św
mają twarze poryte męką. Nazywa się Waszmościa ukazywaczem Piek
i dziś, w czasach będących powrotem do pogaństwa starożytności, nikt
nie pojmuje wzniosłości Twych dzieł, Juréalu. Jestem jedynym, który
o piekle, tak jak śni o nim Waszmość. Jedynym, który widzi to s
piekło co Waszmość, i lęka się, aby ów sen nie uległ zmianie — na
w niebie...

JUREAL, *ujmując ręce mnicha:* — Ojcze Pilarze, czyżby Ojciec
padł w rozpacz? Ręce Ojca palą i jakiś ogień bije od niego! Wszys
czego dotkną Wasze ręce staje się palące.

PILAR, *wyswobadza się z uścisku przyjaznych dłoni:* — Rozpacz
Zgrzeszyłbym strasznie przeciw Duchowi Świętemu! Tracę nadzieję,
tylko w samego siebie — że nie jestem świętym. Co stoi mi w tym
przeszkodzie? Bóg winien wiedzieć co, lecz przede wszystkim Sza
Gdybym był pozostał w Hiszpanii, byłbym już świętym. Jakim prób
chciano mię poddać, posyłając mnie do Flandrii? (*Zbliża się do sw
przyjaciela.*) To słabość, wyznać coś takiego. Wygląda, jakbym szu
pociechy, podczas gdy zadaniem moim jest pocieszanie. Ale tak r
wstrząsnęła ta wstrętna kłótnia...

JUREAL: — Przestałem nad sobą panować. A jak postąpiłby Ojci

PILAR: — Ja? (*Śmieje się głucho.*) Odpowiem ci... (*W porywie ch
ta rzemienie zwisające mu u pasa i jak szalony zaczyna biczować uroj
pokutnicę.*) O tak...

Zacisnąwszy zęby, siecze zawzięcie powietrze.

JUREAL: — O tak!... Mocniej!... Jeszcze mocniej... Niech
pokutuje!...

PILAR, *zatrzymując się nagle:* — Cóż to dla niej za pokuta?

JUREAL: — Nie pojmuję co Ojciec chce powiedzieć? Cóż p
staje, jeżeli Ojciec jej nie ukaże?

PILAR: — Módl się za mnie, jak ja modlę się za ciebie.

JUREAL: — Modli się Ojciec za nią?

Cisza. Mnich przypasuje z powrotem swe rzemienie.

PILAR: — Wybierałeś się na kiermasz?

JUREAL: — Tak, wesół i rad, a terazem jak struty.

PILAR: — Kobiece gadanie? Machnij ręką!...

JUREAL: — Trucizna pozostanie. Wystarczy że spojrzę na przyja
a już jakby mię wąż ukąsił. Łotry! Rzucę im w myśli. Dziwka! E
wołał na mą żonę. A widziałem w niej posąg czystości...

PILAR: — Czystość jest namiętnością, która drzemie.

JUREAL: — Nigdy więc już Ojciec nie ukoi mej duszy?

PILAR: — Strzeż się spokoju duszy! (*Brutalnie.*) Dość tego, trz
abym do ciebie mówił, jak mówię do innych. Chcesz wiedzieć, czy tv
żona cię zdradza?

JUREAL: — Po tym jak mię dziś sponiewierała... Każde jej sł
raniło mię do żywego.

PILAR: — Kochasz swą żonę, czy też bliższym ci jest cierpie

JUREAL: — Cóż Ojcu odrzec?

PILAR: — Twoje miłosne rozterki, twe przyziemne tarapaty,
mnie ziębią, ani grzeją! Prawdy należy pragnąć dla niej samej. Tr

ko sprawdzić, czy blask sakramentu nie został przyćmiony. Postaram się tym dowiedzieć.

JUREAL: — Koniecznie.

PILAR: — Jestem twoim spowiednikiem, ale nie jej... Ona nie dości mnie do siebie, za każdym razem tak robi.

JUREAL: — Niech Ojciec raz jeszcze spróbuje. Może go przyjmie? oże w tej chwili, przybita swą własną gwałtownością, czeka, aby ktoś do niej zbliżył, pożałował jej i pomógł przemówić... Niech Ojciec tak ıbi, bo czuję nieszczęście nad głową, wiszące jak ten głaz, który omal zmiażdżył Ojcu czaszki.

PILAR: — Spróbuję.

Wstępuje pomału po schodach i skręca na prawo.

JUREAL: — O! Dzięki...

Idzie w ślad za mnichem, ale skręca w lewo i znika. Pilar zatrzymuje , spogląda na drzwi, potem zawraca i, oparłszy się o kolumnę, pogrąża w rozmyślaniach. Od ogrodu nadchodzą Chruń i Murga. Spostrzegłszy lara, czynią błazeńskie znaki krzyża.

CHRUŃ: — Co? Mnich od szubienicy? Oj, nieszczęście!...

MURGA: — Rychtuje się do spowiadania naszej pani, to widać. Będiemy podsłuchiwać pod drzwiami.

CHRUŃ: — Zobacz, jak mu się wargi ruszają. Czyżby się modlił?

MURGA: — Gdzie tam, ślini się. Chruń, jego nie ominie aureola.

CHRUŃ: — Onże wyprostuje garby garbatych. Święty Pilarze, módl za nami...

MURGA: — Będzie się czytać w jego żywocie, że mdlał z obrzydzena widok grzechu...

CHRUŃ: — Że postradał był nadzieję iż kiedykolwiek ulegnie złu, wiem opierając mu się, tak wielkiej zażywał przyjemności. Święty Pize...

MURGA: — Kłapiący zębami z niewinności...

CHRUŃ: — Święty Pilarze, ociekający potem czystości...

MURGA: — Święty Pilarze, dyszący wstydem...

PILAR, *wyrwany z rozmyślań:* — Robactwo! (*Nachyla się ku nim.*) zychodzicie, żeby wyrecytować waszą lekcję?

CHRUŃ: — Byliśmy już tutaj. Lekcja zostanie powiedziana tak, jak ie tego Ojciec życzy.

PILAR, *znowu pochłonięty myślami:* — Trzeba, żeby stary nie przewał się niepokoić, żeby robak zwątpienia toczył mu serce. W międzyısie kłamstwo ruszy w świat tysiącem skrytych ścieżek, niczym wody dskórne. Bywa, że kłamstwo jest tylko przedwczesną prawdą...

MURGA: — Mądrala, nie ma co!

PILAR, *zapomniawszy o obecności karłów:* — Będzie upokorzona. moich stóp się upokorzy. Skruszę jej pychę. Jest winna. I nie ważne co zawiniła. Doprowadzę ją do tego że uzna się za winną. A jeśli nie nią w rzeczywistości, jest nią w myślach, przez to samo, że uważa za nieskazitelną. Czyż poza Matką Jezusa mogłaby się zdarzyć istota dotknięta grzechem? Nie, bo Krzyż i jego Ofiara straciłyby swój sens! *ostrzega karły.*) A wy co, słuchaliście?

CHRUŃ: — Podziwiamy skurcze wściekłości przebiegające po ascezynym obliczu Ojca! To murowane, Ojciec powtarza sobie kazanie.

PILAR: — Powiedzcie mi jeszcze — a nocą, kiedy czatujecie?...

MURGA: — Nie dowiedzieliśmy się niczego, co mogłoby się Ojcu ydać. Ta kobieta, nic tylko śpi. I mogą sobie nawet trąbić trąby zwołue na Sąd Ostateczny!

CHRUŃ: — Śpi, nie czyta ksiąg kabalistycznych, i na miotle lata. Ojcze Pilarze, zbyt wiele się spodziewacie...

MURGA: — Bo chyba tych kilka groteskowych scen małżeńsk Pani ma skorą rękę, to mogę potwierdzić!

CHRUŃ: — Toteż Signor nie zapuszcza się już do sypialni ma skiej.

PILAR: — Czy naprawdę nic się między nimi nie dzieje?

MURGA: — Nic, co by można zobaczyć.

PILAR: — Dość, śmierdziele...

Idzie na prawo.

CHRUŃ: — Hej, Ojczulku, a co się z nami stanie po śmierci? dziemy aniołami?

PILAR: — Będziecie latać, ale na nietoperzych skrzydłach...

Puka do drzwi po prawej stronie i, kiedy mu otwierają, wchodz środka.

CHRUŃ, *pluje za Pilarem:* — Być mnichem, to w sam raz coś mnie.

MURGA: — A ja zakonnicą.

CHRUŃ: — Wystarczy mieć habit i być niechlują.

MURGA: — I wszędzie strzyc sobie brodę.

CHRUŃ: — Załatwione! Już cię spowiadam!

Zwala Murgę na kolana i podwija jej kiecki.

MURGA: — Nie chcę! To sodomita, jeszcze mi zrobi krzywdę

CHRUŃ, *dając Murdze klapsy w tyłek.* — Co? Jeszcze nie w „mea culpa"?

Od lewej pojawia się Juréal, w butach po pas. Twarz ma błyszc napomadowaną, a na głowie kapelusz ozdobiony piórami. Na ramion rzucił płaszcz z wiśniowego aksamitu, obrzeżony złotem. Przystaje i gląda się zabawie karłów. Po czym schodzi, nie mogąc dać sobie rad zbyt długim płaszczem i dzwoniącym o schody kordem. Karły podrywa i biegną ku niemu, cmokając z podziwu.

MURGA: — Cóż to za rycerz? Czyżby nasz Pan?

CHRUŃ: — Onże sam, wspaniały. Z drogi, hołysze!...

JUREAL, *ubawiony, idzie dalej i omal nie upada. Karły podbi* — Dziękuję wam, moi mali. Jak się prezentuję?

MURGA: — Szlachetnie, ale bez pozy, tak w wyrazie twarz i w całej postawie! Niewymuszenie, tak jak się oddycha...

CHRUŃ: — A gdzie sprzedają takie stroje? Lecę je kupić, pędy...

JUREAL: — Nie wierzcie przysłowiom i wiedzcie, że nie strój człowieka.

MURGA: — Trzeba jeszcze klejnotów?

JUREAL: — Szlachetna postawa? Co mi tam. Szlachetność c teru, oto co trzeba zdobyć. (*Żegna karły zamaszystym ruchem kap i zwolna oddala się ogrodem, ku prawej. Karły za nim, tuż, tuż.*) W c

CHRUŃ: — Wesołej zabawy, Jaśnie Panie. Swych wysoko u nych przyjaciół znajdzie Waćpan przed budą jarmarczną.

JUREAL, *zatrzymując się:* — Widzieliście ich?

MURGA: — Wracamy stamtąd. Wyglądało że bawili się i o wali krotochwilnych błaznów.

JUREAL: — Skoro to bawi moich przyjaciół, udaję się tam n miast.

CHRUŃ: — Przyjaciele Waćpana bawią się, dając poklask błazeńwom, ale nie rozumieją o co chodzi, gdyż są cudzoziemcami i nic a nic e pojmują ze skandalicznych plotek, wygłaszanych przez komediantów.

MURGA: — Waćpan jednak, żyjący w tym mieście, niechaj woskiem tka swe uszy, albo nich się przyłączy do tych co nic nie rozumieją.

JUREAL: — A cóż grozi mi że usłyszę?

CHRUŃ: — O Waćpan wie dobrze — plebs przepada za krotowilami pełnymi aluzji. Nawet jagnię potrafią oczernić.

MURGA, *z oburzeniem:* — Posłuchać dłużej, a człowiek odchodzi ze strętem. Nie jesteśmy bynajmniej przeciwni swawoleniu w czasie kieraszu, ale żeby wędrowni komedianci mogli rzucać oszczerstwa na uczciych obywateli — po to tylko, żeby chamstwo miało z czego się pośmiać...

JUREAL: — A, taak? O czym mówią?

CHRUŃ: — O tym, że wszyscy mężowie...

JUREAL, *ze śmiechem:* — Któż by w to wątpił, z wyjątkiem ich saych! Rzeźbiłem już ten i ów motyw z pośród radości małżeńskiego pożya. Małżonkowie świata całego mogą się tam odnaleźć, jeżeli oczywiście chca się poszukać.

MURGA: — Błazny te nie muszą szukać poza miastem, liczącym, k sie zdaje, nie mało rogaczy.

JUREAL: — Dawnych, wszem i pospołu znanych staruszków... Znay ich, co do jednego!

CHRUŃ: — Są również i nowi, nieznani dotychczas. Człowiek nie oże wyjść ze zdziwienia!

JUREAL: — Posłucham tych pyskaczy.

CHRUŃ: — Niech Pan nasz tam idzie, ale proszę być z tymi co się nieją — i śmiać się nie na końcu, ale przed innymi, i głośniej od innych. ak, żeby Waćpana dobrze było słychać!

MURGA: — Bo inaczej oglądano by głowę Waćpana, czy aby z niej oś nie wyrasta!

JUREAL: — Czyżbyście mieli wrażenie że...

CHRUŃ: — Maszci! Chyba że mię coś omamiło... (*Zmienia głos słąpając pysznie jak aktor, wznosi palec do góry:*)

,,Kto to? Nie chłop, lecz chuchro koślawo-garbate,
obok cnót pełnej żony ślicznej...

MURGA, *podobnie:*

,,Iluż to kształtnych panów dało się wziąć na lep...

CHRUŃ i MURGA, *robiac dworski dyg:*

,,I przystroiło jego łeb
W cudowne rogi heraldyczne..."

JUREAL, *zatacza się:* — Nie, nie! Nigdy tego we mnie nie wmówicie. (*Chwila milczenia.*) Co? Nie śmiejecie się? Co wam tak gęby zaało? (*Chruń i Murga spuszczają głowy.*) Jeżeli wasze opowiadanie pokrya się z prawdą, co w takim razie robią tam moi przyjaciele, przed tą aniebna budą? Czy żaden z nich nie ukarał tych błaznów?

CHRUŃ, *po chwili przykrego milczenia:* — Nie, rzucają im miedziaki.

MURGA: — A tłum oklaskuje i błaznów i panów.

JUREAL, *jąkając się:* — To jakaś pomyłka... (*Siląc się na spokój.*) kłamaliście przede mną, nieprawdaż?

CHRUŃ: — Niech się Waćpan śpieszy. Nie wiemy nic poza tym.

JUREAL: — A Małgorzata?

Idzie w stronę schodów.

MURGA: — Jest razem z mnichem. Trzeba ją zawołać?

JUREAL: — Nie. Pójdę sam na spacer. Nie wspominajcie jej o tym.

CHRUŃ: — Waćpan pobladł. Czy nie grozi Mu zasłabnięcie?

JUREAL, *panując jeszcze nad sobą.* — Ktoś inny mógłby może zasłabnąć. (*Obnaża do połowy swój kord.*) Zobaczymy kto jest szlachetny! (*Prężąc się, deklamuje.*) Chociaż brak nam świetności, mamy honor za to!

Wychodzi na prawo, pośpiesznie, jakby chciał biec. Karły wybuchają śmiechem i dają sobie po kilka klapsów.

CHRUŃ: — Przy tym maskaradowym stroju, jaki wdział na siebie, farsa zostanie odstawiona na ulicy. Czy dobrze wydukaliśmy zadaną nam lekcję?

MURGA: — Oj, Signor gotów jeszcze palnąć jakieś głupstwo... Jak gdyby w naszych czasach honor był czymś więcej niż powiedzeniem.

CHRUŃ: — Postarajmy się przestrzec jego żonę. Trochę oliwy do ognia.

Wspinają się po schodach, popychając się i popiskując radośnie. W końcu staczają się do ogrodu i, spłoszone nagłym hałasem dobiegającym z galeryjki, chowają się za posągi. Od prawej, wyszedłszy z pokoju, zbliża się mnich, kryjąc twarz w dłoniach. Małgorzata Harstein tuż za nim.

MAŁGORZATA: — Precz stąd! I nie chcę Was więcej słyszeć!

PILAR: — Waćpani wypędza wysłannika Kościoła?

MAŁGORZATA: — Kościół przepędzi go tak jak i ja. Idźcie się palić gdzie indziej — aż dymi Wasz habit...

PILAR: — Niech mnie Waćpani znieważa — przyjmę wszystko — niech mnie uderzy, skoro zacisnęła już pięści!

MAŁGORZATA: — Niech Was dosięgnie jedynie ma wzgarda. Nie dotknę Was, boście brudni. Brudne jest Wasze spojrzenie i głos Wasz jest brudny. I zalatuje od Was odorem trupiarni.

PILAR: — Małgorzato, ten gniew — nie, ta nienawiść — przerasta mą pokorną i godną pogardy osobę. Nienawiść ta jest ponad miarę. Dlaczego? Pytałem tylko Waćpanią, czy chce się wyspowiadać. Wystarczyło odpowiedzieć mi: nie. I mogła była Waćpani jeszcze kpić sobie ze mnie, bo jestem śmieszny, pragnąc Jej zbawienia — ale Waćpani nie widzi już różnicy między mną, a boskim sakramentem, tak jak bym ja sam był spowiedzią! Nienawiść Waćpani, nienawiść ta godzi w sam sakrament...

MAŁGORZATA: — Precz!

PILAR. — Małgorzato... za co?

MAŁGORZATA: — Czy należę do gatunku kobiet, które się spowiadają? Biegnijcie, i to już, do swej parafii, gdzie na Was czekają ludzie o cuchnących oddechach, gotowi wyznać Wam wszystko co lubicie, aby Wam wyznawali. A Wy odkryjecie im magnetyczną okropność grzechu. Wracajcie, ciałem i duszą, do swej pasji gorszyciela, a potem kładźcie się na płytach nagrobnych w kościele, aby ostygnąć...

PILAR: — Dalej, niech mię Waćpani zadenuncjuje, z samej ambony!... (*Z groźbą.*) Koniec tego dobrego! Teraz ja następuję na Waćpanią i zmiażdżę ją. Moje grzechy należą do Boga i do mnie. Wielmożna Małgorzato, niechaj Waćpani posłucha moich słów. W tej pogardzie dla pokuty widzę oznaki pychy szatańskiej. Zły duch Waćpanią naznaczył. Nie ma przeznaczenia, ale nie będzie to zuchwalstwem z mojej strony jeżeli Waćpani oznajmię iż będzie potępiona. Nadejdzie, co tylko może być najgorszego. Zaprawdę, jedynie Szatan obdarza ową promieniującą nienawiścią i tą oschłością duszy. Ciało Waćpani jest czyste, ale dokąd biegną jej myśli? Żyje Waćpani poza zasięgiem Zła, ale za czyim zrządzeniem odpycha Waćpani Dobro? Małgorzato, obym nigdy nie musiał przyjąć tego,

co Waćpani będzie zmuszona kiedyś wyznać. W dniu tym, którego rychłość Bogu jest wiadoma, zapłaczę rzęsiście...

Płacze.

MAŁGORZATA, *popycha go w stronę schodów. Podniosła rękę. Pilar ucieka ogrodem na prawo, jak rak:* — Symulant! Biegnijcie co tchu, aby paść u stóp krzyża. Wasz Bóg potrzebuje łez swoich księży (*Spostrzega kryjące się karły, które widząc iż są odkryte, usiłują uciec w lewo. Małgorzata zagradza im drogę.*) Co robiliście w ogrodzie?

CHRUŃ: — Jak przystało na grzeczne dzieci, szukaliśmy żuków.

MAŁGORZATA: — Glist, aby je potem zjeść! Wiem, że zadaniem waszym jest szpiegowanie. Rozpowiadajcie więc wszędzie że widzieliście jak mnich wyleciał za drzwi.

MURGA: — Nie mogę wyjść z podziwu. To budujący przykład dla nas!

CHRUŃ: — Co za szkoda, że nie miała Waćpani jakiego kija pod ręką! Lubimy, jak garbują plecy, nie nam oczywiście...

MURGA: — Dlatego też prosimy Waćpanią, aby pozwoliła nam odejść. Bo gotowiśmy nie zdążyć na turniej.

CHRUŃ: — Murga ma na myśli pojedynek.

MAŁGORZATA: — Czy cechy wychodzą na miasto z Ommegangiem? (*)

CHRUŃ: — Nie, to prawdziwy pojedynek. Krwawy i bez pardonu! A raczej bijatyka. Czy nie słyszy Waćpani głośnego szczęku żelastwa?

MURGA: — Tak... tak. Będą tacy co umrą ze śmiechu!

MAŁGORZATA: — Będę oglądać tę farsę z mego okna.

CHRUŃ: — Dla Waćpani i dla nas farsa to smakowita i pociągająca, cóż! Za to dla niego — gorzka tragedia... Wierzy że tu idzie o honor! Trzeba mu odebrać kord, i to prędko! A w zamian za to dać mu tłuczek od maślnicy. Drewniany miecz Arlekina.

MAŁGORZATA: — Kto zacz? Opowiedzcie...

MURGA: — Waćpanią pali ciekawość. To niepozorny człeczyna...

CHRUŃ: — Niepozorny człeczyna...

MURGA: — Co myśli że mu rogi przyprawiono...

CHRUŃ: — Rogi...

MURGA: — I śpieszno mu wyzwać na pojedynek tych, których uważa za kochanków swej małżonki.

CHRUŃ: — Ale szlachcice ściągną mu portki i spuszczą takie lanie, i to na oczach wszystkich, że Waćpani nie ma pojęcia!

MAŁGORZATA: — A ten niepozorny człowieczek? O, jak bardzo chciałabym się dowiedzieć!

MURGA: — Chruń, lećmy, bo może już zaczęli!

MAŁGORZATA: — A ci szlachcice? Nie, powiedzcie mi raczej, co to za kobieta, której przydano grono kochanków? Jeśli kto drży, to na pewno ona...

CHRUŃ: — O swego męża?

MAŁGORZATA: — O swych kochanków nierzeczywistych. Już to samo wystarcza, aby ich pokochała od razu i naprawdę! Bywa, że kłamcy mówią prawdę...

(*) *Ommegang (niem. der Umgang), obchód-procesja religijna, liturgiczna z udziałem dostojników miasta, do której dołączały się cechy i stowarzyszenia, niosąc chorągwie, figury świętych i olbrzymie pokraczne kukły. Zwyczaj ten, którego początki sięgają XV wieku, przetrwał do dziś w Brukseli.*

CHRUŃ, *wychyla palce zza głowy, aby udać rogi:* — Rosną z wiosną różki zielone...

MURGA, *tak samo:* — Rzeźbić różki, nie masz jak rogi rzeźbione...

Od prawej pojawia się rosły mężczyzna i zagradza im drogę. Karły rzucają się w bok, lecz za późno. Przybysz chwyta je w mig i trzyma za przeguby rąk.

RÓŻAN: — Ciało rzeźbić!...

CHRUŃ, *na wpół żywy ze strachu:* — Kat!...

Karły usiłują się wyrwać. Różan przygląda się im obojętnie. Jest to blondyn, zbudowany jak atleta. Ma na sobie wspaniałą, szkarłatną opończę. Twarz bez zarostu. W postawie coś kociego i nonszalanckiego. Bez przerwy żuje różę, trzymaną w ustach za łodygę. Robi wrażenie kogoś, kto zapomniał że chodzi po ziemi i nie przestaje się uśmiechać, bez najmniejszego zresztą powodu. Bawi go szczerze przerażenie karłów. Małgorzata jakby chciała wyjść mu naprzeciw.

MAŁGORZATA: — Różan! Co za szczęście że widzę Was znowu. Bez zajęcia, nieprawdaż? Popracujcie zatem odrobinę w swoim zawodzie i pomęczcie tych łajdaków...

RÓŻAN: — Darujcie, braciszkowie, to na prośbę Pani. Zgrzytajcie zębami!

Ściska im przeguby rąk, aż karły zanoszą się jękiem.

MURGA: — Litości!

RÓŻAN: — Ani mru! To potrzebne ćwiczenie, ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa zginiecie z mojej ręki. Za jaką zbrodnię, to nie ważne... (*Śmiech beztroski.*) Co wstrętne, wstrętnie musi zginąć.

MAŁGORZATA: — Co, nie krzyczą? O, to ci ropuchy!

RÓŻAN: — Śpiewać ropuchy...

Wykręca im ręce. Karły padają i wiją się w skurczach na ziemi. Z obu ust przeciągły okrzyk bólu.

MAŁGORZATA: — Nareszcie... jak zwierzęta... (*Po krótkim milczeniu.*) Pasjonujące...

RÓŻAN: — Pomiot parszywy!

Rzuca karły w kąt ogrodu. Oba wyskrobki, jęcząc, biegają przez chwilę jak oszalałe, następnie znikają, robiąc przy tym obrzydliwe grymasy. Różan, śmiejąc się serdecznie, podchodzi do Małgorzaty, wyciągając ku niej dłonie. Ująwszy go za ręce, Małgorzata rozpromieniona, ciągnie go za sobą ku schodom, aż na galeryjkę.

MAŁGORZATA: — Dzięki Wam, Różan. Dam Wam kwiatów do jedzenia. Lubicie kwiaty, nieprawda?

RÓŻAN: — Tak. I nic poza kwiatami — aż do omdlenia...

MAŁGORZATA: — Macie białe ręce, urodzone do kwiatów. To nie są wasze ręce. I zawód kata nie jest wasz. Różan, mając takie nazwisko i takie ręce, czemuż nie jesteście ogrodnikiem?

RÓŻAN: — Dlaczego Wielmożna Pani lubi moją obecność?

MAŁGORZATA: — Dla Waszego pięknego zapachu, Różan.

RÓŻAN: — Dla zapachu mojego nazwiska? Owej woni kwiatowej, co mi wszędzie towarzyszy?

MAŁGORZATA: — Dla Waszego zapachu. I nie pytajcie już o nic. Za taką cenę i ja Was już o nic nie zapytam. (*Chwila milczenia. Śmieje się, wpierw ona, zaraz i on.*) Chcecie pieniędzy na miód?

RÓŻAN: — Nie pijam nic oprócz wody krynicznej i rosy.

MAŁGORZATA: — Darujcie. Chciałam Wam tylko zapłacić za skowyt wydarty karłom. Czy dowiem się kiedykolwiek, dlaczego te jęki wydarte bólem sprawiają mi tyle mrocznej przyjemności? Tylko Wam zwierzam się z tego.

RÓŻAN: — To dowód, że instynkt Waćpani omylił się, biorąc te jęki za jęki rozkoszy.

MAŁGORZATA: — Mogąż więc ból i rozkosz wyrażać się w jeden i ten sam sposób?

RÓŻAN: — Skoro Waćpani o tym mówię! Rozkosz jest tylko skróconą torturą, i niczym więcej. Też ma Waćpani zainteresowania! Zresztą dla kobiety nie ma w tym żadnych tajemnic.

MAŁGORZATA: — Kobieta rozumie wszystko, co nie daje się wytłumaczyć, ale tak bardzo lubi drżeć pod powłoką swej niewinności. (*Stanęli na galeryjce. Małgorzata pociąga Różana do okna.*) Chodźcie do okna.

RÓŻAN: — A jeśli ktoś mię u Waćpani zobaczy? Ludzie lada czego potrafią się czepić...

MAŁGORZATA: — A jeśli mam ochotę gościć u siebie kata? A jeżeli bawi mię gorszenie hołoty? Wy, Różan, napawacie strachem i obrzydzeniem. Jestem szczera, nieprawda? (*Gestem ręki każe mu stanąć w pełnym świetle.*) Ale ja Was podziwiam i Wy wiecie o tym!

RÓŻAN: — Czy kto rzyga na mój widok, czy patrzy z zachwytem — bez różnicy i wszystko na śmich!

MAŁGORZATA: — Nic, tylko się śmiejecie, ze słonkiem u zębów! I te wargi wilgotne!...

RÓŻAN: — Nie inaczej. Pochodzę z kraju, gdzie zawsze grzeje słońce. Ludzie śmieją się od samego rana, i sami nie wiedzą dlaczego. A poza tym cieszę się dobrym zdrowiem, a i sumienie mam spokojne. Toteż mi do śmichu...

MAŁGORZATA: — Dlaczego jesteście katem?

RÓŻAN: — Zawsze się śmieję i nigdy nie odpowiadam na pytania kobiet. Bo pytania, jeśli coś znaczą, to tylko w ustach inkwizytorów. A odpowiedzi — to sprawa skazańców. Ja zaś o nic nie pytam, na nic nie odpowiadam, tylko działam... dokładając starań...

MAŁGORZATA: — Podobnie jak wtenczas, gdy pielęgnujecie kwiaty. I wówczas śmiejecie się w sobie samym. Śmieją się Wasze oczy... (*Ujmuje Różana za ramię i potrząsa nim.*) Nie, nie zawsze się śmiejecie. Bywa, że gaśnie śmiech Waszych zębów i oczu!

RÓŻAN: — Cóż Waćpani wie o tym?

MAŁGORZATA: — Wiem... bo widziałam.

RÓŻAN: — Niech-no Waćpani opowie...

MAŁGORZATA: — Po co? I tak wiecie dobrze że odkryłam jedną z Waszych tajemnic, być może tajemnicę Waszego powołania. Widziałam, jedna jedyna spośród tłumu dyszących kobiet, które przypatrują się Waszym okrutnym zajęciom...

RÓŻAN: — Proszę, niech Jaśnie Pani opowiada. Nadal jestem pełen zdziwienia.

MAŁGORZATA: — Raczej gniewu, bo już się nie śmiejecie... *Cofa się o krok.*

RÓŻAN: — Czyżby Waćpani lękała się, lub czuła obrzydzenie?

MAŁGORZATA: — Owszem, lękam się, ale nie czuję obrzydzenia. (*Po chwili milczenia, podchodzi do Różana.*) Różan, obraziłam Was?

RÓŻAN: — Nie.

MAŁGORZATA: — Chcecie mnie za to ukarać?

RÓŻAN: — Nie.

MAŁGORZATA, *przywiera do niego i chce go objąć:* — Posłuchajcie...

RÓŻAN, *odpycha ją i mówi czule, przymknąwszy oczy:* — Wiem co Waćpani mi powie. Że jestem urodziwym olbrzymem, o włosach blond połyskujących płowo, mającym oczy dziecięcia lub winogradnika. Że głos mój jest śpiewem, i że idąc, kołyszę się jak marynarz. Że te same kobiety, które w dzień wymijają mnie, lub uciekają na mój widok, marzą o mnie w nocy, kiedy mają już dosyć mężczyzn i kiedy same już nie wiedzą czego chcieć...

MAŁGORZATA: — Niewiasty, lecz także i młódki, nieświadome mężczyzny. Ale Wy nie zważacie na nie. Dla Was one nie istnieją.

RÓŻAN: — Niechaj się Jaśnie Pani uspokoi. Wie Waćpani dobrze iż niczego nie ślubowałem. Niewiasty — Młódki? (*Śmiech urwany.*) Nie kochają mnie, ponieważ mnie nie można kochać. Zresztą mogę żyć bez tego, więc żyję. (*Chwila milczenia.*) Na ulicy jestem chodzącą ohydą. Ale dać mi podwyższenie, podłogę z dębowych tarcic i całą przestrzeń rynku. Wtenczas...

MAŁGORZATA: — Wtenczas Wasze panowanie, kiedy miecz, tnący światło, błyska niebiesko, i kiedy toczy się w Waszą stronę nagłą nawałą krzyk wydarty z wnętrzności, krzyk co nie jest pomrukiem litości czy trwogi, ale powszechnym hymnem podziwu dla Człowieka, który zabija...

RÓŻAN: — Mówmy o czym innym.

MAŁGORZATA: — Za każdym razem stoję w tłumie, chłonącym nozdrzami, zapatrzonym i nagradzającym Was oklaskami. Tłum ten zmasakrowałby Was jednak, gdyby ujrzał że Wam ręka słabnie. Przyglądam się Wam, przerażona a uradowana aż do trzewi, i jestem Wam wdzięczna za brak pośpiechu. Czekam chwili, równie piorunującej jak błysk miecza, kiedy przestajecie się uśmiechać, jakby jakiś czarny woal przesuwał się po Waszej twarzy.

RÓŻAN: — Proszę milczeć!

MAŁGORZATA: — Zabrońcie mi mówić!... Czy potrafilibyście przymusić do milczenia krzyczący tłum w chwili, gdy rusztowanie aż jęczy od Waszego ciosu? Czy potrafilibyście powstrzymać samotny krzyk skazańca, tak słaby a pomimo to górujący nad innymi? Wówczas i ja krzyczę razem z tłumem, razem ze skazańcem, razem z Wami... (*Różan postępuje o krok, Małgorzata cofa się.*) Bo kat krzyczy jak i jego ofiara... Wiem o tym, słyszałam ten krzyk, którego nikt nie słyszy. Bledniecie wtenczas, i jakbyście szukali oparcia, i Wasze oczy mgłą zachodzą...

RÓŻAN: — Ani słowa więcej!

Zakrywa ręką usta Małgorzaty.

MAŁGORZATA: — Ale to trwa jedynie przez...

RÓŻAN, *odtrąca ją:* — Wariatka!

Spluwa.

MAŁGORZATA, *z goryczą i smutkiem w głosie:* — Kat miły...

RÓŻAN, *idąc w stronę schodów:* — A wieczorem, po każdej egzekucji, kobiety zachodzą w ciążę. Ale nie za moją sprawą! Bynajmniej! Pluję na to.

Spluwa ponownie.

MAŁGORZATA, *biegnie ku niemu i zagradza mu drogę, aby nie schodził:* — Napluj na mnie.

RÓŻAN: — Nie!

MAŁGORZATA: — Dlaczego?

RÓŻAN, *już spokojny, ujął rękę Małgorzaty. Wracają do okna:* — Bo Waćpani... (*Milczy.*) Bo ty nie jesteś jak inne kobiety. Nie. Byłaś mi jakby siostrą. A teraz stajesz się współwinną, ponieważ odkryłaś tajemnicę, o której wiedział tylko Bóg, Bóg, który oprócz serc i lędźwie bada... To nas łączy. I jeszcze coś: Jesteś czysta. Ja też jestem czysty, najbardziej dziewiczy pośród mężczyzn. Jest jeszcze coś innego, co nie pozwala mi zrównać cię z beczącą zgrają kobiet, o dziewico rozumna, tak straszliwie rozumna!

Jeszcze trochę, a i ja z kolei wpadnę w ton pochwalny. Nie. Nie można wyrazić uczucia, jakim cię darzę. Powiem ci tylko tyle iż uważam cię za istotę, która mi się prawnie należy, która jest mi przeznaczona...

MAŁGORZATA: — Nie powiedziałeś wszystkiego. Mów, prędzej...

RÓŻAN: — Obawiam się, że powiedziałem już za dużo. Tu nie chodzi o miłość.

MAŁGORZATA: — Powiedziałeś za dużo. Tu nie chodzi nawet o żądzę, którą podsuwa jakaś gwałtowna namiętność. Spodziewasz się że dam ci o wiele więcej... (*Wyraźnie i prawie szeptem.*) Żadnemu z katów nie nadarzy się nigdy skazaniec równie pojętny. I nawet róże, róże, miażdżone twoimi palcami, nie będą tak pachniały.

RÓŻAN, *wstrząśnięty:* — Co za męka!

MAŁGORZATA: — Weź mnie do siebie. Do twoich podziemi. Inkwizytor teraz nie zasiada.

RÓŻAN, *znowu panując nad sobą:* — Nie. Nie tak. Tak nie można.

MAŁGORZATA: — Byłabym uwolniona.

RÓŻAN: — Nie ma mowy o symulowaniu. Jeżeli zaczynam, to kończę.

MAŁGORZATA: — Zgoda...

RÓŻAN, *gwałtownie:* — Dość tego! (*Spogląda na Małgorzatę.*) Nie chcę więcej widzieć u Waćpani podobnego wyrazu twarzy! Jeszcze nie dziś. Ale dzień ten nadejdzie...

Małgorzata odwraca się.

MAŁGORZATA: — Jakże się na Was zawiodłam!...

RÓŻAN: — Trudno! Ja nie żądałem niczego. Wziąć Waćpanią do mnie? Nie. Trzeba żeby los ją tam przyprowadził. Jedynie to jest życiem, jedynie to jest zgodne z prawdą, co los naznaczył swą niepojętą pieczęcią. Czy myślała Waćpani o tym? (*Mrukliwy schodzi po schodach.*) W mieście bawią się...

MAŁGORZATA, *odzyskawszy swą wyniosłość:* — Różan?

RÓŻAN: — Dość gadania. Żegnam!

MAŁGORZATA: — Zanim odejdziecie, powiedzcie mi pocoście tu przyszli?

RÓŻAN, *zatrzymując się, osłupiały:* — Sam już nie wiem. (*Namyśla się.*) Wiem: po to, żeby Waćpanią ostrzec. (*Wstępuje po schodach.*) Bo mnich...

MAŁGORZATA: — Przewielebny Pilar? Czego chce?

RÓŻAN: — Lękam się, że zguby Waćpani...

MAŁGORZATA: — On zaś twierdzi że mego zbawienia.

RÓŻAN: — Chce ujrzeć Waćpanią, bądź potępioną, bądź w chwale wiekuistej, ale w każdym razie w grobie.

MAŁGORZATA, *z drwiną:* — Widzicie jak się tym przejęłam? Nie przeraża mnie ta chrześcijańska troskliwość.

RÓŻAN: — Proszę się mieć na baczności! Mnich rozpuszcza pogłoski, iż być może Waćpani nie obce są czary. Podobne posądzenie zawsze znajduje wiarę, dając pokrycie jak najbardziej zbrodniczym zamiarom.

MAŁGORZATA: — Niech mu tam wszystkie machinacje Świętego Officjum, skoro i tak jego mnisi w końcu mnie wydadzą.

Przerywa, nagle chcąc złapać oddech.

RÓŻAN, *w zamyśleniu:* — Może, siła rzeczy.

MAŁGORZATA: — A zatem... (*Za oknem rozbrzmiewa muzyka i słychać zbliżający się hałas!*) Kiermasz, słyszycie?

Pociąga Rożana do okna.

RÓŻAN: — Co to za pochód?

MAŁGORZATA, *w oknie.* — Rożan, spójrzcie na środek rynku, gdzie stoi buda komediantów. Tam wznosi się zazwyczaj Wasz pień katowski...

RÓŻAN: — Kiermasze też potrzeba...

MAŁGORZATA: — Trzeba też i szafotów. Co to za jedni, ci idący z muzyką na czele?

RÓŻAN: — Zdążają ku domowi Waćpani. Wziąwszy pod uwagę towarzyszący im poczet, można przypuszczać że to szlachcice. Zna ich Waćpani?

MAŁGORZATA: — Helgar i Adorno? Dla mnie tu przychodzą. Układni młodzieńcy...

RÓŻAN: — Szlachetni w południe! Ale od ladacznic, nad którymi mam nadzór, wiem o ich wyczynach o północy...

MAŁGORZATA: — Spełniają przynajmniej to, co zapowiada ich dziarska mina?

RÓŻAN: — He, i to jeszcze jak! Helgar jest wysłannikiem Anglii, a więc szpiegiem. Adorno jest wysłannikiem Dożów, więc szpiegiem jak i tamten. Dobrali się, jak w korcu maku.

Hałas wybucha radośnie. Słychać coraz głośniejszą muzykę. Podczas gdy Małgorzata otwiera okno, Rożan usuwa się w cień. Małgorzata wychyla się.

GŁOS: — Pani w oknie!

MAŁGORZATA: — Są inne, bardziej wytworne balkony. Będziecie sławić moją urodę? Tylko nie za głośno.

GŁOS HELGARA: — Najpiękniejszej...

GŁOS ADORNA: — Najgodniejszej...

MAŁGORZATA: — Chociaż w stroju nieodpowiednim, bo domowym, nie mniej posłucham...

Słychać okrzyki pomieszane ze śmiechem. Wpierw instrumenty przegrywają melodię, zaraz potem chór zaczyna śpiewkę. Wyraźnie odcinają się głosy Helgara i Adorna.

CHÓR:

„Kochasz-li siebie, Zuzanno,
Czy też wystarcza ci żeś jest bez szat,
Jak perła, chłodna i obojętna,
Jak marmur wyniosły, patrzące na świat?”

Śmiechy i przygrywka.

MAŁGORZATA: — Zgrabnie ułożone. Oczekiwałam jednak żywszych obrazów.

RÓŻAN: — Niech Waćpani słucha dalej.

CHÓR:

„Jużeśmy wzrok utracili
Z podziwiania Waćpani...”

Serenada urywa się nagle. Słychać wrzawę i gwizdanie.

GŁOSY:— Uuuu! Przepędzić go... Precz z mąciwodą!
MAŁGORZATA: — Dlaczego umilkli? Czy to intermedium?
CZYJŚ GŁOS: — Precz stąd!

Śmiechy i oklaski.

MAŁGORZATA: — Wygląda, jakby ktoś szukał zaczepki. Jakby miano za złe naszym szlachcicom.

RÓŻAN:— Tak, to koniec serenady. Zacznie się bójka... (*Śmieje się.*) Czyżby to był mąż Waćpani?

MAŁGORZATA: — Juréal! Jak on wygląda! Istny przebieraniec. Co za wstyd dla nas! (*Woła przez okno.*) Ej, safandułо, do domu i to już! Dość się już Waćpan ośmieszył!

RÓŻAN: — Za późno. Tłum go unosi, fala tłumu unosi ich wszystkich. Zewsząd biegną ludzie; istny alarm...

Wrzawa rośnie, potem przycicha.

MAŁGORZATA: — Co za rozczarowanie, jeżeli nie przyjdzie do kordów. Chcecież, Jaśni Panowie, pozbawić mnie tej przyjemności?

RÓŻAN: — Szlachcice nie zniżą się do tego, aby podnieść kord na rzemieślnika, trzymającego w ręku rożen. Zganiono by ich za to. Ale Waćpani nic nie straci. Panowie już wezwali swoich przybocznych. I drańtwo to już otoczyło Signora. O, niech Waćpani posłucha, tłum szaleje z radości! Tłum już odgadł...

MAŁGORZATA: — Po co rozpościerają czerwoną płachtę? Co chcą zrobić z moim mężem?

RÓŻAN: — To bardzo stara zabawa, i lud przepada za nią. Hop! Już mąż leci w górę! Hop! Jeszcze wyżej... spada. Już uchwycili rytm. Już wylatuje ponad głowy. Dosięgnie dachów, jeśli pachołki będą mocno trzymać płachtę. Hop!...

MAŁGORZATA: — Mój Signor podrzucany na płachcie! Wspaniała zabawa! Hop!...

RÓŻAN: — Krotochwilna męka! Hop! Stał się lekki jak piórko... Czy tym razem dogodzili Waćpani?

MAŁGORZATA: — Tak, dobry mieli pomysł. Tak jak i tłum, nie posiadam się z radości. Nie szukajcie, Różan, litości na mej twarzy. To nie człowiek wylatuje raz po raz pod niebo, ale kukła Wyżej! Hop! Już zdobył uznanie! Hop! Już go przyjęli oklaskami Hop, Signor!... Żeby tylko te kpy nie ustały!

RÓŻAN: — Skądże znowu, opłacono ich. Zabawa oddala się. Mógłbym się założyć, że idą w stronę pałacu.

MAŁGORZATA: — Gdyby wiedział, że go widzę. Niech Waszmość skacze, niech się wznosi. Wysoko jak katedra! To było ambicją Waszmościa...

RÓŻAN: — Ale ostrożnie ze spadaniem...

MAŁGORZATA: — O, jakże ci szlachcice umieją żyć! (*Głosem urywanym.*) Żeby się tylko nikt nie wmieszał i nie próbował przerwać zabawy...

RÓŻAN: — Tak jakby Waćpani nie znała okrucieństwa tłumu? Proszę słuchać...

Małgorzata i Różan wytężają słuch.

TŁUM: — Hop! Signor... (*Cisza.*) Hop! Signor... (*Cisza.*) Hop! Signor...

Cisza dłużej trwająca niż poprzednie.

MAŁGORZATA, *gwałtownie zatrzaskuje okno:* — Dość tego.
RÓŻAN: — Waćpani cierpi?
MAŁGORZATA: — Jeszcze gorzej. (*Chwieje się, Różan podtrzymuje ją.*) Co się stało? Dlaczego nikt nie krzyczy na rynku? Różan, słyszycie? Ten głuchy jęk? A przecież tłum był szczęśliwy? Czemuż więc jęczy?
RÓŻAN: — Szczęście, dosięgając zenitu, przechodzi w jęk.
MAŁGORZATA, *zamknąwszy oczy:* — Kiedyż zaniosę się tym jękiem? Kiedy zaznam szczęścia, co stale umyka, i o którym wiem tylko tyle, że jest bliskie?

Nogi uginają się pod nią, obsuwa się, podtrzymywana przez Różana.

RÓŻAN: — Ej, kobieto, śpisz?
MAŁGORZATA, *przychodząc do siebie:* — Pomruk wściekłego tłumu...
RÓŻAN: — Mięso twe pachnie i jest już w sam raz...

Nachyla się nad nią gwałtownie i obwąchuje ze wszystkich stron. Małgorzata uśmiecha się, zachwycona. Kat cofa się jednak. Z za okna dochodzi głuchy szum tłumu. Chruń, brzdąkając na gitarze, wpada do ogrodu, ścigany przez Murgę.

MURGA: — Innej zaśpiewa zaraz serenadę, a mnie to nic!
CHRUŃ: — Tobie? Nie wartaś nawet kociej muzyki! Chcesz serenadę? Na tym instrumencie. (*Wali Murgę gitarą po garbie.*) Za chwilę piosenka!
MURGA, *popiskując radośnie:* — Mój signor mię tłucze! To znak że mię kocha!

Różan i Małgorzata śmieją się z farsy karłów.

MAŁGORZATA: — Chciałabym zobaczyć wszystkie ich sprawy miłosne. Różan, podrażnijcie je.
Różan: — Ej, pędraki, co nowego?
CHRUŃ: — Nic nowego, gębo w kwiat! Na rynku urządzono wielką zabawę. Zabawę niegodziwców.
MAŁGORZATA: — Wiecie kto ją zakłócił?
MURGA: — Nie, ale wiem kto ją nakazał.
CHRUŃ: — Murga się chwali, a nie rozumie ani po włosku, ani po angielsku...
RÓŻAN: — Niech-no Waćpani posłucha, co mówią. A wy, pędraki, przyszliście tu, aby zaśpiewać serenadę, tak czy nie?
CHRUŃ: — Tak. Zostańcie, proszę, na galerii. (*Wpierw sama gitara.*) Niegodny, ośmielam się pokłonić...

Niskie ukłony.

MAŁGORZATA, *ubawiona:* — Mnie?
CHRUŃ: — Waćpani. (*Śpiewa.*)

„...*Kształtna jest pani i wszystkich zachwyca,*
Wszem znana wdowa, no i dziewica..."

MAŁGORZATA: — Już dziewica sprawiła mi przyjemność, a do tego jeszcze wdowa!

MURGA: — Ćś, ćś, ćś...Niech Waćpani pozwoli mówić memu Sfinksowi.

CHRUŃ, *śpiewa:*

„Któż to chciał głowę nosić jak panowie?
Podniósł zanadto — pękła! I po głowie."

RÓŻAN: — Niech Waćpani zgadnie!

MAŁGORZATA, *śmiejąc się:* — Pozbierajcie kawałki! Przezabawna serenada. Różan, powiedzcie mi, co mam robić? Śmiać się tak, jak się śmieję?

RÓŻAN: — Śmiać się czy nie śmiać z takich śpiewek — to Waćpani sprawa, ale proszę obetrzeć czoło z potu. Z potu radości... (*Jakby zdenerwowany do karłów.*) Dość tego, pętaki, zmiatajcie...

CHRUŃ: — Ale wpierw morał... (*Staje na czworakach. Podobnie czyni Murga, i oboje po psiemu podchodzą do schodów, zatrzymują się i udają że sikają jak psy.*)

„Liczni samcowie naszego grodu
Hołysze i ci co atłasem lśnią
Przywdzieją na się skórę psią
I przyjdą łapkę podnieść, koło schodów..."

Wstają, oklaskują się wzajemnie i śmieją się piskliwie.

MAŁGORZATA: — Szczekajcie, moi mili! Szczekajcie na wici psom-samcom. Rzucę im kości, a potem poleję ich wrzątkiem.

CHRUŃ: — Hau! Hau! Przybywajcie, zbrojni w nochale i kurki. Wydeptujcie ścieżki i lejcie!...

MURGA: — Wdowa na czworakach... Hau!... Z wypiętym zadem...

RÓŻAN: — Nie nadaremne było ich szczekanie. Oto i pierwszy pies!

Wchodzi Pilar, patrząc nieprzytomnie.

PILAR: — Na kolana!...

MAŁGORZATA: — Karły! Bierz-go!

Karły warczą na mnicha, Różan schodzi do ogrodu.

PILAR: — Zaklinam Was, na kolana! Zwiastuję nieszczęście, nieszczęście co dzwoni jak dzwon o kamienie! (*Wskazuje na Małgorzatę.*) Nieszczęście Waćpani już się zaczyna.

MAŁGORZATA: — Czy przyszliście po to, aby mi powiedzieć co porabia mój mąż? Czy dobrze go wyhuśtano na płachcie?

PILAR: — O, tańczył. Hop!... (*Gwałtownie.*) A Waćpani? Waćpani nie płacze?

MAŁGORZATA: — A Wy? Wy nie tańczycie? Różan, co... on nie tańczy?

RÓŻAN, *chwyta Pilara wpół i podrzuca go kilkakroć bez wysiłku.* — I hop! Ojczulku... I hop!...

Karły i Małgorzata parskają śmiechem.

PILAR: — Świętokradztwo!...

Uwalnia się.

MAŁGORZATA: — Nareszcie doczekał się męczeństwa! Kacie, złap go znowu.

RÓŻAN: — Za żadne skarby!... Mnich aż się rusza od robactwa.

PILAR: — Zaprawdę od robactwa! (*Do Małgorzaty, w uniesieniu.*)

Kiedy umiera człowiek, jego robactwo wędruje na kogoś z żyjących. Miłosiernie przyjąłem na siebie wszy umierającego, któremu uprzednio udzieliłem rozgrzeszenia. Oblazły mnie. Bóg niechaj będzie świadkiem.

MAŁGORZATA: — Umierającego?

Słychać zbliżające się głosy i krzyki. Helgar i Adorno, trzymając kapelusze w ręku, wchodzą do ogrodu; za nimi kilku mieszczan z zapalonymi świecami w ręku. Na koniec, wolnym krokiem, wchodzą ludzie prości, niosąc czerwoną płachtę, w której spoczywa coś jakby człowiek. Wszyscy zatrzymują się w milczeniu. Płachtę ostrożnie składają wpośrodku.

PILAR: — Na kolana przed orszakiem śmierci! Wszyscy!... (*Wszyscy w ogrodzie klękają, panowie, i karły, mieszczanie i pospólstwo. Stojąc na galeryjce, Małgorzata spogląda przez chwilę na zebranych, po czym schodzi ku nim i przygląda się im, wyniosła. Szepty. Spojrzenia zebranych kierują się na Małgorzatę.*) Oto godzina litości. Niechaj więc z czułych serc — ale nie z innych — wytryśnie modlitwa.

MAŁGORZATA, *przerywając mu:* — Co oznacza ten pochód żałobny i Wasza złowroga deklamacja? Co przynosicie w progi mego domostwa, i na co czekacie, aby mię o tym powiadomić?

ADORNO, *powstaje i kłania się:* — Pani, bądź mężna. I przyjmij wyroki Opatrzności.

HELGAR, *tak samo:* — W obliczu pogrążonej w żalu Waćpani, skłaniamy głowy z najgłębszym uszanowaniem.

MAŁGORZATA: — Biorę Waszmościów za świadków mego zdziwienia. Gdzież to widzicie mię pogrążoną w żalu? Ci zaś, którzy spodziewają się oglądać tradycyjne rozpaczanie wdowy, odejdą z niczym. Wiem że jestem wdową, pojęłam to z Waszej ceremonii. Przyjmijcie moją podziękę za tę pobożną przysługę.

ADORNO: — Niestety! Człowiek myśli, Pan Bóg kryśli...

HELGAR: — Miałem bolesną pociechę, mogąc zamknąć powieki naszemu przyjacielowi. Oczy jego, łez pełne, zanim nie zagasły, szukały domu i okna, w którym Waćpani stała niewątpliwie...

MAŁGORZATA: — Byliście Waszmościowie naprawdę miłosiemi. I przyjmuję wyroki Waszej Opatrzności, zarówno w tym co mnie dotyczy, jak i Jego. Nie żebym była mocna, lub zrezygnowana, czy też lepsza od innych — ale dlatego, ponieważ z instynktownym szacunkiem odnoszę się do srogich i osobliwych zrządzeń starożytnego Fatum.

PILAR: — Co? Czyżby Waćpani nie znalazła w sobie słowa współczucia, gestu miłosierdzia dla tego nieszczęśnika, pogruchotanego i bez krwi, którego nazwisko Waćpani nosiła? Zdjąć całun czerwony, niech na oczach wszystkich uczyni znak litości!... (*Gwałtownie.*) Znak krzyża, który ty, kacie, robisz na czołach skazańców! (*Do ludzi.*) Czy też ośmieli się wyzwać niebiosa?

MAŁGORZATA: — Nie unoście całunu. Musiałam znosić brzydotę żywego, i nie chcę go widzieć w śmiertelnym grymasie. Mylisz się, mnichu, śmierć nie budzi we mnie owej litości, którą chcesz, abym obnosiła wszem i wokół. Śmierć budzi we mnie tylko strach zwierzęcy. I jeśli drżę w tej chwili, to na pewno nie dlatego, że czuję podmuch lodowatych przestrzeni owiewający Wasz orszak. Niech trup nie leży w moim domu. Nieście go do kościoła Wizytek, które zajmują się grzebaniem biedaków. A Wy, mnichu, idąc na czele konduktu, odmawiajcie czarne modlitwy, jak tego wymaga okoliczność.

Szepty.

HELGAR: — Pani, czyżby to było Jej całe pożegnanie?

ADORNO: — Doprawdy? Czyż nie żąda Waćpani nic ponadto?
MAŁGORZATA: — Owszem. Dodałabym chętnie: niechaj, po drodze, podrzucają go na płachcie. Hop!... Jak to miało miejsce niedawno. Zabawny miał koniec, dlaczegóż więc nie miałby mieć zabawnego pogrzebu?
HELGAR: — Ani słowa więcej. Jeszcze tego brakowało... Tak jakby Waćpani i tak już nie znali.
ADORNO, *odwracając uwagę zebranych:* — Dalej, w drogę!...

Ludzie prości podnoszą ciało, formuje się kondukt.

MAŁGORZATA: — Co, karły? Nie idziecie? Odprowadźcie zwłoki Waszego opiekuna, aby nikt nie mógł powiedzieć że odszedł sam i bez honorów.

Chruń i Murga stają na końcu wychodzącego orszaku.

PILAR, *wychodząc:* — Tego, któremu nic nie zostało prócz przyjaźni garbusów, Kościół otacza najżarliwszymi modłami...
MAŁGORZATA, *do Różana, który dołącza się do konduktu:* — Ty też mię opuszczasz?
RÓŻAN, *wychodząc:* — Kat zawsze towarzyszy zwłokom straconych.
MAŁGORZATA: — Przeżuwacz róż!... (*Do Helgara i Adorna, którzy zostali przy niej.*) Pozostaje mi Wasza kompania, Jaśnie Wielmożni. Wyglądacie, jakbyście byli jeszcze przerażeni? Być może iż właśnie w ten sposób, z umiarem, należy się odnosić do świeżo owdowiałej niewiasty? Chodźcie, Waszmościowie, z wodą w ustach, prowadzi Was wdowa, która wysłucha Was i nie pozwoli Wam mówić obu naraz.

Wstępuje po schodach. Po krótkim wahaniu, porozumiawszy się wzrokiem, Helgar i Adorno idą za nią w stronę galerii. Czołgając się między posągami, powraca Pilar. Ukrywa się pod schodami.

MAŁGORZATA, *po chwili milczenia:* — Wszyscy już poszli. Zdejmijcie Waszmościowie maski smutku. I powiedzcie co Wam leży na sercu.
HELGAR: — Jednak ten trup. Proszę nam wybaczyć, ale to dopiero co się stało.
ADORNO: — Jeszcześmy pod wrażeniem. I bardziej wstrząśnięci zachowaniem się Waćpani, aniżeli samym nieszczęściem. I cokolwiek byśmy powiedzieli, wszystko stać będzie pod znakiem tego zakłopotania.
MAŁGORZATA: — Zetrzyjcie ten cień, co Wam oczy zasępia, moi piękni przyjaciele. Lub — skoro wzruszenie Was nie opuszcza — opowiedzcie mi całe wydarzenie, w którym uczestniczyliście, i to z bliska.
HELGAR: — Z tak bliska, że obryzgała mię krew. Nie, nie potrafię...
ADORNO: — A poza tym, czujemy się winnymi i nie możemy się pogodzić z tym, że Waćpani nie czyni nam żadnych wyrzutów.
MAŁGORZATA: — Jeżeli już sobie tego życzycie, mam Wam za złe, że macie skrupuły. (*Śmieje się.*) Rozchmurzcie się trochę. Jestem już tylko wdową i niczym więcej?
HELGAR, *z emfazą:* — Nigdy, od żadnej kobiety nie bił taki blask miesięczny.
MAŁGORZATA: — Ci sami, co dawnej. Lubię patrzeć na wasze wargi wyrzucające miąższ retoryki. Czy chciał Waszmość przez to powiedzieć że jestem wdową po człowieku co nosi wór, i którego dostrzegają dzieci na tarczy księżyca? Tak, wdową po kimś podobnym... A teraz prędko, opowiadajcie jak zostałam wdową.
HELGAR: — Jakby nie było, nie mogliśmy skrzyżować broni z tym hołyszem, pomimo iż był małżonkiem najcudowniejszej z kobiet — z tym wściekłym jamnikiem, co nas obrażał...

ADORNO: — Widząc zaś że ludek gotuje się do swej zabawy, kiedy to płachta podrzuca kukiełkę, kazaliśmy naszym służącym pochwycić szaleńca, potrząsnąć nim i trochę go pohuśtać, aby się uspokoił i pojął, że wywyższyć się może tylko pośród pośmiewiska tłumu...

HELGAR: — Odpowiedzieć na obelgi, znaczyłoby nadać im wagi. Bić się zaś z nim, równałoby się ośmieszeniu. Nasi służący załatwili to tak dobrze...

MAŁGORZATA: — Waszmościowi, czy też Adorna?

ADORNO: — Możemyż wiedzieć? Nasi ludzie tak sprawnie wykonali zabawę płachtą do podrzucania kukiełki...

MAŁGORZATA: — Ale co takiego zarzucał Waszmościom Juréal w swoim majaczeniu?

HELGAR: — Że jesteśmy kochankami Waćpani.

MAŁGORZATA: — Obaj?

ADORNO: — I że się tym przechwalamy.

MAŁGORZATA: — W ten sposób, wszyscy troje napiętnowani jesteśmy przestępstwem, z którego żadne z nas nie miało korzyści.

HELGAR, *zbliżając się do Małgorzaty:* — Adorno, słyszy Waćpan? Małgorzata nie lęka się mówić głośno o tym, o czym baliśmy się myśleć w skrytości.

ADORNO, *zbliża się również:* — Skoro nasza Małgorzata podaje ton, dlaczego nie mielibyśmy wyznać, Drogi Helgarze, jak małą przykładaliśmy wagę do prostowania tej kalumni?

MAŁGORZATA: — Świetnieście to pomyśleli. Nie tylko, że podtrzymywaliście swoje złudzenia, ale liczyliście również, że z czasem, kłamstwa te staną się rzeczywistością. Wierzyliście w to?

HELGAR, *z zapałem:* — Tak, przyznaję to bez wykrętów. Nieprawdaż, Adorno?

ADORNO, *tak samo:* — Byliśmy święcie przekonani, że jesteśmy kochankami Waćpani!

MAŁGORZATA, *bierze ich za ręce:* — Gdybyście nimi byli naprawdę, zadowolenie Wasze wyglądałoby inaczej. Ach, dźwięk Waszych głosów młodzieńczych. (*Śmieje się.*) A gdybyście tak nimi zostali, skoro już tyle Wam o tym mówiono?

HELGAR, *cofając się:* — Wyśmiewa nas i kpi sobie...

ADORNO, *wyrywa się:* — Nie uwierzę w to. Chybam nie oszalał?

MAŁGORZATA: — Może ja oszalałam? Nie, ani ja, ani żaden z Was. (*Przyciąga ich.*) Śmiać się? Nie, już przestałam się śmiać... nawet mię boli. I po to, aby mię ból opuścił, trzeba by mnie ktoś zranił — nie wiem gdzie — tak, żebym zakrwawiła... Oto, co jasno i bez niedomówień Wam proponuję: Waszmość, Helgarze, i Waszmość, Adorno, zostaniecie moimi kochankami...

ADORNO: — Kiedy?

HELGAR: — A żałoba Waćpani?

MAŁGORZATA: — Nie byliście mymi kochankami wczoraj, nie będziecie już nimi jutro; ale moglibyście zostać nimi dzisiaj, ponieważ są chwile, kiedy każdy sen zbacza ze swej drogi i na krótko dzieje się na jawie, zanim się nie spostrzeże i nie odejdzie, aby śnić się znowu. W rzeczywistości, sen trwał bez przerwy. Gdzie jest sen? Gdzie bierze początek? Gdzie się kończy? Czy na drodze, po której biegną wilki?

HELGAR: — Majaczy?

ADORNO, *chwyta ją za ramię:* — Małgorzato!?

MAŁGORZATA, *przygląda się im z uwagą:* — O, przewidywałam Wasze osłupienie. Za proste, tak naraz? Wolelibyście to wszystko, ale w stanie tęsknego wyczekiwania? To, co ofiarowywaliście mi tak gorąco,

dajcie mi teraz, kobiecie, którą jestem — w jedynej godzinie jej życia, kiedy potrafi to przyjąć i tego pragnie.

HELGAR: — Małgorzato... dziś?

MAŁGORZATA: — Nie wczoraj i nie jutro.

ADORNO: — Podczas gdy chowają jej męża?

MAŁGORZATA, *oddala się na prawo, po schodach, do swego pokoju:* — To, że być może jesteście winnymi tej śmierci, bynajmniej nie wpływa na moje postanowienie. Jeszcze je wzmacnia. I jeżeli jeden z Was chce przysiąc, że pragnął tego zabójstwa — niechaj wejdzie pierwszy!

Znika w swym pokoju. Helgar i Adorno patrzą na siebie oszołomieni.

HELGAR: — Drzwi zostawiła otwarte, Adorno, co teraz?

ADORNO: — Niesłychane. Sam piorun z jasnego nieba nie pomieszałby mi tak myśli...

HELGAR: — Co począć? Drzwi są nadal otwarte.

ADORNO: — Co za pytanie! Nie traćmy czasu. Czyżbyś się choć troche wahał?

HELGAR: — Chciałem wiedzieć co o tym myślisz. Dzień dzisiejszy był tak niezwykły!...

ADORNO, *robi krok w stronę drzwi:* — Ale kończy się dobrze, jak widzisz. Stój tu, ja idę.

HELGAR, *przytrzymując go:* — Pójdziemy razem. Skąd ten pośpiech? A ja?

ADORNO: — Ty poczekasz. Mnie się należy ten przywilej.

HELGAR, *śmiejąc się z przymusem:* — Chcesz uchodzić za mordercę? Chyba, że nim jesteś?

ADORNO: — Właściwie tak...

HELGAR: — A gdybym tak ja rościł sobie prawo do tego tytułu?

Chce zagrodzić drogę swemu przyjacielowi.

ADORNO: — To się zobaczy! A kto opłacił chamów, aby puścili płachte, kiedy leciał na dół?

HELGAR: — Ale kto wpadł od razu na ten pomysł?

ADORNO: — Mniejsza o to, ja idę...

GŁOS MAŁGORZATY: — Idziecie? Stoję naga...

HELGAR, *odtrąca Adorna:* — Idę!...

ADORNO: — Ani kroku, druhu! Ja wchodzę...

HELGAR: — Chyba trupem! A ja przejdę po tobie!

Krótkie szamotanie. Błyskają sztylety. Helgar upada.

HELGAR: — Ugodził mnie...

ADORNO, *wbiega na schody prowadzące do pokoju:* — Teraz już nie wątpisz, że jestem zabójcą. Wynagródź mię!...

Znika.

PILAR, *wychodzi z ukrycia:* — Gwałtu! Mordują!

ADORNO, *wybiega:* — Będziesz ty cicho, świnio jedna?!

Zeskakuje do ogrodu i chce pochwycić mnicha.

PILAR: — Mordują!

Wyrywa się z rąk Adorna i wbiega na schody.

ADORNO: — Co to, to nie!... Mając do wyboru, między klocem kata i łożem kobiety, nie waham się ani chwili. Mój koń jest rączy. (*Ucieka na prawo.*) Adieu!

PILAR: — Łapaj zabójcę!

Małgorzata wybiega z pokoju. Włosy ma rozpuszczone, i pod futrem stara się nieporadnie ukryć swoją nagość. Pilar skrywa się, przypadłszy jak długi do schodów.

MAŁGORZATA: — Idziecie? (*Helgar, wyciągnąwszy ku niej ręce, usiłuje powstać.*) Helgar?! Sam? Co się stało?
HELGAR: — Małgorzato...

Upada z powrotem.

MAŁGORZATA, *przypada do niego:* — Tyle krwi! A ja właśnie ciebie oczekiwałam, ciebie, wilku napastliwy! Czemuż miłość musi mieć otok z purpury? Białe jest twoje ciało. Pragnąłeś mnie? (*Obejmuje go.*) Pragniesz mnie? Tak, czuję to. Będziesz moim dopóki jeszcze oddychasz. A ranę w twoim boku wargami zagoję.
PILAR, *zrywa się wrzeszcząc:* — Ohyda!
MAŁGORZATA, *zrywa się również, pod futrem widać tunikę pełną śladów krwi:* — Wy? (*Biegnie w stronę mnicha, dobywa spod futra jedną z piersi.*) Tutaj? Wpakuję ci to w pysk.

Pilar próbuje uciekać przez ogród, Małgorzata, zbiegłszy ze schodów, goni za nim.

PILAR: — Jesteś samą lubieżnością i Złem!...
MAŁGORZATA: — Jestem Zło, którego obsesja dostarczyła ci okropnych rozkoszy. Oddam się najbardziej nieczystemu z nieczystych...

Obejmuje Pilara i przyciska go do siebie.

PILAR: — Szatan przyjął jej kształty... Nie, nie zgrzeszę...
MAŁGORZATA: — Ale drżysz, ale ślinisz się. I twarz ci się rozjaśnia. Aniołyś zobaczył?...

Puszcza mnicha, który osuwa się na ziemię.

PILAR, *leżąc, kryje twarz w dłoniach:* — Agnus Dei! qui tollis peccata mundi...
MAŁGORZATA, *śmiejąc się płocho:* — O, co za słabeusz i flak! Nareszcie zgrzeszył! Szatan?... O, tam ucieka, leć za nim i łap go! Wyskoczył z twej głowy ogolonej. (*Pomaga podnieść się Pilarowi.*) Jesteś czysty... Wzrok twój staje się czysty. To już nie twój wzrok...
PILAR, *cofa się:* — Boże!...
MAŁGORZATA: — Spowiadasz się?...
PILAR, *jakby chciał objąć Małgorzatę:* — Małgorzato! (*Cofa się jednak, mówiąc z wysiłkiem.*) Nie, jestem przeklęty!...
MAŁGORZATA: — Zawołałeś mię po imieniu, i będziesz mię wołać, będziesz wymawiać to imię kobiety pośród pokuty...
PILAR: — Ty? Kobietą? Szatanem. Kobieta rodzi, daje życie. A ty śmierć sprowadzasz i zabijasz... (*Biegnie na prawo.*) Ratunku! Strażnicy!...
MAŁGORZATA: — Gubisz mnie tak jak ja ciebie zgubiłam...
PILAR: — Ratuję Waćpanią... przed nią samą... (*Wrzeszczy.*) Na pomoc...

Wchodzą Chruń i Murga i stają jak osłupiali. W czarnej płachcie trzymają coś zawiniętego. Z ulicy dochodzi hałas. Pilar wychodzi.

CHRUŃ: — Co? Mnich w niebezpieczeństwie? Już niosą poduszki, żeby przydusić wścieklaka...
MURGA: — Niech Waćpani stąd uchodzi i to daleko. Tłum już zwąchał zapach krwi...
MAŁGORZATA: — Chodźcie do mego pokoju, rozbiorę was jak dwie kukiełki...

CHRUŃ: — Ale używanie!

MURGA, *odciąga Chrunia:* — Nie, mój Chruniu. Nawbija nam szpilek w garby. Spójrz na jej źrenice. Obłąkana!.

MAŁGORZATA, *idąc za nimi:* — Karły nie chcą? Pójdę na jarmark. I tam znajdę na pewno mężczyznę, który mię zechce. (*Woła.*) Kto chce kobiety?

Wchodzi Różan. Zawraca ją do ogrodu.

RÓŻAN: — Ja. Nie myślałem że Cię zobaczę tak prędko.

MAŁGORZATA: — Ty? Mężczyzną? Kat... Będziemy razem... we dwoje...

Wchodzi Pilar.

PILAR: — We troje i nie do odróżnienia pośród dymu płonącego stosu.

MAŁGORZATA, *bierze za rękę Różana i Pilara:* — Na Was czekałam, na pewno na Was. Ach, uwolnijcie mię, to w waszej mocy!...

Sztywnieje, zamyka oczy i zapada w nagłe odrętwienie. Różan podtrzymuje ją ostrożnie i okrywa swym płaszczem. Tymczasem tłum wtargnął już do ogrodu. Pilar usiłuje cofnąć ludzi. Wchodzi prokurator królewski, za nim halabardnicy i dobosze, którzy natychmiast opróżniają ogród z tłumu.

PROKURATOR: — Trzymać w ryzach pospólstwo. (*Do mnicha.*) Odpowiedziałem na Wasze wezwanie. Postąpimy tak jak nakazuje prawo. (*Kłania się Małgorzacie.*) Co przyjdzie mi stwierdzić w tym domu?

PILAR: — Jej mąż został przypadkowo zabity, ale opinia publiczna głosi, że bywają wypadki przewidziane.

PROKURATOR: — Tak utrzymują ludzie złośliwi. Damyż im posłuch? I zaczniemy szukać sprawców? Małgorzato Harstein, co Waćpani o tym sądzi?

Cisza.

PILAR: — Gdyby nawet odpowiedziała, gdyby nawet oskarżała samą siebie, nie trzeba dawać jej wiary. Przebywa w niej ktoś potężniejszy od niej samej, ktoś równie potężny jak Bóg...

Żegna się.

PROKURATOR: — Zobaczymy ile w tym prawdy, Przewielebny Pilarze. Sprawiedliwość nasza ma chłodne czoło.

PILAR: — Niech Wasza sprawiedliwość jak najprędzej pozbędzie się tej kobiety. (*Wpada w gniew.*) A jeśli jednego trupa wam za mało, chodźcie!... Pokażę wam drugiego.

Ciągnie prokuratora po schodach i pokazuje mu ciało Helgara, leżące na galeryjce.

PROKURATOR: — Szchlachcic ten zginął śmiercią nienaturalną. (*Skłania głowę przed ciałem i schodzi.*) Jakie wnioski wyciągnąć z powyższego stwierdzenia?

PILAR: — Że zbrodnia!

CHRUŃ, *wtrąca się:* — Przed chwilą dano znać, że wielmożny Adorno uciekł z miasta.

PROKURATOR: — Dlaczego przyjaciel żywy odbiega nie żyjącego przyjaciela? Czyj to sztylet? Kto był przy tym?...

PILAR: — Byłem tu. Ale... czy wielmożny Adorno nie po to uciekł, aby uniknąć losu przyjaciela? Kto dobył sztyletu?... (*Gwałtownie.*) Ona! Oskarżam ją! To wampir, co krew wysysa! Widziałem, jak leżała na konającym i piła krew z jego rany.

GŁOSY TŁUMU: — Zbrodnia!...

PILAR: — Zbrodnia, mówicie? — Czary są! — mówię.

PROKURATOR: — Waćpani nie drży, Małgorzato Harstein? Czy słyszy Waćpani co mówią?

RÓŻAN: — Ona śpi.

PILAR:— To nie sen, to urok. Bo skądby się w niej wzięło tyle urody? To Szatan ją usypia. Spójrzcie na jej wargi uśmiechnięte niewinnie...

PROKURATOR: — Niech i tak będzie. Zabieram ze sobą tę kobietę, choćby po to, aby była pod opieką. Zabrać stąd zamordowanego...

RÓŻAN, *do Małgorzaty:* — Będziesz kwiatem trującym, który rzucą w ogień co oczyszcza. Zapłodnię twą agonię, i z twoich popiołów podniosą się róże straszliwe.

Halabardnicy otaczają Małgorzatę, która stąpa wolno, pogrążona we śnie. Różan, położywszy dłonie na jej barkach, prowadzi ją ku wyjściu. Wychodzą powoli. Pilar spuścił kaptur na oczy. W ślad za orszakiem, ludzie wynoszą pośpiesznie ciało Helgara. Ogród pustoszeje. I cichnie dochodzący z ulicy hałas. Na scenie pozostali jedynie Chruń i Murga, nie mogąc przyjść do siebie. Długa chwila ciszy.

CHRUŃ: — I po wszystkim. Nie tylko w teatrze zdarza się, że w jednym dniu naukładają ci tyle trupów! Ach, łzy mi się cisną.

MURGA: — Dość tej wody płynącej spod czoła. (*Potrząsa Chruniem.*) Godzi się płakać, gdy ubywa człowiek?

CHRUŃ: — Nie, raczej trzeba było płakać, gdy przychodził na ten świat co wart pośmiewiska. A nasza stara planeta, nie jest-li wydziedziczoną i kaleką pośród mnogości pełnej chwały gwiazd? Wracajmy do zabawy! Sprawiedliwości stało się zadość, bylibyśmy bardziej wymagający niźli ona?

MURGA: — Sprawiedliwości stanie się zadość, ale czy można w ogóle o niej mówić, jeżeli winny wyzionie ducha, pogrążony w zatwardziałości serca i bez pokuty?

CHRUŃ: — I cóż? W każdym strachu jest coś do śmichu! Dalej, uwiecznijmy ambitnego cherlaka, co pod chmury wzleciał. Hop, i w niebo!...

Rozwija płachtę, skąd Murga wyjmuje małą, ledwie trzymającą się kupy kukiełkę, przebraną za jaśnie pana, przy mieczu i z piórem u kapelusza. Murga całuje ją i zbliża kukiełkę do twarzy Chrunia, który również ją całuje. Po czym napinają płachtę. I kukiełka wylatuje w górę, upada i, odbita, wylatuje znowu.

MURGA: — Hop, jaśnie panku! Byłeś szlachetny!

CHRUŃ: — Wyżej! Hop! signor....

MURGA: — Hop! signor...

Tak bawiąc się, wychodzą. Scena pustoszeje. Z ulicy dolatują wybuchy śmiechu i radosne okrzyki. Jeszcze chwila, i tłum podchwytuje okrzyk karłów: „Hop! signor...", raz za razem — podczas gdy w oknie widać wzlatującą i opadającą kukiełkę — niby zranionego ptaka, wahającego się w którą stronę przeważyć swój lot, ku niebu, czy ku ziemi.

K u r t y n a.

1935.

Archiwum polityczne

Kwestia rosyjska

Kwestia rosyjska w Polsce ma dwa oblicza. Znakomita większość nie analizuje tylko zwyczajnie nienawidzi. Na chemizm tej nienawiści składa się tradycja, historia, współczesność.

Pewien procent inteligencji reprezentuje pogląd, że wojny na wielką skalę prawdopodobnie nie będzie. Po czterdziestu latach teorię o kolosie na glinianych nogach należy odstawić do politycznego muzeum niespełnionych nadziei.

Byłoby błędem przypuszczać, że w Kraju podział na tych, którzy wypracowanie jakiegoś modus vivendi z Rosją uważają za potrzebne i na tych, którzy po prostu nienawidzą — pokrywa się z podziałem na partyjnych i niepartyjnych. Nie wszyscy jednak członkowie partii są miłośnikami Rosji sowieckiej. Z drugiej strony wielu zwolenników ,,modus vivendi'' rekrutuje się z sfer poza-partyjnych.

Nie ulega wątpliwości, że w oczach przywódców sowieckich polska tradycyjna nienawiść do Rosji jest synonimem reakcjonizmu. Ponieważ każdy komunista ex definicio jest przyjacielem Związku Sowieckiego wskutek tego na Kremlu wnioskują, że z chwilą gdy komunizm zostanie przyjęty przez większość polskiego społeczeństwa — nienawiść do Rosji zniknie wraz z widmem burżuazyjnej epoki.

Aktywiści partyjni nie tają, że głównym hamulcem opóźniającym skomunizowanie Polski jest powszechna nienawiść do Rosji. Być może obywatel X. czy Y. byłby podatniejszym politycznie materiałem, gdyby komunizm był doktryną francuską czy włoską. Obywatel X. odrzuca komunizm a priori z powodu jego rosyjskości.

To jest pierwszy krąg polsko-rosyjskiego błędnego koła.

Kierownictwo partii wnioskuje logicznie, że jeżeli pragnie się rezultatów na odcinku ideologicznym trzeba w pierwszej linii zmniejszyć ciśnienie nastrojów antyrosyjskich. Titoizm — sugerują jego polscy zwolennicy — byłby operacją zmierzającą do

wydatnego zmniejszenia ciśnienia nastrojów antyrosyjskich. Rozumowanie oparte jest na słusznym założeniu, że im Polska będzie bardziej niepodległą tym społeczeństwo będzie mniej antysowieckie.

Rosjanom jednak ten typ rozumowania nie trafia do przekonania. Przywódcy sowieccy sądzą, że Polsce można by przyznać bardziej niezależny statut tylko wówczas, gdyby społeczeństwo było mniej antyrosyjskie. I to jest drugi krąg polsko-rosyjskiego błędnego koła.

Rozpatrzmy kwestię rosyjską na szerszym tle.

Gdyby któregoś dnia marszałek Żukow dokonał zamachu stanu a następnie obwołał się carem Wszech Rosji — nie jest pewne czy dla Waszyngtonu byłby to zysk czy strata. Gdyby Rosja w ten sposób zerwała z komunizmem — zmiana flagi i oficjalnej ideologii nie wpłynęłaby w niczym na obecną strukturę „równowagi sił". Przeciwnie, biała Rosja mogłaby być jeszcze groźniejszym rywalem Ameryki niż Związek Sowiecki.

Na tym przykładzie widać, że ideologie nie stanowią jądra politycznych problemów. Istotą polityki, tak dawniej jak i dziś, jest interes państwowy — siła i bezpieczeństwo. Upadek komunizmu miałby tylko wówczas dalekosiężne polityczne konsekwencje, gdyby był równoznaczny z upadkiem potęgi Rosji. Ale i w tym wypadku istotą politycznej przemiany byłby upadek światowego mocarstwa a nie tylko upadek ideologii. Innymi słowy chcąc zmienić obecny „balance of power" nie wystarczy zlikwidować komunizmu. Trzeba zlikwidować Rosję.

Pisarze, politycy i działacze wschodnio-europejskich emigracji usiłowali przez ubiegłe dziesięć lat przekonać Zachód, że politykę należy podporządkować ideologii antykomunistycznej. Staraliśmy się dowieść Amerykanom, że wolność świata jest tym istotnym interesem państwowym Stanów Zjednoczonych, który winien być realizowany za wszelką cenę. Nie przekonaliśmy ani Amerykanów ani Anglików. Oba te mocarstwa mimo, że są zdecydowanie antykomunistyczne — nie prowadzą polityki ideologicznej. I dlatego nie podejmą nigdy z pobudek ideologicznych wojny prewencyjnej, krucjaty czy „wyzwolenia" siłą.

A jaką politykę prowadzi Rosja? Być może, gdyby Stalin był młodszy i żył piętnaście lat dłużej doprowadziłby za swego życia do otwartego konfliktu z Zachodem. Niewątpliwie w umyśle Stalina polityka sowiecka pokrywała się całkowicie z celami światowego komunizmu i w tym sensie była to polityka ideologiczna.

Dziś sytuacja wygląda nieco inaczej. Dla Stalina zwycięstwo Rosji i zwycięstwo rewolucji w skali światowej to były synonimy. Lecz dla pp. Chruszczowa i Bułganina pytanie Nr 1 brzmi: Czy Rosja w tym wyścigu politycznej inicjatywy i produkcji gospodarczej zdoła utrzymać stanowisko drugiego mocarstwa świata?

Osobiście jestem skłonny przypuszczać, że polityka Sowietów z każdym rokiem będzie mniej ideologiczna. Gdyby jednak

w Moskwie utrzymali się przy sterze ludzie, którzy w swym doktrynerstwie i ciasnocie zechcieliby identyfikować interes Rosji z losami światowego komunizmu — Rosja nie zdoła utrzymać swego obecnego statutu.

Dla Stalina świat składał się z lojalnych komunistów, którzy byli sługami Sowietów i z antykomunistów, którzy byli wrogami Sowietów. Jeszcze za życia Stalina przykład Jugosławii wykazał, że powyższy schemat jest nie tylko prostacki ale i fałszywy.

Wiemy z przemówienia Chruszczowa na XX Kongresie partii, że Rosja była źle przygotowana do wojny i znajdowała się dosłownie na krawędzi klęski. Podniesienie się Rosji na przestrzeni zaledwie czternastu lat — z dna upadku do pozycji światowego mocarstwa jest niewątpliwie jednym z najefektowniejszych wydarzeń w historii XX wieku. Ale czy ten bezprzykładny sukces Rosja zawdzięcza komunizmowi?

Rosję z odmętu wyciągnęli burżuazyjni sojusznicy. Gdyby nie było Dr. Fuchsa i komunistycznej sieci szpiegowskiej na Zachodzie — pomoc anglosaska płynęłaby równie szerokim strumieniem. Zachodni komuniści w niczym nie odegrali roli decydującej. Ostatecznie ani Roosevelt ani Churchill komunistami nie byli.

Po upadku hitlerowskich Niemiec na wschód od linii Berlin-Praga-Wiedeń powstała próżnia w którą wlały się armie rosyjskie. Zachodni sprzymierzeńcy nie potrafili się przeciwstawić tej polityce faktów dokonanych i tak zrodziła się Jałta. To nie komunizmowi zawdzięcza Rosja podbój Europy wschodniej. Prawdą jest natomiast, że dzięki wyjątkowej wprost koniunkturze *mimo* swej komunistycznej flagi Rosja zdołała zagarnąć pół Europy.

Od czasów Stalina i Jałty świat uległ wielkim przeobrażeniom. Jeżeli w tym nowoczesnym świecie Rosja zechce utrzymać i umocnić swą wielkomocarstwową pozycję, polityka Moskwy w coraz większej mierze będzie musiała szukać sprzymierzeńców wśród nie-komunistów.

Świat nie zmierza do komunistycznego milenium. Wydaje mi się, że komuniści zachodni nie żywią w tej materii złudzeń. Komunizm nie zostanie nigdy przyjęty ani w Stanach Zjednoczonych ani w republikach południowo-amerykańskich. Komunizmu nie będzie również ani w Anglii ani w krajach wspólnoty brytyjskiej. Wbrew pesymistycznym ocenom pewnych europejskich komunistologów — amerykańscy rzeczoznawcy oceniają, że komunizm nie ma poważnej życiowej szansy na kontynencie afrykańskim. W porównaniu z latami wojny i z okresem bezpośrednio powojennym należy stwierdzić, że komunizm traci grunt w kontynentalnej Europie zachodniej z Francją i Włochami włącznie. Nadzieje komunistów w obu tych krajach — choć wydawać się mogły usprawiedliwione — nie spełniły się.

W świetle powyższego rozpoznania wydaje się oczywiste, że celem polityki rosyjskiej winna być nie komunistyczna rewo-

lucja światowa lecz utrzymanie i rozbudowa mocarstwowej pozycji vis à vis Stanów Zjednoczonych.

Ktoś powie, że powyższe cele nie są alternatywami lecz przeciwnie pokrywają się wzajemnie.

Otóż tak nie jest. Weźmy przykład nam najbliższy — Polskę. Realista, chcąc być w zgodzie z logiką i faktami, musi przyjąć (niezależnie od ,,pobożnych życzeń''), że Rosja jest najpotężniejszym naszym sąsiadem i prawdopodobnie takim pozostanie. Polityka ,,przedmurza obrotowego'' zwróconego na wschód przeciwko Rosji a na zachód przeciwko Niemcom — nie wytrzymała próby życia i nie wierzę by wśród Polaków miała jeszcze wielu zwolenników.

Każdy rząd polski demokratycznie wyłoniony starałby się bez wątpienia o możliwie dobre stosunki z Moskwą. To leży bowiem w oczywistym i bezspornym naszym interesie. Nie wydaje mi się również by mogła w Polsce powstać partia programowo antyrosyjska. Nienawiść nie jest bowiem ani programem ani polityką. Nienawiść jest potencjalnym odporem. Nasza nienawiść do Rosji nie jest typu ,,zoologicznego'' i jeszcze ciągle istnieje po stronie Polaków gotowość ułożenia stosunków polsko-rosyjskich na normalnych warunkach. Sąsiadów nikt sobie nie wybiera. Irlandczycy może również woleliby za sąsiadów inny naród niż Anglików.

Dla każdego kto spojrzy przytomnie na mapę Europy jest oczywiste, że w Warszawie nie może być dziś rządu wrogiego Rosji. Ale to co jest narzucone przestaje być oczywiste.

Nie jest wadą obecnego rządu reżymowego, że jest prorosyjski. Jego wadą natomiast jest, że nie jest rządem polskim.

Rosja mając własną korzyść na oku winna przejść w stosunku do tak zwanych państw satelickich z polityki ideologicznej na normalną politykę państwowego interesu. Uznawszy nasze prawo nie tylko do niepodległości ale i do form ustrojowych zgodnych z wolą większości — Rosja zdobyłaby poparcie wszystkich trzeźwo myślących nie-komunistów.

Ideologiczna polityka Rosji doprowadziła do fatalnych rezultatów. Antyrosyjsko są nastawieni nie tylko bezpartyjni ale nawet pewien procent, jeśli nie większość, członków partii.

Rewolucja od dołu może być wielkim politycznym atutem — rewolucja narzucana z góry jest politycznym obciążeniem. Przyjdzie chwila, że Rosjanie — jeżeli zechcą dotrzymać kroku Ameryce — będą musieli w stosunkach międzynarodowych porzucić politykę ideologiczną.

Przypuszczam, że większość Rosjan — podobnie jak wielu ludzi na Zachodzie — sądzi, że komunizm służy imperializmowi rosyjskiemu. Niewątpliwie tak było ale czy nadal tak będzie? Już dziś jest coś fałszywego w stosunku imperialnej polityki rosyjskiej do światowego komunizmu. Anulowanie dogmatu o nieuchronności wojny z kapitalistycznym otoczeniem, teza o pokojowym współzawodnictwie, teza o zdobywaniu władzy poprze

większości parlamentarne — to są wszystko ideologiczne odstępstwa podyktowane politycznym interesem Rosji ale nie interesami światowego komunizmu.

Starzy komuniści jak Mołotow, potępiając titoizm z punktu widzenia doktrynalnego mają rację. Przyjęcie tezy o prawie do „własnej drogi do socjalizmu" musi w konsekwencji prowadzić do powstania serii „komunizmów" narodowych. Cechą zasadniczą komunizmu jest jego uniwersalizm. Komunizm jest albo jeden — albo żaden.

Niemniej interes polityczny Rosji wymagał wyrównania stosunków z Jugosławią. I interes polityczny przeważył nad ideologicznym.

Komunizm na terenie Polski w jego obecnej formie gra de facto przeciwko Rosji. Jak długo w stosunku do nas Rosjanie stosować będą politykę ideologiczną tak długo w Polsce nie powstanie żaden, niezależny program polityczny, który współpracę z Rosją wysuwałby jako jedno ze swych założeń.

Tak Rosjanie jak i Amerykanie nie zdają sobie w pełni sprawy, że niebywały rozrost ich atomowych super-mocarstw wywołał w świecie żywiołową reakcję nacjonalistyczną. Każdy średni i mały naród czuje się zagrożony w swym narodowym bycie i niezawisłości. Realistyczna polityka tak amerykańska jak rosyjska musi ów fenomen brać pod uwagę.

Wielka polityka winna być prosta i pragmatyczna. Nie byłoby żadnych trudności przekonać miliony Polaków, że bez względu na przeszłość interes państwa polskiego wymaga poprawnego ułożenia sąsiedzkich stosunków polsko-rosyjskich. To jest jasne i zrozumiałe dla każdego. Nie ma jednak żadnych możliwości przekonania milionów Polaków, że by być dobrym sąsiadem narodu rosyjskiego trzeba wpierw zmienić... wyznanie.

W rezultacie dziesiątki milionów Polaków, którzy w innych warunkach podtrzymywaliby lojalnie politykę dobrych stosunków z Rosją — dziś z nienawiścią odnoszą się do wszystkiego co rosyjskie.

Rezygnując z polityki ideologicznej Rosjanie odzyskaliby możliwość ułożenia na realnych przesłankach swych stosunków z krajami Europy wschodniej. Podstawą reorientacji musiałaby być ewakuacja wojsk sowieckich i uznanie pełnej niepodległości państw tego obszaru. W takiej sytuacji w Polsce, pod naciskiem opinii społeczeństwa, nastąpiłaby powolna demokratyzacja ustroju.

Rozwój po tej linii stanowiłby dla Rosji czysty zysk. Straciłaby kilkaset tysięcy swych obecnych popleczników zyskując wzamian pozytywny oddźwięk w milionowych rzeszach.

I punkt ostatni. Tego typu polityką Rosja odcięłaby się skutecznie od wylęgarni wszystkich odchyleń. Odchylenia i herezje rodzą się poza granicami Sowietów. Titoizm jest dziś nie tylko problemem jugosłowiańskim i „satelickim" lecz również

wewnętrzno-sowieckim. Satelickie herezje mogą przynieść Ros nieobliczalne komplikacje i kryzysy.

Represje, czystki, inkwizycje budzą nienawiść i de facto s zawsze stratą. Polityka sowiecka jeżeli zechce utrzymać sw zdobycze będzie musiała „zamerykanizować' swe metody i tak tykę. Rosja winna więc stanąć na stanowisku, że nie jest istotn czy Jugosławia jest klasycznie komunistyczna czy tylko „postę powo-lewicowa" jak wyrazić się miał Mołotow. Istotne jest ty ko czy Jugosławia jest z Rosją czy przeciw niej. Wszystko inn to są szczegóły trzeciorzędnego znaczenia. Jeżeli Jugosławi można pozyskać za uznanie jej ideologicznych odstępstw — na leży te odstępstwa uznać. Na to by obecne i przyszłe odstępstw móc uznać w imię rosyjskich interesów — trzeba zerwać z poli tyką ideologiczną. Bo jak długo Moskwa prowadzi tę polityk — każdy kryzys w łonie jakiejkolwiek komunistycznej part świata jest rosyjskim kryzysem.

Ten realistyczny wzorzec winien być zastosowany do wszyst kich krajów „satelickich". Jeżeli Rosjanie tego nie pojmą — wcześniej lub później utracą statut światowego mocarstwa i wró cą za mur swojego wielkiego ghetta w którym żyli do sierpni 1939 roku.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

NA DWA FRONTY

I

Pandora w londyńskich „Wiadomościach" zaszczyciła nas dłuższym k mentarzem. W artykule pt. „Ręce i nogi" („Wiadomości", Nr 550) po dano surowej krytyce krajową politykę „Kultury", a w szczególności post laty dotyczące wydań krajowych książek autorów emigracyjnych.

Nie należy kwitować milczeniem tej krytyki, bo choć Pandora nie je przedwojennym Słonimskim, a „Wiadomości" nie są „Wiadomościami Lit rackimi" — to niemniej są poważnym tygodnikiem emigracyjnym. W ka dym razie bliżej „Wiadomościom" do „Wiadomości Literackich" niż Pa dorze do Słonimskiego.

Przyjrzyjmy się taktyce Pandory. Oto cytaty z jej artykułu: „Londyńczyk sprawę rozpatruje metodą materialistycznego pojmowania dziejów...", „W tym upatrywaniu w pieniądzach jedynej formy uzależnienia objawia się chłopięcy materializm neo-marksisty...", „Praktykujący neofici materializmu przywiązują nadmierną wagę do cyfr..." itd., itd., itd.

Pandorze nie chodzi o argumenty, o dyskusję, o problem. Jej chodzi tylko o to by na „Kulturę" i zespół redakcyjny rzucić cień podejrzeń i insynuacji.

Reakcyjność to nie jest pogląd polityczny. To jest postawa wewnętrzna. Dla Pandory każdy przeciwnik jest marksistą i materialistą — dla p. Arskiego każdy przeciwnik jest faszystą. Dla reakcjonistów z prawicy jesteśmy neo-marksistami; dla reakcjonistów z lewicy jesteśmy faszystami.

Czym jest reakcyjność? Reakcyjność jest prostactwem. Jest metodą rozpatrywania wszystkiego dwu-kolorową skalą biało-czarną. Zagubieni w współczesnym skomplikowanym świecie ci, którzy stracili, względnie nigdy nie mieli, zdolności analizy zjawisk, które wybiegają poza ich własny filisterski pułap — chronią się w skrajność. Bo tylko rzeczy skrajne, skontrastowane, są dla nich wreszcie czymś zrozumiałym. Skrajność daje im poczucie twardego gruntu pod nogami. Wszystko inne jest niepewne, płynne i wysoce podejrzane.

Reakcjoniści wyposażeni we władzę — są straszni; bezsilni — są tylko śmieszni. Pod wpływem uczucia zagrożenia stają się coraz bardziej krańcowi i licytują swoje hasła ad absurdum. Jeżeli ktoś powątpiewa czy rozbicie Związku Sowieckiego i wytrzebienie komunizmu w pięciu częściach świata nie jest zbyt wygórowanym programem w stosunku do emigracyjnych możliwości — zostaje natychmiast napiętnowany jako materialistyczny „pojmowacz" dziejów.

Reakcjoniści tak lewi jak i prawi mają nie tylko swój własny system logiczny lecz również swoją własną sloganową gramatykę. Dla kogoś niewtajemniczonego w prawidła i konwencje tej gramatyki teksty są zupełnie niezrozumiałe.

Pandora w omawianym artykule pisze między innymi:

„Jeżeli takim skutecznym narzędziem w walce o demokrację w Polsce ma być książka emigracyjna to dlaczego właśnie komuniści wysilają się żeby tę książkę zdobyć".

Ponieważ według schematu „białe-czarne" komuniści jako czarni nie mogą zrobić nic dobrego — jeżeli wydadzą wiersze Balińskiego będzie to rzecz ex definicio zła.

Michał Rusinek w jednym z pism londyńskich został nazwany politrukiem. W świetle systemu „białe-czarne", kto ma paszport reżymowy jest politrukiem. Jakie przemówienie może wygłosić politruk? Oczywiście prowokacyjne. W oparciu o ten niezawodny system Zygmunt Nowakowski nie słysząc tego przemówienia mógł „na pewniaka" napisać, że przemówienie Rusinka było prowokacyjne. Wszystko w zgodzie z obowiązującą sloganową gramatyką.

Łaskawa Pandoro — nie jestem zwolennikiem materialistycznego pojmowania dziejów, ale z dwojga złego to już wolę materialistyczne niż histeryczne.

II

Artykuł w wrześniowym numerze „Kultury" pt. „Dialog" został pc tępiony nie tylko przez Pandorę lecz również przez p. Zbigniewa Mitznera który jako Jan Szeląg jest filarem biuletynu i radiostacji pn. Kraj.

Natomiast „Życie Warszawy" w przeciwieństwie do Pandory i Sze ląga dało względnie rzeczowe i nienapastliwe omówienie „Dialogu" w arty kule pt. „Między emigracją a Krajem".

P. Mitzner oburzony do żywego pewnym obiektywizmem artykuł o „Kulturze" w „Życiu Warszawy" wystąpił z płomiennym listem d redakcji cytowanego stołecznego pisma. Na list p. Mitznera redakcja „Życi Warszawy" odpowiedziała cierpko, że nie ma obowiązku drukować świat łych uwag p. Szeląga.

Odnotowując ten epizod wypada zaznaczyć, że jest to pierwszy wypade polemiki pomiędzy reżymowym dziennikarzem a redakcją pisma warszaw skiego na temat artykułu drukowanego w prasie emigracyjnej.

P. Szeląg vel Mitzner niezrażony odmową „Życia Warszawy" za mieścił artykuł poświęcony „Kulturze" w tygodniku „Świat".

Mitzner jest bardzo wątpliwym propagandystą ale za to jest poeta Proszę tylko posłuchać: „Pan Mieroszewski dla Polaków w Kraju istniej o tyle tylko, o ile postać tę stworzył w wyobraźni tutejszej premier Cyran kiewicz".

Osobiście wolałbym zamiast „stworzył"... „wyczarował" ale w końc niech i tak będzie. Niewątpliwie gdybym był mniej skromny z natury i z na wyku — zawróciłoby mi się w głowie. Bo gdzież jest drugi emigrant, kt rego postać w wyobraźni Kraju stworzył sam premier Cyrankiewicz.

P. Szeląg nicuje „Kulturę" i jej współpracowników by na końc odkryć przed sterroryzowanym czytelnikiem największą zbrodnię mojego ży wota. Choć postać p. Mieroszewskiego stworzył premier Cyrankiewicz, niemniej tenże Mieroszewski przetłumaczył Orwella „Rok 1984".

Z powagą i politrukowskim zapałem oskarżać polskiego dziennikarza, przełożył na język ojczysty jedną z najwybitniejszych książek angielski doby współczesnej — to już nie jest ani żart ani nawet propaganda. To je stalinowska stupajkowatość z której p. Szeląg nie wyrósł bo zbyt dobr do niego pasuje.

Orwell ukazał się jako drugi tom Biblioteki „Kultury". Nic n wiadomo ani „Kulturze" ani mnie czy „Rok 1984" zrzucano z balonikó — jak twierdzi p. Mitzner. Ośmielam się natomiast wyrazić pogląd, że t transportu w niczym nie wpływa na jakość literackiego dzieła. Felieto p. Szeląga nawet zrzucane z księżyca nie przestałyby być makulaturą.

W POSZUKIWANIU ŻABY

W tym samym numerze „Świata" w którym p. Mitzner odkrywa prz opinią krajową moją zbrodnię przekładu Orwella — Melchior Wańkowi drukuje reportaż bogato ilustrowany pt. „W poszukiwaniu żaby".

Sielszczyzna i anielszczyzna w skondensowanej formie. Strawczyn miejsce urodzin Żeromskiego, Oblęgorek... biała Nida... kajaki z history nymi napisami „Tirliporek" i „Kuwaka" — no i pół tuzina zdjęć same autora. Z wiosłem, bez wiosła, z lornetką, z księdzem i z Courvoisier'em.

W tekście wszystko cacy-cacy z Kazimierzem Wielkim jako promotorem pięciolatek (!) na czele. Jednym słowem powrót Odyssa.

Aż tu nagle Kazimierz Koźniewski na łamach „Przeglądu Kulturalnego" wysunął pytanie może impertynenckie ale nie pozbawione logiki: jeżeli wszystko jest tak świetne dlaczego Wańkowicz pozostaje na emigracji?

„Skoro omawiamy twórczość pisarzy pozostających nadal na emigracji" — cytuję artykuł Koźniewskiego — „musimy sprawę stawiać bardzo jasno i tłumaczyć czytelnikom, że istnieją jakieś usprawiedliwione powody, które trzymają autora w rezerwie do Kraju. Jest to w odniesieniu do Wańkowicza o tyle ważne, że kilka jego książek ukaże się obecnie w Polsce".

Koźniewski ma rację. Jeżeli ktoś podróżuje po Polsce i w prasie krajowej zamieszcza pełne optymistycznego sentymentu reportaże czytelnicy mają święte prawo zapytać autora: dlaczego nie osiądzie pan w Kraju na stałe?

Jakie jest wyjście z tej sytuacji? Wydaje mi się, że jest tylko jedno rzetelne wyjście. Wańkowicz powinien oświadczyć, że przestał być emigrantem politycznym i jest obecnie zwyczajnym emigrantem zarobkującym. Przebywa poza Krajem nie z przyczyn politycznych czy ideowych lecz z przyczyn zarobkowych i finansowych. Jest obywatelem amerykańskim i zarabia na kawałek chleba z boczkiem jak może i gdzie może.

Nie wszyscy musimy być emigrantami politycznymi. Nie należy natomiast przypisywać sobie statutu, którego się nie posiada. Wańkowicz z całą pewnością nie będzie tego robił.

Na tle wypowiedzi Koźniewskiego można w pełni ocenić jak słuszny był postulat Zespołu „Kultury" by powszechnie znane osobistości świata emigracyjnego nie odwiedzały Kraju. Pisarz przebywający za granicą jeżeli nawet wyrazi zgodę na przedruk swych książek w Kraju — zrzekając się honorarium — nie przestaje być emigrantem politycznym. Na pytanie jakie padło pod adresem Wańkowicza może śmiało odpowiedzieć: „Nie wróciłem do Kraju w roku 1945 — z tych samych przyczyn nie wracam w roku 1956".

EPILOG SPRAWY 48-MIU

Czytelnicy nasi pamiętają zapewne, że tak zwana kampania repatriacyjna rozpoczęła się apelem skierowanym przez 48 „powszechnie znanych obywateli". W odpowiedzi na ów apel redakcja „Kultury" postanowiła zaprosić 48-miu ojców chrzestnych akcji repatriacyjnej do Paryża celem przeprowadzenia na neutralnym terenie swobodnej rozmowy. Ponieważ nie posiadaliśmy aktualnych adresów wszystkich sygnatariuszy cytowanego apelu — imienne zaproszenia wysłaliśmy na adres redakcji „Tygodnika Powszechnego" z prośbą o przekazanie zaproszeń adresatom. By „Tygodnika Powszechnego" nie narażać na wydatki dołączyliśmy do listu 48 międzynarodowych kuponów pocztowych. Ponieważ Tygodnik zamieścił na swych łamach apel repatriacyjny — wnioskowaliśmy, że redakcja zna adresy osób, które ów apel podpisały. Pismo krajowe nie miałoby zresztą żadnych trudności w ustaleniu tych adresów.

Stwierdziliśmy, że żaden z 48 sygnatariuszy nie otrzymał naszego zaproszenia. Wobec tego złożyliśmy reklamację na poczcie paryskiej. Cóż się oka-

zało? Nasz list polecony do „Tygodnika Powszechnego" *nie* dotarł do rą adresata. Obecnie poczta polska za pośrednictwem poczty francuskiej wypła ciła redakcji „Kultury" przewidziane ustawą odszkodowanie za niedoręcze nie listu poleconego.

RÉPUBLIQUE FRANÇAISE

POSTES · TÉLÉGRAPHES · TÉLÉPHONES

BUREAU de : PARIS 118

Tél.

C C P Paris

Réf. à rappeler



le 18/9/56.

Monsieur

Comme suite à votre réclamation du 16/12/55 relative à un envoi recommandé adressé par vos soins le 1/11/55 à Redakcja Tygodnika Powszechnego à Kraków,

J'ai l'honneur de vous prier de vouloir bien vous présenter au guichet 3 de mon bureau pour toucher un reçu de 2850f émis comme indemnité pour perte de cet envoi.

Veuillez agréer, Monsieur, l'assurance de ma considération distinguée.

P. le Receveur,

[signature]

Listy zwykłe a cóż dopiero polecone — nie giną po tej stronie „żelaz-nej kurtyny". I list polecony „Kultury" do „Tygodnika Powszechnego" nie zginął tylko został skonfiskowany przez Bezpiekę ku chwale reżymowej „de-mokracji" i „praworządności".

Jak władze warszawskie potraktowały owych 48 sygnatariuszy wśród których nie brak ludzi przynależących do elity kulturalnej Polski ? Murzyn podpisał — Murzyn zrobił swoje — Murzyn może odejść. Z Murzynem nie dyskutuje się, do Murzyna nie pisuje się listów poleconych tylko rozmawia się z jego panem i mocodawcą.

Może p. Mitzner-Szeląg przedrukuje niniejszą notatkę w biuletynie „Kraj", bo — bądź co bądź — sprawa wiąże się ściśle z propagandą repatriacyjną.

PISARZE I KSIĄŻKI

Dziwnie sobie poczynają pewne wydawnictwa krajowe. W ostatnim numerze „Twórczości" (Nr 9) znajdujemy zapowiedź druku fragmentów „Dziennika" Witolda Gombrowicza. „Dziennik" drukowany był na łamach „Kultury" i nigdzie poza tym.

Okazuje się, że redakcja „Twórczości" nie uważała za stosowne zapytać (ani nawet powiadomić) Gombrowicza o zamiarze publikacji. Autor „Transatlantyku" przesłał nam kopię listu, jaki wysłał do redakcji „Twórczości". W liście tym czytamy między innymi :

„Wobec tego, że dzieje się to bez mojej zgody i upoważnienia uprzejmie proszę o natychmiastowe wstrzymanie tej publikacji, zastrzegając sobie dochodzenie moich praw na drodze sądowej w razie przeciwnym".

Poprzednio również bezceremonialnie postąpił „Przekrój" przedrukowując fragment „Transatlantyku".

W okresie kiedy wydawnictwom krajowym tak zależy na normalizacji stosunków z pisarzami emigracyjnymi tego rodzaju przejawy korsarstwa literackiego są trudne do zrozumienia.

„Życie Literackie" (Nr 39-224) przedrukowało obszerny fragment artykułu Zdzisława Broncla pt. „Polskie echa kongresu Pen-Clubu" z wrześniowego numeru „Kultury". Fragment zajął całą stronę krakowskiego pisma i robi wrażenie podpisanej, nadesłanej korespondencji. Wiem od Broncla, że przedruku dokonano bez jego wiedzy.

Pisma emigracyjne przedrukowują również fragmenty artykułów z prasy krajowej. Wydaje się jednak, że co innego jest zacytować kilka czy kilkanaście wierszy a co innego jest przedrukować około 600 wierszy. W myśl powszechnie przyjętych zwyczajów na Zachodzie przedruk tego typu i rozmiaru wymaga zgody autora. Jest to tym istotniejsze, że redakcja „Życia Literackiego" uważała za właściwe pominąć pierwszą część artykułu Broncla co nadało przedrukowi zmieniony wyraz.

Tyle o pisarzach — a teraz parę słów o książkach.

Teodor Parnicki podpisał umowę dotyczącą wydań krajowych „Aecjusza" i „Srebrnych Orłów". Parnicki nie przyjął oferowanego mu (raczej wysokiego) honorarium w dewizach. Honorarium złotowe zamierża w pewnej części przeznaczyć na ufundowanie w Kraju stypendium dla młodych pisarzy interesujących się antykiem.

W prasie emigracyjnej na temat książek i przedruków panuje w dalszym ciągu kompletny chaos. Pandora w „Wiadomościach", Łobodowski

w „Orle Białym", Bielatowicz w „Życiu" — by wymienić głosy typowe — wysunęli pogląd, że wydawca krajowy jeżeli pragnie rozpowszechniać książki emigracyjne w Polsce winien je zakupywać u emigracyjnych wydawców i księgarzy.

Więc tak. Jeżeli pisarz emigracyjny — notoryczny nędzarz — wziąłby honorarium od wydawcy krajowego to uzależni się od reżymu, straci statut emigranta politycznego itd. Jeżeli natomiast księgarz emigracyjny napcha sobie kieszenie reżymowymi funtami a... to wszystko w idealnym porządku.

Pisarze i nie-pisarze, którzy zabierają głos w tej sprawie mieszają dwie różne rzeczy. Dopuszczenie książek emigracyjnych do Kraju — to jest jedna sprawa — wydania krajowe książek emigracyjnych to jest druga i odrębna sprawa.

LONDYŃCZYK

List z Berlina

„POLSKI TYDZIEŃ" W POLITYCE ZACHODNIO-NIEMIECKIEJ

Corocznie parlament zachodnio-niemiecki przyjeżdża do zachodniego Berlina na tygodniowe sesje, aby zadokumentować więź łączącą Niemiecką Republikę Federalną z dawną stolicą Niemiec. Tegoroczna wyjazdowa sesja „Bundestagu", w pierwszej połowie października, miała przebieg bardzo spokojny. Posłowie powstrzymywali się od wygłaszania szumnych przemówień o zjednoczeniu Niemiec, odczuwając widocznie, że tego rodzaju manifestacje kontrastowałyby z beznadziejnie, przynajmniej obecnie, wyglądającą sytuacją w sprawie zjednoczenia. Toteż na licznych konferencjach prasowych, przy rozmowach w zacisznych winiarniach i na wiecach publicznych mniej miejsca poświęcano sprawom bieżącej niemieckiej polityki wewnętrznej niż... stosunkom polsko-niemieckim.

Każda z licznych konferencji prasowych z wybitnymi przedstawicielami życia politycznego Niemiec Zachodnich kręciła się wokół zagadnienia granicy na Odrze i Nysie i normalizacji stosunków dyplomatycznych między NRF a Polską.

Może to był przypadek (choć wielu obserwatorów skłania się do wręcz przeciwnej tezy, a mianowicie, że chodziło tu o przemyślaną akcję), ale w każdym razie kilkudniową intensywną dyskusję o stosunkach polsko-niemieckich zainicjował wiceprezydent parlamentu zachodnio-niemieckiego, jeden z wybitnych przywódców Niemieckiej Partii Socjal-Demokratycznej prof. Carlo Schmid. Jak Schmid nam sam w kilka dni później opowiadał, wszystko zaczęło się od tego, że podczas obrad przedstawicieli życia politycznego Niemiec i Francji, które się odbywały na początku października w miejscowości Bad-Neuenahr, Francuzi wyrazili obawy, że zjednoczone

Niemcy mogłyby wywołać awanturę wojenną z Polską i uwikłać w nią Francję. W związku z tym, Carlo Schmid uważał za stosowne, oczywiście w imieniu własnym, a nie w imieniu partii socjalistów niemieckich, wyjaśnić Francuzom swój punkt widzenia. Schmid oświadczył, że Niemcom wyrządzono w roku 1945 wielką krzywdę i że dokonano aktu bezprawia. Ale nie trzeba zamykać oczu na to, że powstały pewne fakty, nad którymi trzeba się zastanowić i o których można i trzeba dyskutować z Polakami. Polityk niemiecki podkreślił, że najważniejszym obowiązkiem polityki niemieckiej jest przełamywanie przesądów, które przybrały rozmiary jakiegoś tabu. Rozumowanie swe Carlo Schmid oparł na trzech przesłankach. Warto je przytoczyć, gdyż odegrają one niewątpliwie w rozpoczętej w zachodnim Berlinie dyskusji niejednokrotnie jeszcze ważną rolę. Otóż Schmid powiedział ni mniej, ni więcej:

1) Można czekać tak długo, aż Niemcy będą silne i przemocą odbiorą Polsce swe byłe tereny wschodnie. Kto jednak tak myśli, tego należałoby już dzisiaj osadzić w więzieniu, gdyż w ten sposób wybuchłaby trzecia, okropniejsza niż ostatnia, wojna światowa.

2) Można narzekać i psioczyć i czekać, czekać. Takie stanowisko może w najlepszym wypadku doprowadzić do uwiecznienia dzisiejszego stanu.

3) Można jednak przejawiać aktywność i to w tym sensie, że jest się gotowym do obopólnych koncesji; inaczej rokowania nie miałyby jakichkolwiek szans.

Wypowiedzi Carlo Schmida sprawiły, że tydzień pobytu Bundestagu oraz rządu bońskiego w zachodnim Berlinie przemienił się, mówiąc zupełnie bez przesady — w swego rodzaju „polski tydzień". Przyczyniła się do tego niewątpliwie także i bliskość Polski odczuwalna na terenie Berlina w o wiele większym stopniu niż w dalekim, nadreńskim Bonn. Sam profesor Carlo Schmid złożył w berlińskim klubie przedstawicieli prasy zagranicznej dodatkowe wyjaśnienia na temat swego przemówienia w Bad-Neuenahr. Powiedział on między innymi, że w stosunkach niemiecko-polskich powstały w roku 1945 fakty, których nie można usunąć i o których należy rokować. Trzeba stanowczo odrzucić myśl, iż osiedlonym w międzyczasie Polakom można by wyrządzić tego samego rodzaju akty bezprawia, jak to się działo w 1945 roku w stosunku do Niemców. Koledzy warszawscy przypuścili szturm do okazałej osoby Carlo Schmida. Pewien młody dziennikarz z katowickiej „Trybuny Robotniczej" zapytał socjalistę zachodnio-niemieckiego czy należy uważać, że jest on zwolennikiem nawiązania stosunków dyplomatycznych z Warszawą? Schmid odrzekł z przekonaniem: „Zawsze występowałem za tym". Wówczas nasz młody kolega wystąpił z ubraną w płaszczyk interpelacji ofertą wizyty Carlo Schmida w Warszawie. Stary wyga parlamentarny Schmid uśmiechnął się i jak najuprzejmiej odpowiedział: „Byłbym bardzo rad móc odwiedzić Warszawę i rozmawiać tam z polskimi socjalistami, o ile jeszcze jacyś istnieją". Nie spodobał się widocznie ten przycinek towarzyszowi z „Trybuny Robotniczej", bo uważał za stosowne pouczyć Schmida, że socjaliści w Polsce połączyli się z komunistami w 1948 roku itd., itd. Schmid posłuchał,pokiwał głową i powiedział: „Tak samo połączyli się dobrowolnie jak nasi socjaldemokraci pod okupacją sowiecką. Co będziemy gadać na ten temat".

W związku z tym nasuwa się dygresja, iż prasa krajowa wysyłając swych korespondentów zagranicę, a szczególnie na niezwykle skompliko-

wany teren niemiecki, powinna podchodzić do tego problemu bardziej elastycznie, unikając szczególnie wszelkich dydaktycznych momentów w stosunku do polityków niemieckich, wykazujących dobrą wolę w podejściu do trudnego zagadnienia stosunków polsko-niemieckich. Wracając jednak do konferencji prasowej z Carlo Schmidem należy podkreślić, że ten niewątpliwie bardzo pozytywnie usposobiony polityk uważa, że normalizacja stosunków niemiecko-polskich wymaga ustępstw terytorialnych ze strony polskiej. Na pytanie dziennikarzy, jak Schmid wyobraża sobie te ewentualne ustępstwa skoro w obecnym układzie sił międzynarodowych bezpośrednim zachodnim sąsiadem Polski jest państwo wschodnio-niemieckie, mówca nie umiał dać na to przekonywującej odpowiedzi.

Profesor Schmid miał podobno poważne spory w łonie socjal-demokratycznej frakcji parlamentarnej Bundestagu i z niektórymi członkami Zarządu Głównego SPD. W każdym razie stanowisko Schmida zostało w poważnym stopniu osłabione przez przewodniczącego partii socjalistów niemieckich Ericha Ollenhauera, który na konferencji prasowej dla dziennikarzy niemieckich i zagranicznych, urządzonej 11 października 1956 roku w Berlinie, podkreślił z naciskiem, iż wypowiedzi Carlo Schmida były wyłącznie jego osobistym stanowiskiem, niczym nie zobowiązującym SPD, jako partii. Wyłuszczając punkt widzenia socjaldemokracji niemieckiej w sprawie granicy na Odrze i Nysie i normalizacji stosunków polsko-niemieckich, Ollenhauer wysunął trzy zasadnicze punkty, którymi się kieruje partia socjalistów:

1) Ostateczne ustalenie granic może nastąpić dopiero w drodze rokowań nad przyszłym traktatem pokojowym z Niemcami.

2) SPD stoi nadal na stanowisku, iż prawo do ojczyzny jest podstawowym prawem zarówno jednostek jak i całych narodów.

3) SPD pragnie jednak jak najwyraźniej stwierdzić, że w danym wypadku wchodzi jedynie w rachubę pokojowe rozwiązanie kwestii i że w związku z tym należałoby poczynić już dziś kroki w kierunku rozpoczęcia rokowań.

Precyzując następnie pogląd partii socjalistów niemieckich w sprawie nawiązania stosunków dyplomatycznych z krajami wschodnio-europejskimi, przewodniczący SPD przyznał, że jest to niewątpliwie bardzo delikatny problem. Niemiecka Republika Federalna musi czuwać nad tym, aby nie pozbawić się lekkomyślnie postulatu reprezentowania interesów narodu niemieckiego. Ale nie wyklucza to możliwości znalezienia dróg i metod wiodących do normalizacji stosunków z państwami satelickimi. Jako jedną z możliwości Ollenhauer wymienił model misji dyplomatycznych które istnieją na przykład w Finlandii i w Izraelu.

Ten sam problem dominował na konferencji prasowej, która miała miejsce również 11 października, tym razem z przewodniczącym Wolnej Partii Demokratycznej „FDP" dr. Thomasem Dehlerem. Odbyła się ona w ramach przyjęcia, wydanego dla przywódcy liberałów niemieckich przez berliński Związek Prasy Zagranicznej. Dehler stwierdził, że FDP nie ma jakiegoś z góry ustalonego punktu widzenia w sprawie Odry i Nysy. Granica ta będzie jednym z ważnych przedmiotów rokowań pokojowych, a możliwie pertraktacji między Niemcami a Polską. Chodzi tu jednak o zagadnienie prawne i byłoby niemądrze ze strony Niemiec zrzekać się zbyt wcześnie pozycji prawnej, wywodzącej się bądź co bądź z Uchwał Pocz-

damskich. Dlatego — zdaniem Dehlera — niektóre sformułowania socjaldemokraty Carlo Schmida nie były zbyt zręczne. Tym niemniej należy natychmiast przystąpić do wymiany misji handlowych między Bonn a Warszawą i do rozpoczęcia pertraktacji celem nawiązania stosunków dyplomatycznych. Jest to niewątpliwie trudny problem, gdyż pod jednym względem nie można się łudzić : stosunki dyplomatyczne między dwoma krajami akceptują zwykle istniejący stan faktyczny. Jeśli chodzi o obawy, iż w Warszawie mogłoby być dwóch ambasadorów reprezentujących dwa państwa niemieckie, to właściwie dlaczego w Polsce nie mogłaby się powtórzyć ta sama sytuacja, jaka istnieje w Moskwie. W każdym razie odpowiedzialni politycy zachodnio-niemieccy powinni — zdaniem Dehlera — wykazywać Polakom swoją postawą, iż traktują Polskę jako kraj europejski i jako swego sojusznika.

I wreszcie, pod koniec „tygodnia polskiego", sam kanclerz Konrad Adenauer wypowiedział się w ramach konferencji prasowej, 12 października, na temat stosunków niemiecko-polskich. Jeśli chodzi o granice na Odrze i Nysie to, zdaniem kanclerza, warunkiem wszczęcia rozmów w tej sprawie są dobrosąsiedzkie stosunki pomiędzy wolnymi i zjednoczonymi Niemcami oraz wolną Polską. Uregulowanie zaś samego problemu musi się odbyć na zasadach humanizmu i prawa do ojczyzny. Tego rodzaju wyjaśnienie nie zadowoliło większości licznie zebranych w Berlinie przedstawicieli prasy niemieckiej i zagranicznej i kanclerz musiał zająć stanowisko w sprawie ewentualnych pertraktacji z obecnym rządem polskim. W tej sprawie Adenauer wykazał bardzo sztywną postawę i trawestując nadreńskie przysłowie, że jeśli się ma do wyboru uregulowanie jakiejś sprawy z panem Schmidtem lub z panem Schmidtchen, to się zwykle wybiera pana Schmidta, a ponieważ Moskwa jako ów Schmidt ma więcej do powiedzenia niż Schmidtchen — obecna Polska — to lepiej jest pertraktować bezpośrednio z Moskwą.

Zakończył się ów „tydzień polski" w zachodnim Berlinie nieprzyjemnym, na tle wspomnianych wyżej wypowiedzi, rewizjonistycznym zgrzytem. Na wiecu urządzonym 13 października w auli Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego przez ewangelickie skrzydło Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) minister spraw wewnętrznych rządu zachodnio-niemieckiego dr Schroeder uważał za stosowne zakończyć swe przemówienie okrzykiem : „Niech żyją Niemcy w granicach od Saarbruecken po Królewiec".

Reasumując obserwacje poczynione w ciągu tygodniowego pobytu parlamentu i rządu zachodnio-niemieckiego w Berlinie i dyskutowanych w tym czasie spraw dotyczących Polski, należy podkreślić dwa momenty : Różnice zdań w sprawie Odry i Nysy i normalizacji stosunków z Warszawą istnieją nie pomiędzy partiami, ale idą poprzez partie i frakcje. W CDU można zaobserwować trójpodział, a mianowicie na zwolenników kompromisowego podejścia, skupiających się wokół osoby prezydenta parlamentu zachodnio-niemieckiego Gerstenmaiera, wyznawców ostrożnej polityki wyczekiwania i koncepcji porozumienia się z „wolną" Polską, którym przewodzi kanclerz Adenauer, oraz na obóz rewizjonistycznych maksymalistów, na których czoło wysunął się swoimi wypowiedziami w Berlinie minister spraw wewnętrznych Schroeder. Ale i wśród socjalistów istnieją poważne rozbieżności. Podczas gdy Carlo Schmid oraz drugi wybitny polityk SPD Herbert Wehner wykazują gotowość do kompromisów, posłowie frakcji socjalistycznej, rekrutujący się z kół wysiedleńczych, trwają na pozycjach rewizjonistycznych, wysu-

wając na czołowe miejsce postulat realizacji ,,prawa do ojczyzny". Sam przewodniczący partii Erich Ollenhauer zaprezentował się w Berlinie jako mediator pomiędzy obydwoma kierunkami. Jeśli chodzi w końcu o stanowisko FDP to mimo daleko idących wypowiedzi dr. Dehlera nie można brać tego za ostateczne stanowisko. Chodzi tu raczej o taktyczne pociągnięcia prowadzone pod kątem widzenia rozgrywki z kanclerzem Adenauerem.

Drugim ważnym wnioskiem wypływającym z doświadczeń ,,tygodnia polskiego" w polityce zachodnio-niemieckiej, to sprawa reakcji opinii publicznej w Niemczech. Opinia ta, rozhuśtywana w ciągu długich lat powojennych w duchu radykalnego rewizjonizmu antypolskiego, nie jest przygotowana na kompromisowe idee w rodzaju wypowiedzi profesora Carlo Schmida. Panuje pod tym względem niewątpliwie daleko idący paralelizm zjawisk z sytuacją w Polsce, gdzie również długoletnia jednostronna propaganda, wychodząca z wulgaryzującej tezy o ,,dobrych" Niemcach w NRD, i o ,,złych" w NRF, dokonała wielkich spustoszeń w umysłach Polaków.

BERLIŃCZYK

O zaprzepaszczany dorobek kulturalny

Wydany w lipcu br. mickiewiczowski zeszyt ,,Nauki Polskiej'', kwartalnika Polskiej Akademii Nauk, przynosi ,,sylwetki naukowe'' dwóch najwybitniejszych naszych ,,mickiewiczologów'', Kleinera i Pigonia. Autor szkicu o Pigoniu, Julian Krzyżanowski, omawiając studia tego uczonego nad pisarzami przełomu XIX i XX wieku, pisze : ,,Osiągnięciem najwyższym w tej dziedzinie jest niewątpliwie monografia o Orkanie, której rozdziały czytało się w czasopismach, która jednak — wskutek jakiegoś nieporozumienia — dotąd nie ukazała się w całości. Fakt to godzien ubolewania, jest to bowiem pierwsza naukowa monografia o autorze ,,Roztok'', oparta na przebogatym, a najzupełniej nieznanym, archiwalnym materiale biograficznym, z mnóstwem wiadomości o utworach Orkana zaniechanych lub niedrukowanych, ustalająca jego stosunek do otaczającej go rzeczywistości polityczno-społecznej i jego miejsce w nurcie ówczesnej myśli postępowej. Równie precyzyjnie przedstawione tu są koneksje Orkana z bojową przed półwieczem literaturą polską i pozapolską, by wspomnieć tylko to, co Pigoń mówi na temat związku dramaturgii autora ,,Skapanego świata'' z głośnymi podówczas dziełami Maksyma Gorkiego. Nie wiem, powtarzam, jakie okoliczności czy nieporozumienia sprawiły, iż książka o Orkanie nie ukazała się dotąd drukiem, sądzę jednak, że czas najwyższy, by sprawę wyjaśnić i książkę udostępnić czytelnikom i miłośnikom dzieł Orkanowych''.

Tyle prof. Krzyżanowski. Wymowa jego apelu jest jasna. Książka Pigonia ,,Władysław Orkan. Twórca i dzieło'' zapowiedziana została jeszcze w roku 1951 w cennej krakowskiej serii historyczno-literackiej ,,Literatura-Sztuka-Krytyka''. Seria ta w tymże roku 1951 została zawieszona. Nie pojawiły się zapowiedziane w niej wybory przedwojennych studiów Chrzanow-

skiego, Kołaczkowskiego, Konińskiego, Miriama-Przesmyckiego, Windakiewicza, Zawodzińskiego. Nie wyszedł również zapowiedziany tam tom (nowych? starych?) studiów filozoficzno-literackich Henryka Elzenberga „Wartość i człowiek". Nie ujrzał światła dziennego przyobiecany nam tamże zbiór czterech rozpraw Romana Ingardena „Z filozofii sztuki". Nie doczekaliśmy się dotąd innej z zapowiedzi serii, książki Przemysława Mączewskiego „Stanisław Wyspiański". Wraz z nimi wszystkimi od lat pięciu czeka na druk „Orkan" Pigonia.

Jest rzeczą pocieszającą, że w roku 1956 można było publicznie w periodyku Polskiej Akademii Nauk apelować od decyzji cenzury, powziętej w latach surowych stalinowskich mrozów, jakkolwiek nie bez uczucia zażenowania czyta się, iż w apelacji tej trzeba było powołać się jako na argument, uzasadniający prawo książki do druku, na fakt, iż ustala ona związki dramaturgii Orkana z twórczością kanonizowanego na sowieckim Parnasie Gorkiego. Miejmy nadzieję, iż apel Krzyżanowskiego odniesie skutek i że książka Pigonia — ogłoszone przed laty rozdziały kazały się po niej dużo spodziewać — nareszcie zostanie udostępniona czytelnikom.

Ale książka Pigonia jest tylko jedną z licznych ofiar tej obskuranckiej i bigockiej praktyki cenzuralnej. Trudno jeszcze mieć dzisiaj pełny obraz zasięgu szkód kulturalnych, za jakie ta polityka jest odpowiedzialna. Prasa krajowa ostatnich miesięcy poruszała te sprawy na ogół dorywczo, i to głównie na tym odcinku, który ją najbezpośredniej obchodził. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że był to zasięg bardzo poważny. Wie się o tym nie tylko z wieści, które do nas, na emigrację, przedostały się z listów czy rozmów z ludźmi z kraju. Sporo można tu ustalić w sposób najoczywiściej, publicznie sprawdzalny. Przede wszystkim dokumentem tych praktyk cenzuralnych są wydawnictwa, których druk zaczęto w pierwszych latach powojennych, kiedy warunki wydawnicze były jeszcze względnie swobodniejsze, a których wydawanie następnie, gdy przyszło przykręcanie śruby, zostało przerwane. Poza tym sporo tytułów dzieł pozostawionych w rękopisach wyczytać można z nekrologów i wspomnień pośmiertnych o uczonych i pisarzach zmarłych w latach wojny i wkrótce po wojnie.

Jeśli idzie o wydawnictwa nie doprowadzone do końca, to szczególnie dotkliwą stratą było zawieszenie „Polskiego Słownika Biograficznego". Kiedy w roku 1935 Polska Akademia Umiejętności przystąpiła po wieloletnich przygotowaniach do druku „Słownika", wydawnictwo to było odrabianiem jednej z najdotkliwszych zaległości nauki polskiej. Znaczenie takiego „Słownika" tak dla ugruntowania kultury historycznej w społeczeństwie, jak również i jako jednego z podstawowych narzędzi badawczych historyka, jest zbyt oczywiste, aby trzeba się było tu nad nim rozwodzić. Dzięki energii i talentowi organizacyjnemu redaktora wydawnictwa, Konopczyńskiego, „Słownik"

wychodził ze wzorową punktualnością: co roku pięć zeszytów, składających się na jeden tom. W ten sposób do wybuchu wojny wydano cztery tomy i pierwsze trzy zeszyty tomu piątego. Wkrótce po wojnie, w roku 1946, udało się Akademii podjąć pracę nad „Słownikiem" na nowo i wydać pozostałe zeszyty tomu piątego. Druk tomu szóstego przeciągnął się już jednak przez dwa lata. Wina to była nie redakcji, która pracowała równie sprawnie jak przed wojną, ale cenzury, przetrzymującej miesiącami poszczególne zeszyty. Tomu siódmego ukazały się w roku 1948 trzy zeszyty, a w roku 1949 wyszedł jeszcze zeszyt czwarty (doprowadzony do nazwiska: Gemma). Był to już ostatni zeszyt wydawnictwa. Ingerencja cenzury była tu szczególnie złośliwa czy bezmyślna. Nie zezwolono na druk gotowego już zeszytu piątego, który by pozwolił zamknąć tom.

Na inny sposób wymowne są dzieje „Wspomnień" zmarłego w roku 1941 znakomitego socjologa i działacza kulturalnego, Ludwika Krzywickiego. Ich tom pierwszy wyszedł w roku 1947 w opracowaniu Stanisława Stempowskiego. Zapowiedziane dalsze tomy już się nie ukazały. Zamiast nich pojawił się w „Myśli Współczesnej" werdykt Adama Schaffa: Krzywicki, którego nb. jako marksistę wysoko oceniał jeszcze przed wojną w specjalnym studium Oskar Lange, nie zrozumiał poprawnie Marxa, są u niego niebezpieczne odchylenia i współcześni polscy marksiści nie mają się czego uczyć od niego. Można się domyśleć, iż nie dopuszczenie przez cenzurę do wydania dalszego ciągu „Wspomnień" było też, przynajmniej w pewnej mierze, represją za ustęp pierwszego tomu, w którym autor, pisząc o mieście swego dzieciństwa, Płocku i wybiegając daleko w przyszłość, z dumą opowiadał o tym, jak to w roku 1920 ludność Płocka spontanicznie brała udział w walkach z bolszewikami. W tekście drukowanym tego ustępu ani razu nie pojawia się słowo „bolszewik" czy „Rosjanin". Tam gdzie moglibyśmy się go spodziewać, spotykamy się z ogólnikowym „nieprzyjacielem". Wolno przypuszczać, iż dzięki takiemu podstępowi redaktor „Wspomnień", sam dobrze otrzaskany z lat swej działalności publicystycznej z praktykami carskiej cenzury, ocalił ustęp przed cenzurą, no i zaostrzył jeszcze jego swoistą wymowę polityczną. Redaktor ten umarł w roku 1952, a w rok później ukazały się jego własne „Pamiętniki". I tu również nie dostaliśmy pełnego tekstu. Ogłoszony tom „Pamiętników" jego urywa się na roku 1914. W ostatnich miesiącach zapowiedziano wydanie pełnego tekstu „Wspomnień' Krzywickiego. Miejmy nadzieję, że i na dalszy ciąg „Pamiętników" Stempowskiego nie przyjdzie nam długo czekać.

Inny przykład, to losy „Królowej Bony" Władysława Pociechy. Wielka ta, czterotomowa biografia, dzieło życia historyka, przynosi dużo więcej niż życiorys Bony, bo — jak już zapowiada podtytuł: „czasy i ludzie odrodzenia" — doskonale udokumentowane przedstawienie tła historii politycznej i kultu-

ralnej Polski pierwszej połowy XVI wieku. Wydanie tego dzieła utknęło w roku 1949 w połowie. Chodzą pogłoski, iż wmieszała się tu cenzura partyjna, argumentując, iż książka jest skażona kosmopolityzmem bo traktuje o królowej z pochodzenia Włoszce, i służy interesom imperializmu, bo pisze o wpływach włoskich na kulturę polską. Bardzo możliwe, że jest to tylko złośliwa anegdota, faktem jednak pozostanie, iż dwa ostatnie tomy „Królowej Bony" dotąd drukiem się nie ukazały.

A oto kilka na chybił trafił wybranych głównie z wspomnień pośmiertnych wiadomości o rękopisach dzieł zmarłych autorów, które nie doczekały się druku.

Na pierwszym miejscu trzeba tu wymienić, ze względu na imponująco obfitą spuściznę pośmiertną, redaktora „Polskiego Słownika Biograficznego", Władysława Konopczyńskiego. W latach wojennych napisał on siedem książek. Dwie z nich zostały wydane wkrótce po wojnie. Zanosiło się też na wydanie i trzeciej, „Historyki", zgilotynowanej przez cenzurę, kiedy tekst jej był już złożony. Czeka ona druku, tak jak i książki o konfederacjach w dziejach Polski, o pierwszym rozbiorze, o Piłsudskim oraz zbiór drobniejszych studiów historycznych z XVIII wieku. Wiadomo też, że w ostatnich latach przed śmiercią Konopczyński pisał książkę o polskiej literaturze politycznej XVIII wieku.

Najwybitniejszy uczeń Konopczyńskiego, zmarły w roku 1946 Józef Feldman zostawił po sobie tom szkiców historycznych z XIX wieku. Jeden z nich, ogłoszony swego czasu w „Twórczości", imponował szerokością horyzontów i oryginalnością ujęcia. Mimo to — a może właśnie dlatego — tom zalega dotychczas w rękopisie.

Wiadomo, że zmarły w roku 1939 profesor Uniwersytetu Poznańskiego, Bronisław Dembiński, pozostawił po sobie „Polskę między pierwszym a drugim rozbiorem", „wielkie dzieło... które jest pośmiertnym plonem jego życia, jak pisał we wspomnieniu pośmiertnym Adam Skałkowski.

Po zmarłym również w r. 1939 Stanisławie Estreicherze pozostał pamiętnik, który, jak czytamy w szkicu o Estreicherze Henryka Barycza, „kiedyś stanowić będzie ważne i interesujące źródło do dziejów życia umysłowego i społecznego Krakowa na przełomie dwóch stuleci". Kiedyś — ale kiedy? Wiadomo też, że pozostał po tym uczonym, niewykończony niestety, zarys literatury politycznej XVI wieku, który mógłby nareszcie zluzować mocno już przestarzałą książkę Tarnowskiego.

Wiadomo też, że Tadeusz Zieliński na krótko przed wojną ukończył dwa ostatnie tomy swoich „Religij świata starożytnego", poświęcone Rzymowi okresu cezarów i chrześcijaństwu antycznemu. „Istnieje zatem nadzieja, że może przecież niezadługo — pisał z górą dziesięć lat temu Ludwik Piotrowicz — i ta ostatnia już praca znakomitego badacza ukaże się drukiem".

Zmarły w roku 1943 jeden z najoryginalniejszych historyków literatury polskiej Stanisław Windakiewicz pozostawił po sobie

rzy dzieła. Rękopis najcenniejszego z nich, dwutomowych dzie-
ów teatru polskiego, podsumowujących rezultaty badań długie-
o żywota, niestety spłonął. Ale pozostały i czekają na druk
ękopisy dwóch innych książek, książki o Słowackim oraz dzieła
t. „Wpływ literatur romańskich na literaturę polską".

Śmierć zastała Wacława Borowego w roku 1950 nad wy-
ańczaniem dużej książki o poezji Mickiewicza. Ciężar gatunko-
y nazwiska Borowego, świetne zalety jego pióra, wreszcie kil-
a początkowych rozdziałów, ogłaszanych, przeważnie jeszcze za
ycia autora, po periodykach, wszystko to zapowiadało, iż książ-
a będzie dużej miary wydarzeniem w polskim życiu kultural-
ym. Nie znalazło się na nią miejsce w planie wydawniczym Ro-
u Mickiewiczowskiego. Chodzą jednak pogłoski, że nareszcie
eraz książkę będzie można ogłosić. Oby okazały się one praw-
ziwe.

Jeden z najzdolniejszych historyków polskich młodszego po-
olenia, zamordowany w Dachau w roku 1942 ks. Stanisław
ednarski, autor świetnej książki o upadku i odrodzeniu szkol-
ictwa jezuickiego w XVIII wieku, na krótko przed wojną opra-
ował książkę o Stanisławie Warszewickim. Była ona w druku
chwilą wybuchu wojny. Jej pierwszy rozdział ukazał się po-
miertnie w roku 1949 w zbiorowych „Studiach z dziejów kul-
ury". Jest on świetnie opracowany, doskonale napisany i nie
na wątpliwości, że książka ks. Bednarskiego to jedno z naj-
enniejszych studiów monograficznych z dziejów kultury polskiej
XVI wieku.

Po zmarłym w roku 1939 kustoszu Ossolineum Ludwiku
Bernackim, pozostały zbierane przez dziesięciolecia materiały do
ycia i twórczości Krasickiego. „Właściwie obszerne dzieło —
isał o nich Stanisław Łempicki — owoc przetrząśnięcia zbiorów
ublicznych i rodzinnych, dzieło przygotowywane z pasją miłoś-
ika, opatrzone w szereg rozpraw i rozprawek — pozostało w po-
miertnych papierach Zmarłego".

Zmarły w roku 1943 Karol Ludwik Koniński pozostawił po
obie „bardzo jedyny dokument myśli polskiej" — żeby posłu-
yć się sformułowaniem Kazimierza Wyki — dwa tomy pamięt-
ików i rozważań, „Ex labyrintho" i „Nox atra", „pamiętnik
eligijny — cytuję w dalszym ciągu Wykę — całkowicie pozba-
iony precedensu w naszej literaturze, a przez niemniejszą war-
ość rzadszych znacznie uwag na inne tematy, pamiętnik myślo-
y w ogóle też bez precedensu".

Pozycja szczególnego znaczenia, to listy Wyspiańskiego.
Trzytomowe ich wydanie w opracowaniu Leona Płoszewskiego
ddano do druku na kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Mó-
iono wówczas, że listy te to nie tylko pierwszorzędnej wagi
okument biograficzny, ale że mają one także nie byle jaką war-
ość literacką. Że pokazują Wyspiańskiego w zupełnie nowym
wietle. Wkrótce po wojnie „Odrodzenie" przyniosło wiadomość
e szczęśliwie zachował się egzemplarz korektowy wszystkich

trzech tomów i że dzięki niemu będzie można przystąpić do w
dania listów na nowo. I na tej zapowiedzi się skończyło. J
cała Młoda Polska, Wyspiański był do niedawna w niełasc
W ostatnich latach jednak wydano ,,Wesele'' oraz — chudy
wybór dramatów, pojawiło się też i kilka studiów o ,,Weselu
Ale na wydanie listów ciągle jeszcze czekamy na daremnie.

Oto kilka tylko wybranych przykładów. Listę ich można
bez trudu powiększyć. Nie mówię już o leżących w szuflada
i czekających na daremnie na imprimatur cenzury dziełach żyj
cych polskich filozofów, historyków, badaczy literatury, etno
gów. Z pierwszych powojennych roczników ,,Sprawozdań'' P
skiej Akademii Umiejętności, Warszawskiego i Poznańskie
Towarzystw Naukowych można by cytować i cytować tytu
przedstawionych tam prac, które nigdy nie doczekały się dru
w pełnym tekście. Przecież od jakichś z górą sześciu lat nie uk
zało się w Polsce ani jedno oryginalne niemarksistowskie studiu
filozoficzne.

Jasną jest też rzeczą, że tylko wyjątkowo które z wylicz
nych tu dzieł może mieć jakieś ostrzejsze akcenty polityczn
Pierworodny grzech przygniatającej większości spośród nich
po prostu to, iż nie mieszczą się one w pewnych ciasnych sch
matach, których użyteczność i celowość za pierwszymi podm
chami odwilży zaczęli stawiać pod znakiem zapytania naw
i gorliwi marksiści, jak się o tym dowiedzieć można choć
z gorzkiego a bardzo wymownego rachunku sumienia Witol
Kuli, ogłoszonego świeżo w ,,Kwartalniku Historycznym''.

Wydanie drukiem wszystkich tych dzieł to nie tylko a
pietyzmu wobec ludzi, wśród których są luminarze kultury p
skiej. Jest to przede wszystkim elementarny obowiązek kult
ralny. Idzie tu przecież o wciągnięcie w obieg kulturalny, ud
stępnienie ogółowi czytelniczemu bardzo poważnego dorob
naukowego i literackiego. I to jest najważniejszy aspekt spraw

Ale sprawa ta ma także i swój aspekt polityczny, wymow
zwłaszcza dla nas, pisarzy emigracyjnych. Niemal że każdy z n
spotkał się w ostatnich miesiącach z ofertami : wydawajcie sw
rzeczy w kraju. W dyskusjach, jakie się rozwinęły wokół ty
ofert w prasie emigracyjnej, nacisk położono przede wszystk
na drażliwą sprawę honorariów autorskich. Ponieważ w rez
tacie upaństwowienia ruchu wydawniczego wydawcą jest t
sam reżym, którego pisarz-emigrant polityczny ex definitione
uznaje, sprawa jest niewątpliwie nie bagatelna. Ale nie to j
tu najważniejsze.

Najważniejsze jest tu co innego : znalezienie odpowiedzi
pytanie, ile we wszystkich tych apelach jest tu rzetelnej polit
liberalizacji, szczerej chęci obalenia barier między pisarzami p
skimi bez względu na ich przekonania polityczne i miejsce pr
bywania, a ile chytrej gry na jakże naturalnej chęci pisarza
tarcia do mas czytelników polskich, w celu siania zamętu i m
ralnego rozładowania literatury emigracyjnej. Bez fałszyw

kromności można powiedzieć, że wkład kulturalny wszystkich ych rękopisów, zamrożonych w kraju, jest niemniej cenny od ego, który możemy przynieść my, emigranci, nie mówiąc już tym, że ostatecznie nasz dorobek pisarski jest utrwalony w druu i dostępny, prawda, w dużo skromniejszych nakładach. Toteż ydanie tych czekających w kraju na druk rękopisów miałoby voją wymowę polityczną, byłoby ważnym probierzem szczerości sprawdzianem zasięgu polityki liberalizacji. Dysponując bogato ozbudowanym aparatem wydawniczo-drukarskim, można tę stalinowską" zbrodnię wobec kultury polskiej odrobić względie szybko.

Wiktor WEINTRAUB

Zmiany w polszczyźnie krajowej (dok.)

III — WPŁYW JĘZYKA ROSYJSKIEGO

> „czyż w opisie atmosfery fałszywego, bezkrytycznego kultu rosyjskiej kultury nie dostarczyli mu argumentów mali lizusi. Oto wiceprezes instytucji powołanej do popularyzowania wiedzy w czasie konferencji, na której ktoś zwraca mu uwagę na zachwaszczenie języka polskiego u naszych prelegentów, nazywa to wystąpienie „nacjonalizmem"" (P. 4.5).

Wpływ języka rosyjskiego w pewnym stopniu musiał się rozpocząć — nie na całym zresztą terytorium Polski — już w dobie rozbiorów. Oczywiście obecnie musimy się liczyć z nową falą tego wpływu — wszak Polska jest państwem, którego urzędowa ideologia wiedzie się z Moskwy i którego ustrój przyszedł i ostał się dzięki Moskwie.

W „Po prostu" znajduję zdanie : „spytał szeptem *partorga* Zbyszka" (11.1). *Partorg*, 'organizator partyjny', jest skrótem

żywcem wziętym z języka rosyjskiej partii komunistycznej -gdyby na wzór skrótowców rosyjskich powstał w polszczyźni brzmiałby ,,*orgpart*'' (po rosyjsku porządek członów jest o wrotny). Rosyjską gwarą partyjną (?) trąci nieprzyjemne wyraż nie *po linii:* ,,mogłam współpracować z mężem *po linii* naukowej (P. 7.3), ,,*Po linii* związkowej nie dajecie, to jak dajecie, do ch lery jasnej?'' (T. 479 — znaczy: 'na zasadzie przynależności związków zawodowych'). Z rosyjskiego żargonu marksistow skiego wzięty jest pozornie polski przymiotnik *bytowy* (por. n *bytóvyje usłóvija,* 'warunki bytu') — to, że występuje już u Je (por. str. 30, Witold Doroszewski, *Język Teodora Tomasza Jeż* Warszawa, 1949), bynajmniej nie podważa twierdzenia o mar sistowskim pochodzeniu dzisiejszego *bytowego* — między Jeże a epoką dzisiejszą nie ma tu ciągłości:

,,zupełny brak zainteresowania u męża potrzebami *bytow mi*'' (P. 7.3), ,,o ... (St. W.) poprawę warunków *bytowych* st dentów'' (P. 13.1), ,,Sprawy *bytowe* studentów najżywiej chyl spośród wszystkich interesowały tow. Bieruta'' (P. 13.2), itd itd.

Na tle rozplenienia się tego rusycyzmu jakże miła jest trad cyjna *troska o byt* (P. 4.3)!

'Usunąć, zwolnić z urzędu' to po rosyjsku *snjat'*(=*zdjąć* *snimàt'*(= *zdejmować*) *s dółżnosti*. Na wzór biurokracji sowie kiej używają w tym znaczeniu *zdjąć* i Polacy w kraju, por.:

,,funkcjonariusz odpowiedzialny za nie (za kicze — St. W został w końcu *zdjęty* ze stanowiska (P. 1.1), ,,Uchwała: w brać wszystkich siedmiu, każdego kto nie wywiąże się ze swyc zadań — natychmiast *zdejmować*'' (P. 9.5).

Bodaj rusycyzmem jest *zdjąć* i w takim użyciu:

,,otrzymają dziesięć lat więzienia, amnestia *zdejmie* im cztery lata, resztę kary za dobre sprawowanie władze ogranicz im do połowy'' (P. 9.7).

Przeciw temu rusycyzmowi słusznie występuje W. Doro szewski (*Poradnik Językowy,* 1953, zesz. 4, str. 36-7), ale — rzecz boleśnie charakteryzująca atmosferę, w której pracuje czo łowy polski językoznawca w stolicy Polski — powstrzymuje s od ujawnienia, że chodzi tu o rusycyzm.

Dawno przebrzmiał już wydany w latach 1819-1820 poema Staszica pt. ,,Ród ludzki'', więc dzisiejszy *ród ludzki,* mim polskich pozorów i staszicowskiej tradycji, jest rusycyzmem ,,Ale nie tylko pochodzenie *rodu ludzkiego* interesuje uczonych (P. 6.1) — normalnym polskim wyrażeniem jest *rodzaj ludzk*

Po tych przykładach wziętych wyłącznie z ,,Po prostu'' da jeszcze szereg rusycyzmów ze ,,Złego'' Tyrmanda:

barachło, 'grat, rupieć' (wyraz rosyjski ma znaczenie zbio rowe): ,,pojąć nie może, jak taki wspaniały mężczyzna do strzega w ogóle takie blade *barachło* jak Marta, skoro tyle jes modelowych kobiet wokoło i w pobliżu'' (T. 434);

bardak, 'burdel, bałagan': ,,Koniki (= nielegalni sprzedawcy biletów) będą mogli lepiej pracować *w* takim *bardaku*, rozumiesz?" (T. 586);

bidon, 'bańka, blaszanka': ,,niezliczone kanistry i bańki na benzynę wszelakiego kształtu i pochodzenia, od trójkątnych blaszanek *po* wojskowe, zamczyste *bidony*" (T. 346) (9); może jednak bezpośrednio z francuskiego?

szczot, 'rachunek': ,,Rada Zakładowa na mnie naskoczyła, że rozłamuję harmonogramy dla pojedynczych zamówień, że robię *na* prywatny *szczot*" (T. 163);

szpała, 'podkład na torze kolejowym': ,,piramidy żwiru lub stosy *szpał* i progów torowych" (T. 610);

śniegurka, 'gatunek łyżwy' (po rosyjsku *Sniegurka* to Królewna Śnieżka): ,,*Na* turfach, *śniegórkach*, halifaxach, panczenach" (T. 24);

zajawa, 'notatka prasowa' (z rosyjskiego *zajàvka* bodaj rodzimie zgrubione): ,,I ten oto Jakub Wirus dowiaduje się o tym *z* maleńkiej *zajawy* na piątej kolumnie ŻYCIA" (T. 32), ,,Dorzuć jeszcze tę *zajawę* o twoim kiermaszu i daj do składania" (T. 300);

żulia, 'złodziejska ,,granda"': ,,Natomiast nie wolno nam nawet w najmniejszym stopniu okazać cienia pobłażliwości dla drugiej strony, dla świata chuliganerii, *dla* warszawskiej *żulii* i szumowin" (T. 300), ,,Tam wszędzie, gdzie kotłuje się najgorsza, warszawska *żulia*, zatruwająca życie w tym mieście" (T. 368, por. także 575).

Rzadko i wyjątkowo wpływ rosyjski można i należy uznać za zjawisko dodatnie. Polszczyzna od dawna ma rzeczowniki złożone z rodzimym *samo-* (np. *samobójca, samochwał*). Sądząc z danych ,,Słownika Warszawskiego" (i braku danych u Lindego), analogiczne złożenia z greckim *auto-* (np. *autoanaliza*), ograniczonym *nota bene* do słów pochodzenia greckiego (i w ogóle obcego), pochodzą dopiero z XIX wieku. Owóż pożądane byłoby w polszczyźnie możliwie jak najszersze rozpowszechnienie się złożeń z rodzimym *samo-* kosztem, oczywiście, złożeń z greckim *auto-*. Sprzyja temu stan rzeczy w rosyjskim, gdzie, jakkolwiek *avto-* istnieje, znacznie przeważa rodzime *samo-*. Miło należy witać dwa twory, które występują u Tyrmanda, oba nieznane ,,Słownikowi Warszawskiemu" (tom z roku 1915):

samoironia: ,,I znów kąśliwy języczek *samoironii* liznął go po nerwach" (T. 460);

samokontrola: ,,Resztką *samokontroli* Merynos opanował głos i powiedział" (T. 604).

---

(9) Tu, w kolejności alfabetycznej, należałoby wymienić wyrażenie *być kwit* (zamiast *być kwita*), które, mimo iż Linde zna je już z Fabiana Birkowskiego, jest dziś chyba rusycyzmem (,,Zresztą ... *jesteśmy* teraz *kwit*", T. 302 i in.).

Twory te powstały w szerokiej fali napływu ze wschodu komunistycznej praktyki samokrytyki i tegoż słowa, które istnieje w rosyjskim. W przejrzanych numerach ,,Po prostu'' notuję pięć wypadków użycia słowa, por. np. : ,,Programowa *samokrytyka* prof. Petrusewicza i Michajłowa'' (P. 4.1). Mając do czynienia z tą falą, można nie brać pod uwagę faktu, że *samokrytykę* zna już Prus w ,,Lalce'' (por. str. 30, t. II wydania PIW z r. 1953: ,,Tu Wokulski dosięgnął najwyższego punktu *samokrytyki''*) — nie stamtąd podjęli słowo nasi komuniści. Ale oczywiście twory z *auto-* nie giną bez śladu i nigdy prawdopodobnie nie zginą, por.: ,,Gdy znalazłem się znów przed kierownikiem świetlicy, powiedziałem *z autoironią''* (P. 4.8).

IV — ZMIANY W UŻYCIU PRZYIMKÓW

a) *Miejscownikowe* na *przestrzenne*

Rozszerzanie się przestrzennego użycia przyimka *na* z miejscownikiem (i z biernikiem w wypadku wskazania kierunku) szczegółowo rozważyła H. Orzechowska-Zielicz w doskonale opracowanym artykule pt. ,,Szerzenie się typu *na zakładzie''* (*Język Polski,* 1951, str. 131-140, 173-6). Przyjmijmy z dobrą wiarą dwukrotnie powtórzone twierdzenie autorki (str. 135, 138), że samo *na zakładzie* do czasu napisania artykułu nie występowało jeszcze zupełnie w druku, aby zanotować zmianę w ostatnim pięcioleciu : (mówi delegat robotniczy) ,,U nas, *na zakładzie,* robi blisko trzy tysiące chłopa i każdy chce iść na mecz'' (T. 478). Ale *w zakładzie, w zakładach* jeszcze trwa : ,,Przyboś pisze o powszechnej organizacji bodźców plastycznych : w domu, *w zakładzie* pracy, na ulicy, w sprzętach używanych na codzień'' (P. 4.3), ,,*w zakładach* zamkniętych'' (P. 12.7 — chodzi o zakłady lecznicze). Trwanie tradycyjnego typu można stwierdzić również w wypadku nazw zakładów pracy na *-owni-a,* których występowanie z *na* stwierdza autorka na str. 134 : ,,Robotnicy zatrudnieni *w* laboratoriach i *montażowniach* dostają mleko'' (P. 6.7). Również i w nazwach innego typu : ,,Zaczęłam od najcięższej pracy fizycznej *w Domu* Matki i Dziecka, *w szpitalach''* (P. 7.3), ,,*w przedsiębiorstwach* i *urzędach* wiele stanowisk jest obsadzonych'' (P. 9.6). W swój artykuł nie wciągnęła autorka rzeczownika *komisariat.* Oto pierwszy znany mi przykład użycia tego rzeczownika z *na :* ,,Pamiętasz, opowiadałem wam, jakie baty dostałem kiedyś na Wiejskiej i tę mowę tego lekarza z Pogotowia, *na komisariacie''* (T. 135). Należy jednak stwierdzić, że w powieści Tyrmanda mamy poza tym tylko *w* z miejscownikiem, kilkakrotnie, w dialogu (por. 187) lub od autora (por. 201).

Z. Klemensiewicz pisał o szerzeniu się *na* tak : ,,Nasuwa się pytanie, czy szerzące się wyrażenia z przyimkiem *na* zamiast

tradycyjnych z przyimkiem *w*, nie pozostają w związku z przemianami naszego życia, *czy mianowicie nie odbija się w nich inne, bardziej konkretne spojrzenie na miejsce pracy tego właśnie człowieka pracy, który je posiada w swoim praktycznym doświadczeniu w jego całej złożoności, rozległości, przestrzenności''* (podkreślenie moje — *Język Polski*, 1951, str. 92). Sądzę, że ten pogląd trafia w sedno rzeczy, nawet mimo że nie stwierdza oczywistego wpływu języka środowiska robotniczego. Inaczej sprawę ocenia H. Orzechowska-Zielicz, według której ,,użycie zwrotu z *na* przy nazwach miejsc pracy wynika niekoniecznie z poczucia ich strukturalnej złożoności, ani szczegółowej obszerności'' (str. 135). Nie mają bowiem ,,wielkich rozmiarów'' ani portiernia, ani brama, ani szatnia, ani wartownia, gdzie może dziś występować *na*. Owóż pojęcie obszerności jest pojęciem względnym, co pozwala szerzyć się *na* dalej w sposób dość irracjonalny. Ponadto w niektórych wypadkach *na* może być analogiczne (*na wartowni*, bo *na warcie*, podobnie jak *na stołówce*, bo *na* (lub *w*) *sali jadalnej*).

H. Orzechowska-Zielicz kilkakrotnie wspomina, że *na* jeszcze bynajmniej nie wyparło tradycyjnych *w* i *do*. Szkoda, że autorka ogranicza się tu tylko do ogólników (10) — jakże ciekawe przecież byłyby albo listy przykładów ilustrujące *oba* sposoby (a nie tylko użycie *na*), albo ściśle obliczone proporcje *na : w, do*.

b) *Biernikowe* w *czasowe*

Interesujące jest rozszerzenie się użycia czasowego *w* z biernikiem:

,,Ja *w okupację* jeszcze dla AL-u amunicję przez miasto nosiłem'' (T. 671), ,,Niemcy mu język wyrwali *w wojnę''* (T. 221).

Język polski znał dotąd tę składnię w zastosowaniu do innych rzeczowników, por. np.: ,,*w* taką *niepogodę* trudno wyjść na dwór'', ,,*w*(*e*) *żniwa''*. *W okupację* i *w wojnę* występują u Tyrmanda w dialogu, w języku przedstawicieli tzw. ,,warstw niższych''. Są to najprawdopodobniej rozszerzenia z czasu ostatniej okupacji, ostatniej wojny, ale przed przyjęciem tego poglądu należałoby jeszcze zbadać możliwości wpływu rosyjskiego, gdzie podobne użycia są znane.

ZAKOŃCZENIE

Polszczyzna, jak i każdy inny język, zmienia się i zmieniała zawsze. Jest i zawsze była ciągłością zmienną. Przez cały czas swojego historycznie znanego istnienia, to jest już 820 lat

(10) Np. na str. 133 autorka pisze: ,,W (prasie — St. W.) powojennej i w innych formach publicystyki często jest *na fabryce*, ale zawsze obok tradycyjnego zwrotu'', to jest obok *w fabryce*.

(pierwszym historycznym momentem jest data spisania Bulli Gnieźnieńskiej, to jest rok 1136).

Gdy sięgam w mgły swojego lubelskiego dzieciństwa, przypominam sobie, z lat dziesiątych, *bioskop* i *iluzjon*. O ile pamiętam, *kinematograf* panował w latach dwudziestych, a skrótowiec *kino* w latach dopiero trzydziestych. Po roku 1926 ustaliła się *w zbiorowym znaczeniu sanacja*, która uprzednio była tylko rzadkim abstraktem, no i nieco ironiczny *sanator*. Wojna przyniosła *A.K. i akowca*. Itd., itd. Oto kilka tylko zmian słownikowych, które dał okres poprzedzający „powojnie".

Z samych już niejako lat wynikało, że po wojnie *muszą się dokonywać zmiany* w polszczyźnie. Biała Rosjanka-emigrantka otrzymuje list od przyjaciółki z Moskwy. I mówi (mając na myśli rok 1917): „Wtedy miała łat dwadzieścia. Śliczna, miła, przystojna. A teraz jej c z t e r d z i e ś c i lat. *Boże, co oni z tymi ludźmi zrobili*" — sala międzywojennego kabaretu nieodmiennie wybuchała rozgłośnym rykiem śmiechu.

Zreasumuję pokrótce przyczyny opisanych zmian językowych. Zmiana może być samorzutna, wiążąca się z zasadniczą wewnętrzną niestatycznością-zmiennością języka, por. powstanie rzeczownika *mżawa*. Takie zmiany dokonywały się w dziejach polszczyzny ciągle. Są niejako funkcją samego czasu, samej potrzeby ponowy.

Zmiana może być pochodzenia politycznego. Powstanie komunistycznego Z(wiązku) M(łodzieży) P(olskiej) przyniosło nazwanie *zetempowiec* (i *zetempówka*). Monopolizacja inicjatywy w ręku partii komunistycznej i rządu przyniosła przymiotnik *odgórny* (i, blady księżyc słońca, przymiotnik *oddolny* jako przeciwstawienie). Polityczne jest nazwanie szkoły: *podstawowa*. Zakłamanie propagandowe doprowadziło do powstania *drętwej mowy*, którą tzw. lud (zwrot pochodzi ze slangu ludowego) ustalił swój stosunek do gadaniny propagandowej.

Zmiana może być pochodzenia gospodarczego. Nowe znaczenie *budowy* i np. słowa *biurowiec, wieżowiec* łączą się z odbudową zniszczonej w roku 1944 Warszawy. Rozszerzenie zakresu użycia przymiotnika *kawowy* spowodowane zostało pewną drobną zmianą gospodarczą — stworzeniem barów *kawowych* w miastach polskich. Terminy *ręczniak* i *ciuchara* wiążą się z rozrostem „pokątnego" handlu prywatnego.

Zmiana może być pochodzenia społecznego. Gangsteryzacja części młodzieży jest tłem, na którym doszło do powstania *rozróby-rozróbki, rozrabiacza-rozrabiaka,* wreszcie i *wdechowca*. Przemiany społeczne innej już natury, to jest przede wszystkim przyśpieszona i w swoisty sposób wykonywana demokratyzacja inteligencji, wprowadziły w obieg literacki np. takie użycia przyimków jak *na zakładzie* oraz wzmocniły żywotność tworów na *-ak*. Norma językowa, oparta na przedwojennej inteligencji, uległa pewnemu zachwianiu na rzecz normy, opartej na narasta-

jącej inteligencji powojennej o nieco innym już składzie społecznym. I między wojnami było już sporo inteligencji pochodzenia robotniczo-włościańskiego, co się dziś w Polsce chętnie pomija milczeniem. Dziś jednak jest, jak się zdaje, dość zasadniczo inaczej.

Gdyby po wojnie doszło było w Polsce do systemu rządów demokratyczno-parlamentarnych, każda z tych zmian wszystkich czterech typów, inaczej oczywiście, również by się zarysowała (nb. i te rządy odbudowywałyby zniszczoną już w toku wojny Warszawę).

Trudno jest jakoś obliczyć proporcję zmian, trzeba więc tylko poprzestać na ogólniku : zmiany w stosunku do polszczyzny międzywojennej są minimalne (11).

W związku ze zmianami społecznymi, z których trybem i marksistowską podstawą ideową nie solidaryzuje się na emigracji nikt, mówi się często o *schamieniu* polszczyzny powojennej. Nie jestem zwolennikiem tego określenia. Termin *cham* ma za sobą przeszło czterechsetletnią tradycję użycia w tarciach społecznych. Dość już długie — i dość szerokie — własne doświadczenie życiowe stwierdza, że *wyabstrahowany* z tarć społecznych i wartościowań termin *chamstwo* mógłby być z równym usprawiedliwieniem stosowany wobec przedstawicieli wszystkich możliwych klas wszystkich możliwych narodów na całym świecie, a tymczasem częsty *usus* polski po dziś dzień na ogół nie wprowadził tej poprawki. Dlatego wolę *wulgaryzację*, której dawna baza łacińska jest już bezpiecznie przedawniona, a która dostatecznie jasno oddaje intencję *chamstwa, schamienia* w jego społecznie już wyczyszczonym użyciu. Owóż sądziłbym, że z wulgaryzacją powojennej polszczyzny krajowej w ramach poruszanych w niniejszym szkicu zjawisk i faktów można i należy się liczyć. Wulgaryzacją jest zbyteczny nalot slangowy, który zresztą i w potocznym międzywojennym języku inteligenckim dokonywał się np. jako rezultat lektury warszawskiego Wiecha. Jakieś tanie lekceważenie tkwi w niektórych tworach na *-ak* (między wojnami sam wolałem dostojniejszego *warszawianina* niż *warszawiaka*, ale przecież w swoich studenckich warszawskich latach należałem do Koła *Lubliniaków*), jakiś, niestety, nieprzyjemny *esprit varsovien*, który w podaniu wszystkich klas warszawskich od dawna już stanowił o niezbyt dobrej opinii Warszawki wszędzie chyba w całej Polsce (12). Nie jest właściwy *wstępniak*-artykuł wstęp-

(11) Czy powstały już nowe typy słowotwórcze? Nie. Ale twór *wdechowiec* powstał od wyrażenia *w dechę* — otóż w ramach typu *-owi-ec/ow-c-* takiego „podtypu" dotąd nie było i jeżeli jeszcze wytworzy się np. „*wkichowiec*" (por. wyrażenie *w kichę*), będziemy mogli mówić o nowym „podtypie".

(12) Określenie *esprit varsovien* jest niesprawiedliwie nieścisłe, gdyż szersze rozpowszechnienie tworów na *-ak* jest faktem północno-polskim, nie tylko warszawskim.

ny (13), już od biedy właściwszy był *wstępniak*, uczeń dawnej klasy wstępnej, bo młokos. Ale i tu nie trzeba przesadzać, wszak gdzieś w średniowieczu i cała nacja nasza z dostojnych *Polan* stała się mniej dostojnymi *Polakami*. Precepta *cum grano salis* jest złotą preceptą. Twory na *-ak* nie są jedyną domeną wulgaryzacji w słowotwórstwie — to samo *może* dotyczyć, acz inaczej, i tworów typu *ciuchara* czy *macha*. W ich wypadku moglibyśmy liczyć się z wulgaryzacją naprawdę chyba tylko wtedy, gdyby powstawać te twory zaczęły szeroką falą, niszcząc twory na *-k-* (a tak przecież nie jest).

W szkicu poruszyłem tylko sprawę wpływu języka rosyjskiego. Chciałbym podkreślić, że negatywne stanowisko wobec niewolniczości, z jaką niekiedy poddają się Polacy temu wpływowi, jest takie samo w wypadku zbytecznych wpływów wszelkich innych języków obcych. Tak samo więc negatywnie ustosunkować się wypada do *peluzy*-murawy (fr. *pelouse*, por. „*Na* wielkiej *peluzie*, przed szarym gmachem, wznoszącym się na skraju Centralnego Parku, kołysały się cienie jakichś postaci na tle jasnej nocy", T. 675), do *flanować*-wałęsać się (fr. *flâner*, por. „Teraz — oświadczył Halski — przestaniemy *flanować*, gdyż odnalazłem cel", T. 86) (14), do *dresu*-stroju (ang. *dress*, por. „młody człowiek, otulony płaszczem, pod którym widniał zielono-czarny *dres* hokejowy z emblematem warszawskiego AZS", T. 24), do *slipu*-majteczek (ang. *slip*, por. „*w* tanich, płóciennych *slipach*", T. 405), do *blezera*-rodzaju marynarki (ang. *blazer*, por. „prześliczna dziewczyna o ciemnych włosach, w taniej, żorżetowej sukni w kwiaty i *w* męskim *blezerze*", T. 336), jak do *klubzesla*-fotela klubowego (niem. *Klubsessel*, por. „Takie *klubzesle* pamiętam z Ziem Odzyskanych", T. 100), i *kamelhaaru*-palta z wielbłądziego włosia (niem. *Kamelhaar*, por. „*Bonjour* — rzekł pan *w kamelhaarze* łaskawie i z rezerwą", T. 154).

Popyt na słowa pochodzenia obcego ma w Polsce od dawna jeszcze jeden aspekt, nie tylko niesamoistność-niewolniczość. Aspektem tym jest zbytnia, barokowego początku, skłonność do zdobnictwa stylowego przy pomocy słów obcego pochodzenia. Skłonność ta jest zrozumiała na szerszym tle hyperestetyzującej kultury polskiej wywodzącej się od dawnej szlachty i częściowo mieszczan, ale, wydawałoby się, należałoby ją trochę w miarę możliwości przyhamować. Z zadowoleniem witamy rodzime krajowe *współistnienie*, z niechęcią obcą zdobniczą emigracyjną *koegzystencję*.

Ustalanie norm dla języka krajowego jest zadaniem językoznawców krajowych. My, z obczyzny, możemy tylko dawać

(13) W tej ocenie nie ma żadnej stronniczości politycznej — wszak *wstępniak* (p. przykłady) potania w pierwszym rzędzie artykuły wstępne np. „Trybuny Ludu".

(14) Tak samo mam za złe francuską *truję* — *truie* paryskiemu pisarzowi Janowi Brzękowskiemu, por. str. 117 lipcowej „Kultury" z br. Czemu nie *maciora*?

wyraz swoim poglądom, które o tyle mogą być lepiej sformułowane, że korzystamy z całkowitej swobody słowa. Jeżeli chodzi o język literatury emigracyjnej i język inteligencki na emigracji, sprawa jest bardzo złożona i od kraju do kraju diaspory przedstawia się nieco inaczej. Pisząc swoje, nieliczne zresztą, uwagi o języku pisarzy emigracyjnych, stałem, nie wypowiadając tego, na stanowisku konserwatyzmu językowego, utrzymania międzywojennej normy językowej możliwie bez większych zmian i raczej niechętnie witałem przerostowe skłonności nowatorskie-,,*nowotworskie*'' np. Wańkowicza. Ale oczywiście nie należałoby sądzić, że byłbym skłonny namawiać pisarzy do muzealizacji języka, który wywieźli z Polski. W każdym razie jednak, po siedemnastu latach, które, jakże wartko, upłynęły od początku wojny, czy po jedenastu latach od tejże wojny końca stajemy się, my na obczyźnie, hadko słuchać, językowym *ancien régime'm*. Oczywiście *ancien régime'm* znowu *cum grano salis*, bo przecież zmiany w polszczyźnie krajowej są minimalne. Nb. w rzeczywistości o tyle jeszcze ,,minimalniejsze'', że oba wybrane źródła niniejszego szkicu przedstawiają język nieco dalej posunięty w zmianach niż język wielu innych źródeł.

Gdyby w Polsce zaszły zmiany zasadnicze, punktem wyjściowym zmian językowych *dalszych* byłby jednak język *taki jak u* Tyrmanda czy *taki jak w* ,,Po prostu', a nie język *ancien régime'owy* nasz. Są pewne rzeczywistości, nawet nie zawsze przyjemne, z którymi trzeba się liczyć.

West Ferry, Szkocja, 15. VIII. 1956.

Stanisław WESTFAL

O Janie Hemplu, mistrzu Bolesława Bieruta

Zaraz po rehabilitacji Komunistycznej Partii Polski przez Moskwę, ukazało się w prasie warszawskiej szereg artykułów o różnych pomordowanych na rozkaz Stalina polskich komunistach, przebywających ongiś w Rosji i, prawdopodobnie, przeciwstawiających się tyranii dyktatora. Właśnie wtedy jeden z dzienników, już nie pamiętam z jakiej okazji, podał fotografię, na której obok Bolesława Bieruta widniał jakiś starszy pan o szlachetnym wyglądzie. Podpis nie wyjaśniał mi kim był starszy pan, ale wielu ludzi rozpoznało w nim zapomnianego dzisiaj filozofa Jana Hempla. Chociaż jestem od czasu niejakiej liberalizacji stosunków w Polsce dość pilnym czytelnikiem pism krajowych, nie zauważyłem w nich dotychczas żadnej poważniejszej wzmianki o Janie Hemplu. Przez parę miesięcy spodziewałem się, że napisze o nim Władysław Broniewski, żyjący z nim w zażyłości przed drugą wojną światową, ale się nie doczekałem. Może dlatego, że Bierut umarł i może niesporo pisać o jego przyjaciołach. Jan Hempel był nie tylko przyjacielem, ale, i to przede wszystkim, mistrzem późniejszego wielkorządcy Polski. Całą wiedzę i doświadczenie posiadł Bierut od nieznanego dzisiaj Hempla. Mikołajczyk gdzieś w swoich wspomnieniach przytacza, że Hempel umarł w łagrze „na rękach Bieruta". Źródło nie jest pewne, nie mogę brać za nie odpowiedzialności, ale raczej tak było.

Mało ludzi wie, że Jan Hempel, teoretyk komunizmu polskiego, kandydat na polskiego Lenina, w sierpniu 1914 roku wstąpił do Legionów Piłsudskiego, brał udział w walkach I Brygady i wraz z nią wkroczył do Kielc. Już po niewielu jednak

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

ygodniach zdecydował się Legiony opuścić ze względu, jak ni to sam później mówił, na ich charakter „wyraźnie powstańczy i anty-rewolucyjny". W cywilu stał się natychmiast „uciążliwym cudzoziemcem". Austriacka policja aresztowała go w Krakowie i zesłała najpierw do Nowej Paki w Czechach, a następnie do miasteczka Gars am Kamp w Dolnej Austrii, gdzie przebywał na wolności do końca roku 1916. Dla ówczesnych władz austriackich był on przede wszystkim autorem książki, zwalczającej „złego, chrześcijańskiego Boga". Książka ta została w latach 1913-1914 skonfiskowana kolejno przez rządy wszystkich trzech zaborców.

W końcu roku 1914 z powodów, o których dużo można by napisać, znalazłem się również w Gars am Kamp i tam właśnie zetknąłem się po raz pierwszy z Janem Hemplem. Był to w moim ówczesnym pojęciu człowiek stary. Liczył 42 lata. Mieszkał w towarzystwie drugiego eks-legionisty, Tadeusza Głodowskiego, u pewnej Czeszki, której mąż, lekarz, znajdował się gdzieś na froncie w szpitalu polowym.

W okresie pobytu w Gars, Hempel nie należał do żadnej partii. Nie miał też nic wspólnego z Socjal-Demokracją Królestwa Polskiego i Litwy, a przynajmniej nic o tym nie wspominał. Cechował go wówczas nie obowiązujący pacyfizm, antyklerykalizm, nieco pogardliwa pobłażliwość dla PPS, oraz nieprzebrana szlachetność i dobroć. Był on wówczas namiętnym wyznawcą teorii, że nie walka o byt, a współdziałanie dominuje w przyrodzie. Mówił wiele o mrówkach i pszczołach. Z zajęciem obserwował dość zgodne współżycie grupy sześciu mężczyzn, do której należałem również ja i późniejszy major Mieczysław Fularski, mieszkających razem i prowadzących wspólne gospodarstwo. „Oto typowy przykład współdziałania" — powtarzał wielokrotnie. Byłem wówczas pod jego urokiem, tak jak w wiele lat później Bolesław Bierut. Zachwycała mnie jego wiedza, szczerość i zgodność postępowania z głoszoną teorią. Nawet odejście z Legionów, dokonane w tragicznych okolicznościach, było dla mnie potwierdzeniem, że teorie Hempla nie są przeznaczone na wynos, lecz stanowią treść jego życia.

Jan Hempel pochodził z rodziny o tradycjach zachowawczych. Wychowanie i oddziaływanie otoczenia powinno by ukształtować jego światopogląd co najwyżej na modłę dziewiętnastowiecznego liberalizmu. W tym wypadku marksistowski dogmat „byt określa świadomość" — zawiódł. Panicz opuścił swoją klasę, swoje miejsce w układzie społecznym i, dobrowolnie, przerzucił się na drugą stronę barykady. Stało się to na początku XX wieku, a więc gdy Hempel był już dojrzałym mężczyzną. Technikę tego przejścia opowiedział mi sam. Otóż pewnego dnia, nikomu nic nie mówiąc, wsiadł do pociągu w Kielcach „jak stał" i wysiadł w parę tygodni później w Mandżurii. Przez kilka lat pracował przy budowie kolei Wschodnio-Chiń-

skiej, jako robotnik. Między rokiem (mniej więcej) 1909 i 191 przebywał w Brazylii, w Paranie, gdzie pracował jako nauczy ciel w szkołach polskich. Tam zawarł przyjaźń z księdzem Józe fem Anuszem, bratem późniejszego wieloletniego komisarza rzą du m. st. Warszawy. Ów ksiądz Anusz, zapewne pod wpływem Hempla, porzucił stan kapłański, ożenił się, dochował licznego potomstwa i jeszcze do niedawna żył na południu Brazylii. Z tych czasów pozostała Hemplowi rzadka w Polsce znajomość języka portugalskiego i szacunek dla pracy polskich chłopów w pionier skich warunkach tropikalnych. Jeszcze do dzisiaj można spotka w Paranie jego znajomych i uczniów.

Po intermezzo w Gars am Kamp, wielka wojna rzucała mn przez parę lat po różnych frontach legionowych, zagnała wresz cie do niemieckiego obozu w Szczypiornie, potem w Łomż i wreszcie w szeregi tak zwanego Wehrmachtu. Tam zabawiłem krótko. Skorzystałem z pierwszej nadarzającej się okazji i pew nego dnia sierpniowego 1918 roku wszedłem o zmroku w peł nym umundurowaniu i uzbrojeniu do bramy znajomego mi dom przy ulicy Zielnej w Warszawie, i wyszedłem po chwili, jak cywilny młodzieniec w maciejówce na głowie. Jeszcze do dzisia uśmiecham się na myśl, jaką minę musiał zrobić stróż teg domu, ujrzawszy w kącie tak zwanej „ubikacji" karabin i ryn sztunek żołnierski żałośnie i beztrosko porzucony.

Z Warszawy udałem się do Sosnowca, gdzie pomnożyłem szeregi „zielonej kadry", ukrywając się pod fałszywym nazwi skiem Gabriela Lawika. Przybył tam również Jan Hempel i za mieszkał w Grodźcu u mego przyjaciela Apoloniusza Zarychty późniejszego wysokiego urzędnika MSZ. Ale i wówczas Hempe trzymał się z daleka od partyj. To ja raczej byłem od nieg czerwieńszy. Miał po kryjomu parę odczytów i pogadane o wyższości moralności pra-aryjskiej od chrześcijańskiej. Roz mowy z nim o potrzebie dobroci, wyrozumiałości, skupienia we wnętrznego i wspólnej pracy dla dobra ogólno-ludzkiego — roz płomieniały moją wyobraźnię i przykuwały mnie do jego ryc wanu. „Słowo" głoszone przezeń w czasie gdy w Rosji panowa krwawy gwałt, gdy fronty państw centralnych waliły się, gd potężna fala rewolucyjna wzbierała w całej Europie — było nie zwykłe i tą niezwykłością urzekające. Właśnie kończyłem dwa dzieścia jeden lat wobec czego wyplenienie wszelkiego zł w świecie wydawało mi się natychmiastową koniecznością.

Po rozbrojeniu Niemców, już na początku grudnia 1918 ro ku, znalazłem się w Jabłonnie, w formacji wojskowej, z któr później powstał 1 pułk piechoty Legionów.

Z Janem Hemplem spotkałem się znowu w czasie nieuda nego puczu gen. Januszajtisa i księcia Sapiehy na początk stycznia 1919 roku. Mój oddział został wówczas sprowadzon do Warszawy i użyty do rozbrojenia wmieszanej do zamach Straży Obywatelskiej. Nie była to tak straszna kontr-rewolucj

aby wieczorem nie móc pójść odwiedzić znajomych. Udałem się więc na ulicę Mariensztadt do Michałowstwa Pankiewiczów, których znałem z dawna, a jego podówczas uwielbiałem, jako człowieka, który był w Ameryce Południowej i widział las dziewiczy... Nie przypuszczałem wówczas, trzymając na kolanach malutką jego córeczkę, Wisłę, że bawię się z przyszłą panią premierową Osóbka-Morawską... W czasie tej wizyty przybył do Pankiewicza również Jan Hempel. Znali się jeszcze z Brazylii i na temat tego kraju zawsze mieli sobie dużo do powiedzenia.

Pankiewicz, który był od dawna SD-ekiem, rzekł wówczas do mnie z ironią :

— Wiecie, Jan wstąpił do PPS. Będziecie kolegami.

Hempel uśmiechnął się dość kwaśno.

— Trudno — rzekł — chodzić samopas. Trudno i aspołecznie.

Mówił wówczas długo i przekonywująco, że fala rewolucyjna Polski nie sięgnie, gdyż naród musi wyżyć się w wolności politycznej. ,,Tak twierdzi Lenin'' — dodał. Ponieważ ja osobiście też nie czułem w sobie tej fali, więc obaj przyznaliśmy Leninowi rację.

Hempel nie zabawił jednak w PPS długo. Już w roku 1921 usłyszałem o nim po raz pierwszy, jako o komuniście.

W rok po wojnie polsko-rosyjskiej rozpocząłem swoje dalekie i długie podróże. Zwiedziłem Brazylię, Hiszpanię, Afrykę Północną, Argentynę, Paragwaj, Boliwię i szereg innych krajów, podówczas jeszcze o wiele bardziej egzotycznych aniżeli obecnie. Straciłem Jana Hempla z oczu na wiele lat. Przypadkowo dopiero spotkałem go w końcu roku 1926. Odwiedziłem go w jego mieszkaniu przy ulicy Wolskiej. Pełno tam było książek, rękopisów i pewnej kobiety, którą Hempel przedstawił mi jako swą żonę. Pracował nad tłumaczeniem dzieła socjologicznego z języka niemieckiego i nad jakąś własną książką. Opowiedział mi wówczas historię delegacji KPP do Walerego Sławka w czasie zamachu majowego. Delegacja prosiła o broń i obiecywała czynne poparcie Piłsudskiego w walce z kołtuństwem i zacofaństwem. Sławek miał odpowiedzieć : ,,Broń weźmiecie sami'', co delegacja zrozumiała, że partia ma zająć odpowiednie magazyny. Cały jednak udział komunistów rozszedł się po kościach na skutek instrukcji Kominternu. ,,A wy, Janie — zapytałem — mieliście wówczas chęć pomóc piłsudczykom ?'' Hempel popatrzył mi w oczy po dawnemu i odrzekł : ,,Może i nie miałem racji, ale chęć miałem''. Przy innej okazji powiedział mi, że, być może, przyszłość ,,sanacji'' przyjęłaby inny charakter, gdyby komuniści współdziałali w rozwoju wypadków majowych. W wiele lat później przypomniały mi się te słowa, gdy komuniści poparli argentyńskiego dyktatora Perona w jego walce z ,,plutokracją''.

W owym czasie Jan Hempel był już komunistą w całym tego słowa znaczeniu. O partii mówił ,,my'', do mnie, chociaż nigdy polityką się nie zajmowałem, zwracał się per ,,wy''. To ,,my'' i ,,wy'' wciąż się wtedy w naszych rozmowach przeplatało, uświadamiając obu, że drogi dawnego mistrza i dawnego ucznia rozeszły się już gdzieś w okolicach znanej stacji ,,Niepodległość''.

Utrwalenie poglądów komunistycznych nie sprawiło, aby Hempel pozbył się dawnych, tak mu jednających przyjaciół cech: dobroci i łagodności. Dzisiaj, gdy wiemy, że dobroć i łagodność w ustroju totalitarnym była do niedawna (a kto wie, czy i nadal nie jest) godna pogardy, zrozumiemy łatwo dlaczego Jan Hempel zamiast zaszczytów i godności doczekał się w Rosji Stalina zsyłki i śmierci w łagrze. Gdy pewnego razu przeczytałem parę przemówień Bieruta, w których gorąco podkreślał ,,łagodność'' polskiej rewolucji społecznej, wydało mi się, że jak gdyby z zawstydzeniem tłumaczył się przed swoim mistrzem — dobrym Janem Hemplem. Tę szczyptę łagodności, która jednak cechowała początek przewrotu społecznego w Polsce, być może zawdzięczamy nie komu innemu, jak właśnie naukom Jana Hempla idealisty i marzyciela. W roku 1926 Hempel znał już od dawna Bieruta, pracowali obaj w spółdzielczości.

Spotykałem swego dawnego mistrza coraz rzadziej. Coraz mniej, oprócz wspomnień, mieliśmy sobie do powiedzenia. Nadal jednak lubiłem go i szanowałem. Parę razy zwracał się do mnie Władysław Broniewski z prośbą: ,,Pomóżcie Janowi, policja depcze mu po piętach''. Rozmawiałem o nim z wiceministrem Kaweckim, a później z ministrem Bronisławem Pierackim, aby mieli wzgląd na starego filozofa. Patrzano na mnie kosc i podejrzliwie, ale interwencje pomagały; Hempel nie był nazbyt przez policję nagabywany, a gdy zdecydował się wyjechac na stałe do Moskwy, nie potrzebował tego robić po kryjomu. Mimowoli nasuwa się porównanie stosunków za rządów ,,wroga ludu'', ,,tyrana'' Piłsudskiego w Polsce ze stosunkami podczas rządów ,,słoneczka'' w Związku Radzieckim. Wątpię, aby w ówczesnej Moskwie było do pomyślenia wstawianie się u władz za jakimś filozofem chrześcijańskim, tak jak to było możliwe za ,,sanacji'' w stosunku do filozofa doktryny marksistowskiej. Nie piszę o tym polemicznie, a tylko ,,tak sobie'', gdyż sama prasa komunistyczna jest obecnie pełna potępień minionego okresu.

I znowu popłynęły lata. Dla mnie znaczyły one podróż na Ziemię Ognistą, do Chile, Amazonką do Peru, do Panamy Guatemali, Meksyku, na wyspę Kubę, a potem z Marszałkiem Piłsudskim na Maderę, do Rumunii, Turcji, Grecji i Egiptu.

Latem 1936 roku udałem się w swoją trzecią podróż do Związku Radzieckiego. Zwiedziłem wówczas pobojowiska polskie, rozrzucone od Bugurusłanu na Zawołżu aż do miejscowości Tajga w zachodnim Sybirze. Przy okazji odwiedziłem Żydow

ską Republikę Autonomiczną Birobidżan, położoną w granicach Kraju Dalekowschodniego, nad brzegami rzeki Amur, na pograniczu ówczesnego japońsko-chińskiego cesarstwa Mandżukuo. Otóż w powrotnej drodze z tego wojażu zatrzymałem się w Moskwie. Dużo się tam już zmieniło w stosunku do Polski od czasu mego pierwszego pobytu w roku 1933. Nie było mowy o żadnych przyjęciach, uprzejmościach, ani innych tego rodzaju ceregielach. Odradzano mi nawet zamieszkanie w hotelu. Nocowałem i stołowałem się w poselstwie. Naszym attaché wojskowym był podówczas mój kolega-legionista ppłk. Zaborowski. Najwięcej kręciłem się po mieście z nim razem. Z nim też poszedłem pewnego dnia na popołudniowe przedstawienie do teatru letniego. Dawała tam ,,Zbójców'' Schillera polska trupa ze stałego teatru polskiego w Kijowie. Teatr był ,,nabity'' jeszcze na długo przed podniesieniem kurtyny. Umyślnie przyszliśmy z Zaborowskim wcześniej, aby się przyjrzeć publiczności, spodziewając się zobaczyć tłum polski. Nic z tego. Był to zwykły, szary, cichy i dość obszarpany tłum moskiewski, niczym nie przypominający wesołych i rozgadanych bywalców teatrów w Polsce. Język polski słyszało się rzadko.

Już po zgaszeniu świateł usiadł w rzędzie przede mną jakiś starszy pan z kobietą. Jego profil kogoś mi przypominał, ale spotkanie znajomego w Moskwie wydało mi się tak niedorzeczne, że nawet mu się nie przyjrzałem. Można sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy w czasie antraktu poznałem w swoim sąsiedzie Jana Hempla. Postarzał się, posiwiał, ale żywe oczy i ruchy kazały zapominać o 64 latach, które miał już za sobą. W pierwszej chwili był tak zdumiony, że aż zaniemówił. Zaraz jednak zaniepokoił się. ,,Co wy tu robicie? Co wy tu robicie?'' — powtórzył kilkakrotnie i dopiero uspokoił się, gdy mu powiedziałem o półurzędowym charakterze mojej podróży. Opowiedział mi, że pracuje w Instytucie im. Lenina, a mieszka na ,,daczy'' pod Moskwą. Prosił aby go odwiedzić. Jego towarzyszka, ta sama z ulicy Wolskiej, wypytywała mnie o Warszawę z wypiekami na twarzy. Dopiero znacznie później, gdy już sam byłem emigrantem politycznym, zrozumiałem te wypieki. Hempel był ubrany skromnie, ale nie zdradzał niedostatku. Naturalnie, chciałem dowiedzieć się od niego, jak się w Moskwie czuje. Odpowiedział krótko: ,,dobrze''. O Związku Radzieckim mówił, że ,,tutaj robią się wielkie rzeczy''. Jego żona, słuchając tych słów, machnęła ręką. Ponieważ już wcześniej uprzedzono mnie w poselstwie, że atmosfera w Moskwie jest naprężona, że szykują się jakieś porachunki partyjne, więc bałem się wyciągać Hempla na słówka. Mógł ktoś podsłuchiwać i potem zrobić donos. Gdy w niewiele dni później (byłem w Moskwie w sierpniu) wybuchła prawdziwa epidemia aresztowań, których ofiarą padli najbardziej zasłużeni komuniści, a między nimi znany mi z pierwszej podróży do Rosji Karol Radek, byłem zadowolony z tej powściągliwości.

Było to moje ostatnie spotkanie z Janem Hemplem. Na „daczę", pomimo serdecznego zaproszenia nie pojechałem. Znałem już nieco system stalinowski i nie chciałem moimi — „faszysty"-piłsudczyka — odwiedzinami narazić naiwnego filozofa.

Wielokrotnie później starałem się dowiedzieć o losach Jana Hempla. Nikt nie umiał mi nic wyjaśnić. Dopiero via Mikołajczyk poszła w świat wiadomość, że również i jego, jak wszystkich przyjaciół wolności i wrogów tyranii, będących w zasięgu zbrodniczej łapy stalinowskiej, nie ominęła kaźń. Umarł w łagrze. I ile by grzechów w życiu popełnił, ta śmierć mu je zmaże.

Mieczysław B. LEPECKI

Perspektywy, czy ich brak?

(RZECZ O MŁODYCH PISARZACH NA EMIGRACJI I O DRUKU W KRAJU)

Wbrew przewidywaniom pesymistów w ciągu ostatnich kilku lat stało się rzeczą jasną, że polska twórczość literacka na emigracji nie będzie jedynie epigoństwem Dwudziestolecia, ale ma jakąś tam, nową zupełnie przyszłość. Nie tylko łabędzi śpiew dogorywujących na wygnaniu luminarzy starszego pokolenia, nie tylko praca ,,średniaków'', którzy debiutowali w Polsce przedwojennej, będą składały się na obraz tego okresu literatury, ale także twórczość Polaków wychowanych częściowo lub całkowicie poza Krajem i poza Krajem debiutujących. Stosunkowo do niedawna zjawisko to było ignorowane, a w każdym razie niedostrzegane. Młode talenty pozostawione były same sobie i pozbawione konkretnej opieki, tym ciekawszy więc był ten samorodny rozwój, świadczący niezbicie o atrakcyjności polskiego języka i kultury, w obrębie której przez świadomy wybór pozostali ludzie mogący być może zapewnić sobie środki ekspresji w ramach kultur obcych. Ten temat wymaga osobnego socjologicznego studium i nie o to mi w tej chwili chodzi. Nie będę też podejmował literacko-krytycznej oceny zjawiska młodej literatury emigracyjnej, choć zwrócić trzeba uwagę na to, że przyszła już chyba pora na taką ocenę. Pierwsze próby w tym kierunku zostały już podjęte (częściowo na łamach ,,Kultury''), a choć są one jeszcze nieporadne i błąkają się po peryferiach problemu, nie podobna kwestionować dobrej woli tych prób. Sam problem nie jest zresztą łatwy.

Z chwilą, gdy młoda literatura emigracyjna została ,,odkryta'' powstał dokoła niej doraźny huczek ze względów okolicznościowych, prestiżowych. Znaleźli się organizatorzy, kierownicy ideowi, szafarze dobrych rad. Nie w smak było, że młodzi

pisarze chcą się dopracowywać własnych dróg, że nie chcą dać się zemleć w młynku kawiarnianych sporów, zakłamania i plotkarstwa. Dla młodego artysty ważniejsza była jego sztuka, jego mozolna droga twórcza, niż rozmaite — z palca wyssane — posłannictwa. A droga nie była łatwa. Z każdego punktu widzenia sytuacja młodych pisarzy jest gorsza i trudniejsza niż starych. Nie finansową sytuację mam na myśli; chodzi mi o warunki twórcze.

Tworzywem młodego pisarza jest środowisko obce i w zasadzie narzucałby się obcy język. Pisanie po polsku w tych okolicznościach jest wyrazem wyjątkowego przywiązania do języka i kultury kraju, który jako taki często jest nieznany i nie pamiętany z osobistych wspomnień. Młody pisarz nie polską ma przeszłość w ,,kraju lat dziecinnych'', nie taką do jakiej wrócić może pisarz starszy po ,,zamknięciu drzwi od Europy hałasów''. Nie koniec na tym. Odbiorcami pisarzy starszych są szerokie warstwy emigracyjne ich własnych pokoleń, pamiętające ich zresztą z Polski. Młody pisarz musi tworzyć sobie odbiorców. Z kogo? Starsza emigracja przerzedza się stale, a poza tym jest ,,zafiksowana'' w swoich gustach i — jak to zresztą zawsze bywało w dziejach — ma gusty dnia wczorajszego: nowe formy, którymi operują młodzi pisarze, jej nie odpowiadają. Młode pokolenie emigracyjne odbiorców literatury jest znacznie mniej liczne — czysto ilościowo rzecz biorąc — i częściowo przekształca się na ,,polonijne'': ma więc mniejsze zainteresowanie literaturą polską, jak i w ogóle rodzimymi sprawami, a większe obcym światem, w którym żyje i który dla niego wcale taki obcy nie jest. Do wyjątków nie należą jednostki wynaradawiające się zupełnie. Więc małe są dla młodych pisarzy perspektywy na emigracji, a w Kraju przecież nie ma ich zupełnie. Dodać trzeba, że prawie nie ma opieki nad talentami — czołowe pisma emigracyjne albo w ogóle nie są zainteresowane literaturą (chyba, że ów ubogi kuzynek jest ,,politycznie układny''), albo też uznają jedynie literaturę tematycznie i formalnie tkwiącą w epoce króla Ćwieczka. Byłoby więc rzeczą zrozumiałą, gdyby zewnętrzne te trudności, bynajmniej nie podnoszące na duchu, powodowały dodatkowe wewnętrzne trudności. Jest chyba naturalnym pragnieniem dla pisarza polskiego być czytanym przez naród. Starsi pisarze są znani w Kraju i pamięta się tam o nich. Mogą więc liczyć na zainteresowanie i oddźwięk, gdy ich dzieła tam przenikają. Młodzi są wartością w Kraju nieznaną, nie mają tam oddźwięku, nie mogą liczyć na nic. Tworzą w próżni, a próżnia — więc brak jakiejkolwiek atmosfery — dusi czułą psychikę pisarza.

Jeśli więc młodzi pisarze są i piszą, czynią to przez upór wewnętrzny i z przekonania, że ich twórczość ma sens, mimo wszelkich kłód, jakie im okoliczności i ludzie pod nogi rzucają. Młodzi pisarze wykorzystują zresztą te skromne możliwości publikacji, jakie istnieją. Kilka pism emigracyjnych drukuje dość

chętnie utwory młodych pisarzy, istnieje także parę pism młodzieżowych o pewnych ambicjach literackich. Ale to i wszystko. Niewątpliwie nie należy lekceważyć istniejących już obecnie praktycznych możliwości druku, gdyż odegrały one pewną rolę w ratowaniu młodych talentów dla literatury *polskiej*. Mógłbym przytoczyć przykład znanego już dzisiaj młodego poety i essayisty, który pisząc przez szereg lat dużo po polsku, a nie mając żadnych możliwości publikacji, stopniowo ograniczył twórczość po polsku do zupełnego niemal zaniku, przy jednoczesnym przerzuceniu się na twórczość zarówno essayistyczną jak i poetycką w języku obcym, gdzie miał możliwość publikowania swych utworów. W ostatniej niemal chwili uzyskał on możliwość druku po polsku, najpierw w jednym piśmie, co w niedługim przeciągu czasu wyraziło się wzmożeniem jego twórczości w języku polskim i ugruntowało go w literaturze polskiej na dobre. Na dłuższą metę jednak druk w łaskawszej — stosunkowo nikłej — części prasy nie jest zadawalającym rozwiązaniem problemu młodych pisarzy, którzy stanowią coraz liczniejszą i wciąż rozwijającą się grupę.

Na podstawie obserwacji obecnego stanu stwierdzić można, że najlepsze warunki rozwoju ma poezja. Ten dział literatury jest dziś najliczniej może reprezentowany, a w każdym razie najwcześniej się objawił w pełnej i stosunkowo dojrzałej formie. Nic to zresztą dziwnego, jeśli się zważy, że poezja bardziej od innych dyscyplin sztuki jest ,,sprawą młodości''. Obiektywne warunki dla rozkwitu poezji są w tej chwili najlepsze. Składa się na to indywidualny charakter poezji — a więc poeta bardziej niż ktokolwiek może być twórczo wyodrębniony od swego środowiska. Z siebie można snuć poezję, ze świata, który się widzi obok, a który nie koniecznie musi być polski — wystarczy, że jest uniwersalny, a w wyczarowywaniu ojczyzny pomóc może wyobraźnia. Nadzwyczajne warunki życia w obcym środowisku są dla poezji również dobrą pożywką. Nawet gdy w materialnym, fizycznym sensie codzienność skrzeczy, nie brak psychicznych problemów, które są materiałem poezji. Pod wszystkimi tymi względami młody poeta może sięgnąć również do tradycji własnej literatury i mieć tę satysfakcję, że sytuacja jego miała już w przeszłości precedensy, na których literatura nasza wyszła nie najgorzej. Wreszcie młodzi poeci, kształceni na zachodzie i obznajomieni z poezją obcą, mają otwarte szerokie pole dla przyswajania naszej poezji formalnych zdobyczy zachodu, dla eksperymentowania, czasem nawet dla otwierania nowych ścieżek i ścieżynek dla naszej literatury. Nie mówię tu już o zadaniach tak widocznych jak działalność przekładowa w obie strony, aktualna zresztą także dla innych działów literatury. Są i trudności. Poeta kroczy przecież w awangardzie języka, a jak ma sprostać temu zadaniu młody człowiek, który nigdy nie słyszał żywego języka, tak jak nim mówi się w Polsce i skazany jest na słuchanie potwornego emigracyjnego wolapücku? Z dotychczaso-

wych doświadczeń widać jednak, że młodzi poeci jakoś dają sobie radę pod tym względem (może pomocą jest żywe i stałe zainteresowanie i studiowanie poezji i w ogóle literatury krajowej — emigracyjna jest niestety zbyt nikła ilościowo i niezawsze czysta językowo — oraz dobre osadzenie w klasykach polskiej poezji: postęp często jest nawrotem do dawnej tradycji). W każdym razie młoda poezja jest językowo poprawna i dość bogata, a czasem nawet odkrywcza.

Proza literacka w młodym pokoleniu literackim na emigracji rozwija się dotąd na ogół słabo. Przyczyną jest brak tła i środowiska, które prozę musi podbudowywać w daleko większym stopniu niż poezję. Zbyt wcześnie zostali młodzi wyrwani z Kraju, żeby stamtąd czerpać swe tworzywo, a może niedość jeszcze wniknęli w środowisko obce, nowe, zwłaszcza ci, którzy żyją i obracają się w sporych skupiskach emigracyjnych (które znowu same w sobie są zbyt ubogie w literackie treści, by stanowić coś więcej niż temat do odcinkowej powieści typu brukowego). Pierwsza faza młodszej prozy została więc dostarczona przez dzisiejszych trzydziestolatków (a więc starszą grupę wśród młodych) i dotyczyła przeważnie ubiegłej wojny, bo autorzy, wówczas dorastający, mogli to jeszcze pamiętać. Jest już sporo danych, które pozwalają przypuszczać, że proza młodych wkracza obecnie w okres bogatszy, w którym będą dominowały zagadnienia i środowiska współczesne autorom. Nie chcąc bawić się w proroctwa tematu tego nie będę tu rozwijał. Nie dziwiłbym się jednak, gdyby na dłuższą metę młoda proza emigracyjna okazała się ciekawsza nawet, niż dominująca dziś poezja.

Dramat nie ma dziś żadnych szans publikacji, ani inscenizacji, z tej prostej przyczyny, że teatr z prawdziwego zdarzenia na emigracji nie istnieje. (O powodach tego stanu rzeczy pisałem już parokrotnie i ograniczam się tu jedynie do tego stwierdzenia). Młodzi pisarze muszą więc pisać utwory sceniczne z całkowitym pominięciem widoków na wykorzystanie ich w jakiejkolwiek formie, to znaczy pisać jedynie z wewnętrznej potrzeby. Ta strona twórczości młodych jest dla ogółu zupełnie nieznana i prawdopodobnie pozostanie nieznana najdłużej. Ilościowo nie przedstawia się ona, jak dotąd, pokaźnie. Tak się składa, że znam szereg rękopisów i uważam, że młodzi dramaturdzy będą mieli do pokazania nieco utworów ciekawych.

Dość ciekawie przedstawia się essayistyka i krytyka, zwłaszcza naukowa. Wykształceni na zachodnich uniwersytetach naukowcy opierają się na zachodniej dyscyplinie naukowej, a jeżeli interesują się odpowiednimi naukami w Polsce, posiadają szeroki wachlarz porównawczy. Często młodzi naukowcy w zakresie krytyki literackiej publikują w obcych językach, zbyt mało mają jednak możliwości publikowania po polsku. A czasami niestety ich to nie interesuje. Młodzi krytycy nie mają jednak zbyt dużych możliwości działania w zakresie krytyki dziennikarskiej. Pism

jest zbyt mało, obsadzone są dość dobrze przez krytyków starszych o uznanych nazwiskach. Często metody krytyczne ludzi formacji zachodniej nie są dobrze widziane przez polskich odbiorców i nie są dostosowane do emigracyjnych pism i ich potrzeb. Stąd tylko stosunkowo nieduży procent młodych krytyków literackich i artystycznych może się w pełni wypowiadać na łamach pism. O publikacjach książkowych oczywiście nie ma mowy.

Gdy się operuje dość luźnym pojęciem młodej literatury emigracyjnej i jej przyszłości należy uwzględnić nie tylko kilkudziesięciu pisarzy w wieku lat od dwudziestu jeden do trzydziestu kilku, którzy już zadebiutowali, ale i pokolenie najmłodsze, poniżej podanej przeze mnie granicy wieku, które dopiero debiuty swe przygotowuje. Kontakty z najmłodszymi, którzy oficjalnie nie weszli jeszcze na literacką arenę ukazują zjawisko nieoczekiwane i radosne. Ze strony nieco starszych kolegów opieki i zrozumienia im nie zabraknie, bo sami zaczynali swą twórczość w podobnych warunkach. Ale nie oni są możnymi emigracyjnego świata i nie od nich zależy, by przyszłości emigracyjnej literatury nie zaprzepaszczono z kretesem.

Konkretne działanie winno iść w kierunku zapewnienia stałych możliwości druku w miejsce dotychczasowych dorywczych. Brak funduszów nie jest wystarczającym wytłumaczeniem obecnej inercji, bo w tym samym czasie duże sumy pieniężne marnuje się na cele znacznie mniej ważne. Potrzebne jest stworzenie na emigracji pisma literackiego, do którego finansowych podstaw nie byłyby przywiązane żadne warunki polityczne, czy ideologiczne. Pismo takie powinno być wolne, bo tylko wtedy spełni swe zadania. Zaufaniem, którym się obdarzy pisarzy, osiągnie się w rezultacie więcej niż histerią i nieodpowiedzialnymi nagonkami. Należy również podejść z uwagą i zrozumieniem do sprawy dopuszczenia młodych pisarzy i adeptów literackich do istniejących pism, aby nie były one domeną koterii. Trzeba więc unowocześnić zaśniedziałych redaktorów tam, gdzie to jest jeszcze potrzebne. Należy też stworzyć możliwość publikacji książkowych młodym pisarzom przede wszystkim. Publikacja na emigracji nie jest dla pisarza kwestią zysku, bo honoraria i tak są znikome, lub żadne. W tych warunkach więc pisarz który ma za sobą dziesiątki pozycji książkowych, a nic nowego do powiedzenia, powinien ustąpić młodemu. Lata pracy bez możliwości publikowania jej owoców nie mogą być dla pisarza źródłem dobrego samopoczucia, to jasne. W tym miejscu trzeba z całą stanowczością podkreślić, że przybieranie tonu mentorskiego i biadanie nad ,,złym stanem literatury'' ze strony tych, którzy dysponując funduszami społecznymi i środkami wydawniczymi kierują się w ich użytkowaniu oportunistycznym komercjalizmem, jest zwykłą hipokryzją.

Pozostaje jeszcze bardzo zasadnicza sprawa, którą się określa mianem druku w Kraju. Jak się okazuje, jest to sprawa draż-

liwa, która doprowadziła pewien odłam emigracji do histeri
oraz stała się przyczyną kampanii plotek i oszczerstw (*). A spra
wa jest prosta i, zdawałoby się, nie powinna nastręczać cieni
wątpliwości. Że polski pisarz pisze dla Polaków i im swą twó
czość przedstawia, kiedy to możliwe, to powinno być chyba zro
zumiałe dla każdego. Jeśli pisarze emigracyjni nie publikowa
w Kraju, to dlatego, że nie byli tam dopuszczani, lub że sta
wiano by im warunki i wymagania nie do przyjęcia odnośni
charakteru ich twórczości (**). Z tych samych względów zamilk
niektórzy pisarze w Kraju. Dziś drukują oni to, co w ciągu la
milczenia pisali. Jeśli chodzi o pisarzy emigracyjnych, dru
w Kraju możliwy jest jedynie na naszych własnych warunkach
Można się rozmaicie zapatrywać na to, jakiego rodzaju mają t
być warunki i jak sprawę należy praktycznie przeprowadzić. A
nie do utrzymania jest negatywna postawa względem druk
w Kraju ,,sztuka dla sztuki''. Zwolennicy tej zasady zaleca
pisanie dla potomności (co praktycznie rzecz biorąc jest przekre
leniem perspektyw literatury na emigracji). Często przy tym sta
wiają oni za wzór Norwida. Podejście z gruntu fałszywe. Pisa
w zasadzie pisze i chce pisać dla współczesnych. To jest no
malny, zdrowy instynkt pisarza. Czas zdać sobie sprawę z tego
że sprawa Norwida była skandalem dla naszej literatury i teg
skandalu za wzór pisarzom stawiać nie można. Samego No
wida trzeba podziwiać, ale naśladowanie tego, co się stało jeg
udziałem — z winy jego współczesnych — byłoby absurdem, kt
ry by został na pewno potępiony przez poetę, mówiącego o ksią
kach wychodzących za późno. Robienie z Norwidowej golgo
aksjomatu dla polskiego pisarza jest — mimo, że część jeg
twórczości cudem uratowano — zbrodnią i dla literatury nasz
prawdziwą drogą do nikąd.

Cóż więc z tego wynika dla młodego pisarza na emigracj
To, że winien mieć możność przedstawienia się narodowi, d
którego należy i pisania dla niego, z chwilą gdyby zostały za
gwarantowane warunki pełnej niezależności dla ogłaszanyc
w Kraju prac. Niezależność ta oznaczałaby zarówno wyklucz
nie przedmów i zmian tekstu przez wydawnictwo, jak i zuży
kowanie ewentualnych honorariów w Kraju, na cele krajow
Należy dążyć również do uzyskania debitu w Kraju dla pis
i książek wydawanych na Emigracji, ale gdyby postulat ten -

(*) Między innymi szereg pismaków, a nawet publicystów, powtarza
uporczywie pogłoskę o tym, że wydawnictwa krajowe zaproponowały be
pośrednio lub przez swoich agentów młodym poetom na emigracji wydan
tomów w Kraju. Znam niemal wszystkich młodych poetów na emigrac
i, o ile mi wiadomo, nic podobnego nie miało miejsca. Gdzież więc ukr
wają się ci mityczni młodzi poeci, którym wysunięto kuszące propozyc
i przedstawiono umowy do podpisania ?

(**) Rozmaite związki czy kółka mogły sobie podejmować takie c
inne uchwały w tej sprawie, dla własnych celów i na własny użytek. Zob
wiązuje to jedynie ich własnych członków, jeśli w ogóle.

sam w sobie słuszny — miał być warunkiem absolutnym druku w Kraju, niemożność jego realizacji (z czym trzeba się liczyć) oznaczałaby, że sami stawiamy bariery pomiędzy wolną twórczością polską na emigracji a narodem, co jest absurdem nie do przyjęcia.

Myśli te rzucam do rozwagi i ewentualnej dyskusji. Ale histeryków do tej dyskusji nie zapraszam. Praca pisarza jest ciężka i wiąże się z rozmaitymi dziedzinami życia, zmuszając go nieraz do podejmowania poza-literackich decyzji. Obejdzie się on bez terroru ze strony samozwańczych kuratorów, za których wielkimi słowami kryją się aż nadto często osobiste i partykularne cele i interesy. A zwłaszcza młody pisarz sterroryzować się nie da i terroryści osiągną cel odwrotny od zamierzonego — za to mogę ręczyć. Cele młodości są czyste, jeśli czegoś jej czasem brak, to doświadczenia. Przyjaznych i *bezinteresownych* rad słucha ona chętnie. Przestrzegał jeden przyjazny krytyk przed drukiem w Kraju mówiąc, że się krytyka do tych pisarzy dobierze, a ludzie spodziewający się po emigracji wielkich rzeczy rozczarują się i zawiodą. Ale otóż byłby to najmniej ważny argument przeciw drukowaniu w Kraju. Prawda wymaga, by nie utrzymywać sztucznych mitów. Jesteśmy gotowi na próbę sił, bo pracujemy i uważamy, że jest to praca rzetelna. Kraj, czy Emigracja? Perspektywy, czy ich brak? Rozpisawszy się na ten temat — a można by powiedzieć więcej — wniosek stawiam ten, że perspektywy na rozwój młodej literatury emigracyjnej tkwią przede wszystkim w *pracy* młodych pisarzy. Na tyle mają już oni doświadczenia, by wiedzieć, że gdy wszystko inne zawiedzie, tylko własny wysiłek jest wartością niezawodną i konkretną w ich rzeczywistości.

Bolesław TABORSKI

ANKIETA O ANTYSEMITYZMIE

Ankieta wywołała żywe zainteresowanie wśród naszych Czytelników i stale napływają odpowiedzi. Termin zamknięcia ankiety Redakcja ustala na 1 grudnia br.

Książki

Na progu wojny

Walter Hofer, *Die Entfesselung des zweiten Weltkrieges*, Deutsche Velagsanstalt Stuttart 1954, Str. 221.

Wydanie angielskie: *War Premeditated*, Thames and Hudson, London 1955, str. 227.

Przed niespełna trzydziestu laty, a w dziesięć lat po zakończeniu pierwszej wojny światowej, wybitny historyk francuski, Pierre Renouvin, ogłosił podstawową książkę o ,,bezpośrednich przyczynach i źródłach'' — *Les Origines* — europejskiej katastrofy. Mniej więcej w tym samym odstępie czasu od zaszłych wypadków pojawiła się obecnie w Niemczech książka analogiczna o tym co doprowadziło do wojny drugiej; przy czym, podczas gdy sam tytuł u Renouvina określał kwestię jako sporną i wymagającą zbadania, Hofer stwierdza wybranym przez siebie tytułem kwestię bezsporną — wywołanie i ,,rozpętanie'' tej drugiej wojny przez Hitlera.

Autor, Szwajcar z pochodzenia, obecnie profesor wolnej berlińskiej wszechnicy, stawia na czele swych wywodów pewne przesłanki o charakterze etycznym: ,,zbrodnia winna być nazwana zbrodnią, a kłamstwo kłamstwem; szaleństwo należy uważać za szaleństwo, a nie za genialność...'' Zadaniem historyka nie jest ,,konstruowanie logiki dziejów, czy ich estetyki — raczej może etyki...''

Zdaniem autora omyłkę zasadniczą historyków ,,rozpętania'' wojny stanowi ,,usiłowanie wytłumaczenia całego procesu w sposób racjonalny''. W pierwszej linii dotyczy to zapewne historyko-polityków angielskich, szukających przyczynowego wytłumaczenia i konsekwencji w pomysłach i działaniach Hitlera. ,,Stając przed wydarzeniem tak jedynym w swoim rodzaju jak powstanie i upadek narodowego socjalizmu, historyk musi zastosować metody i kategorie, nie koniecznie dotychczas przyjęte. Nie znajdzie on żadnych racjonalnych pobudek czy względu na narodowy interes tam, gdzie najczęściej przeważały instynkty pierwotne, od-

ruchy chorobliwe, psychoza masowa i auto-sugestia... Musi wię przyjąć terminologię właściwą dla jedynego w swym rodzaj fenomenu...'' Fenomenem tym jest przede wszystkim sama po stać i charakter *Führer'a,* z jego ,,cechami patologicznymi''. Ni podobna dopatrywać się jakiejkolwiek myśli albo konsekwentne intencji tam, ,,gdzie instynktowna chytrość, patologiczna aro gancja i fałszywa interpretacja historii znajdowały się w grze — mieszanina emocjonalnych odruchów pod maską patosu histrio na''.

Pozostaje kwestia: jak się stało, że naród niemiecki posze za Hitlerem? że udało mu się narzucić swą wolę jego całości Jak wreszcie zdołał on realizować swoją wolę i postanowieni wbrew całemu światu? Odpowiedź na te pytania, którymi za myka się książka, wiąże się z ogólnym stanem społeczeństw europejskich — znajduje się więc poza właściwym tematem pra cy Hofera. Odpowiedź, aby być zupełna, musiałaby również za wierać analizę bolszewizmu, który wyprzedził narodowy socja lizm i był poniekąd jego wzorem. Musiałaby wejść w arkan psychologii i polityki działaczy sowieckich, w pierwszym rzędzi Stalina. Te zagadnienia, złączone organicznie z ,,rozpętanien wojny'', nie zostały dostatecznie uwzględnione przez Hofera sam daje on częściowe wytłumaczenie tego braku — niedostęp ność lub nieistnienie źródeł sowieckich.

Punktem wyjścia książki jest zajęcie Pragi — moment, gd szala zdarzeń przechyla się ku wojnie. Głównym zaś etapem jes negocjacja niemiecko-sowiecka, przy czym jednak wątpliw pozostaje, aby ,,dyktator niemiecki wziął ją pod uwagę od sa mego początku''. Przeciwnie, pomysł ten rozwinął się stopnio wo i był realizowany w miarę jak zaczął przeważać plan rozpę tania wojny przez rozpoczęcie jej od strony wschodu. Wówczas i dla tego celu Hitler zawarł pakt, dający mu możliwość zloka lizowania wojny, czyli ograniczenia jej do uduszenia Polski. Ne gocjacje niemiecko-brytyjskie, których jawnym celem było ,,od łączyć Anglię od Polski'', stanowiły więc tylko kamuflaż-prób rozerwania gwarancji wzajemnej polsko-brytyjskiej. Niepowodze nie tej próby, zdemaskowanie ostatecznie oszustwa przez Angl ków, zamieniło wojnę ,,lokalną'' w wojnę powszechną.

Strona polska w dyplomatycznym konflikcie przedstawion jest przez Hofera z chłodną bezstronnością. O Becku mów autor, że nie zrozumiał rzeczywistego Hitlera: ,,wielkim błęde w rachunku Becka pozostała fałszywa ocena dyktatora i jeg intencji... Poza tym, nieodpowiedzialnie przecenił on włas możliwości i rolę, jaką Polska mogła odegrać w systemie eur pejskim''. Polacy ,,przecenili siły własne, a nie docenili wojsk wej potęgi swoich dwóch wielkich sąsiadów''; wyobrazili sobi że ,,łącznie z pomocą Zachodu oprą się Niemcom'' — było t ,,złudzenie, którego zachodnie mocarstwa nie podzielały''. Tut wypada zaznaczyć, że oba te mocarstwa podtrzymywały jedna że owo ,,złudzenie'' przez swą politykę ,,gwarancji'', ubezpi

czeń, potem niepodpartych zawczasu ani finansowo, ani technicznie, ani wojskowo. Autor sam zresztą dostatecznie surowo ocenia niewczesną interwencję obu zachodnich ambasadorów z 29 sierpnia, która powstrzymała polską mobilizację powszechną o 24 godziny, i obiektywnie stwierdza fatalne skutki tej interwencji. Wskazuje także, iż wszystkie próby negocjacyjne ostatnich dni miały za domniemaną podstawę poświęcenie Polski.

Między epizodami przedwojennymi, dotyczącymi Polski, Hofer omawia dwa, zasługujące na szczególną uwagę.

Pierwszy z nich — to kwestia : jakie właściwie propozycje, a raczej dyktanda, miały być przedłożone ,,pełnomocnikowi'' polskiemu, wezwanemu do Berlina na dzień 30 sierpnia ? Kwestia ta po dziś dzień nie jest jasna i jak się zdaje może być wyświetlona jedynie rachunkiem prawdopodobieństw. Wszelkie późniejsze odnośne deklaracje Hitlera, jego opowiadania o ,,wielkodusznych'' warunkach przygotowanych rzekomo dla Polaków, a także wnioski późniejszych apologetów — włącznie z angielskimi — o warunkach ,,umiarkowanych'' i godnych rozpatrzenia, jeśli by tylko nie były wprowadzane siłą, — nie zasługują na traktowanie serio. Natomiast interesujące są słynne dwie mapki, wydarte z atlasu dla Dahlerusa, na których Göring rysował niemieckie żądania terytorialne : pierwsza z 29 sierpnia wieczorem, zarysowująca terytorium zamierzonego plebiscytu, obejmowała Poznań (80 klm. na wschód od Poznania), Gniezno, Pułtusk i Łódź — czyli obszary, z wyjątkiem krótkiego okresu po drugim rozbiorze, nienależące nigdy do Prus ; skąd wyraźna tendencja, aby na podstawie tajnego protokułu podpisanego 23 sierpnia z Sowietami wznowić granicę tego podziału. Druga mapka, pokazana przez Göringa w nocy z 30 na 31 sierpnia, więc już wobec niezjawienia się pełnomocnika nieaktualna, określała tylko, jako obszar plebiscytowy, Pomorze włącznie z Bydgoszczą. Która z tych map miała być przedstawiona jako ultimatum graniczne Polsce ? Nie podobna dziś jeszcze powiedzieć. Pewne jest jedynie, że historiografia zachodnia, włącznie z Hoferem, niedocenia ani przewrotności tych kombinacji zaborczych, wykraczających poza granice 1914 roku, ani ich prowokacyjnego znaczenia, w związku z protokułem sowiecko-niemieckim. A już biedny Dahlerus, samozwańczy pośrednik z Anglikami, najmniej był do tego przygotowany, aby się w tych matactwach rozeznać.

Drugie zagadnienie — to sama kwestia niedoszłego polskiego ,,pełnomocnika''. Żądanie jego przybycia postawił Ribbentrop w rozmowie z ambasadorem Hendersonem 29 sierpnia około 8 wieczorem ; przekazane ono zostało, najpewniej drogą radiową, jeszcze tej samej nocy do Londynu, przy czym Rząd brytyjski od razu zaznaczył, że ,,nie jest rozsądne''. Odpowiedź brytyjska na równoczesną notę niemiecką została udzielona już 30 sierpnia wieczorem, natomiast zgoda niemiecka na tak zwane ,,rokowania bezpośrednie'' z Polską nie była przekazana Warszawie aż do późnego wieczora 30 sierpnia, czyli przez około 20 godzin,

nie mówiąc o tym, że odnośna depesza nadeszła w nocy i am basador Kennard mógł ją zakomunikować Rządowi polskiem dopiero rano 31 sierpnia. Reakcja ministra Becka była natyc miastowa : już w południe przystał on na prowadzenie bezpośre nich rokowań z Niemcami, a o 12.40 upoważnił ambasadora Li skiego do nawiązania kontaktu z Ribbentropem. Oczywiście, jakiekolwiek rozmowy było już za późno: dwanaście godz wcześniej, dokładnie o 12.40, Hitler wydał swą wojenną dyre tywę Nr 1, naznaczając działania zaczepne na 1 września, god 4,45 rano. Hofer konkluduje: „Hitler nie był ani przez jed chwilę zainteresowany w rozpoczęciu rokowań bezpośrednich stopie równości stron obu; chodziło mu wyłącznie o doręczen ultimatum... Państwu polskiemu pozostawała w rzeczywistoś jedna jedyna możliwość: pozostać stanowczym i bić się. By to logicznym następstwem sytuacji... wytworzonej przez taj porozumienie Hitlera ze Stalinem".

Motywy polskie z tej ostatniej chwili są dosyć jasne. Becko chodziło o to, aby do końca wobec Anglii być poprawnym i ok zywać gotowość do udziału w próbach utrzymania pokoju; n dziei na zmianę sytuacji przez swoje warunkowe i ostrożne a ceptowanie rokowań nie mógł mieć żadnej. Natomiast postęp wanie angielskie i motywy *Foreign Office*'u pozostają po d dzień niewyjaśnione. Dlaczego niemieckie wezwanie pełnomc nika nie zostało przekazane Warszawie 30 sierpnia rano, ale c piero następnej nocy? Jakie były racje tego opóźnienia, ktc — jak Hofer słusznie zauważa — nie mogło być przypadkow Czy wystarcza tłumaczenie, że Halifax „stracił cierpliwość" W każdym razie opóźnienie to jest dowodem, iż Ministerst brytyjskiemu nie zależało w tej chwili na powstrzymaniu kat trofy. Stąd się rodzi ostatnie pytanie : dlaczego w tych waru kach Gabinet angielski nie doradził Polsce przyspieszyć mob zację, zamiast, jak to Kennard wraz z Noëlem 29 sierpnia uc nił, mobilizację tę powstrzymać?

◆

Weltgeschichte der Gegenwart in Dokumenten, hgg. von Professor Michael Freund. *Geschichte des Zweiten Weltkrieges in Dokumenten. Der Weg zum Kriege* 1938-1939. *II. An der Schwelle des Krieges* 19 Vlg. Herder Freiburg u. Karl Alber Freiburg-München, 1953-1955. XII, 474; XVI, 503.

Badanie początków światowej wojny będzie znacznie uł wione przez niniejszą publikację źródeł. Jest ona metodyc i wszechstronna. Zawiera dokumenty zebrane z różnych wie tomowych kolekcji : brytyjskiej — 7 tomów za okres 1937-19 alianckiej, zawierającej dokumenty niemieckie — dotychczas tomów; włoskiej — 2 tomy za tenże okres; następnie z ks kolorowych wydanych w czasie wojny — między nimi z truc

dziś dostępnych publikacji, jak Berbera zbioru dokumentów praskich; wreszcie z diariuszy, pamiętników i historycznych monografii. Całość tych źródeł stanowi już dzisiaj znaczną bibliotekę, wydobycię więc z niej rzeczy istotnych i niezbędnych, podanie w skrótach lub urywkach rzeczy drugorzędnych ułatwi znakomicie pracę historyka. Tam nawet, gdzie podany dokument lub jego skrót go nie zadowoli, może on zawsze odnieść się do podanego w dokładnej bibliografii pierwszego źródła. Publikacja niemiecka jest nie tylko ważna i pożyteczna, ale przedstawiona w niej historia w uszeregowanych chronologicznie autentycznych aktach stanowi lekturę pasjonującą i ożywia raz jeszcze przed czytelnikiem sam dramatyczny przebieg wypadków.

Wydawcy zbioru zdecydowali się — może między innymi dla podwyższenia efektu publikacji — na krok nieco ryzykowny : uzupełnienie dokumentów każdorazowym komentarzem. Takie uzupełnienie posiada istotnie duże zalety : daje możność przytoczenia materiałów drugorzędnych, pozwala na lepsze zrozumienie tła zdarzeń, czyni całość, podzieloną na poszczególne rozdziały, bardziej przejrzystą. Zgrupowane dokumenty nabierają ciągłości, rysuje się wyraźniej przyczynowa więź. I tak na przykład dokumenty kontrowersji Ribbentrop-Bonnet o rzekome zrzeczenie się Francji wpływu w sprawach środkowo-wschodniej Europy (grudzień 1938-lipiec 1939) zyskują jeszcze na plastyce przez objaśnienie ich znaczenia. Podobnie uplastycznia się hipoteza o tendencji czynników anglo-saskich przesunięcia niebezpieczeństwa wojny, począwszy od jesieni 1938, z zachodu na wschód. Jaśniej rysuje się przed nami przełom w polityce światowej, a szczególniej brytyjskiej, spowodowany przez najazd Hitlera na Pragę (15 marca 1939) i mający za skutek gwarancje brytyjskie dla kontynentu; z drugiej zaś strony — niespodziewane ociąganie się i niepewność polityki francuskiej. Obserwujemy naocznie te na odwrót przestawione kategorie : Wielka Brytania, dotychczas przeciwdziałająca sojuszom Francji na kontynencie, jej zaangażowaniom z jej ,,klientami'', i od wstrzymania tych zobowiązań uzależniająca własne dla niej gwarancje, nagle wysforowuje się naprzód, podejmuje na wschodzie inicjatywę, wprowadza i rozszerza zabezpieczenia aż po Wisłę i Morze Czarne; zaś Francja, dotychczas opierająca się na swych kontynentalnych wpływach, prowadząca europejską politykę od Polski aż po Rumunię i Turcję, nagle cofa się, waha, obawia angażowań, gotowa sama powstrzymywać, przeszkadzać angażowaniu się Anglii, hamować jej inicjatywy, osłabiać jej stanowczość !

Metoda opisowa, zastosowana przez wydawców dokumentacji ma jednak również i swoje przywary, mianowicie wtedy, gdy do komentarzy wplącze się tendencja : czasami wynikająca z przekonania, czasem zaś, co gorsza, nieumyślna. W książce opracowanej przez profesora Freunda znajdujemy przykłady jednej i drugiej, przy czym niestety sprawy polskie są i tutaj, jak

zazwyczaj, niezawodnym probierzem. Już same tytuły nieraz wprowadzają w błąd: notę niemiecką z 27 kwietnia, zrywającą jednostronnie umowy z Polską, wydawca nazywa „proponowaniem dwustronnego układu"; rozmowę Bonneta z ambasadorem sowieckim Suriczem poprzedza interpretujący ją nagłówek: „Polska jest troską drugorzędną". Poszczególne komentarze na temat Polski są równie dowolnym rozszerzaniem tekstu dokumentów: i tak komentator informuje wręcz fałszywie o danym jakoby przez Becka Halifaxowi w rozmowie londyńskiej z 6 kwietnia „pełnomocnictwie" do rokowań z Sowietami. O takim pełnomocnictwie nie było wcale mowy.

Od czasu do czasu taki tytuł przeinaczający dokumenty, lub takie hasło rozszerzające ich treść przemienia sam przebieg historycznych wydarzeń. Wydawcy kwalifikują polskie zarządzenia wojskowe z końca marca 1939 jako „mobilizację"; wskutek tego reakcja czynników hitlerowskich wygląda jako naturalna i poniekąd słuszna. „Z wielkim gestem i nieposkromionym rozpędem Polska buntuje się przeciw nieuchronnemu losowi" — tak w komentarzu interpretuje się rzekomą mobilizację, upatrując w niej „pierwszą odpowiedź na niemiecką propozycję rozległego porozumienia". Otóż, jeżeli nic się nie mówi o uprzednich wojennych przygotowaniach Hitlera, czynionych w największej skali; jeżeli po drugiej stronie nie precyzuje się ograniczonego zakresu ostrożnych zarządzeń polskich, to powstaje fałszywy obraz, jakoby Polska swą „mobilizacją" i „odmową" sprowokowała wojenne decyzje Hitlera. Analogicznie, i w tymże związku przypisane jest rozszerzające i potęgujące znaczenie samemu polskiemu „nie" (przez wielkie *N*). To „nie", przeciwstawione Ribbentropowi w Warszawie w styczniu 1939 przez Becka, miało „zadecydować nie tylko o własnym (Polski) losie, lecz również o losach Czechosłowacji": inaczej mówiąc, odmowa podporządkowania Polski Hitlerowi spowodowała najazd Hitlera na Pragę. Twierdzi się tak, pomimo, iż przedtem podane były dokumenty (instrukcja z 21 października 1938), świadczące o powziętej od czasów Monachium decyzji Hitlera zlikwidowania wcześniej czy później kraju nazwanego Rest-Tschechoslovakei. Powtórnie, polskie „nie", sformułowane ostatecznie w instrukcji Becka dla ambasadora w Berlinie z 25 marca, określone jest nie tylko jako decydujące o dalszym kierunku agresji hitlerowskiej — i to pomimo, że jeszcze w tym czasie, i aż po polsko-brytyjskie układy z kwietnia, dokumenty wskazują na brak odnośnego postanowienia — ale uważane jest za odrzucenie niemieckiej propozycji „zasadniczego" uregulowania wzajemnych stosunków: „Polska nie daje najsłabszej choćby zachęty, nie odwzajemnia w niczym podjętej z wielkim gestem próby ogólnego wyjaśnienia". Takie, wprowadzające wręcz w błąd twierdzenia wypowiadane są z okazji „planu" niemieckiego, wymagającego od Polski jednostronnych ustępstw z jej praw, i „propozycji" Ribbentropa, postawionych Polsce prowokacyjnie nazajutrz po *„coup"*

praskim i mających za cel oczywiste dalsze skłócenie Polski z Zachodem.

Autor komentarza potrafi zresztą spojrzeć na rzeczywistość bez uprzedzeń: widzi sam, że ,,wielkim celem'' Hitlera było ,,podporządkowanie polityki zagranicznej polskiej polityce Rzeszy'', czyli zrezygnowanie z niepodległości; ,,nie o Gdańsk chodziło (Hitlerowi) — chciał wojny''. Pomimo to polityka polska ukazuje się w komentarzach jako lekkomyślna, nie wiedząca co czyni, ,,niezdolna zrozumieć co dla Polski oznacza wojna z Niemcami''. Wyrokowanie to jednostronne, gdy nie cytuje własnych opinii polskich, a natomiast użytkuje po kolei wszelkie anty-polskie wypowiedzenia polityków czy pisarzy Zachodu. W ślad za Komisarzem Gdańskim Burckhardtem komentator upatruje w polityce polskiej ,,połączenie heroizmu i głupoty''; wyszydza ,mocarstwowość'', choć na poparcie takiej pretensji nie umie przytoczyć żadnej poważnej i odpowiedzialnej polskiej wypowiedzi; mimochodem zaś wzmiankuje ,,krańcowo złe a nawet okrutne obchodzenie się w Polsce z niemieckimi mniejszościami''. Czasem odnosi się wrażenie, że komentarz pisany jest z chęcią przypodobania się Anglo-sasom i że w tym celu wtóruje ich uprzedzeniom: zadziwia w szczególności, że niemiecki komentator przedwojennej historii zgorszony jest faktem, iż Polska nie okazała gotowości pójścia przeciwko Rzeszy ze Związkiem Sowieckim, a także iż Anglia nie zażądała tego od Polski jako warunku udzielenia jej gwarancji. A jednak sam autor komentarza na innym miejscu potrafi określić lapidarnie sytuację Polski: ,,jastrząb ma chronić gołębia przeciw sępowi''.

Teza wciąż powtarzana o ,,szaleństwie'' przedwojennej polityki polskiej domaga się w każdym razie jednej zasadniczej korektury. Polska miała formalny układ na wypadek wojny z Francją, zaś ze sztabem brytyjskim prowadziła odpowiedzialne przygotowawcze rozmowy. Otóż nie znajdujemy, nie tylko w zachodniej, ale podobnie i w niemieckiej ocenie decyzji polskich, uwidocznienia niewątpliwego faktu, że umowy i układy, zawarte czy prowadzone z Polską, nie zostały honorowane przez jej sprzymierzeńców i że inaczej przedstawiałby się przebieg wojny, gdyby zostały one dotrzymane. Hitler rachował właśnie na bezczynność mocarstw zachodnich i chciał od początku izolować Polskę, w pierwszej kolei politycznie, a w razie nieudania — militarnie. Pod tym ostatnim względem Hitler osiągnął zamierzony swój cel, co wprawdzie nie dało mu zwycięstwa, lecz obaliło Francję i przedłużyło wojnę. Oczywiście, publikacje alianckie niechętnie dotykają tych drażliwych tematów. Publikacje niemieckie, dla niezbyt zrozumiałych powodów, im wtórują.

Argument, że Polska popełniła szaleństwo, podejmując rzuconą jej przez Hitlera rękawicę, że w gruncie rzeczy poszła mu na rękę, stwarzając dla pożądanej przezeń wojny pretekst, że nawet, jak chce komentator dokumentów, sama swój los wyzwała, nie znajduje swego odpowiednika w ocenie szaleństwa

hitlerowskiej Rzeszy. Szaleństwo to ujawniło się przecież nie tylko w fakcie wywołania ryzykownej, groźnej dla Niemiec, światowej wojny, lecz także w fakcie, stwierdzonym raz jeszcze w tej dokumentacji, że główne przedsięwzięcie Hitlera zwracało się od początku przeciw bolszewizmowi, przeciwko Rosji sowieckiej. Wojna 1941 roku nie była więc tym szaleństwem, za jakie ją przedstawiają najchętniej, zarówno na Zachodzie, jak w Niemczech : odpowiadała ona założeniom teoretycznym ustroju i głoszonej przezeń ideologii. Prawdziwym szaleństwem było dopiero przedsięwzięcie tej wojny bez naturalnego zaplecza — bez Polski, poprzez Polskę obezwładnioną; podczas gdy zwalczanie Rosji i zburzenie bolszewizmu było możliwe jedynie we współdziałaniu z Polską. Układ niemiecko-sowiecki z 23 sierpnia 1939, sławiony nieraz jako majstersztyk Hitlera, był zaprzeczeniem wszystkiego co zamierzył, zaparciem się wszystkiego co myślał, i stał się jego kardynalną pomyłką.

*

Helmut Krausnick, *Legenden um Hitlers Aussenpolitik, Vierteljahrsheft für Zeitgeschichte,* 1954, III. Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart.

Redagowany w Monachium kwartalnik poświęcony jest historii współczesnej, w szczególności erze Hitlera i drugiej wojnie światowej. Pismo to, świetne w swym układzie i bogate treścią, odznacza się chłodnym obiektywizmem i wnikliwą krytyką Trzeciej Rzeszy. Tym założeniom odpowiada również stosunek do spraw i zagadnień polskich, w przeciwieństwie do *Historisch-Politisches Buch,* sprawozdawczego miesięcznika, organu uczonych getyngeńskich, gdzie wciąż jeszcze mówi się o okrucieństwach w stosunku do mniejszości niemieckich, o polskich „mordach z września 1939". Kwartalnik ogłosił między innymi interesujące listy generała Stieffa (list o kampanii polskiej z 2. października), oraz rzeczową analizę polskiej polityki zagranicznej, opartą na książce Becka i Dzienniku Szembeka.

Na szczególną uwagę zasługuje artykuł H. Krausnicka omawiający legendy głoszone o polityce zagranicznej Hitlera. Punktem wyjścia rozprawy jest przewrotna książka nazistowskiego urzędnika prasowego Fritza Hesse — „Gra o Niemcy", na którą zbyt mało zwrócono dotychczas uwagi w publicystyce polskiej. W omówieniu tej książki autor wykracza jednak poza jej treść i szereg ważnych problematów związanych z polityką Hitlera.

Co było zasadniczym rysem i walorem tej polityki? Świadomy i celowo przeprowadzony program, czy czasowe i spontaniczne improwizacje? Własna intuicja i wola *Führer'a*, czy intrygi w jego obozie i podpowiadania doradców? Autor przytacza szereg dowodów konsekwencji i trwania przy raz ustalonym założeniu. Zbrojenia były od początku warunkiem podstawowym tej poli

tyki. Dyrektywy zarówno polityczne jak wojskowe świadczą o logicznie realizowanym zamyśle : między innymi słynna dyrektywa dla sudeckiego Henleina z 28 marca 1938, aby ,,zawsze stawiać takie żądania, których nie można zadowolnić'', a to w obawie, iż Czesi mogliby skromniejsze żądania przyjąć; podobnie komedia każdorazowych ofert, zaraz potem wycofywanych i zastępowanych dalej idącymi żądaniami. Nie układ więc, a tym mniej jakikolwiek uzgodniony kompromis, lecz ,,wojna była świadomym i niezmiennym celem'' Hitlera. Plany układał i decyzje pobierał on sam i rola doradców sprowadzała się przeważnie do wykonywania.

Metoda znalazła pełne swe zastosowanie w stosunku do Polski. ,,Na razie'' plany Hitlera na przełomie lat 1938-1939 nosiły charakter ,,ograniczonego uregulowania całości (*Generalbereinigung*)''; w istocie miały na widoku sprowadzić Polskę do roli ,,satelity w systemie politycznym zwróconym przeciw obszarowi rosyjskiemu — a to bez żadnej gwarancji oszczędzenia jej w przyszłości''. Takie było sedno wszystkich zamierzeń i stopniowych posunięć, podjętych w uderzającej analogii do poprzednio ułożonej gry w stosunku do Czechosłowacji — w ten mianowicie sposób, aby kolejne żądania były każdorazowo nie do przyjęcia i aby można było wciąż je powiększać — poczynając od ,,skromnych'' i ,,ograniczonych'', przechodząc przez ,,jednorazowe'' i ,,wielkoduszne'', kończąc ultymatywnym wymuszaniem : całość nie była niczym innym, jak tylko ,,cynicznie wypracowanym rozpętaniem wojny''.

Hesse interpretował tę mało wyszukaną i do obrzydzenia jednostajną grę jako z jednej strony wpływ otoczenia Hitlera, z drugiej — przejaw jego własnych sporadycznych wybuchów. Krausnick zbija skutecznie te apologetyczne legendy : nie ma żadnych dowodów aby ktokolwiek miał skuteczny wpływ na Hitlera, a taktyka przez niego zastosowana, wraz z własnymi o sobie wyznaniami, wystarcza aby ,,rzekome wybuchy'' sprowadzić do odgrywanych raz po raz komedii, podejmowanych celowo i ciągle prób oszustwa. Do takich legend zalicza autor słusznie plotkę ukutą przez Hessego o okolicznościach wydania ostatecznych operacyjnych rozkazów na dzień 1 września. Mianowicie, zameldowano jakoby Hitlerowi — Hesse nie podaje dokładnego momentu — o rzeziach dokonywanych na Niemcach w Polsce, przy czym meldujący urzędnik propagandy powiększył o jedno zero liczbę 30 tysięcy (!) rzekomo zamordowanych; pod wrażeniem tego meldunku Hitler dostaje ,,napadu szału'' i wzywa Keitla. Krausnick podaje świadectwa, że ,,dziki krzyk'', jaki istotnie słyszano, wydał Hitler, gniewnie odrzucając sugestię dalszych rokowań z Polską; tym samym plotka czy legenda nie będzie nadal trapiła historyków.

Taktyką, w podobnie jednostajny sposób stosowaną przez Hitlera, zarówno w kryzysie monachijskim, jak w konflikcie z Polską było usiłowanie izolowania ofiary : Czechosłowacja

miała być w 1938 pozbawiona pomocy, a nawet dyplomatycznego poparcia anglo-francuskiego; i tak samo, w sierpniu 1939, miał być wbity klin między Polskę a jej sojusznika brytyjskiego; Francja w oczach Hitlera już się w tej chwili nie liczyła.

Wszystko to leżało w naturze rzeczy i odpowiadało założeniom hitlerowskiej polityki. To co jest mniej znane i zasługuje na dalsze rozpracowanie, to stanowisko polityki brytyjskiej. Krausnick zestawia dotychczas istniejące dane, zaś w *Weltgeschichte in Dokumenten* znajdujemy odnośne wyciągi ze źródeł. Wynika z nich niezbicie nie tylko działalność niektórych agentów rządu brytyjskiego, próbujących aż do połowy sierpnia 1939 ułożyć porozumienie z Trzecią Rzeszą, ale także chwiejne i składające się do takiego wyjścia stanowisko premiera Chamberlaina. Chodziło tu także o coś w rodzaju ,,generalnego porozumienia'', i ni mniej ni więcej, tylko o podział światowych obszarów wpływu, przy czym Niemcy miały otrzymać uznanie ich przewagi w Europie wschodniej i południowo-wschodniej, oraz pożyczkę w wysokości półczwarta, czy nawet półpięta miliarda marek. Nie tylko więc oburzenie wywołane najazdem Pragi nagle wygasło, ale wracała w pełni atmosfera monachijskich handlowań narodami. Cóż bowiem miało pozostać z oświadczeń niedopuszczenia do dalszej ekspansji, z gwarancji udzielonych Polsce i innym państwom tamtego rejonu? — wystarczało tylko wyrzeczenie się przez Niemcy bezpośredniej agresji i użycia siły, a wówczas wszystkie zobowiązania przyjęte na siebie przez Wielką Brytanię uznane by zostały ,,ipso facto za niedziałające (*inoperative*)''. Wyrażano przy tym ze strony angielskiej nadzieję, że Hitler ,,wycofa się na pozycję żądań wykonalnych'' dla uzyskania ,,powszechnego pokojowego układu''.

Taki układ, sprzedający dopiero co uzyskanych sojuszników, był dość już daleko posunięty w swym stadium przygotowawczym, gdy nagle Hitler, uzyskawszy 12 sierpnia obietnicę sowiecką, brutalnie zerwał wszelkie snute dotąd nici. Nie Anglia więc, przez wierność dla zaciągniętych zobowiązań, lecz Niemcy przez odrzucenie ,,umiarkowanych'' zysków spowodowały ostateczne zerwanie. ,,Cynicznie przedsięwzięte rozpętanie wojny'' było w pełni dziełem Hitlera w obliczu dośmiertnego uporu osaczonej Polski i niepewnych wahań jej sprzymierzeńców. W przede dniu rzucenia się w otchłań, 31 sierpnia, Hitler wyraził swą ,,niezachwianą pewność, że Anglia i Francja nigdy nie pomaszerują: w najgorszym zaś razie będą udawać jak gdyby miały prowadzić wojnę, aż do czasu gdy polski sojusznik zostanie faktycznie usunięty...''

I w gruncie rzeczy, na razie przynajmniej, Hitler tak bardzo się nie pomylił.

Michał SOKOLNICKI

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

KRIDL (Manfred). *A survey of Polish Literature and Culture.* Str. 525. (Slavistic Printings and Reprintings, nakł. Cornelis H. van Schooneveld, Leiden University, T. IX: Wyd. Mouton and Co., S.Gravenhage, 1956. Tłum. z polskiego Olga Scherer-Virski).

URSYN (Józef Maria). *Torricola.* Str. 213. (Nakł. Gryf Publications, Ltd., Tom 3 ,,Książki dla Wszystkich", Londyn, 1956, cena 12 sh.).

DEWHURST (Claude H.). *Kontakt bezpośredni.* Z przedmową gen. Władysława Andersa. Str. 230. (Nakł. Gryf Publications, Ltd., Tom 4. ,,Książki dla Wszystkich", Londyn, 1956, cena 12 sh.).

ROMAŃSKI (Andrzej C.). *Więźniowie Nocy.* Str. 286. (Wyd. Orbis-Księgarnia Polska, Tom V ,,Biblioteki Autorów Polskich", Londyn, 1956, cena 16/6).

CZUCHNOWSKI (Marian). *Pierścień i zamieć.* Str. 245. (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. ,,Veritas", Tom XXV Serii Czerwonej ,,Biblioteki Polskiej", Londyn, 1956, cena 15 sh.).

BRONARSKI (Alfons). *Adam Mickiewicz i jego stosunek do Szwajcarii.* Str. 22. (Wyd. Stowarzyszenie Polaków w Genewie ,,Polonia", Genewa 1956, cena 1 fr. szw.).

TROYAT (Henri). *Sainte Russie.* Souvenirs et reflexions. Pp. 272. (Ed. Grasset, Paris 1956, fr. 750).

PICHON (Jean-Charles). *L'autobiographie.* Pp. 375. (Ed. Grasset, Paris 1956, fr. 750).

GARNIER (Christine). *Elsa de Berlin.* Roman. Pp. 255. (Ed. Grasset, Paris 1956, fr. 585).

HISTORIA

KOT (Stanisław). *Szymon Budny.* Str. 118. (Wyd. Hermann Boehlaus Nachf., Graz-Koeln, 1956).

KOT (Stanisław). *Nieznany poeta Polski XVI wieku.* Str. 113-150 (Odbitka z Zeitschrift fuer slavische Philologie. Tom XXV, Zeszyt I, 1956).

DOKUMENTY CHWILI

PANUFNIK (Scarlett). *Out of the City of Fear.* Str. 250. (Wyd. Hodder and Stoughton, Londyn, 1956, cena 16 sh.).

Poznan yo estuve alli ! Str. 32. (Wyd. ,,Libreria Polaca, Buenos Aires, 1956. Cena 3 peso).

RELIGIA

JASIŃSKI (Walery J. Ks. dr). *Konstytucja Apostolska Piusa XII ,,Exsul Familia". Jej treść i znaczenie dla Polonii Świata.* Str. 12. (Nakł. Seminarium Duchownego im. ŚŚ. Cyryla i Metodego w Orchard Lake, Michigan, USA. Przedruk z ,,Sodalisa", czerwiec, 1956).

JANUS (Józef, ks. T.J.). *Wielki pasterz na wschodnich rubieżach.* Wydanie czwarte. Str. 86. (Wyd. Melbourne, 1956).

WYD. LITERACKIE

IWASZKIEWICZ (Jarosław). *Książka o Sycylii.* Str. 209. (Wyd Wydawnictwo Literackie, Kraków (1956?) — brak daty ukończenia druku).

WIKTOR (Jan). *Pieniny i ziemia sądecka*. Str. 537 (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1956, cena zł. 30).

SOLSKI (Ludwik). *Wspomnienia*. Na podstawie rozmów napisał Alfred Woycicki. Tom I.: 1855-1893, Str. 272. Cena zł. 17; Tom II: 1893-1954. Str. 561. Cena zł. 27. (Wyd. Literackie, Kraków, T. I. — r. 1955; Tom II — r. 1956).

PROMIŃSKI (Marian). *Salamandra*. Nowele. Str. 259. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, cena zł. 7.70).

HOŁUJ (Tadeusz). *Jutrzenka* i inne opowiadania. Str. 308. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, zł. 11).

RÓŻEWICZ (Tadeusz). *Poemat otwarty*. Poezje. Str. 67. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, cena zł. 3.20).

RUDNICKI (Adolf). *Niebieskie kartki*. Ślepe lustro tych lat. Rysunki Adama Marczyńskiego. Str. 297. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, c. zł. 20).

SZANIAWSKI (Jerzy). *Profesor Tutka* i inne opowiadania. Str. 272. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, cena zł.13).

DROZDOWSKI (Bohdan). *Jest takie drzewo*. Wiersze. Str. 94. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, cena zł. 5.60).

SAMOZWANIEC (Magdalena). *Maria i Magdalena*. Ilustr. Antoni Uniechowski. Str. 510. (Nakł. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, cena zł. 25).

OSSOLINEUM

LESSING (Gotthold Ephraim). *Dramaturgia hamburska*. Wybór. Przełożyła i opracowała Olga Dobijanka. (Tom I. cyklu „Teksty źródłowe do historii dramatu i teatru" pod red. Grzegorza Sinki. Państwowy Instytut Sztuki). Str. 282. (Wyd. Zakład im. Ossolińskich — Wydawnictwo, Wrocław 1956, cena zł. 24).

KORZENIEWSKA (Ewa). *O Marii Dąbrowskiej* i inne szkice. (Tom XXX cyklu Studia Historyczno-literackie pod red. Jana Kotta). Str. 179. (Wyd. Zakład im. Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, Wrocław 1956, cena zł. 20).

KIELSKI (Bolesław). *Język francuski a polski*. Przyczynek do typologii języków. Str. 27. (Wyd. Zakład im. Ossolińskich we Wrocławiu, 1956, cena zł. 2.60).

WALLIS (Mieczysław). *Dzieje zwierciadła* i jego rola w różnych dziedzinach kultury. (Tom Nr 20 Łódzkiego Twa Naukowego). Str. 122 plus 40 stron ilustracji. (Wyd. Zakład im. Ossolińskich, Wrocław 1956, cena zł. 14).

Polska bibliografia literacka za rok 1947. Opr. Zespół Poznańskiej Pracowni Bibliograficznej Instytutu Badań Literackich PAN, pod kierunkiem prof. dra St. Vrtel-Wierczyńskiego. Str. 532. (Wyd. Polska Akademia Nauk, Zakład im. Ossolińskich, Wrocław 1956).

SZKOLNICTWO ZAWODOWE

DILIS (Jerzy mgr inż.). *Sztukatorstwo*. Część I. Str. 223, cena zł. 8.40; Cz. II. str. 231, cena 8.70. (Wyd. Państwowe Wydawnictwa Szkolnictwa Zawodowego, Warszawa 1956).

WÓJCIK (Marian). *Ćwiczenia i pokazy z chemii organicznej*. Str. 47. (Wyd. Państwowe Wydawnictwa Szkolnictwa Zawodowego, Warszawa 1956, cena zł. 2.70).

Historia dla Klasy I Techników. Opr. J. Gierowski i inni. Str. 328. (Wyd. Państwowe Wydawnictwa Szkolnictwa Zawodowego, Warszawa 1956, cena zł. 12.50).

Historia dla Klasy II Techników. Opr. Wł. Bortnowski i inni. Str. 348. (Wyd. Państwowe Zakłady Szkolnictwa Zawodowego, Warszawa 1956, cena zł. 12.50).

Listy do Redakcji

Sutton Coldfield, 15. 10. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule ,,Gospodarka Narodowa" (,,Kultura" Nr 107), pisząc o akcji przeciw Związkowi Nauczycielstwa Polskiego" (str. 89) zapomniał widocznie Janusz Negryński, że zasadniczym powodem tej akcji była działalność prezesa tego Związku, osławionej dziś Wandy Wasilewskiej, i jej niedwuznaczna propaganda komunistyczna na łamach wydawanego przez ten Związek czasopisma dla młodzieży szkolnej. A że nie był to tylko wymysł ,,OZONu i departamentu bezpieczeństwa M.S. Wewnętrznych", świadczy o tym najlepiej artykuł tejże Wandy Wasilewskiej, ogłoszony na łamach sowieckiego czasopisma ,,Ogoniok" w 1940 roku, w którym ona sama wyraźnie stwierdza, że jedynym celem jej działalności na terenie Związku Nauczycielstwa Polskiego była propaganda komunizmu i dążenie do zaostrzenia stosunków między nauczycielstwem a władzami państwowymi, aby w ten sposób wytworzony ferment wykorzystać dla szerzenia komunizmu w Polsce.

Na stronie 93 pisze autor, że sprzedaliśmy Anglii działa przeciwlotnicze, choć ,,jak wiadomo obrona przeciwlotnicza w kraju była słaba" gdyż... nie mieliśmy do tych dział amunicji, przy czym opowiada on przy tej okazji nie wiadomo gdzie zasłyszaną bajeczkę, jakoby powodem tej sprzedaży było, że w braku amunicji Boforsa zakupiliśmy amunicję Hotchkissa, która do naszych dział nie pasowała.

Całe to opowiadanie po prostu nie trzyma się kupy. Nie trzeba być wielkim fachowcem, aby wiedzieć, że amunicja działa A, nawet tego samego kalibru, z reguły nie pasuje do działa B (chyba że tak go umyślnie skonstruowano). Trzeba więc być kompletnym analfabetą aby kupować amunicję z jednego działa do działa innego. A nasi inżynierowie uzbrojenia na pewno nie byli analfabetami, ale fachowcami pełną gębą. Do tego działa przeciwlotnicze, jakie sprzedaliśmy Anglii, były kalibru 40 mm., a nie 8,8 centymetra, jak to opowiada J. Negryński. Dalej działa tego kalibru wyrabiała nie Francja (wtedy zresztą nazywałyby się one 88 mm.), ale Niemcy. Francja wyrabiała działa przeciwlotnicze 90 mm. i do tego nie Hotchkiss, ale Schneider. Dział kalibru 40 mm. Francja w ogóle nie wyrabiała. Jak więc moglibyśmy byli zakupić u Hotchkissa amunicję, której on w ogóle nie wyrabiał, musi pozostać tajemnicą autora.

Nie odpowiada również prawdzie twierdzenie, jakoby Bofors zerwał z nami umowę. Wprost przeciwnie, stosunki nasze z Boforsem do wybuchu wojny były doskonałe. Jest również wyrazem całkowitej nieznajomości faktycznego stanu rzeczy, gdy autor twierdzi, jakobyśmy dla naszych działek liczyli na dostawę amunicji ze Szwecji. Było to po prostu niemożliwe. Bofors, firma obliczona na produkcję modeli, nie mogła prowadzić masowej produkcji ani dział, ani tym bardziej amunicji. Przecież właśnie dlatego, gdy Anglia zwróciła się do niej o kupno dział przeciwlotniczych 40 mm., Bofors skierował ją do nas. Wreszcie Polska już w 1937 roku produkowała amunicję do dział 40 mm.

Trudno więc chyba o więcej bałamuctw w tak krótkim ustępie. Jeśli więc wszystkie informacje autora są równie ścisłe jak ta, wartość informacyjna jego artykułu jest zaiste niewielka.

Odnośnie pytania, dlaczego Polska, sama nie mając dostatecznej ilości dział przeciwlotniczych, sprzedawała je Anglii, odpowiadałem już niejednokrotnie, ostatnio na łamach „Bellony" (rok 1955, zeszyt 2). Możliwości produkcyjne naszych wytwórni uzbrojenia, tak pod względem personelu fachowego, jak i urządzeń technicznych, były wielokrotnie większe, w przewidywaniu produkcji wojennej, niż nasza faktyczna produkcja pokojowa. Jeśli więc nie produkowaliśmy więcej dział przeciwlotniczych, to bynajmniej nie dlatego, jakobyśmy nie mieli ich gdzie lub też czym produkować, ale po prostu dlatego, że produkcja sprzętu wojennego (co chyba ekonomista powinien rozumieć) kosztuje i to kosztuje dużo. A my, niestety, nawet przy jak najbardziej wyżyłowanym budżecie, nie mieliśmy nigdy dość pieniędzy. Jeśli więc chcieliśmy produkować więcej dział, trzeba było te brakujące pieniądze skądyś dostać. A że o pożyczkę na produkcję sprzętu w kraju było bardzo trudno, pozostała tylko jedna droga — eksport. A jak człowiek, który pisywał do „Gospodarki Narodowej" wiedzieć powinien, eksportuje się nie to, co się eksportować chce, ale to, na co jest zapotrzebowanie. Niestety więc potrzebne nam pieniądze na zwiększenie produkcji broni własnej musieliśmy uzyskiwać nie przez eksport żyta, węgla, czy też parowozów, bo na nie nie było nabywców, ale przez eksport tego, na co zawsze byli odbiorcy, to jest broni.

W rezultacie więc armaty przeciwlotnicze, jakie sprzedaliśmy Anglii były armatami wyprodukowanymi *ponad* tę ilość, jaką mogliśmy produkować z naszych środków budżetowych, a uzyskane za nie od Anglii pieniądze (i to w postaci dewiz tak koniecznych dla zakupów surowców, których w kraju nie mieliśmy, a bez których broni i amunicji produkować nie można) pozwalały nam produkować *więcej* dział przeciwlotniczych i innego sprzętu uzbrojenia, niż gdybyśmy tych dział nie byli sprzedali.

W rezultacie więc eksport broni zagranicę nie tylko że nie uszczuplał własnego zapasu sprzętu uzbrojenia, ale na odwrót, go *powiększał*.

I tak samo myśleli i postępowali i inni, znacznie od nas bogatsi. Do ostatnich nieomal chwil przed wojną trwała zaciekła walka konkurencyjna o rynki dla wywozu sprzętu uzbrojenia między nami, a Francją (Schneider i Hotchkiss), Anglią (Vickers), Belgią (Fabrique Nationale) i Czechami (Skoda). Zapewne, państwa tak bogate, jak Francja i Anglia mogły sobie pozwolić na ten luksus, że na krótki czas przed wojną uruchomiły swój przemysł wojenny na pełną skalę mobilizacyjną, czerpiąc ze swych dużych zapasów finansowych. Polska niestety tych zapasów nie posiadała, o uruchomieniu więc produkcji wojennej własnymi siłami na pełną skalę nie mogliśmy myśleć. I to również dla współpracownika „Gospodarki Narodowej" powinno by być jasne.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Tadeusz FELSZTYN

◆

Glasgow, dnia 6 października 1956

Szanowny Panie Redaktorze,

We wrześniowej „Kulturze" p. J. Mieroszewski sformułował (str. 9-11) zasady zespołu „Kultury", tyczące współpracy pisarzy emigracyjnych z firmami wydawniczymi krajowymi. Zasady pomijają wydawców emigracyjnych

Proponuję, aby wydawcy (wystarczy na początek jedna firma) ustalili, że z chwilą rozpoczęcia druku książki przedstawiają przedstawicielowi krajowemu egzemplarz korektowy albo po wydrukowaniu z zatrzymaniem składu egzemplarz normalny i zapytują, czy firmy krajowe podejmą się rozsprzedaży książki w Polsce w ustalonej ilości egzemplarzy i po ustalonej cenie, z tym, że całkowity dochód ze sprzedaży zostanie przeznaczony na przykład na odbudowę Biblioteki Narodowej. Po uzyskaniu zgody należałoby odpowiedniej firmie krajowej przekazać odpowiednią ilość egzemplarzy *za darmo*, zaopatrując każdy egzemplarz pieczątką DAR WYDAWNICZEJ FIRMY EMIGRACYJNEJ, PRZEKAZANY DO ROZPRZEDAŻY W POLSCE — CAŁKOWITY DOCHÓD ZE SPRZEDAŻY PRZEZNACZONY JEST NA ODBUDOWĘ BIBLIOTEKI NARODOWEJ.

Wszelkie wyciąganie dewiz z kraju przez wydawców, księgarzy czy pisarzy należałoby stanowczo potępić.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Stanisław WESTFAL



Castell Mynach, 1 października 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę o łaskawe udzielenie mi miejsca na łamach „Kultury" dla zanotowania następujących uwag, przeznaczonych dla tych z moich czytelników, których to może obchodzić.

Korzystanie od czasu do czasu z gościnności łamów „Kultury" nie upoważnia mnie do uważania się za członka „Zespołu Kultury". Postanowienia, oświadczenia itd. tego Zespołu zapadają bez mojego udziału i nie uważam się za odpowiedzialnego za nie czy też nimi związanego. W szczególności *nie zgadzam się* ze stanowiskiem czy propozycją „Zespołu Kultury" wyłuszczonym w artykule „Dialog" p. Juliusza Mieroszewskiego (Kultura, Nr 9/107).

W moim przekonaniu:

a) Pisarz który godzi się na drukowanie swych prac w wydawnictwie reżymu komunistycznego — a inne wydawnictwa w Polsce obecnie nie istnieją — eo ipso przestaje być pisarzem emigracyjnym, bez względu na to czy i w jakiej formie miałby pobrać honorarium autorskie;

b) Człowiek który odbywa wycieczkę do Kraju, jeżeli bierze paszport konsulatu komunistycznego, to, rzecz jasna, przestaje być emigrantem politycznym; jeżeli natomiast ma on obywatelstwo obce, to, rzecz jasna, występuje jako cudzoziemiec — jedynie polskiego pochodzenia — i nie może mieć pretensji aby go nadal uważano za emigranta politycznego, a tym mniej za emigracji przedstawiciela czy „przywódcę" jakiegokolwiek formatu.

Co do rozmów zaś dziennikarskich pozwalam sobie przypomnieć uchwałę Warszawskiego Związku Dziennikarzy, niegdyś rygorystycznie przestrzeganą: dziennikarz nigdy i nigdzie nie akceptuje łapówki, choćby w formie poczęstunku. Jakiekolwiek posiłki czy napoje dziennikarz przyjmować się godzi tylko i wyłącznie od osób, które uważać może w pełni za swych osobistych przyjaciół, albo też za przedstawicieli swych pracodawców. Zasada ta i dziś może być doskonałym drogowskazem postępowania dla dziennikarza.

Proszę o przyjęcie wyrazów poważania.

Jerzy HORZELSKI

New York, 18 września 1956 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Juliusz Mieroszewski w artykule pt. „Dialog" we wrześniowym numerze „Kultury" napisał:

„O demokracji powiedziano setki rzeczy mądrych i wzniosłych. Ale dopiero na Zachodzie przyswoiliśmy sobie przekonanie, że istnieje tylko jedna prawdziwa wolność to jest wolność demokratyczna. Wszystko inne nie jest wolnością choćby się nią mieniło. Bo tylko wolność demokratyczna jest wolnością dla wszystkich. ... Polska rządzona przez oenerowskiego Fuehrera mogłaby być państwem niepodległym i suwerennym, ale w tej Polsce nie byłoby wolności ani dla mnie ani dla setek tysięcy moich rodaków".

To wszystko jest trafne i słuszne i dlatego ze zdziwieniem przeczytałem konkluzję tego artykułu, z której się dowiedziałem, że wedle opinii Zespołu „Kultury", którego stanowiska artykuł p. Mieroszewskiego jest wyrazem — pewni ludzie z emigracji podejmujący decyzję podróży do Polski albo ją odbywający, względnie zawierający umowy w sprawie druku swych książek w Polsce itd. — mają od teraz zamknięty wstęp na łamy „Kultury". P. Mieroszewski instynktownie odczuwa niewłaściwość tego zarządzenia, kiedy pisze „jesteśmy daleko od organizowania terroru, ale sprawę oceniamy jako tak ważną, że postanowiliśmy ..." I tu właśnie ogłoszony został edykt zamykający dostęp do łam „Kultury".

Nie mieszam się do zarządzeń Zespołu „Kultury" jeśli uważa ona je za stosowne, ale chce zwrócić uwagę, że nie można równocześnie mieć pretensyj do jakiegoś oenerowskiego Fuehrera w przyszłości czy w ogóle do jakichkolwiek Fuehrerów, jeżeli również uznając pewne motywy za „sprawę tak ważną" zamykają czasem łamy pism, a czasem także ludzi za ich poglądy, przekonania i decyzje. P. Mieroszewski ogłaszając edykt zamykający łamy pisma i zapowiadający ewentualność dalszego „usztywnienia" stanowiska „Kultury" nie wydaje się być pojętnym uczniem „prawdziwej wolności demokratycznej".

•

W artykule natomiast p. K.A. Jeleńskiego pt. „Od endeków do stalinistów" czytam co następuje:

„Muszą oni (dziennikarze i organy prasowe domagające się szeroko pojętej liberalizacji systemu w Polsce) zdawać sobie sprawę, że ta liberalizacja zagrożona jest przez stalinistów, przez kacyków zarówno przez wszystkich administratorów na uprzywilejowanych stanowiskach — jak przez odwieczną polską kołtunerię. Czują oni, że właśnie na tym odcinku — żydowskim — może powstać alians między stalinistami a kołtunerią".

Analiza zagadnienia antysemityzmu w dzisiejszej Polsce przeprowadzona przez p. Jeleńskiego wydaje się trafna, jak słuszna jest również ocena stanowiska stalinistów, jeśli idzie o ich pogląd na stosunek obecnej Polski do Rosji. Ich zdaniem stosunek ten powinien wyrażać się w kontynuowaniu ścisłej zależności Polski od Rosji nie tylko w dziedzinie polityki zagranicznej, ale i w sprawach wewnętrznych Polski.

Ale na tym właśnie tle wywód p. Jeleńskiego i jego sugestie, jakoby kołtuneria polska, która w Polsce na pewno istnieje, jak istniała dawniej, miała wejść w „alians" ze stalinistami w związku ze wzajemnymi skłonnościami do antysemityzmu — wydaje się równie niesłuszny, jak szkodliwy. Kołtuneria polska, reprezentowana przez antysemitów w Polsce, dała już raz dowód swego stosunku do ogólnych zagadnień pomimo swoich antyżydo-

skich namiętności. Było to zarówno w okresie przed wojną, jak i w czasie wojny, kiedy szło o stosunek do naczelnego antysemity świata, bo do Hitlera. Gdyby antysemici polscy kierowali się w swojej postawie stosunkiem do Żydów i gdyby ich poglądy regulował antysemityzm, w Polsce przed i w czasie wojny powinien był istnieć zupełnie silny obóz prohitlerowski przeciwny walce z Hitlerem. Wiemy, że nie tylko takiego obozu nie było, ale antysemici z szeregów ,,kołtunerii'' polskiej należeli do najbardziej zawziętych uczestników walki z Hitlerem a ich wielkie ofiary poniesione w tej walce stanowią dostateczny dowód ich stanowiska. Incydent z Brygadą Świętokrzyską nie zmienia tej oceny, tym więcej, że nastąpił on w związku nie ze sprawą żydowską, ale ze sprawą sowiecką przy końcu wojny.

Nie ma żadnych powodów wątpić w to, że jeśli w dzisiejszej Polsce stanie czy może już stanął problem wyboru między antysemityzmem a rozluźnieniem stosunków i zależności polskiej od Rosji — także ,,kołtuneria'' polska nie będzie regulowała swego stanowiska z punktu widzenia antysemityzmu stalinistów, ale rozstrzygnie swoją postawę na rzecz nie tych, którzy są przeciw Żydom, ale przeciw Rosji czy też przeciw nieograniczonej służebności polskiej w stosunku do Rosji.

Łączę wyrazy poważania

Klaudiusz HRABYK



Jerozolima, 28. 8. 1956.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Pisarze polscy, nawet duchowni, rzadko kiedy cytują Stary Zakon. Niespodziewanie znajduję dwa cytaty wyrwane z kontekstu i niewłaściwie interpretowane. Pozwól mi, Wielce Szanowny Panie Redaktorze, sprostować i związać te cytaty z ogółem ducha Pisma Świętego, który jest obcy uczonym mało oczytanym i niebiegłym w Piśmie Świętym. Polskie tłumaczenie Biblii jest jednym z najgorszych, bo nie z oryginału, i nie nadaje się do cytatów poza amboną dla pospólstwa. Trzeba cytować Wulgatę. Z cytatu w numerze 105-106 na str. 22 (Exod. XXX. 20-21, mylnie, bo ma być XXI. 20-21) wyczytuje się, że i dla Pisma Św. niewolnik jest pieniądzem pana swego jak u pogan. Parę linii dalej (XXI. 26-27): *Si percusserit quispiam oculum servi aut ancillae, et luscos eos fecerit, dimittet eos liberos pro oculo quem eruit. Dentem quoque si excusseit servo vel ancillae suae, similiter dimittet eos liberos.* Niewolnik wedle Biblii jest człowiekiem jak pan jego. Zabójstwo niewolnika jest karane śmiercią. Kary więzienia Biblia nie zna, za wybicie zęba musiał go pan uwolnić. Czy pan polski sto lat temu uwalniał chłopa, którego nabił po mordzie i ząb mu wybił ?

Pan Andrzej Vincenz odkrył w Piśmie Świętym ,,tabu'' podobne do prymitywnego polinezyjskiego wedle I Paralip. XIII. 9-10. Trzeba cytować II. Sam. VI. 6-7, bo to starsze źródło. Kto przeczytał całego Samuela pamięta, że trzeba się odnosić z największym uszanowaniem do Arki, ale ona chyba nie jest ,,tabu'', można się jej dotykać (I. Sam. VI. 1-21, II. Sam. VI. 11) w razie potrzeby : ... *dixerantque maiores natu de Israel... Afferamus ad nos de Silo arcam foederis Domini et veniat in medium nostri... Misit ergo populus in Silo et tulerunt inde arcam foederis Domini* (I Sam. IV. 3-4). Aby cytować z Biblii trzeba być ,,bibelfest''.

Z poważaniem

A.J. BRAWER

La Combe de Lancey, 9. 9. 1956.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam w załączeniu z prośbą o łaskawe umieszczenie przesłany na me ręce list członka redakcji „Encyclopoedia Hebraica" dra Brawera. Jego informacje dotyczące języka Galicji są tym cenniejsze, że dr Brawer wyjechał do Palestyny przed pierwszą wojną światową. Co do mnie, chętnie przyznaję, że nie jestem znawcą Biblii, ale wydaję mi się, że mam rację jeśli chodzi o tabu związane z Arką. Cytuję przede wszystkim tekst II. Sam. VI. 6-7, na który powołuje się dr Brawer (cytuję według tekstu Authorised Version, który jest bodaj lepszy od Wulgaty): And when they same to Nachon's threshingfloor, Uzzah put forth *his hand* to the ark of God, and took hold of it; for the oxen shooh *it*. And the anger of the LORD was kindled against Uzzah; and God smote him there for *his* error; and there he died by the ark of God. Wszystkie inne teksty cytowane przez dr Brawera nie wspominają expressis verbis, by ktokolwiek Arki dotykał. Arkę przywożą, przewożą lub przenoszą, ale zapewne zawsze na wozie, tak jak w wypadku cytowanym powyżej, albo na jakichś noszach. Nie miałem zamiaru porównywać dawnych Żydów do współczesnych Polinezyjczyków, ale nie byłoby w tym nawiasem mówiąc nic ujmującego, bo Polinezyjczycy są jednym z ostatnich ludów cywilizowanych na ziemi, porównywano ich nieraz do dawnych Hellenów.

Napisałem, że w chwili gdy Galicji groziła ofensywa rosyjska w 1915 Żydzi woleli nie wymawiać słowa Rosjanin czy Moskal, a mówili zamiast tego (gdy mówili po niemiecku) *diejenigen*. Było to więc typowe tabu, „zabobonne" unikanie właściwej nazwy ze strachu. Przezwiska należą do innej kategorii, spowodowane są nie strachem, lecz pogardą.

Jeśli chodzi o etymologię *misia*, to nie mam nawet zaszczytu być jej autorem. Znaleźć ją można w Słowniku etymologicznym Brücknera pod słowem niedźwiedź (str. 360). Etymologie Brücknera nie zawsze są pewne ale ta wydaje jeszcze najbardziej prawdopodobna. Nie ma żadnych powodów, by uważać *misia* za słowo pochodzące z X wieku; mogli go tak ochrzcić gdzieś w XIV lub XV wieku, kiedy imiona chrześcijańskie były już w Polsce rozpowszechnione. Św. Michał jest czczony również w Kościele Zachodnim, a zresztą nie wydaje mi się, by słowo *miś* było tylko zachodnio-polskie. Ja je znam z dzieciństwa (1930-35), z Galicji Wschodniej, była nawet książka „Bohaterski miś", a że nie było to słowo świeżo importowane, dowodzi ukraińskie *myś*. Więc może ewentualnie pochodzić z ukraińskiego, jak to przypuszcza p. Rojek. Łączenie *misia* z *miechem* jest wykluczone ze względów fonetycznych.

Zechce Pan przyjąć, Wielce Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Andrzej VINCENZ



Winnipeg, 21. 9. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł A. Kozłowskiego („Kultura" Nr 6/104) oraz list L. Kruszelnickiego (Nr 9/107) o gwarze lwowskiej świadczą dodatnio o obu autorach i o ich trosce o losy lwowskiego „bałaku". Obaj boleją nad tym, że gwara ta nie została dotychczas utrwalona „i zwolna oddala się w krainę zapomnienia" (Kruszelnicki).

Chciałbym zwrócić uwagę szanownych Panów na to, że sprawa nie wygląda tak zupełnie tragicznie. W czasie mych studiów we Lwowie miałem nieprzyjemność „siedzieć" kilka razy w więzieniu, dzięki szczególnej sympatii „organów bezpieczeństwa" do ukraińskiej młodzieży akademickiej. Rozmieszczano nas „politycznych" razem z „niepolitycznymi", przede wszystkim z lwowskimi „frajerami", „bachurami", „batiarami" itd. Właśnie „na Brygidkach" powstał u mnie plan opracowania gwary lwowskiej naukowo. Plan ten został urzeczywistniony w roku 1943 w formie pracy: „Lemberger ukrainische Stadtmundart" (Leipzig, Otto Harrassowitz), o której senior slawistyki polskiej, prof. T. Lehr-Spławiński pisał:

„Opis gwary ukraińskiej jednego z przedmieść lwowskich z naciskiem na stronie fonetycznej w oparciu o zdjęcia gramofonowe. Pożyteczne uwagi historyczno-językowe i dialektologiczne. Praca metodycznie poprawna. W dodatku kilka tekstów fonetycznie zapisanych z transkrypcją literacką i przekładem niemieckim. Jeden tekst w polskiej gwarze Lwowa. Słowniczek." — (Rocznik slawistyczny, t. 16, Kraków 1950, str. 407).

We wspomnianym słowniczku są zebrane „lwowianizmy" włącznie z „ćmagą", „bałakiem", „harą" itp. Jedynie „chabala" w nim teraz nie znalazłem, za co jako też za etymologię tego wyrazu jestem wdzięczny p. Kruszelnickiemu.

Z poważaniem

Jar. *RUDNYĆKYJ,*
Dept. of Slavic Studies,
University of Manitoba (Canada).

◆

Londyn, 26. 9. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z uwagami p. Adama Czerniawskiego o „Ostatnich utworach" Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w 9-ym numerze „Kultury" pośpieszam stwierdzić, że poufne notatki poetki nie są w moim posiadaniu i ich ogłoszenie nie zależy od mojej woli. W zamknięciu do „Ostatnich utworów" zawarłem wrażenie z lektury tych notatników w szczególnych okolicznościach, w kilka dni po śmierci ich autorki. Osobiście jestem zwolennikiem ogłaszania materiałów tego rodzaju w jak najszerszym zakresie.

Łączę wyrazy szacunku

Tymon *TERLECKI*

◆

Drogi Panie Redaktorze,

W cytowanym przeze mnie (za Przybosiem) fragmencie „Wielkiej Improwizacji" chochlik drukarski zmienił liczbę pojedyńczą na mnogą. Ma być oczywiście:

„...Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję..."

a nie, lubują, czują, odgadują...

Łączę serdeczne pozdrowienia.

Marian *PANKOWSKI*

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI, 11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 4e *Trimestre* 1956.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S.& O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 10-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca", Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia Barcińska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Paranà; **Hanna Lekszycka,** r. Guiarà 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocztowego: 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **St. L. Lemanski,** 472 Aïkins St., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec",** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta p.: I.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book C°, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** „Gryf Publ.", 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **L. Dudarew Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **K. Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y. **The Polish Book Importing Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Imprimerie RICHARD,
24. rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 180 frs.